

a u t o b i o g r a f i a

# DZIEKAN



Dariusz  
Dziekanowski

a u t o b i o g r a f i a

# DZIEKAN

**Dariusz  
Dziekanowski**

Współpraca

**Arkadiusz Nakoniecznik**





*Wszystkim, którzy kochają piłkę*

# Spis treści

Początki

Fajny klub bez kibiców

Warszawiak w Łodzi

Nasza duma i sława

W szkocką kratę

Bristol i co by było, gdyby...

Meksykańska „klapa”

732×234

Idole

Złota księga

U boku lwa

Sport to zdrowie

Trenerzy

Życie po życiu (piłkarskim)

Na zakończenie

Podziękowania

Zdjęcia



# Początki

Co prawda urodziłem się w Śródmieściu, ale najmłodsze lata spędziłem na Ochocie. Razem z rodzicami mieszkałem u dziadków przy ulicy Biało-brzeskiej pod numerem 34, niemal naprzeciwko Szkoły Podstawowej nr 61. Mieszkanie było spore, bo czteropokojowe, ale oprócz naszej trójki, babki i dziadka musieli się w nim pomieścić jeszcze moi trzej samotni wujkowie oraz jeden z żoną i dzieckiem – moją kuzynką, młodszą ode mnie o trzy lata – a na dokładkę jeszcze prababcia. Mieliśmy dla siebie jeden mały pokój. Było ciasno i gwarno, ale w sumie OK. Na wyasfaltowanym podwórku od rana do wieczora grało się w piłkę. Jeśli z jakiegoś powodu nie mogłem tam być, to lubiłem spędzać czas, siedząc na parapecie w kuchni, skąd miałem doskonały widok na boisko i sąsiadujący z nim parking. Tuż obok boiska znajdował się nieduży skwerek, przy samym wejściu do naszej klatki schodowej zaś był – i wciąż jest – sklep spożywczy, w którym ja i inne dzieciaki z sąsiedztwa od czasu do czasu mogliśmy dostać lizaka „na kreskę”. Co dziwne, przez okno gapiłem się często i chętnie, za to straszliwą traumą było dla mnie zawsze wyjście na balkon. Nie mam pojęcia, skąd się to wzięło, ale jeszcze przez wiele lat, kiedy odwiedzaliśmy dziadków, żadna siła nie mogła mnie zmusić, żebym postawił na nim stopę. To chyba jedyne złe wspomnienie, jakie zostało mi z tamtego miejsca; zaowocowało zresztą lekkim lękiem wysokości, który towarzyszy mi do dzisiaj.

Kiedy miałem sześć lat, rodzice dostali mieszkanie na Marysinie Wawerskim, przy ulicy Korkowej 135c, na trzecim piętrze, dwa pokoje ze ślepą kuchnią. Zabraliśmy tam także prababcie; miała amputowaną nogę, wymagała więc stałej opieki, a sama mogła z kolei opiekować się mną, bo jeszcze nie chodziłem do szkoły. W tamtych czasach chyba nie można było wyprowadzić się w bardziej odległe miejsce... Szkołę miałem blisko, ale kiedy jako dziesięciolatek zacząłem jeździć na treningi na Polonię, musiałem pokonać bardzo długą trasę: najpierw autobusem 137 do pętli na Gocławiu, potem tramwajem linii 6 do Konwiktorskiej. Im starszy byłem, tym więcej różnych wariantów dojazdu ćwiczyłem (pamiętam, że między innymi korzystałem również z autobusu pospiesznego linii J), co jednak nie zmieniało faktu, że było to cholernie daleko.

W chwili przeprowadzki z Ochoty miałem już kompletnego bzika na punkcie piłki nożnej. Grałem, kiedy tylko mogłem – także z moimi wujkami – a kiedy nie mogłem, godzinami tkwiłem przy oknie na kuchennym parapecie i pożerałem wzrokiem chłopaków goniących za piłką na asfaltowym boisku pod naszymi oknami. Na Marysinie do szkoły chodziłem po południu – lekcje zaczynałyśmy o 12.30 albo o 13.30 – w piłkę grałem więc rano. To „rano” oznaczało naprawdę dość wczesne godziny, zwykle bowiem zaczynałyśmy o wpół do ósmej, najpóźniej o ósmej. Rodzice wiedzieli, że zawsze mogą mnie znaleźć w jednym z dwóch miejsc. Zaraz za naszym osiedlem zaczynał się las i właśnie tam, na skraju lasu, w miejscu, w którym drzewa rosły rzadziej, urządziliśmy sobie boisko. To było pierwsze miejsce. Drugie znajdowało się trochę dalej, trzy bloki od nas, i było zwykłym piaszczystym placem, na

którym uganiał się za piłką. Kilka lat temu zbudowano w tym miejscu boisko piłkarskie z prawdziwego zdarzenia; uroczyście otworzyła je pani prezydent Warszawy, a ja miałem zaszczyt być wśród zaproszonych gości. Przyznam, że wzruszenie tak mocno ścisnęło mnie za gardło, że miałem poważne problemy z wykrztuszeniem choćby kilku słów...

Do dzisiaj uważam, że ta podwórkowa kopanina, najpierw na asfalcie na Ochocie, potem wśród drzew i w piasku na Marysinie, to była najlepsza szkoła futbolu, jaką mogłem sobie wymarzyć. Niejednolita – najdelikatniej rzecz ujmując – nawierzchnia, piłki rozmaitej (zazwyczaj gorszej niż lepszej) jakości, przeciwnicy nadrabiający braki w umiejętnościach brutalnością i agresją, a przede wszystkim niesłychane zaangażowanie graczy, o lata świetlne przerastające to, co pod tym względem są w stanie wykrzesać z siebie zawodowcy – wszystko to stanowiło doskonałe przygotowanie do późniejszej, już bardziej profesjonalnej piłkarskiej edukacji. Choć naturalnie nie mogło być mowy o niczym choćby przypominającym fachowo prowadzone treningi, to rywalizowaliśmy nie tylko podczas meczów, ale również w „konkurencjach technicznych”. Najbardziej popularna była naturalnie żonglerka piłką. Wyśrubowany przeze mnie rekord – podwórka na pewno, przypuszczalnie szkoły i osiedla, a kto wie, czy nie dzielnicy – wynosi sześćset kilkadziesiąt podbić. Do rekordu Guinnessa, czy choćby do osiągnięć Janusza Chomontka z pewnością daleko, ale i tak chyba nie ma się czego wstydzić.

Z nauką nie miałem problemów, lecz skłamałbym, mówiąc, że nadmiernie przykładałem się do szkolnych obowiązków. Nauczyciele mówili o mnie „zdolny, ale leń”, lecz lenistwo, o które mnie podejrzewano, wcale nie było lenistwem (a w każdym razie nie całkiem); ja najzwyczajniej w świecie nie miałem czasu na naukę. Szczerze powiem, że na palcach jednej ręki mógłbym policzyć książki, które przeczytałem przez osiem lat podstawówki. Nie pamiętam już, czy była wśród nich nagroda za wyniki w nauce, którą dostałem na zakończenie drugiej klasy: *Jak Wojtek został strażakiem*. Potem nagród za osiągnięcia w nauce już nie dostawałem, za to od samego początku, od pierwszej klasy, cieszyłem się statusem piłkarskiej gwiazdy. Nie chodziło tylko o umiejętności techniczne, którymi dość wyraźnie przewyższałem kolegów, lecz również o zaangażowanie w organizowanie klasowych i międzyklasowych meczów, wyznaczanie składów i ustalanie taktyki. To było dla mnie najważniejsze, tym żyłem, o tym bez przerwy myślałem i niczym innym nie chciałem się zajmować. Koledzy doceniali i szanowali zarówno moje umiejętności, jak i zaangażowanie; nauczyciele, mam wrażenie, trochę mniej. Mama zawsze wspominała, że nawet jeśli już siedziałem przy biurku i odrabiałem lekcje, to nogę trzymałem na piłce...

Piłką była dla mnie najważniejsza nie tylko w trakcie roku szkolnego, lecz także podczas wakacji. Często spędzałem je u ciotki w Gdańsku. Kiedy w drodze na Wybrzeże mijaliśmy jakieś wiejskie boisko, byłem gotów wysiąść i zostać tam do początku nowego roku szkolnego. Po co jechać gdzieś daleko, skoro to, co lubię i co mnie interesuje, jest już tutaj? Rodzice jednak nie przejawiali zrozumienia i dowozili mnie do celu, czyli do Brzeźna, gdzie mieszkała moja ciotka. Morze nie bardzo mnie fascynowało; potrafiłem całe wakacje spędzić na pobliskim szkolnym boisku, gdzie dzień w dzień od ósmej rano czekałem, aż ktoś przyjdzie pograć w piłkę.

Moje sportowe zainteresowania nie ograniczały się do piłki nożnej, choć oczywiście gdybym mógł, ganiałbym po boisku od rana do wieczora. Chodziłem na SKS, gdzie

nauczyciele w serwowali nam ogólnorozwojowe gry i zabawy, a zimą, kiedy nawet tacy narwańcy jak ja przegrywali z pogodą, z zapalem jeździłem na łyżwach. Nigdy nie pękałem. I na boisku, i poza nim, nie było dla mnie sytuacji przegranych albo bez wyjścia, nie wahałem się ani chwili, kiedy trzeba było się postawić albo upomnieć o swoje. W razie potrzeby nie stroniłem też od bójki, choć nie wydaje mi się, żebym je prowokował. Spędzając dużo czasu na podwórku nie tylko z rówieśnikami, ale często chłopcami o kilka lat starszymi ode mnie – chętnie pozwalali mi grać ze sobą, bo przekonali się, że choć mniejszy i fizycznie słabszy, to jestem dużym wzmocnieniem dla każdej drużyny – musiałem dość szybko okrzepnąć psychicznie i nauczyć się rozpychać łokciami, dosłownie i w przenośni. Jak się później miało okazać, z jednej strony i tak daleko mi było do największych boiskowych twardzieli i chojraków, na przykład z Władzowa, z drugiej natomiast czasem brakowało mi zdolności dyplomatycznych i umiejętności interpersonalnych, które umożliwiłyby mi funkcjonowanie wewnątrz drużyny, a nie na jej obrzeżu... Ale o tym piszę w innym miejscu tej książki.

Mój tata pracował w FSO na Żeraniu. W roku 1971, o ile mnie pamięć nie myli, powstała szkołka piłkarska MOP, czyli Młodzieżowego Ośrodka Piłkarskiego działającego na Stadionie X-lecia pod egidą przyfabrycznego klubu sportowego. Gdybym miał ją porównywać z czymkolwiek z czasów dzisiejszych, to chyba tylko z funkcjonującą od jakiegoś czasu w Warszawie szkołką Barcelony. Nazwa i korzenie znacznie skromniejsze, ale poziom i prestiż z pewnością zbliżone. Uprosiłem rodziców, żeby zawieźli mnie na testy... i oblałem je z kretesem. Poległem na sprawdzianach z ogólnej sprawności; byłem dość mizernie rozwiniętym fizycznie dziewięciolatkiem i moje wyniki w biegach czy skokach nikogo nie mogły powalić na kolana. Moje chleractwo wynikało zapewne w znacznej części z faktu, że na co dzień byłem tak zajęty grą w piłkę, iż najzwyczajniej w świecie nie miałem czasu jeść. A przecież w przerwach między meczami trzeba było jeszcze chodzić do szkoły i odrabiać lekcje... W praktyce wyglądało to tak, że kiedy rodzice szli do pracy na pierwszą zmianę (mama pracowała w małym zakładzie cukierniczym przy ulicy Grochowskiej), zostawiali mi na stole starannie pozawijane w celofan kanapki. Ponieważ szkoda mi było czasu na jedzenie, a równocześnie nie chciałem sprawiać rodzicom przykrości, wpychałem te nierozpakowane nawet kanapki pod wannę – obiecując sobie solennie, że zjem je później. Po jakimś czasie w łazience zaczęły się pojawiać najpierw sporadycznie, a potem coraz częściej, ogromne, spalone robale. Nawet nie chcę mówić, co się działo, kiedy przeszukanie ujawniło upchnięte pod wanną zepsute zapasy... Potem nie chowałem już jedzenia po kątach, ale nadal nie przejawiałem większej ochoty do jego spożywania. Moja nieszczęsna zdesperowana mama połamała na mnie niejedną parasolkę, powtarzając przy tym z rozpaczą: „Jeśli masz gdzieś się przewrócić i umrzeć z głodu, to lepiej, żebym sama cię zatłukła!”. Sytuację pogarszał fakt, że przy każdej wizycie u dziadków na Biało-brzeskiej dostawałem iście wilczego apetytu i opychałem się wszystkim jak leci, nawet chlebem z masłem i cukrem, żeby tylko przedłużyć pobyt w miejscu, z którym tak bardzo się zżyłem i w którym doskonale się czułem. Nie mam pojęcia, skąd mi się brały takie pomysły, i z tym większym współczuciem myślę o tym, co przeżywali moi rodzice, podtykając mi w domu pod nos kanapki z tak trudną wtedy do zdobycia szynką i widząc, jak robię wszystko, żeby nie wziąć ich do ust.

Wróćmy jednak do mojej nieudanej przygody z MOP--em. W tym samym czasie mój wujek Ryszard Anisiewicz, pseudonim boiskowy „Bolek”, był zawodnikiem warszawskiej Polonii.



Któregoś dnia zabrał mnie na Konwiktorską i uprosił trenera Adama Tarkowskiego – wspaniały człowiek, niestety, już nie ma go wśród nas – żebym mógł trenować z trampkarzami tego klubu. Problem polegał na tym, że nie było dla mnie nawet odpowiedniego stroju, ponieważ wszyscy zawodnicy z tej grupy wiekowej byli starsi i sporo więksi ode mnie. Po drugim czy trzecim treningu trener zasugerował, żebym jednak chwilowo dał sobie spokój i zgłosił się ponownie za rok. Nie ukrywał, że jestem lepszy od wielu chłopaków, ale jednak dość trudno grało mi się w spodenkach zsuwających się co chwila do kostek. Tak więc brak stroju w odpowiednim rozmiarze zaważył na tym, że start mojej piłkarskiej kariery musiał przesunąć się o długie dwanaście miesięcy. Chociaż wtedy decyzję trenera odebrałem jako kolejną w krótkim czasie porażkę, to teraz nie ulega dla mnie wątpliwości, że postąpił tak, jak należało.

Rok później, czyli w 1972, rozpocząłem treningi już jako pełnoprawny trampkarz Polonii Warszawa. Z perspektywy czasu muszę stwierdzić, że trafiłem najlepiej, jak mogłem. W tamtych latach wśród warszawskich klubów Polonia – i może jeszcze Agrykola – przykładaly największą wagę do pracy z młodzieżą. W Legii nikt zaledo nie zaprzętał sobie tym głowy; przecież rok w rok można było przebierać w kolejnych rocznikach piłkarzy powoływanych do wojska...

Zajęcia odbywały się trzy razy w tygodniu. Trenowałem z chłopakami starszymi ode mnie nawet o pięć lat; w tym wieku to gigantyczna różnica, przede wszystkim jeśli chodzi o siłę fizyczną, ale nie tylko. Nie było łatwo, ale na boisku radziłem sobie dzięki umiejętnościom, którymi przewyższałem większość nawet znacznie starszych chłopców, poza nim zaś dzięki temu, że... że potrafiłem sobie radzić. Nie było takiego, który by mi podskoczył. Nie znaczy to wcale, że byłem sobą bezgranicznie zachwycony i że wszyscy podzielali ten zachwyty. Zdarzały się chwile, a nawet całe okresy, kiedy było mi naprawdę ciężko; kiedy zacząłem wreszcie rosnać, na jakiś czas kompletnie zatraciłem koordynację ruchową, biegałem niezgrabnie, sadząc ogromne susy i wysoko podnosząc nogi, przez co zyskałem nawet przydomek Czapla. Sytuacja była chyba poważna, ponieważ na kilka miesięcy trafiłem na pozycję stopera.

Krótko po tym, jak zostałem trampkarzem Polonii, umarła mieszkająca z nami prababcia, zdarzało się więc, że kiedy oboje rodzice pracowali na drugą zmianę, wracałem z treningu sam, do pustego domu. Moim znakiem rozpoznawczym stała się koszulka z dziurą na piersi; dziurę wyszarpały mi klucze, które nosiłem na szyi.

Klub fundował nam bilety komunikacji miejskiej, zapewniał sprzęt, czyli buty piłkarskie, koszulki, spodenki i dresy, po każdym treningu zaś zawodnicy dostawali „posiłek regeneracyjny” w postaci dwóch kanapek i oranżady. Po meczach trener zabierał wszystkich na ciacho. Z dzisiejszego punktu widzenia może nie wydaje się to jakoś szczególnie atrakcyjne czy zachęcające, ale wtedy nikt – zwłaszcza wśród nas, dzieciaków – nie oczekiwał niczego więcej, a nawet takie skromne wspólne przyjemności cementowały zespół i budowały pozytywne relacje między nami, kadrą trenerską i klubem. Mnie podczas meczów trampkarzy dopingowała nie tylko perspektywa słodkiego poczęstunku, lecz także wierni kibice, którzy, niezależnie od pogody i miejsca rozgrywania spotkania, zawsze towarzyszyli mi na trybunach: babcia i dziadek z Biało-brzeskiej, a także, kiedy tylko pozwalały mu na to obowiązki, tata. On akurat pełnił dodatkową, bardzo ważną funkcję, ponieważ przez wiele lat zawiązywał mi przed meczem sznurowadła w piłkarskich butach; było to takie istotne przede wszystkim ze

względu na to, że grałem w za dużych co najmniej o jeden numer adidasach, które sprezentował mi wujek „Bolek”. Ten drobiazg ani trochę mi nie przeszkadzał – najważniejsze, że były to oryginalne adidas. Dodam, że moimi pierwszymi butami do gry były tzw. huragany, które po małej korekcie (polegającej na odpruciu dwóch poprzecznych pasków), można było upodobnić do adidasów. Jedyna niedogodność polegała na tym, że niezbyt wygodnie się w nich spało, przynajmniej przez pierwsze noce po ich zdobyciu... Jeśli zaś chodzi o dziadka, to życzliwość i zainteresowanie, jakie okazywał mojej piłkarskiej pasji, dawały mi dodatkowe korzyści latem, kiedy wszyscy jechaliśmy na wieś, by pomagać rodzinie przy pracach polowych. W okresie żniw spaliśmy w stodole, a budzono nas, jak to zwykle w takich okolicznościach bywa, o świcie. Dla mnie dziadek czynił wyjątek; reszta bractwa w pocie czoła harowała w polu, a ja wylegiwałem się jak panisko do ósmej. Dziadek pierwszy wyczuł, że jestem stworzony do innych rzeczy...

Po jakimś czasie – miałem wtedy trzynaście, może czternaście lat – zacząłem być powoływany do reprezentacji Warszawy, gdzie poznałem m.in. Darka Wdowczyka (też rocznik 1962). Trenerem był Ryszard Piętka, spotykaliśmy się raz w miesiącu w hali przy ulicy Rozbrat. Uwielbiałem grać w hali: czteroosobowe drużyny, bezustanny kontakt z przeciwnikiem, konieczność ciągłego dryblingu, zero przestojów. Ponieważ należałem do wyróżniających się zawodników, w 1978 roku trener Piętka wyznaczył mnie do udziału w zgrupowaniu w Mławie, gdzie dokonywano selekcji młodych piłkarzy pod kątem ich ewentualnej przydatności do gry w reprezentacji Polski juniorów. Zawodnicy zjawiali się tam w pięćdziesięcioosobowych grupach i przez tydzień trenowali i grali pod okiem sześciu czy siedmiu trenerów. Z tego naboru pochodziło wielu piłkarzy, którzy potem grali w czołowych klubach, a niektórzy przez wiele lat stanowili trzon pierwszej reprezentacji Polski: Furtok, Matysik, Wdowczyk, Kaczmarek, Prusik, no i Dziekanowski.

Choć tak dużo czasu i zapału poświęcałem piłce nożnej, to jakoś nigdy nie przyszło mi do głowy, że mógłbym zostać zawodowym piłkarzem. Grałem, bo to lubiłem, nie po to, żeby zdobywać i doskonalić fach, który będę wykonywał w dorosłym życiu. Nie miałem takich dalekosiężnych planów; szczerze mówiąc, nie miałem właściwie żadnych, bo kiedy w siódmej klasie podstawówki trzeba było zacząć się zastanawiać nad wyborem szkoły średniej, okazało się, że ja, zdolny, ale leń, nie mam bladego pojęcia, co dalej ze sobą zrobić. Z punktu widzenia rodziców sprawa była prosta: mogłem zostać cukiernikiem albo technikiem samochodowym. Co prawda lubiłem ciastka, zwłaszcza pączki – przyznam, że zostało mi to do dzisiaj – ale kompletnie nie potrafiłem wyobrazić sobie siebie w roli cukiernika. O samochodach z kolei nie miałem najmniejszego pojęcia i co prawda ani trochę mnie nie interesowały, lecz „technik samochodowy” brzmiało w moich uszach odrobinę mniej odstręcająco niż „cukiernik”. Padło więc na technikum samochodowe, konkretnie na Technikum Samochodowe nr 1 przy ulicy Hożej. Była to najlepsza tego typu szkoła w Warszawie, słynąca z wysokich wymagań i wysokiego poziomu nauczania. Zgłaszali się tam naprawdę dobrzy uczniowie, a średnia ocen wymagana do tego, by zostać przyjętym, była wyższa niż w niejednym liceum. Na tyle wysoka, że się nie dostałem. Moje całkiem niezłe, ale z pewnością nie wybitne oceny wystarczyły tylko do tego, żebym został przyjęty do działającego w tym samym budynku liceum zawodowego. Ponieważ jednak bardzo zależało mi na tym, żeby uczyć się w technikum – po pierwszej klasie najlepsi uczniowie liceum zawodowego mogli starać się o przeniesienie – przewalczyłem

wrodzone lenistwo, wziętem się do roboty i znalazłem się na trzecim miejscu w klasie. O tym, kto ostatecznie trafi do drugiej klasy technikum, decydowała rada pedagogiczna; w moim przypadku zapadła pozytywna decyzja, na co być może wpłynął także fakt, że wiosną reprezentacja szkoły, złożona głównie z uczniów klas czwartych i piątych, zwyciężyła w rozgrywanym na Agrykoli turnieju o mistrzostwo Warszawy szkół średnich. Ja, pierwszoklasista, w pierwszym meczu wyszedłem na ostatnie dwadzieścia minut, w drugim grałem już od początku spotkania, a pod koniec turnieju byłem już kapitanem drużyny.

Życie w upragnionym technikum okazało się jednak trudniejsze, niż mógłbym przypuszczać. W szkole wszyscy już wiedzieli o moich piłkarskich wyczynach, ale nie na wszystkich wywierały one takie wrażenie, jakiego mógłbym sobie życzyć. Najlepszym przykładem była nauczycielka historii, pani Głarzewska; w liceum, praktycznie nic nie robiąc, miałem u niej czwórkę, ale już w technikum wzięła mnie na celownik i tak koszmarnie gnębiła, że ucziwie się ucząc, nie zawsze mogłem dochrapać się trójki. Takie traktowanie nie wynikało jednak z jakiejś złośliwości czy awersji do futbolu, lecz chyba z troski o to, by młody piłkarz wyniósł ze szkoły jak największą wiedzę, ponieważ w ostatniej klasie zaproponowała mi, żebym wybrał historię jako jeden z dodatkowych przedmiotów, które będę zdawał na maturze. Byłem przekonany, że pani profesor kpi sobie ze mnie, w końcu przekonała mnie jednak, i nie żałowałem, ponieważ zdałem egzamin maturalny bez najmniejszych problemów. Po tym, co zafundowała mi przez cztery lata nauki, chyba nie mogło być inaczej...

Mój największy kłopot polegał jednak na tym, że zupełnie, ale to zupełnie nie interesowałem się samochodami ani żadnymi innymi aspektami motoryzacji. Na warsztatach – mieliśmy je w poniedziałki – koledzy na wyścigi biegli do rozbebeszonego specjalnie na nasze potrzeby pojazdu, ja natomiast robiłem wszystko, żeby tylko nie mieć z nim nic do czynienia. Jeśli trzeba było coś posprzątać, poustawiać, zanieść albo załatwić, zgłaszałem się natychmiast, bez najmniejszego wahania. Jeszcze gorzej było podczas miesięcznych praktyk w Polmozbytach (to były takie państwowe stacje obsługi pojazdów, czasem połączone z salonami samochodowymi, tyle że takimi, w których można było kupować samochody wyłącznie na talony). Po jakimś czasie nauczeni przykrym doświadczeniem opiekunowie sami pilnowali, żebym niczego nie dotykał, a i tak zdarzyło mi się, że za moją wiedzę – a raczej za jej całkowity brak – wyrzucono mnie z hukiem za bramę. Kiedy już przeniosłem się do Gwardii, problem stał się mniej uciążliwy, ponieważ klub zwalniał mnie przynajmniej z części praktyk, żebym mógł chodzić na treningi.

Szkolę ukończyłem bez fanfar i wyróżnień, i z pewnością nie trafiłem do panteonu jej najlepszych absolwentów. Ba, jednej z nauczycielek musiałem nawet solennie obiecać, że nigdy, pod żadnym pozorem, bez względu na sytuację nie będę próbował majstrować przy żadnym samochodzie. Z dumą i satysfakcją stwierdzam, że obietnicy dotrzymałem.

Choć w Polonii należałem do wyróżniających się młodych zawodników, nie dostałem powołania do drużyny, która pod wodzą Zbigniewa Szymczaka zdobyła mistrzostwo Polski juniorów. W miarę regularnie grałem za to w A-klasie na stadionach rozmaitych ZWAR-ów Międzylesie, Farmacji czy Świtów – nawierzchnie tych boisk, delikatnie mówiąc, nie były w najlepszym stanie, ale dla mnie stanowiło to prostą kontynuację doświadczeń z Marysina. W roku 1978 szkoleniowcem grającej wówczas w drugiej lidze (czyli dzisiejszej pierwszej) Polonii Warszawa został młody obiecujący trener Jerzy Engel. Jesienią tego roku, w wieku

niemal równo szesnastu lat, zadebiutowałem w pierwszym zespole w meczu ze Stalą Stalowa Wola. Wystąpiłem w roli prawego napastnika, a mój debiut można chyba uznać za udany, bo w sześćdziesiątej piątej minucie strzeliłem bramkę ładną przewrotną. Trener Engel też chyba był zadowolony z mojej postawy, ponieważ wystawiał mnie także w kolejnych meczach. Najlepiej zapamiętałem trzeci, z Ursusem Warszawa. Ursus przeżywał wtedy chyba najlepszy okres w swojej historii, prowadził w tabeli drugiej ligi z sześć- czy ośmiopunktową przewagą nad kolejną drużyną i wszystko wskazywało na to, że awansuje do pierwszej ligi. Największą gwiazdą był tam środkowy napastnik, niejaki Komosa; dowiedziałem się od kolegów, że brylował nie tylko na boisku, lecz dzierżył także rekord w opróżnianiu na czas butelki wódki. Już w tunelu zrobiło mi się jakoś dziwnie, bo przeciwnicy wyglądali jak banda nieogolonych, ponurych rozbójników. Występowałem wtedy na prawym skrzydle; na boisku, jeszcze przed pierwszym gwizdkiem, podszedł do mnie ich lewy obrońca i potwornie mnie zwyzywał. Nie przestraszyłem się – wspominałem już, że podwórkowemu wychowaniu zawdzięczam dość grubą skórę – za to ogromnie się zdziwiłem. Nie miałem pojęcia, po co to robi i co chce w ten sposób osiągnąć. Dorosły człowiek, starszy ode mnie o dobre dziesięć lat, wychodzimy pograć przez półtorej godziny w piłkę, a on ni z tego, ni z owego wyjeżdża z takimi bluzgami... Było to dla mnie pierwsze spotkanie z boiskowym chamstwem i prymitywizmem w czystej, niemaskowanej w żaden sposób postaci, i choć później jeszcze wielokrotnie miałem okazję stykać się z takim postępowaniem, to za każdym razem ogarniało mnie takie samo zdumienie połączone z niedowierzaniem. Ostra gra, bezpardonowa walka, mniejsze i większe złośliwości, rozmaite, czasem mało eleganckie sztuczki mające na celu zdeprymowanie rywala i uzyskanie nad nim przewagi psychologicznej – wszystko to byłem w stanie znieść i sam z tego arsenału korzystałem, ale żeby aż tak? Nawet wiele lat później, ilekroć znajdowałem się w podobnej sytuacji, przed oczami stawał mi ten obrzucający mnie najgorszymi inwektywami, nieogolony cham – idealne uosobienie tego wszystkiego, czego w futbolu nie znosiłem i wciąż serdecznie nie znoszę.

Wystąpiłem jeszcze w kilku spotkaniach i choć jako drużyna spisywaliśmy się słabo, bliżej bowiem było nam do spadku do trzeciej ligi niż do awansu do pierwszej, to zapewne poczytałem sobie nie najgorzej, ponieważ zainteresowała się mną warszawska Gwardia. Propozycja przenosin z Konwiktorskiej na Raławicką padła po zakończeniu rundy jesiennej. Długo się nie zastanawiałem; organizacyjnie i finansowo Gwardia przerastała Polonię o kilka pięter, grała w pierwszej lidze, występowało w niej wielu doskonałych zawodników, choćby takich, jak Szymanowski, Sikorski, Kierno czy Kraska. Marzeniami oczywiście wybiegałem ku Legii, ale chwilowo na marzeniach musiało się skończyć. W tamtych czasach Legia interesowała się wyłącznie zawodnikami co najmniej dwudziestoletnimi, najlepiej reprezentantami kraju lub przynajmniej pukającymi do bram reprezentacji. Najważniejszym argumentem przemawiającym za tym, żeby odejść z Konwiktorskiej, był skład personalny zespołu i jego ambicje, a raczej ich brak. Trzon drużyny tworzyli zawodnicy już niemłodzi, doświadczeni boiskowi wyjadacze, którzy doskonale się czuli w drugiej lidze i świetnie zdawali sobie sprawę, że po pierwsze: są za słabi na pierwszą ligę, a po drugie: że nawet gdyby się tam dostali, groziłaby im konieczność znacznie poważniejszego traktowania obowiązków, przez co rozumiem zarówno przykładanie się do treningów, jak i prowadzenie bardziej sportowego trybu życia. Wiedzieli też, że gdyby w razie awansu nie spełnili

pokładanych w nich oczekiwań, groziło im odsunięcie od pierwszego zespołu – co oznaczało bolesne straty finansowe – albo nawet pożegnanie z drużyną. Mnie, napalonemu na piłkę chłopakowi, szczerze wierzącemu w to, że talentem i pracą można podbić świat, taka filozofia życiowa, a raczej sportowa, nie mogła się podobać. Nie interesowało mnie trwanie, nie pociągała stagnacja; chciałem iść naprzód, rozwijać się, osiągać sukcesy. Niestety Polonia nie chciała się zgodzić na moje odejście, w związku z czym nałożono na mnie półroczną dyskwalifikację. W tym czasie mogłem trenować i grać w meczach towarzyskich, nie wolno mi było natomiast występować w oficjalnych spotkaniach.

Trenowałem bardzo pilnie pod okiem Henryka Szczepańskiego, słynnego zawodnika Polonii Bydgoszcz, ŁKS i Odry Opole, wielokrotnego reprezentanta Polski, noszącego przezwisko „Burza”: pięć razy w tygodniu, z tego raz z pierwszym zespołem. Nie cierpiałem jakoś szczególnie z powodu zawieszenia, bo najważniejsza była dla mnie możliwość kontaktu z piłką. Mecz czy trening – nie robiło mi to większej różnicy. Grunt, że mogłem dryblować, podawać i strzelać. Jeśli chodzi o dryblowanie, to chyba nawet trochę przesadziłem, bo już na pierwszym treningu postanowiłem olśnić nowych kolegów – niekiedy znacznie ode mnie starszych, z długoletnim pierwszoligowym lub nawet reprezentacyjnym stażem – moimi nadzwyczajnymi umiejętnościami technicznymi. Skłamałbym, twierdząc, że zaskarbiłem tym sobie ich sympatię... Prawdę powiedziawszy, dostałem tęgi ochrzan. W drużynie piłkarskiej jest trochę jak w wojsku: rządzą starzy, a młodzi są od tego, żeby robić wszystko, co tamci im każą, pilnie się uczyć i pokornie czekać na chwilę, kiedy ktoś zacznie się z nimi liczyć. Byłem od tego, żeby odgrywać piłkę, dokładnie podawać i biec za nią jak psiak, jeśli ktoś akurat uznał za stosowne mi ją podać, ale na pewno nie od tego, żeby kiwać się do upadłego z każdym, kto stanie mi na drodze. Problem polegał na tym, że o tym nie wiedziałem.

Oprócz starych wyjadaczy w Gwardii grało sporo młodych obiecujących piłkarzy, o których w następnych latach było głośno w futbolowym świecie: Rutkowski, Banaszkiewicz, Baran, Chełstowski. Grał tam również Andrzej Wiśniewski, którego od początku wziąłem na cel jako tego, którego – tak przynajmniej sądziłem – najłatwiej będzie mi wygryźć z linii ataku, w której występował z Baranem i Banaszkiewiczem. Nie wiem, czemu ubzdurałem sobie, że jest znacznie starszy nie tylko ode mnie, ale także od swoich dotychczasowych kolegów, i jako taki najlepiej będzie się nadawał do tego, żeby ustąpić mi miejsca. Jak się okazało, wcale nie był tak dużo starszy od nas, a rywalizacja z nim była znacznie bardziej zawzięta, niż przypuszczałem.

Nowy klub troszczył się nie tylko o mój rozwój jako piłkarza, ale także pomagał w nauce. Po przenosinach do technikum pojawiły się pewne problemy, zwłaszcza z matematyki. Gwardia fundowała mi korepetycje i monitorowała wyniki w szkole. Wszyscy doceniali zaangażowanie, z jakim podchodziłem do treningów, nikomu jednak nie przyszło do głowy, że w związku z tym należy mi się taryfa ulgowa w szkole. Jedyne ustępstwo polegało na wspomnianych już zwolnieniach z praktyk uczniowskich, choć nie jest wykluczone, iż zrobiono to przede wszystkim z myślą o tym, żebym sobie albo komuś nie wyrządził jakiejś nieodwracalnej krzywdy... Zamiast więc na stację obsługi samochodów, zgłębiać tajniki budowy i naprawy silników, zawieszenia albo skrzyń biegów, jechałem na Racławicką, żeby zajmować się jedyną rzeczą, która naprawdę mnie interesowała: piłką. O tym, z jakimi efektami, opowiadam w następnym rozdziale.

# Fajny klub bez kibiców

Kiedy w 1979 roku trafiłem do warszawskiej Gwardii, trenował ją Bogusław Hajdas, grali zaś tam zarówno zawodnicy o ogromnym doświadczeniu – także reprezentacyjnym – tacy jak Antoni Szymanowski, Jerzy Kraska, Stefan Mila (ojciec Sebastiana), Bohdan Masztaler, Jan Kierno, jak i dużo młodszy, perspektywiczni, nierzadko uważani za nadzieje polskiego futbolu, m.in.: Krzysztof Baran, Marek Banaszkiewicz, Zdzisław Sodoma, Robert Chełstowski. Do sztabu szkoleniowego należał też Ryszard Szymczak – mistrz olimpijski z 1972 roku. Właśnie zakończył karierę piłkarską i został zaangażowany w charakterze asystenta trenera i zarazem opiekuna grupy młodzieżowej.

Gwardia nie była klubem bardzo zamożnym, nie mogła się pochwalić pięknym stadionem, nie była też w stanie zapewnić swoim zawodnikom takiego samego poziomu świadczeń jak czołowe zespoły pierwszoligowe, ale władze klubu miały swoje cele i ambicje i robiły wiele, żeby je realizować. Co jest podstawą, na której można budować nadzieję na sukcesy? Naturalnie silny skład. O ile Gwardia nie lekceważyła pracy z młodzieżą i mogła liczyć na stały dopływ do pierwszego zespołu dobrych, a czasem nawet bardzo dobrych młodych piłkarzy, o tyle zatrzymanie ich na dłużej nie było prostą sprawą. Skoro klubu nie stać było na atrakcyjne finansowo i bytowo oferty (w tamtych czasach nie wszystkim i nie zawsze chodziło o pieniądze; najbardziej deficytowym towarem na rynku były mieszkania oraz samochody, a raczej talony umożliwiające kupno pojazdu w kontrolowanej całkowicie przez państwo sieci dystrybucji i za państwową, niemającą nic wspólnego z realną – czyli mocno zaniżoną – cenę), to chętnie sięgał do arsenału środków, którymi dysponował z racji przynależności do pionu gwardyjskiego, czyli *de facto* milicyjnego. Działacze doskonale wiedzieli, w których lokalach piłkarze spędzają wieczory, gdzie i kiedy hucznie świętują zwycięstwa albo czyjeś urodziny lub imieniny. Zdarzało się, że kiedy po zakrapianym wieczorze towarzystwo ładowało się do samochodu jednego z zawodników, kilkanaście metrów dalej czekał już radiowóz drogówki. Funkcjonariusze doskonale znali markę i numer rejestracyjny samochodu, który mieli zatrzymać, wiedzieli też, kto będzie siedział za kierownicą. Uprzejme przywitanie, dmuchanie w balonik... Przykro nam, panie kierowco, ale musimy zatrzymać prawo jazdy. Skruszony delikwent już następnego dnia rano stukał do drzwi gabinetu szefa klubu, pułkownika Macieja Makowskiego. Panie pułkowniku, może dałoby się jakoś zadziałać, żebym dostał z powrotem prawko? Ano, może by i się dało, ale najpierw podpisz mi, kolego, tę umowę... Dziwnym zbiegiem okoliczności takie przygody zdarzały się niemal wyłącznie zawodnikom, którzy właśnie negocjowali nowe kontrakty. Jak się można domyślać, warunki „zapropozowane” przez pułkownika Makowskiego nijak się miały do tego, czego przyłapani na jeździe na „podwójnym gazie” piłkarz oczekiwał, a często były znacznie gorsze od tego, co już, jak mu się wydawało, zdołał sobie zapewnić.

Ja przeżyłem nieco inną przygodę. Będąc już żołnierzem zasadniczej służby wojskowej (moja przynależność do sił zbrojnych polegała wyłącznie na tym, że miałem książeczkę



wojskową z wpisem o rozpoczęciu służby, przysięgę zaś złożyłem indywidualnie w gabinecie szefa jednostki), podczas wyjazdowego meczu ze Śląskiem Wrocław zarobiłem czerwoną kartkę za nieco zbyt żywiołowe kwestionowanie decyzji – a raczej braku decyzji – sędziego, który kompletnie nie reagował na podejmowane przez obrońców Śląska próby połamania mi nóg. Oznaczało to automatyczne zawieszenie na trzy kolejne mecze ligowe. W trakcie tego zawieszenia w którąś sobotę wybrałem się z kuzynką i dwoma kolegami do studenckiego klubu Hybrydy. Wyszliśmy około pierwszej w nocy i wędrowaliśmy, grzecznie i spokojnie, pasażem na tyłach Domów Towarowych Centrum, obecnie noszącym nazwę Pasażu Stefana Wiecheckiego „Wiecha”. Nagle, jak spod ziemi, wyrosli przy nas dwaj mundurowi milicjanci i jakiś gość w skórzanej kurtce. Ten w skórze ze słowami „Tego wziąć!” – wskazał na mnie i kilka minut później byłem już na posterunku Milicji Obywatelskiej przy ulicy Widok. Nie miałem najmniejszego pojęcia, o co chodzi: nie zakłócałem porządku publicznego, nie używałem słów powszechnie uznawanych za obraźliwe, nie próbowałem przemocą obalić ustroju... Z komisariatu przewieziono mnie pod eskortą do garnizonowego anclu naprzeciwko Hotelu Europejskiego, a stamtąd po czterech godzinach, czyli mniej więcej o ósmej rano w niedzielę, do Nadwiślańskich Jednostek MSW na ulicę Podchorążych. Pozwolono mi skorzystać z telefonu, spróbowałem więc dodzwonić się do klubu. Akurat tego dnia o jedenastej Gwardia grała u siebie ligowy mecz z Pogonią Szczecin. Zwykle w takie dni w siedzibie klubu już na trzy–cztery godziny przed meczem huczało jak w ulu; albo tym razem huczało bardziej niż zwykle i nikt nie słyszał dzwonka, albo po prostu miałem potwornego pecha, bo nikt nie podniósł słuchawki. Zadzwoniłem więc do rodziców, którzy natychmiast przyjechali na Mokotów, ale ich pojawienie się niewiele zmieniło; na Podchorążych spędziłem jeszcze noc z niedzieli na poniedziałek. W poniedziałek wreszcie dodzwoniłem się na Raławicką, gdzie wszyscy udawali, że nic nie wiedzą o moich problemach. Właściwe trybiki zaczęły się jednak kręcić i już po godzinie czy dwóch znowu stałem się wolnym człowiekiem. Jestem w stu procentach pewien, że ta sytuacja została zaaranżowana przez kierownictwo klubu, które postanowiło w ten sposób dodatkowo ukarać mnie za osłabienie zespołu. Nauka nie poszła w las, więcej czerwonych kartek w Gwardii już nie złapałem.

Mimo takich dyscyplinujących przygód muszę uczciwie powiedzieć, że w Gwardii traktowano mnie bardzo dobrze, może nawet lepiej niż większość zawodników. I kierownictwo klubu, i sztab szkoleniowy szybko zorientowali się, że w przyszłości mogę się stać „gorącym” towarem na rynku transferowym i że warto we mnie inwestować, bo wszystkie inwestycje zwrócą się z nawiązką (do tego stopnia, że, jak wspomniałem, klub nawet partycypował w kosztach moich korepetycji). Na okres mojego pobytu przy Raławickiej przypadają lata nauki w szkole średniej i początek studiów. Piłka była dla mnie najważniejsza, to nie ulega żadnej wątpliwości, ale równocześnie nie chciałem niczego odpuścić, była we mnie pasja i chęć zawojowania świata, która najwyraźniej podobała się moim trenerom i władzom klubu. Chyba trochę odbiegałem od stereotypu młodego piłkarza; o tym, czy było to dla mnie dobre, czy nie, piszę w innym miejscu tej książki.

W drugim sezonie mojego pobytu na Raławickiej, po spadku do drugiej ligi (w pierwszej lidze nie zagrałem ani jednego meczu, bo byłem zawieszony na pół roku w związku z brakiem porozumienia między Gwardią i Polonią w sprawie mojego transferu; powrót do pierwszej ligi nastąpił po kolejnym sezonie) funkcję pierwszego trenera objął

Marian Szczechowicz. W tamtym czasie byłem już regularnie powoływany do reprezentacji Polski juniorów, z którą zdobyłem wicemistrzostwo Europy. Tuż po moim powrocie z turnieju, na którym odnieśliśmy ten sukces, Gwardia grała mecz towarzyski, nie pamiętam już z kim. Ze zdumieniem dowiedziałem się, że nie wychodzę na boisko, tylko mam siedzieć na ławce rezerwowych. Niewiele myśląc, podszedłem do trenera i palnąłem mniej więcej coś takiego: „Panie trenerze, właśnie wróciłem z mistrzostw Europy juniorów, na których zdobyłem srebrny medal. Dlaczego mam być w rezerwie, przecież zasługuję na grę w pierwszym składzie?”. Trener oczywiście kazał mi się zamknąć i usiąść na ławce, ale ja się zawzięłem, powiedziałem, że nie ma mowy, nie będę tracił czasu i że w takim razie idę potrenować. Tak zrobiłem: wziąłem piłkę, poszedłem na boczne boisko i przez cały mecz, jako prawdziwy profesjonalista, grałem sam ze sobą. Swój zachowaniem wprowadziłem sztab szkoleniowy w takie zdumienie, że nawet mnie nie ukarano; zostałem tylko wezwany na rozmowę dyscyplinującą, ale czy można dyscyplinować kogoś, kto rwie się do gry i robi wszystko, żeby tylko znaleźć się w wyjściowym składzie? Gdyby trener kazał mi trenować w trakcie meczu, nie miałbym do niego najmniejszych pretensji; siedzieć na ławce rezerwowych nie zamierzałem, bo uważałem to za idiotyczną stratę czasu. Ech, młodość... Gdybym dzisiaj miał taką silną wiarę w swoje możliwości, sprzedawałbym ją na kilogramy na aukcjach internetowych.

Gwardia nie miała kibiców. To znaczy, na każdym meczu było co najmniej czterystu-pięćset widzów – z tego co najmniej połowa to byli zapewne milicjanci w cywilu – ale z pewnością nie dałoby się nazwać ich kibicami. Zero zaangażowania, zero pasji, zero utożsamiania się z klubem. Przepraszam: mieliśmy jednego – jednego! – fana z krwi i kości, młodego człowieka, który pilnie zbierał autografy, kolekcjonował wycinki prasowe i rozmaite pamiątki związane z działalnością klubu. Po doświadczeniach z Polonią, gdzie zawsze można było liczyć na solidny doping dwu-, trzy-, a niekiedy nawet czterotysięcznej gromady ludzi nieraz od pokoleń kibicujących „Czarnym Koszulom”, wrażenie było na pewno dziwne, a czasem nawet smutne. Mnie jednak jakoś szczególnie to nie przeszkadzało. Nie miałem poczucia, że coś tracę ani że marnuję czas i talent, grając dla garstki widzów. Świadomość, że w ogóle gram, w dodatku w pierwszej lidze, gdzie prawie na co dzień mogłem spotykać się z najlepszymi polskimi piłkarzami, całkowicie mi wystarczała. Szczerze mówiąc, było mi całkowicie obojętne, ile gardeł skanduje moje nazwisko po udanej akcji albo po strzeleniu ładnej bramki i z ilu ust wydobywają się gwizdy po tym, jak zmarnowałem dobrą sytuację. Częściowo wynikało to zapewne z faktu, że koncentrowałem się wyłącznie na grze i tylko ona się dla mnie liczyła, a częściowo z tego, że do tej pory na dobrą sprawę nie miałem jeszcze okazji zasmakować ani entuzjazmu, ani nienawiści tłumu. Później – w Widzewie, Legii i Celticu – kiedy grałem przy dwudziesto- albo trzydziestotysięcznej widowni, dużo trudniej było mi zachować obojętność.

Koledzy z drużyny mieli jednak nieco odmienny stosunek do tej sprawy, któregoś dnia więc delegacja piłkarzy udała się do kierownictwa klubu z prośbą, żeby coś z tym zrobić. Graliśmy przecież w pierwszej lidze, walczyliśmy jak równy z równym z najlepszymi zespołami w kraju, zapewnialiśmy klubowi dopływ żywej gotówki (na meczach z ligowymi potentatami, a zwłaszcza z Legią, kameralny stadion przy Raławickiej pękał w szwach, ale wyłącznie dzięki kibicom drużyny przyjezdnej), mieliśmy więc chyba prawo do odrobiny satysfakcji,

jaką daje doping własnych kibiców? Pułkownik Makowski pokiwał głową i powiedział, że rzeczywiście coś trzeba z tym zrobić. No i zrobiono. Parę dni później, nie pamiętam już, jaki to był mecz, ku naszemu zdumieniu usłyszeliśmy dobiegające z trybun niezbyt skoordynowane i dość ponure, ale gromkie zaśpiewy: „Gwaaaaardia! Gwaaaaardia! Gwaaaaardia!”. Spojrzeliśmy po sobie z niedowierzaniem; no, no... Mniej więcej po pięciu minutach padła gromka komenda: „Przestać!” i doping ucichł jak ucięty nożem. Jeszcze bardziej zaskoczeni zaczęliśmy przyglądać się trybunom, i co się okazało? Otóż od strony ogródków działkowych, na łuku (jedynym zresztą na Gwardii), z dala od głównego wejścia, w otoczeniu uzbrojonych strażników siedziała około pięćdziesięcioosobowa grupa mężczyzn w więziennych drelichach. Z jednej strony zapewne cieszyli się z możliwości spędzenia kilku godzin na świeżym powietrzu, poza więziennymi murami, z drugiej jednak nie wiem, czy dobrze się czuli, kibicując – co prawda pod przymusem, ale jednak – milicyjnemu klubowi... Ubawieni do łez, w rozmowach z władzami klubu już więcej nie poruszaliśmy kwestii dopingu.

Choć w tamtym okresie Gwardia z pewnością nie była potentatem i nie walczyła o najwyższe trofea, to grała ofensywnie, z polotem i cieszyła się wysoką renomą zarówno wśród fachowców, jak i kibiców. „Znakiem firmowym” klubu z Raławickiej stał się ofensywny tercet Banaszkiwicz, Baran i Dziekanowski. Najwięcej goli strzelaliśmy we dwóch z Krzyśkiem, ale motorem napędowym naszego tercetu był „Banan”, czyli Marek Banaszkiwicz. To po jego rajdach lewą (rzadziej) lub prawą (częściej) stroną boiska zaliczaliśmy najwięcej trafień. Marek uważał, że jest niesłusznie niedoceniany i często dawał upust swoim pretensjom, zwłaszcza przy okazji spotkań na gruncie towarzyskim, ale na boisku zawsze zachowywał się jak trzeba, nie udawał, że nas nie widzi, wypracowywał nam dogodne sytuacje i mógł na to samo liczyć z naszej strony. Z Gwardii przeszedł do Wisły Kraków, ale pod koniec kariery los przestał się do niego uśmiechać; na krótko wyjechał do Niemiec, potem na wiele lat znikł mi z oczu. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych dowiedziałem się, że, niemal całkowicie bez środków do życia, wegetuje gdzieś na południu Polski. Udało się ściągnąć go do Warszawy, a szefostwo trzecioligowej wtedy jeszcze Gwardii zatrudniło go w charakterze kogoś w rodzaju pomocnika trenera juniorów oraz osoby odpowiedzialnej za sprzęt. Wydawało się, że Marek pomału zaczyna wychodzić na prostą, ale niestety, w maju 2000 roku znaleziono go martwego w pokoiku, w którym mieszkał w budynku klubowym. Krzysiek Baran – równie dobry pokerzysta, jak piłkarz – w polskiej lidze grał jeszcze w Łódzkim Klubie Sportowym i Górniku Zabrze, nastrzelał dla tych drużyn sporo goli, wyjechał do Grecji, ale nie zagrzał tam długo miejsca (dwa sezony), karierę zakończył w połowie lat dziewięćdziesiątych we Włókniarzu Pabianice. Zaliczył dziesięć występów w reprezentacji Polski, dla której zdobył cztery bramki, w tym dwie w remisowym spotkaniu z Urugwajem w roku 1986. W związku z tym był gościem honorowym na meczu Polska–Urugwaj rozegranym w listopadzie 2012 roku w Gdańsku. Wtedy widziałem się z nim po raz ostatni. Narzekał na zdrowie, zamierzał wyjechać do Wielkiej Brytanii, żeby poddać się operacji szwankującego od lat biodra.

Jako klub *de facto* milicyjny, Gwardia nie miała co liczyć na czyjąkolwiek sympatię, ale nam to wówczas szczególnie nie przeszkadzało. Młodzi i bardzo młodzi zawodnicy, tacy jak Baran, Wdowczyk, Sodoma i ja, wnosili do gry entuzjazm i całkiem spore nieraz umiejętności, starsi piłkarze zaś, tacy jak Ryszard Walczak, Andrzej Sikorski czy Jerzy Pulikowski,

wspomagali nas doświadczeniem. Spotkaliśmy się wszyscy w dobrym czasie i miejscu. Jeśli chodzi o mnie, to nie mogłem trafić lepiej: szybko stałem się jednym z podstawowych piłkarzy, decydujących o grze zespołu, regularnie zdobywałem bramki, a w wieku niespełna dwudziestu lat zostałem kapitanem drużyny. A wszystko to na miejscu, w Warszawie, w znanym środowisku, co dla młodego chłopaka na pewno nie było bez znaczenia – zwłaszcza że mogłem bez większych przeszkód kontynuować naukę. Fakt powierzenia mi funkcji kapitana świadczył o docenieniu zarówno moich umiejętności, jak i wkładu w wyniki zespołu, lecz mimo to ciężko mi było o poprawne układy z niektórymi kolegami. Z pewnością część winy leżała po mojej stronie – ja po prostu chciałem grać, myślałem tylko o tym, żeby grać jak najlepiej i żeby moja drużyna wygrywała, i mało mnie obchodziło, czy dążąc do tego celu, urażę czyjąś dumę albo nastąpię komuś na odcisk – ale jakąś rolę odgrywała pewnie bardzo ludzka i w sumie łatwa do zrozumienia zawiść starszych piłkarzy, wśród których zaczął się rozpychać uzdolniony, lecz pozbawiony talentów dyplomatycznych chłopaczek. Problem polegał na tym – nie tylko wtedy, ale także później powracał do mnie wielokrotnie, dając mi się mocno we znaki – że ja naprawdę nigdy w życiu nikomu niczego nie zazdrościłem i nie bardzo potrafiłem sobie wyobrazić, co czuje ktoś, komu to uczucie, oględnie mówiąc, nie jest obce.

Uczciwie powiedziawszy, od czasu do czasu dostarczałem całkiem solidnych argumentów tym, którzy nie bardzo chcieli mnie lubić. Po zdaniu matury postanowiłem zacząć studia na AWF-ie, ale nie przyszło mi do głowy, żeby podjąć jakieś formalne starania w tym kierunku. Może wynikało to częściowo z faktu, że obroniwszy pracę dyplomową, przysiągłem sobie uroczyście, że już nigdy, ale to nigdy w życiu nie tknę żadnego samochodu – jako mechanik, ma się rozumieć. Był sierpień, drużyna Gwardii wracała pociągiem z Czech po meczu w pucharze Intertoto z Bohemiansem Praga, a ja przypadkiem dowiedziałem się, że Jurek Kraska i Andrzej Wiśniewski dostali się na studia. Byłem święcie przekonany, że egzaminy na studia zdaje się we wrześniu... Zaraz po powrocie do Warszawy uruchomiłem wszystkie kontakty, znajomości i możliwości, żeby jednak znaleźć się na wymarzonej uczelni, no i znalazłem się tam – również przy wydatnej pomocy klubu. Za wybitne osiągnięcia sportowe. Bez egzaminów wstępnych. To też nie przysporzyło mi popularności wśród kolegów: ani tych, którzy te egzaminy musieli zdawać, ani wśród tych, którzy pociąg do wiedzy uważali za coś w rodzaju wstydliwego wynaturzenia.

Nie należałem i nie należę do ludzi, którzy pokornie pochylają głowę i pozwalają po sobie do woli „jeździć”, siłą rzeczy więc od czasu do czasu atmosfera zagęszczała się tak bardzo, że dochodziło do wybuchu. Do takiej sytuacji doszło między innymi w lipcu 1982 roku, przy okazji wyjazdowego meczu z Young Boys Berno w Pucharze Intertoto. Zaczęło się już w samolocie: przemycony na pokład alkohol (tak, tak... potajemne wnoszenie alkoholu do samolotu to bynajmniej nie wynalazek dzisiejszych czasów i nie domena żon parlamentarzystów...) lał się obfitym strumieniem i grupa zawodników, którzy na swego duchowego przywódcę wybrali Wieśka Rutkowskiego – zaczęła sobie pozwalać na coraz bardziej natarczywe zaczepki pod moim adresem. W miarę wzrostu ilości wchłoniętych „procentów” rosła też agresja; w autokarze wiozącym nas z lotniska do hotelu zrobiło się już naprawdę nieciekawie. Kierownictwo drużyny (pierwszym trenerem był wtedy Henryk Szczepański) udawało, że

niczego nie widzi. Kiedy czekaliśmy przed hotelem na przydział pokoi, w pewnej chwili Rutkowski i ja rzuciliśmy się na siebie i zaczęliśmy okładać się pięściami. Wiesiek może był ode mnie silniejszy fizycznie, ale jego przewagę niwelował fakt, że był pijany, a ja w trakcie całej podróży nie wziąłem do ust ani kropli. Udało mi się doprowadzić do zwarcia – gdyby trafił mnie któryś z zadawanych przez niego na oślep ciosów, zapewne zbierałbym zęby po całej Szwajcarii – i powalić go na ziemię, a raczej na asfalt. Wtedy nas rozdzielono, można więc uznać, że nasz rozgrywany na oczach zdumionych gospodarzy sparing zakończył się moim zwycięstwem. Zwykle na wyjazdach mieszkalem z Krzyśkiem Baranem, tym razem jednak ze zrozumiiałych względów nie miałem na to ochoty. Zażądałem jedyńki, a że kierownictwo zespołu nie mogło już udawać, że nic się nie dzieje, dostałem ją. Przy kolacji zwróciłem uwagę kierownikowi drużyny Ryszardowi Kielakowi, że kilku pijanych zawodników pozwala sobie na groźby pod moim adresem i zapytałem go, w którym pokoju mieszka, żebym w razie czego mógł do niego zadzwonić. Kładąc się spać, starannie zamknąłem drzwi – i słusznie, jak się okazało. Moi uroczy koledzy przez całą noc dobijali się do mnie, a Krzysiek zadzwonił nawet i namawiał mnie, żebym ich wpuścił, bo chcą pogadać, wyjaśnić parę spraw i tak dalej. Ciekawe, jak bym wyglądał, gdybym mu uwierzył... Oczywiście dzwoniłem do Kielaka, ale on – co za zaskoczenie! – nie odbierał telefonu.

W tamtych czasach każdej wyjeżdżającej na Zachód drużynie oraz większości grup turystycznych towarzyszył specjalny opiekun – milicjant lub wojskowy, który w ramach dodatkowego wynagrodzenia za szczególny wkład w utrwalanie władzy ludowej miał okazję zobaczyć trochę świata i zarobić parę franków, marek czy funtów w dietach. Jak na zachodnie warunki były to kwoty żałosne, lecz po powrocie do kraju i wymienieniu na złotówki u jednego z czatujących przed Peweksami „koni”, zamieniały się w małą fortunę. Ludzie ci często próbowali powiększyć zyski za pomocą mikroprzemytu lub drobnego handlu, ale w tym akurat nie byli odosobnieni, ponieważ takie postępowanie nie było obce ani działaczom sportowym, ani samym zawodnikom. Nasz opiekun ze wszystkich sił starał się nie rzucić w oczy i zapewne modlił się w duchu o to, żeby w trakcie wyjazdu nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego, o czym musiałby donieść swoim zwierzchnikom, łatwo więc się domyślić, że nie był zachwycony, kiedy po nieprzespanej nocy podszedłem do niego i zapytałem, co on tu właściwie robi i czy skoro już tu jest, to czy nie zechciałby jakoś interweniować. Jak należało oczekiwać, zbył mnie byle czym. Przy śniadaniu zrobiłem awanturę kierownikowi Kielakowi, po czym oświadczyłem trenerowi Szczepańskiemu, że jeśli ci trzech zawodnicy (Rutkowski, Baran i Banaszkiewicz) znajdują się w składzie meczowym, to ja bardzo przepraszam, ale z pijakami grać nie zamierzam.

Odprawa przedmeczowa odbyła się już na stadionie, w szatni. Jak tylko okazało się, że wszyscy czterej jesteśmy w składzie, wziąłem torbę, powiedziałem grzecznie „do widzenia” i poszedłem na trybuny. Po minucie lub dwóch dopadł mnie zasapany „opiekun”:

– Panie Dziekanowski, co pan sobie wyobraża? Proszę natychmiast wracać do szatni, takie zachowanie jest niedopuszczalne, będzie pan za to surowo ukarany!

Maksymalnie wkurzony, wydarłem się na niego jeszcze głośniejszym głosem niż on na mnie. Otaczający nas Szwajcarzy przyglądali nam się ze zdziwieniem. Mimo jego interwencji zostałem na trybunach. Mecz zakończył się przegraną Gwardii 1:2, nic więc dziwnego, że po spotkaniu koledzy mieli do mnie spore pretensje. Po powrocie do Warszawy – tym razem w trakcie

podróży obyło się bez większych ekscesów – zgłosiłem się do kierownictwa klubu i oświadczyłem, że w związku z zaistniałą sytuacją zastanawiam się poważnie nad sensem dalszej gry w WKS Gwardia. Okazało się, że moja pozycja jest na tyle silna, że kary dyscyplinarne wymierzono tylko wspomnianym piłkarzom, moje zachowanie zaś – może trochę egoistyczne i nie do końca fair wobec zespołu – zostało pominięte milczeniem. Skutek był taki, że przez kilka kolejnych miesięcy w szatni musiałem mieć oczy dokoła głowy, zwłaszcza że moja szafka sąsiadowała z szafką Wieśka Rutkowskiego, naprzeciwko zaś była szafka Marka Banaszkiewicza. W tamtym czasie (przeważnie po meczach) piłkarze chętnie odwiedzali popularne kluby studenckie: Park, Hybrydy, Remont; zwykle bawiliśmy się w zamkniętej dla szerokiej publiczności, VIP-owskiej części, siłą rzeczy więc od czasu do czasu musieliśmy tam na siebie wpadać. Nie ukrywam, że atmosfera robiła się wtedy napięta i naprawdę niewiele dzieliło nas od poważnej awantury w miejscu publicznym. Z biegiem czasu jednak emocje opadły, przestaliśmy patrzeć na siebie wilkiem, a i do naszej współpracy na boisku nikt, jak sądzę, nie mógł mieć zastrzeżeń. Zwłaszcza moje kontakty z Wieśkiem Rutkowskim od tej pory układały się znacznie lepiej; nie tylko nie dochodziło między nami do żadnych poważniejszych scysji, ale mogę chyba powiedzieć, że autentycznie się polubiliśmy.

Spośród wielu sekcji WKS Gwardia bezsprzecznie największe sukcesy notowała sekcja pięściarska, która wychowała wielu wspaniałych zawodników. W czasie kiedy grałem przy Raławickiej, trenowali tam między innymi tacy doskonali bokserzy, jak Jerzy Rybicki oraz bracia Paweł i Grzegorz Skrzeczowie. Jurek miał na koncie m.in. złoty i brązowy medal olimpijski, Paweł wywalczył m.in. wicemistrzostwo świata, Grzegorz zaś zdobył brązowe medale mistrzostw świata i Europy. Ze względu na szczupłość bazy treningowej często wpadaliśmy na siebie – całkiem dosłownie – w szatni. Dochodziło do żartobliwych przepychanek, w trakcie których ze strony przeważających liczebnie piłkarzy padały groźby złojenia skóry intruzom. Nie muszę chyba mówić, że gdyby naprawdę doszło do konfrontacji, to całą drużynę piłkarską można by zdrapywać ze ścian... Z braćmi Skrzeczami do dziś często spotykam się na różnych imprezach, a kilka lat temu z grupą znajomych zapisaliśmy się do Pawła na treningi bokserskie. Odbywały się w maleńkiej klimatycznej salce na piętrze Hali Gwardii przy placu Mirowskim. Dlaczego klimatycznej? Przede wszystkim dlatego, że – jestem tego pewien – nie była sprzątnana co najmniej od lat czterdziestu, wietrzono ją zaś wyłącznie z okazji największych świąt państwowych i kościelnych... Paweł bardzo poważnie podchodził do swoich obowiązków szkoleniowca, najbardziej zaś uwziął się na mnie:

– No chodź, ty piłkarzyno, gwiazdorze jeden... Zaraz ci pokażę, co to znaczy prawdziwy trening!

I pokazywał. Pal licho obolały nos (Paweł potrafi z zegarmistrzowską precyzją zadawać uderzenia w zasadzie nieszkodliwe dla kursanta, ale bolesne); znacznie bardziej cierpiała moja duma, po każdym zajęciach bowiem nieodmiennie dochodziłem do wniosku, że dyscyplina, którą uprawiałem przez całe życie, w porównaniu z boksem to coś w rodzaju sanatoryjnej kuracji dla cherlawych anemików, i że podczas wszystkich piłkarskich treningów w trakcie mojej kariery (a podkreślę po raz kolejny, że nigdy się nie obijałem i nikt nie musiał mnie zachęcać do wysiłku) nie wylałem tyle potu, ile podczas takich półtoragodzinnych, czysto towarzyskich zajęć z Pawłem...

W trakcie gry w Gwardii przydarzyła mi się zabawna historia, wiele mówiąca



o ówczesnym stanie polskiej piłki nożnej i o rządzących nią zasadach. Był rok 1981, końcówka rundy jesiennej. Na Raławicką przyjechał Górnik Zabrze, jeden z faworytów do mistrzowskiego tytułu (ostatecznie w sezonie 81/82 zajął piąte miejsce, zaledwie o dwa „oczka” lepiej od nas). W pierwszej połowie spotkania nie wiedzieliśmy, jak się nazywamy; zabrzanie gnietli nas niemiłosiernie, mieli kilka stuprocentowych okazji do zdobycia bramki, łącznie z rzutem karnym, którego jednak nie zdołali wykorzystać (spudłował Krzysztof Szwezig). Nam tylko od czasu do czasu udawało się przedostać na ich połowę, strzałów oddaliśmy tyle co kot napłakał. Jakimś cudem po czterdziestu pięciu minutach gry na tablicy widniał rezultat 0:0, ale nikt nie miał wątpliwości, że jeśli nie zrobimy czegoś nadzwyczajnego, to taki wynik na pewno nie utrzyma się do końca spotkania. Podczas przerwy atmosfera w szatni była, oględnie mówiąc, nie najlepsza. Perspektywa nieuniknionej, wydawałoby się, porażki była tym bardziej przykra, że w lidze nie wygraliśmy już od czterech kolejek. Niespodziewanie otworzyły się drzwi i do szatni wkroczyli stoper Tadeusz Dolny i trener Górnika Zdzisław Podedworny. Obaj panowie zaproponowali, żebyśmy w drugiej połowie przestali się szarpać i nienerwowo zagrali na remis. Szczerze mówiąc, trochę się zdziwiliśmy, ponieważ przy tak miażdżącej przewadze, jaką miał Górnik, bramki dla gości wydawały się jedynie kwestią czasu, ale naturalnie o choczko przystaliśmy na taki układ. Zaledwie chwilę po tym, jak nieoczekiwani goście sobie poszli, starsi zawodnicy zaczęli się zastanawiać, skąd wzięła się ta zaskakująca propozycja i czy to aby nie podstęp, który ma zapewnić Górnikowi pewne i łatwe zwycięstwo. Ziarno wątpliwości trafiło na żyzny grunt; w końcu rada w radę ustaliliśmy, że gramy tak, jak do tej pory, to znaczy całkowicie serio.

Wraz z początkiem drugiej połowy na boisku zaczęły się dziać rzeczy dziwne i zagadkowe. Kibice, którzy zjawili się w liczbie około dwóch tysięcy, co jak na Gwardię stanowiło bardzo przyzwoity wynik, z pewnością przecierali oczy ze zdumienia. Koncertowo do tej pory grający Górnik stanął, my zaś na tle nagle „sparaliżowanego” przeciwnika prezentowaliśmy się jak gwiazdy. W sześćdziesiątej drugiej minucie Krzysiek Baran zdobył dla nas prowadzenie. Co prawda zaledwie sześćdziesiąt sekund później Leszek Brzeziński doprowadził do wyrównania, w siedemdziesiątej piątej minucie zaś po raz kolejny wyrównał stan meczu, odpowiadając na mojego gola, ale ta bramka zupełnie uspiła czujność zabrzan, czego nie omieszkaliśmy skrzętnie wykorzystać. Przekonani, że zgodnie z umową dowieziemy remis do końca, w ogóle przestali się angażować w grę, my zaś, a konkretnie Krzysiek Baran, zdobyliśmy jeszcze dwa gole: w osiemdziesiątej i dziewięćdziesiątej minucie. Kiedy zabrzniał końcowy gwizdek, na tablicy widniał rezultat 4:2 dla gospodarzy.

Po meczu w szatni oczywiście zapanowała euforia. W pewnej chwili radosne okrzyki, podskoki i śpiewy przerwał potworny łoskot: to drzwi otworzyły się z hukiem i do salki wkroczył czerwony z wściekłości, wielki jak góra Tadek Dolny. Nie przesadzę, jeśli powiem, że wtedy pierwszy raz w życiu zobaczyłem u kogoś autentyczną żądzę mordy w oczach. Zapadła cisza jak makiem zasiał, po czym wybuchło straszliwe zamieszanie, niemal wszyscy zawodnicy Gwardii bowiem porwali ręczniki i na łeb, na szyję uciekli pod znajdujące się w głębi szatni prysznic. Tego, co powiedział, a raczej wyrzeszczał Tadeusz, nie będę powtarzał, bo absolutnie nie nadaje się to do druku. Ci, którzy nie wykazali się refleksem i nie dali dyla pod prysznic, bronili się słabo, zwalając wszystko na Barana, który zdobył trzy gole. Pewnie bez wahania rzuciliby go rozjuszonemu Tadekowi na pożarcie, gdyby nie to, że

Krzysiek znalazł się w szpicie uciekinierów i był gotów spędzić pod prysznicem nawet całą noc, byle tylko uniknąć konfrontacji z zabrzańskim stoperem. Co się jednak odwlecze, to nie uciecze: potem wiele razy spotykał Tadka na zgrupowaniach kadry, do której w tym czasie obaj byli powoływani, i jak widziałem, podczas gier kontrolnych Tadeusz, z nieprzemijającą złością, wręcz namierzał Krzyśka i dość ostro sobie z nim poczynał; w jego ślady szli inni zawodnicy Górnika: Andrzej Pałasz i Waldek Matysik... Jak tylko wściekły Dolny opuścił naszą szatnię, przyszedł trener Podedworny i w znacznie bardziej oględnych słowach dał wyraz rozczarowania naszą mało elegancką postawą. Przyznam, że zrobiło nam się cholernie głupio – na tyle, że mecz pucharowy, który graliśmy z Górnikiem dosłownie parę dni później, pokornie i nie stwarzając najmniejszych problemów, przegraliśmy 0:2.

Przebieg i rezultat wcześniejszego ligowego spotkania wprowadził w zdumienie nie tylko kibiców, lecz także dziennikarzy, o czym świadczą choćby fragmenty komentarza Macieja Polkowskiego z „Przeglądu Sportowego” z 23 listopada 1981 roku: „[W pierwszej połowie] gwardzistom brakowało szybkości i dynamiki, akcje ofensywne przeprowadzali schematycznie, niedokładnie rozgrywali piłkę, a także wielokrotnie ją tracili. Trudno się dziwić, że chyba nikt nie przewidział, jak może przebiegać druga połowa spotkania. (...) [Po przerwie] znacznie lepiej grający gwardziści zwiększyli szybkość akcji i z coraz większą łatwością ogrywali obrońców rywali. (...) Zapewne górnicy będą długo zastanawiać się, jak mogli przegrać to spotkanie? Przecież – oceniając ich poczynania przed przerwą – mieli wszelkie szanse wygranej, a remis w tej sytuacji wydawał się pewny”.

O specyfice tamtych czasów wiele mówi także inne, mocno dla mnie wstydlive, wydarzenie. W jakąś sobotę wybrałem się z grupą znajomych do dyskoteki Rusałka na Pradze. Bawiliśmy się doskonale, wyszliśmy około północy, zapakowaliśmy się do mojego samochodu – jeździłem wtedy fiatem 125p – ja usiadłem za kierownicą i ruszyliśmy w drogę. Wcześniej wszyscy piliśmy alkohol – ja, niestety, też. Załedwie po kilkuset metrach natknęliśmy się na kontrolę drogową. Zachowałem się tak, jak wcześniej w podobnych sytuacjach zachowywałem się i ja, i moi klubowi koledzy: pokazałem milicjantowi legitymację WKS Gwardia, przedstawiłem się i zacząłem tłumaczyć, że wszyscy jesteśmy zawodnikami milicyjnego klubu, że nic złego nie zrobiliśmy, grzecznie wracamy do domów, i że w ogóle nie ma powodu, żeby władza zaprzętała sobie nami uwagę. Zwykle takie wyjaśnienia okazywały się całkowicie wystarczające, ale nie tym razem.

– Czy pan pił? – zapytał rzeczowo milicjant.

– Może jedną lampkę wina... – odparłem wymijająco. – No dobrze, dwie – poprawiłem się szybko, widząc jego wzrok. – Ale to chyba nie ma żadnego znaczenia, prawda? Może pan nie usłyszał, ale jestem piłkarzem Gwardii i odwożę kolegów do domu, więc...

– Słuchaj, synku – przerwał mi milicjant, wciąż świdrując mnie wzrokiem. – Tydzień temu tu, gdzie ty stoisz teraz, stał syn zastępcy komendanta stołecznego milicji, i wiesz co?

– Nie wiem – wymamrotałem, choć domyślałem się już, że to, co za chwilę usłyszę, ani trochę mi się nie spodoba.

– Ano nic. To znaczy, nie udało mu się wykręcić, więc nie podskakuj, bo mamy sposoby, żeby sprowadzić cię na ziemię. Co mnie obchodzi, gdzie grasz w piłkę? Pakujemy się i jedziemy na komisariat.

Jeden milicjant wszedł do mojego samochodu, ja wtarabaniłem się do radiowozu i w dwa

samochody pojechaliśmy na posterunek przy ulicy Cyryla i Metodego. Przyznam, że miałem nietęgą minę, a po głowie tłukły mi się niezbyt wesołe myśli. Wszystko wskazywało na to, że trafiłem na jedyne milicjanta w Warszawie, u którego wschodząca gwiazda polskiej piłki nożnej, w dodatku grająca w milicyjnym klubie, nie mogła liczyć na żadną taryfę ulgową...

Wkrótce się okazało, że istotnie na jedyne.

Jak tylko w towarzystwie surowego stróża prawa wszedłem do komisariatu, siedzący przy biurku dyżurny poderwał się na równe nogi i z szerokim uśmiechem wykrzyknął radośnie:

– Ooo, Darek Dziekanowski! Witamy, witamy!

Mojemu dręczycielowi wyraźnie zrzęda mina. Posadzono mnie w kącie, poczęstowano herbatą, po czym panowie milicjanci zniknęli w głębi budynku. Minęło pięć minut, dziesięć, piętnaście... Po dwudziestu minutach ten, który mnie zatrzymał, wrócił z wściekłą miną i zapytał, czy w naszym gronie jest ktoś, kto byłby w stanie poprowadzić samochód. Zgodnie z prawdą odpowiedziałem, że nie wiem, ale raczej wątpię. Po kolejnych dziesięciu minutach przyszedł „miejscowy” milicjant – ten, który tak wylewnie mnie przywitał – pochylił się nade mną i konfidencjonalnym szeptem powiedział:

– Posłuchaj, Darek: kolega jeszcze chwilę tam u nas posiedzi, więc zmykaj, rozwieź kumpli i wracaj do domu, dobrze? Tylko powoli i ostrożnie, bardzo proszę. My powiemy koledze, że ktoś po ciebie przyjechał i zabrał cię, i sprawy nie będzie.

No i sprawy nie było... Głupio mi teraz, kiedy o tym myślę i piszę, ale nie ma co ukrywać: nie był to pierwszy ani ostatni raz, kiedy mnie albo moim kolegom sportowcom uchodziły płazem wybryki, za które „zwyčajnego” człowieka czekałby mandat albo nawet odpowiedzialność karna. Działo się tak nie tylko w Gwardii, nie tylko w Warszawie i nie tylko wśród piłkarzy, za tak zwanym przyzwoleniem społecznym, a my, zawodnicy, bez drgnienia powieki, cynicznie i bezwzględnie z tego korzystaliśmy. Nie zawsze, ale często. Szerzej o tym zjawisku – występującym, niestety, nie tylko w czasach dawno minionych – piszę w innym miejscu tej książki, tutaj więc tylko powtórzę jeszcze raz: wiele dałbym za to, żeby nic takiego nigdy się nie wydarzyło, choć oczywiście jeszcze bardziej wstydę się jazdy „na podwójnym gazie”.

Wracając do spraw ściśle sportowych: nie ulega wątpliwości, że w okresie gry w Gwardii najważniejsze były dla mnie derbowe mecze z Legią. Pod każdym względem były to potyczki Dawida z Goliatem i w przeciwieństwie do starcia biblijnych bohaterów zazwyczaj kończyły się tak, jak podpowiadała bezlitosna logika, czyli zwycięstwem faworyta, niemniej czekałem na nie z utęsknieniem i wychodziłem na boisko z silniejszym niż zwykle biciem serca. Czułem się prawie tak, jakbym występował przeciwko Realowi lub Barcelonie; w Legii niemal na każdej pozycji grał były, aktualny lub potencjalny reprezentant Polski. Działo to na mnie wyjątkowo mobilizująco i właśnie przeciwko rywalowi z Łazienkowskiej rozegrałem większość moich najlepszych meczów w barwach Gwardii. Nie bez znaczenia był również fakt, że tylko podczas meczów z Legią (no, może jeszcze od czasu do czasu z Wisłą, Lechem lub Widzewem) maleńki stadion przy Raławickiej dosłownie pękał w szwach; jadąc zaś na Łazienkowską, mogliśmy liczyć na pełne trybuny; co prawda kibice dopingowali wyłącznie naszych przeciwników, ale i tak atmosfera i oprawa takiego meczu mobilizowały nas do dania z siebie wszystkiego, na co było nas stać. Raz zresztą dopingowali mnie tak samo jak swoich ulubieńców: było to w listopadzie 1981 roku, podczas rozegranego przy Łazienkowskiej

meczu, w którym kadra PZPN zmierzyła się z reprezentacją Warszawy wybraną przez czytelników popularnej wówczas popołudniówki „Express Wieczorny”. Rzecz jasna, reprezentacja stolicy składała się wyłącznie z zawodników Legii i Gwardii. Mecz był co prawda towarzyski, a właściwie charytatywny (dochód ze sprzedaży biletów miał zostać przeznaczony na fundusz budowy pomnika Powstania Warszawskiego – inicjatywy ówczesnych władz mającej na celu przynajmniej częściowe uspokojenie nastrojów społecznych i skanalizowanie bezskutecznych do tej pory prób upamiętnienia wydarzeń z sierpnia i września 1944 roku), ja jednak ogromnie go przeżywałem; kadra PZPN była właściwie tożsama z pierwszą reprezentacją Polski, więc możliwość zaprezentowania się w starciu z takim przeciwnikiem stanowiła dla mnie ogromną frajdę. Zwyciężyliśmy 2:1, ja strzeliłem ładną bramkę głową i chyba całkiem nieźle pokazałem się w tak doborowym towarzystwie. Nie wiedziałem wówczas, że miną jeszcze cztery długie lata, zanim będę miał okazję zdobywać na tym stadionie gole dla drużyny gospodarzy...

# Warszawiak w Łodzi

Wiosną w sezonie 1982/83 Gwardia grała bardzo słabo i z każdym tygodniem rosło prawdopodobieństwo, że spadniemy z pierwszej ligi. Byłem wtedy w wojsku, służbę odbywałem w podlegających Ministerstwu Spraw Wewnętrznych Nadwiślańskich Jednostkach. Jakies dwa miesiące przed końcem rozgrywek wezwał mnie pułkownik Zenon Olszak, pełniący funkcję sekretarza generalnego CWKS Legia Warszawa, czyli *de facto* szefa klubu. Bardzo uprzejmie przyjął mnie w swoim gabinecie, posadził w fotelu i zapytał o moje oczekiwania, gdyby los tak zrządził, że trafię na Łazienkowską. Lista była krótka – mieszkanie, pieniądze, samochód – więc przedstawienie jej nie zajęło mi wiele czasu. Pułkownik Olszak zamyślił się przez chwilę, po czym zapytał: „Ale chyba wiesz, że jesteś szeregowym Ludowego Wojska Polskiego, i że twoi koledzy tacy jak Kazio Buda czy Andrzej Buncol są szczęśliwi, że mogą mieszkać w hoteliku na kortach, po dwóch albo po trzech w pokoju, zamiast ganiać z erkaemem po jakimś poligonie? Może i ty byłbyś tak samo szczęśliwy? Bo jeśli nie, to kto wie, czy nie trafiłbyś przypadkiem do takiego Orzysza...”. Pouczony w ten sposób o sile najważniejszego wojskowego klubu byłem przekonany, że Legia nie odpuści i skorzysta z prawa pierwokupu, a raczej, można by powiedzieć, z prawa pierwszej nocy... Tak się jednak nie stało. Musiały zadziałać jakieś bardzo wysoko postawione czynniki, ponieważ, będąc żołnierzem czynnej służby, mimo wszystko trafiłem do Widzewa. Odbywający służbę wojskową w tym samym czasie Darek Wdowczyk znalazł się w Legii.

O tym, że interesuje się mną Widzew, dowiedziałem się od pułkownika Macieja Makowskiego, pełniącego w Gwardii taką samą funkcję jak pułkownik Olszak w Legii. Wysłannicy Widzewa, a konkretnie świętej pamięci Stefan Wroński, odwiedzali mnie w moim warszawskim mieszkaniu. „W moim” to trochę za dużo powiedziane; mieszkałem wtedy z rodzicami na Marysinie Wawerskim w dwóch pokojach ze ślepą kuchnią. Jak na tamte czasy może nie była to tragedia, ale do luksusów też sporo brakowało. Początkowo nie traktowałem tych rozmów poważnie. Znałem przecież realia, byłem po rozmowie z pułkownikiem Olszakiem na Łazienkowskiej, nie potrafiłem więc sobie wyobrazić, żeby żołnierz zasadniczej służby wojskowej, który dodatkowo jest jednym z najbardziej obiecujących piłkarzy w kraju, mógł zamiast do Centralnego Wojskowego Klubu Sportowego trafić do Robotniczego Towarzystwa Sportowego. Jak się okazało, zabrakło mi wyobraźni... Nie tylko pod tym względem zresztą. Kiedy podano wiadomość o wysokości kwoty, jaką Widzew zgodził się zapłacić Gwardii za moje przejście, dosłownie opadła mi szczęka, zresztą podobnie jak całej piłkarskiej Polsce. To był pierwszy przypadek, żeby w naszym parazawodowym jeszcze wtedy futbolu ujawniono informację o wysokości transferu zawodnika. Przyznam, że dla młodego piłkarza grającego w dość przeciętnym klubie na bliżej niesprecyzowanej pozycji, była to sytuacja co najmniej niezwykła, a nawet niezbyt komfortowa. Nie wydaje mi się, żeby przewróciło mi się od tego w głowie, ale na pewno trochę się w niej zawróciło... Nie miałem pojęcia, że za piłkarza można zapłacić tak ogromną kwotę. O transferach – a raczej o kwotach, jakie wchodziły w grę – nie mówiono wtedy głośno, a ja nigdy do tej pory nie myślałem o sobie jako o towarze rynkowym, który można wycenić, a więc także sprzedać i kupić.

Trochę dziwnie było mi z tą świadomością, nie wiedziałem też, jak zareagują kibice. Do tej pory mówiono o mnie „młody, utalentowany, z wielką przyszłością”; taka opinia działała trochę jak balon, dzięki któremu zawodnik wznosi się coraz wyżej, ale i jak spadochron, który w razie chwilowego niepowodzenia pozwala wyjść cało z opresji i rozpocząć ponowne wznoszenie. Teraz dowiedziałem się, że mam konkretną cenę, w dodatku taką, od której mogło zakręcić się w głowie. Nikt ze mną o tym wcześniej nie rozmawiał, nikt nie przygotował mnie do takiej zmiany, nikt nie informował mnie w trakcie prowadzonych przez kluby negocjacji, jakie kwoty wchodzi w grę. Nikt również nie uprzedził mnie, że wysokość odstępnego zostanie podana do publicznej wiadomości. Te nieszczęsne 21 milionów zważyło mi się na grzbiet jak worek kamieni. Co gorsza wszyscy – a zwłaszcza ci, którzy tę kwotę zapłacili – oczekiwali, że to niespodziewane obciążenie w żaden sposób nie odbije się na mnie i na mojej grze.

W sprawie mojego transferu na pewno nie miałem głosu decydującego, ale gdybym zaparł się rękami i nogami, zapewne by do niego nie doszło. Nie zrobiłem tego, ponieważ postawa władz Legii i ich stosunek do mnie troszkę mnie zniechęcił, delikatnie mówiąc. Pan Wroński widział, w jakich warunkach żyję i wiedział, na co położyć nacisk w negocjacjach. Legia proponowała mi łóżko w pokoju w klubowym hoteliku, więc mimo że od dzieciństwa marzyłem, żeby wystąpić w jej barwach, musiałem wziąć pod uwagę bardziej przyziemne od marzeń, materialne aspekty piłkarskiego życia. Trudno mi się więc chyba dziwić, że podpisałem ośmioletni kontrakt z Widzewem.

Początek mojego pobytu w Łodzi był dość dziwny. Wyruszyliśmy z Raławickiej, ale kierownik Wroński dość szybko zgłodniał i zaraz po wyjechaniu z Warszawy zaproponował, żebyśmy zatrzymali się i coś zjedli. Nie miałem nic przeciwko smacznemu posiłkowi w jakiejś sympatycznej restauracji – bądź co bądź, byłem najdroższym piłkarzem w historii polskiej ligi i jechałem do jednego z najlepszych klubów, który tym czasie odnosił sukcesy również na europejskich stadionach – ale czekało mnie spore rozczarowanie, ponieważ zaraz za Raszynem zajechaliśmy przed najbardziej obskurny bar mieszczący się w najbardziej obskurnej budzie, jaką można sobie wyobrazić. Przez chwilę łudziłem się jeszcze nadzieją, że to być może znane tylko nielicznej garstce koneserów miejsce, w którym serwuje się niedostępne nigdzie indziej, jedyne w swoim rodzaju specjały... Niestety, okazało się, że jedzenie było równie podłe jak wygląd tego żałosnego przybytku.

Zakwaterowano mnie w hotelu Centrum, jednym z dwóch, może trzech porządných hoteli, jakimi Łódź mogła się pochwalić w tamtych czasach. Niestety, oprócz względnego komfortu oznaczało to także „przyjemności” zupełnie innego rodzaju; niewielka liczba hoteli o przyzwoitym standardzie sprawiała, że koncentrowało się w nich życie łódzkiego półświatka oraz że kwitły tam handel walutą i najstarszy zawód świata. Owszem, można było zjeść tam przyzwoity obiad, tyle że w nie do końca przyzwoitym towarzystwie.

Zgodnie z warunkami umowy z Widzewem miałem otrzymać na własność segment. Pojechaliśmy na Retkinię – może to dziwne, ale mieszkali tam, a może niektórzy nadal mieszkają, zarówno zawodnicy Widzewa, jak i ŁKS: Tomaszewski, Boniek, Dziuba, chyba Żmuda – oglądać wznoszone segmenty. Miałem sobie jeden z nich wybrać, ale ponieważ były jeszcze nieukończone, na przeprowadzkę mogłem liczyć najwcześniej po sześciu miesiącach. Nigdy jednak do niej nie doszło. Choć Widzew cieszył się opinią drużyny, która wywiązuje się



ze zobowiązań wobec zawodników, ta obietnica pozostała niespełniona. Nie wiem, co o tym zdecydowało: może mój młody wiek, może brak sukcesów zespołu, do którego wzmocnienia miałem się walczyć, a może fakt, iż władze klubu doskonale wiedziały, w jak skromnych warunkach mieszkałem do tej pory, wspólnie z rodzicami w dwupokojowym mieszkaniu z ciemną kuchnią... Tak czy inaczej, najwyraźniej doszły do wniosku, że obiecać można wiele, za to dotrzymać – niekoniecznie.

Po dwóch miesiącach hotelowego życia przenieśliśmy się do wynajętego trzypokojowego mieszkania na obrzeżach Łodzi, blisko Zgierza. Podróż na stadion zajmowała mi trzydzieści-czterdzieści minut, co obecnie może się wydawać całkiem przyzwoitym wynikiem, ale wtedy była to cała wyprawa.

Przyszedłem do Widzewa w okresie, kiedy dokonywała się tam pokoleniowa zmiana warty, a to oznaczało duże przemeblowania w drużynie. Odeszli wodzireje, piłkarze nadający ton grze i nadający charakter drużynie: Boniek, Tłokiński, Grębosz, Surlit, Możejko, Błachno, Rozborski... Zawodnicy, którzy do tej pory grali drugie skrzypce, mieli nadzieję na przejęcie sterów w zespole. Liczyli na to, że teraz to oni będą pierwszoplanowymi postaciami. Trudno, żeby ucieszyło ich pojawienie się nowych piłkarzy, zwłaszcza takich, nazwijmy to, z wyższej półki. (Równocześnie ze mną do Widzewa przeniósł się Jerzy Wijas).

W początkowym okresie tylko bacznie nas obserwowali; skłamałbym, twierdząc, że spotykałem się z jakimikolwiek oznakami wrogości czy choćby niechęci. Przez dwa, może trzy miesiące wszystko było we względny porządku, a potem zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Starzy widzewiacy najwyraźniej doszli do wniosku, że skoro „nowi” jednak już się pojawili, należało wskazać im miejsce w szeregu i dać jasno do zrozumienia, że przychodzą do drużyny, w której hierarchia, porządek dziobania, czy jak to nazwiemy, są już ustalone i nikt nie zamierza tego zmieniać. Problem ze mną polegał na tym, że zawsze miałem ciągoty do gry indywidualnej, nigdy nie bałem się starć jeden na jednego, nie wahałem się przed jednym, drugim czy trzecim dryblingiem. Z jednej strony, w ten sposób zapewniałem kolegom więcej swobody na boisku, ponieważ ściągałem na siebie nie jednego, ale dwóch lub trzech przeciwników, z drugiej jednak – zwłaszcza jeśli coś się nie udało – taka gra łatwo mogła zostać uznana za przejaw skłonności do popisywania się, bufonadę i zbędne ryzykanctwo. „Twardzielom” z Widzewa mój styl od początku nie przypadł do gustu i bardzo szybko, już po dwóch lub trzech miesiącach, zaczęli w bolesny sposób dawać mi to odczuć. Ówczesny trener Władysław Żmuda – prywatnie bardzo porządny i przyzwoity człowiek – kompletnie nie potrafił sobie z tym poradzić.

Mówiąc o zmianie na niekorzyść, nie mówię tu o kontaktach pozaboiskowych, bo ani nie zdążyłem się z nikim szczególnie zaprzyjaźnić, ani nie oczekiwałem jakichś szczególnych dowodów sympatii. Po prostu w trakcie meczów coraz częściej odnosiłem wrażenie, że gra toczy się obok mnie, że niektórzy zawodnicy przestali dostrzegać mnie na boisku, a jeśli nawet zdarza im się podać mi piłkę, to dziwnym trafem robią to zwykle w takich okolicznościach i w taki sposób, żebym miał jak największe problemy z jej przyjęciem lub rozegraniem. Z czego to wynikało? Wtedy, w moim czarno-białym pojmowaniu świata, nieszczęśliwie się nad tym zastanawiałem, ale później wielokrotnie wracałem myślami do tego trudnego okresu, lecz nie potrafiłem i nadal nie potrafię wskazać sensownych, prawdopodobnych powodów. U podłoża z pewnością leżała rywalizacja, ale ta przecież jest niejako wpisana w sport, także

ten zespołowy, występuje we wszystkich drużynach i może dać bardzo pozytywne efekty... Żeby tak się stało, potrzeba kogoś – zwykle tym kimś jest trener – kto ją okiełzna, weźmie w karby i ukierunkuje w taki sposób, żeby jak najwięcej budowała, a jak najmniej niszczyła. Ponieważ w Widzewie nie było takiej osoby, cierpiałem nie tylko ja, ale cierpiał też zespół.

O tym, że mogło być inaczej, świadczy sytuacja z końcowego okresu mojego pobytu w Łodzi. Kierownikiem drużyny był wtedy Tadeusz Gapiński. Mieszkaliśmy w tym samym bloku: ja na pierwszym piętrze, on na trzecim. Łączyły nas bardzo dobre, niemal przyjacielskie układy, odwiedzaliśmy się wraz z rodzinami, ale to nie znaczyło, że w klubie trener Gapiński nie potrafił mnie solidnie objechać albo postawić do pionu, tak samo jak robił z innymi piłkarzami. Był przykładem człowieka, który potrafi się zbliżyć do zawodnika, nie narażając jednocześnie na szwank swojego autorytetu. Tak się złożyło, że wiele lat później bardzo mi pomógł w życiowych, już nie piłkarskich sprawach.

Ale wróćmy do samych początków mojego pobytu w Łodzi. Pierwszy mecz graliśmy z Bałtykiem Gdynia. (Przypadek sprawił, że dwa lata później debiutancki mecz w barwach Legii też rozegrałem z tą drużyną). Wygraliśmy 2:0, strzeliłem piękną bramkę, „Przegląd Sportowy” ocenił moją grę na siedem w dziesięciostopniowej skali. Ten mecz graliśmy na wyjeździe, łódzkiej publiczności zaprezentowałem się więc po raz pierwszy w następnej kolejce ligowej, w spotkaniu z Zagłębiem Sosnowiec. Byłem tak przejęty, tak bardzo zmotywowany i tak bardzo zależało mi na tym, żeby pokazać się z jak najlepszej strony, że grałem znacznie ostrzej niż zwykle i dość mocno poturbowałem dwóch przeciwników: Janusza Koterwę i Karola Kordysza. O ile Koterwa, używając terminologii bokserskiej, nadział się na moją niespodziewaną kontrę po tym, jak sam spróbował mnie brutalnie potraktować, to Bogu ducha winnego Kordysza skosiłem równo z trawą, nie trafiwszy w piłkę po kompletnie nieudanym, niepotrzebnym wślizgu. Mecz zakończył się rezultatem 3:0 i za niego też otrzymałem wysokie noty.

Zaczęło się więc całkiem nieźle, ale później zamiast coraz lepiej, było coraz gorzej. Część winy z pewnością leżała po mojej stronie i wynikała z niedoświadczenia, albo nawet z naiwności; nie zdawałem sobie sprawy, że w takiej drużynie jak Widzew okazanie jakiegokolwiek słabości, czy nawet, mówiąc nieco żartobliwie, pokazanie ludzkiej twarzy nie mogło się spotkać ani z uznaniem, ani nawet ze zrozumieniem. Moje prostolinijne przeświadczenie o tym, że jeśli popełniło się błąd, to należy się do niego przyznać i wziąć na siebie jakąś część winy, w tamtych realiach kompletnie się nie sprawdziło. Przyznanie się do błędu traktowano jako przyznanie się do słabości, słabych zaś po pierwsze, się nie szanuje, po drugie zaś, chętnie i łatwo obsadza się ich w roli kozłów ofiarnych. Szczytową głupotę osiągnąłem chyba po siódmym albo ósmym meczu, co prawda wygranym, ale w moim wykonaniu nieszczególnie udanym. Poszedłem wtedy do trenera Żmudy i powiedziałem: „Trenerze, słabo zagrałem, nie zasługuję na premię, proszę te pieniądze podzielić między chłopaków”. Wtedy wydawało mi się to całkowicie naturalne – przecież zapłacono za mnie ogromne pieniądze, zarabiałem też niemało, powinienem więc w zamian dostarczać tego, czego ode mnie oczekiwano... Teraz wiem, że to było niedojrzałe i głupie zachowanie, które mogło wywołać jeszcze bardziej nieprzychylną reakcję kolegów z drużyny, i wywołało. Jak już wspominałem, w większości byli to zawodnicy prezentujący znacznie niższy poziom sportowy niż ci, którzy w głównej mierze przyczynili się do stworzenia potęgi „wielkiego

Widzewa”, teraz zaś odeszli do innych klubów lub zakończyli kariery, zwalniając miejsce młodszym kolegom. Ci, nie będąc w stanie osiągnąć poziomu sportowego swoich zasłużonych poprzedników, często reagowali frustracją, agresją i zwykłym chamstwem, co z pewnością nie przyczyniało się do cementowania zespołu. Mądry, zdecydowany trener o silnej osobowości i niekwestionowanym autorytecie zapewne zdołałby sobie z tym poradzić; trener Żmuda, niestety, nie potrafił.

Pół biedy, gdyby nie najlepsza atmosfera ograniczała się do szatni i kontaktów pozaboiskowych. Niestety, tak nie było. Pamiętam, jak podczas ligowego meczu z GKS-em w Katowicach, w którym nikomu z nas nic nie wychodziło, choć wszyscy, mnie nie wyłączając, ogromnie się staraliśmy, mniej więcej w sześćdziesiątej minucie świętej pamięci Włodek Smolarek podszedł do linii bocznej i powiedział, ściągając kapitańską opaskę: „Albo go zdejmiecie, albo ja schodzę”. Chodziło o mnie, rzecz jasna. Kompletnie osłupiałem. Trener mógł mnie zmienić w każdej chwili, takie jego prawo, ale żeby o zmianie decydował kolega z drużyny? Okazało się jednak, że takie rzeczy są możliwe, bo minutę albo dwie później trener Żmuda zasygnalizował zmianę. Gdybym się obijał, gdybym „przeszedł obok meczu”, gdybym nie wypruwał z siebie żył, może machnąłbym na to ręką, ale byłem tak koszmarnie wściekły, że schodząc z boiska, z całej siły kopnąłem zapasową piłkę stojącą zaraz za linią autową. Tak się jakoś złożyło, że trafiłem w ławkę rezerwowych Widzewa... Po meczu sztab szkoleniowy wezwał mnie na rozmowę dyscyplinującą. Zarzucono mi niesportowe zachowanie, na co ja wygarnąłem, co myślę o tym, żeby jeden z zawodników – i co z tego, że kapitan? – decydował o tym, kogo i kiedy należy zmienić. Obyło się bez kary, co również świadczyło o słabości kierownictwa drużyny. Powinni byli mnie ukarać, bo bez dwóch zdań zachowałem się nagannie, przede wszystkim jednak nie powinni byli dopuścić do sytuacji, która sprowokowała mnie do takiego zachowania.

Wstyd mi nawet o tym mówić, ale dochodziło do sytuacji, kiedy podczas posiłku w hotelowej restauracji – zdarzało się, że przez jakiś czas drużyna miała wykupione obiady w restauracji hotelu Grand przy Piotrkowskiej – któryś z zawodników (litościwie pomiję nazwiska) niby przypadkiem spluwał tuż obok mojego talerza. Nawet jeżeli nie wywoływało to aplauzu pozostałych, to nie spotykało się też z najmniejszym nawet potępieniem. Teraz oczywiście wiem, że są ludzie, którzy tylko w taki sposób potrafią odreagowywać frustracje i walczyć z kompleksem niższości, wtedy jednak takie zachowanie było dla mnie kompletnie niezrozumiałe i prowokowało mnie do reakcji, które też z pewnością nie przyczyniały się do budowania zrozumienia i obustronnej sympatii...

Mniej więcej po roku do Widzewa przyszedł z Hutnika Warszawa Mirek Jaworski. O jego nadzwyczajnych umiejętnościach technicznych opowiadałem w innym miejscu. Jakoś szybko nawiązała się między nami nić porozumienia, która po pewnym czasie przerodziła się w przyjaźń, trwającą zresztą do dziś. Dzięki jego pojawieniu się nie tylko zyskałem pierwszą naprawdę przychylną duszę w zespole, lecz także boiskowego partnera, o którym wiedziałem, że kiedy zobaczy, że wychodzę na dobrą pozycję, z pewnością poda mi piłkę i zrobi to w taki sposób, żebym mógł coś sensownego z nią zrobić. Mirek grał na środku pomocy, ja zaś niemal wyłącznie w ataku, taka współpraca była więc czymś ze wszech miar pożądanym i korzystnym dla zespołu.

Wyglądało jednak na to, że nic, co bym zrobił – albo czego bym nie zrobił – nie wpłynie na

zmianę nastawienia kolegów z drużyny do mojej osoby. Powoli ogarniało mnie coś na kształt desperacji. O moim stanie psychicznym najlepiej świadczy zdarzenie, do którego doszło podczas imprezy, którą urządzono w klubie na zakończenie rundy jesiennej. Późno w nocy, a właściwie już nad ranem, bo mogło być nawet około trzeciej, zmęczony i lekko oszołomiony alkoholem, założyłem się z dwoma pomniejszych sponsorami klubu – o ile mnie pamięć nie myli, byli to widzewscy cukiernicy – że na koniec rundy wiosennej będę najlepszym zawodnikiem w zespole. Podejrzewam, że kierowała mną skrajna desperacja, bo ze zdrowym rozsądkiem nie mogło to mieć nic wspólnego, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę stawkę zakładu: samochód osobowy, nie pamiętam już jakiej marki, albo jego równowartość. Uprzedzając bieg wypadków, powiem, że na przekór wszystkim i wszystkiemu wygrałem ten zakład i że druga strona wypłaciła wszystko co do grosza.

Na razie jednak wciąż jeszcze jest jesień 1984 roku. W Łodzi zjawił się Jerzy Chromik, dziennikarz tygodnika „Sportowiec”. Trzeba przyznać, że wstrzelił się w wyjątkowo dobry – albo niedobry, zależy jak na to spojrzeć – moment. Miałem już serdecznie dosyć sytuacji w klubie i wydawało mi się, że gorzej już być nie może. Jak się okazało, myliłem się, i to bardzo... Wywiad, którego mu udzieliłem, ukazał się drukiem w grudniu 1984 roku. Naturalnie nie będę przytaczał go w całości, myślę jednak, że warto zaprezentować przynajmniej kilka fragmentów, których treść z jednej strony da pojęcie o rozmiarach mojej desperacji, z drugiej zaś, przyznając ze wstydem, będzie świadectwem sporej niedojrzałości i, oględnie mówiąc, dość skromnych umiejętności dyplomatycznych...

Jerzy Chromik: Odnoszę wrażenie, że grasz w koszulce z numerem dwadzieścia jeden... [Aluzja do kwoty, jaką Widzew zapłacił za mnie Gwardii – przyp. D.D.]

Dariusz Dziekanowski: Po przejściu do Widzewa każdy chciał mi udowodnić, że nie mam prawa nosić nawet takiej z dziesiątką. Nie bez znaczenia była rubryka w dowodzie osobistym – miejsce urodzenia. W Łodzi cierpię na kompleks stolicy. Pogodziłem się już z tym, że nie zapomną mi tej kwoty do końca moich piłkarskich dni.

(...)

J.Ch.: Z Raławickiej bliżej było na Łazienkowską...

D.D.: Marzyłem o grze w Legii od młodzieńczych lat. Najlepsze swoje mecze rozegrałem na jej stadionie. Wydawało mi się jednak, że mimo plejady głośnych nazwisk długo nie będzie ona drużyną zdolną do pokazania się w Europie. Takie gwarancje dawał Widzew.

J.Ch.: Magnezem był Boniek?

D.D.: Nigdy nie upodabniałem się do nikogo. Cenię swoją osobowość.

J. Ch.: Portierka w ośrodku Buk powiedziała, że najmniej przyjemny z kadry był Dziekanowski...

D.D.: Niewielu przypadam do gustu. Nie szukam okazji do integracji w alkoholowych libacjach. Mam trudny charakter. Coś z autokraty, a nawet z despoty. Zjawiska i osoby mierzę własną miarą. (...) Studiuję zaocznie w warszawskiej AWF. Po meczu z GKS poprosiłem o zwolnienie z dwóch treningów, bo miałem tam obowiązkowe zajęcia. Władysława Żmudy [trener Widzewa – przyp. D.D.] to nie interesowało. Zmuszony byłem wyjechać bez jego zgody. Odbyło się więc głosowanie drużyny nad moim niecnym postępkim. Postawiono wniosek, aby odsunąć mnie od udziału w kolejnym meczu ligowym z Motorem. Raz jeszcze okazało się, że to nie trener decydował o składzie. Zagrałem.

J.Ch.: Nie spełniasz pokładanych w tobie nadziei...

D.D.: Każde moje złe zagranie jest widoczne i napiętnowane. Inni mogą być niezauważalni. (...) Są tacy, którzy za wygrane mecze kwitują więcej banknotów, a strzelania goli wymaga się ode mnie. (...) Klasa wielkich drużyn polega na tym, że każdego stać na ustalenie wyniku. Obok mnie gra jeszcze dziewięciu zawodników w polu, którzy uważają się za gwiazdy Wídzewa tylko dlatego, że kiedyś byli giermkami Bońka. (...)

J.Ch.: Kilka zegarów łódzkich stanęło. Czas się zatrzymał?

D.D.: W klubie żyją starym Wídzewem. A z tamtego zespołu pozostał jedynie Smolarek i wspomnienia. Odeszli ludzie z charakterem: Tłokiński, Boniek, Surlit i inni. Pozostali tacy, którzy przy indywidualnościach byli statystami. Na ich barki zrzucono ciężar utrzymania reputacji. Bardzo chcieli się z tego wywiązać, ale same chęci nie wystarczają. Nieudolne naśladownictwo jest komiczne. Jeśli ktoś wkłada koszulkę z numerem dziewięć, udaje ruchy Bońka, a nie gra tak samo, to jest tylko smutnym klaunem. Pieniądze zaś bierze takie same jak oryginał.

(...)

J.Ch.: Na Piotrkowskiej bywa niesympatycznie...

D.D.: Wsiadam wtedy do samochodu i wyjeżdżam do stolicy na dyskotekę. Po minięciu tablicy z napisem „Warszawa” otwieram szybę i powiew innego powietrza wpływa na mnie kojąco. Za dwie godziny czuję się jednak znów łodzianinem.

(...)

J.Ch.: Dobry piłkarz przyjmuje się w każdej drużynie...

D.D.: Ale kwiaty więdną wśród chwastów. Też prawidłowość.

Nie zastanawiałem się nad ewentualnymi konsekwencjami. Uważałem, że mówię prawdę, a przecież jeśli ktoś mówi prawdę, to nie powinno stać mu się nic złego... O święta naiwności! Chciałem grać jak najlepiej, chciałem dawać z siebie wszystko i tylko to było dla mnie ważne. Zachowałem się jak zwierzak, który wpadł w sieci i miota się rozpaczliwie, usiłując się uwolnić, kłusując na oślep wszystko i wszystkich, którzy się zbliżą. Siła rażenia wywiadu była jeszcze większa także „dzięki” doskonałemu stylowi Jurka; umiejętne rozłożenie akcentów i uwypuklenie niektórych wypowiedzi sprawiły, że nabrały one zwielokrotnionej mocy.

Naturalnie wywiad odbił się szerokim echem w całym środowisku piłkarskim i wywołał lawinę komentarzy w prasie sportowej. Reakcje były najróżniejsze, o czym świadczy choćby ta garść cytatów:

Paweł Strzelecki, „Piłka Nożna”:

„Nie ulega dla mnie wątpliwości, tu muszę się zgodzić ze zwolennikami Dziekanowskiego, że wywiad był dramatyczną próbą ratowania drużyny przed wpadnięciem w niszczące sportowe wartości samouwielbienie. Zgadzam się: pisanie o zespole z charakterem, niezniszczalnym Wídzewie, honorowym pożegnaniu z pucharami (...) może najbardziej krytycznie patrzącemu na sprawę człowiekowi zamydlić oczy. Szczerłość wypowiedzi łódzkiego napastnika każe zastanowić się nad oczywistością pewnych porównań: jak dziś gra Krzysztof Kamiński, a jak wtedy, gdy po powrocie z wojska odnajdywał swoje miejsce w drużynie (...) jak dziś gra Piotr Romke, a jak wtedy, gdy był „piątym muszkietierem”, wykonującym czarną boiskową robotę za Zbigniewa Bońka, jak dziś gra Krzysztof Kajrys,

a jak wtedy, gdy rywalizował o miejsce na środku pomocy ze Zdzisławem Rozborskim”.

Adam Barteczko, „Sport”:

„Ludzie prostolinijni martwią się teraz zapewne o Darka, uważając, że niepotrzebnie sam sobie zaszkodził. Nie doceniają jednak inteligencji naszego bohatera. Proszę wybaczyć, że zadam tak niezręczne pytanie: Komu to służy? I już spieszę z odpowiedzią – Dziekanowskiemu! Sprytnie pomyślane, jeszcze lepiej wykonane. Ten wywiad powinien pomóc napastnikowi Wdzewa w zmianie klubu. Po co pisać ryzykowne podania o zwolnienie, skoro można to załatwić w białych rękawiczkach – to nie ja odchodzę, ale oni mnie wyrzucają”.

Wojciech Lipoński, „Tempo”:

„Gdyby Smolarek tę część swoich wysiłków intelektualnych, jakie przeznacza na zwalczanie Dziekanowskiego, skierował na wzbogacenie koncepcji swej gry, dorównałby być może w przyszłości klasie Lubańskiego czy Laty. A tak wciąż pozostaje niezłym, może nawet bardzo dobrym technikiem, ale niewielkim strategiem futbolu”.

A. Grygierczyk, „Trybuna Robotnicza”:

„Nie twierdzę, że za każdym razem opinie te muszą być pochlebne i sformułowane na okrągło. Uważam jednak, że najpierw trzeba czegoś w życiu dokonać, a potem rozdawać cenzurki. A czego dokonał Dziekanowski? (...) Chociaż, może te wszystkie moje rozważania są diabła warte, może za każdą wypowiedzią Dziekanowskiego przyczaiła się jakaś gierka, rozgrywka, której celu trudno się domyślić: znają go jedynie sam piłkarz i jeszcze kilku bezpośrednio zainteresowanych?”.

Na łamach prasy zabrał także głos prezes Ludwik Sobolewski. Oto fragmenty wypowiedzi, jakiej udzielił „Przeglądowi Sportowemu” 10 stycznia 1985 roku:

„Ten wywiad nas zaskoczył, mogliśmy się spodziewać wszystkiego, ale nie tego typu wypowiedzi. (...) Prawda, nie jest to nowy problem, być może poradzi sobie z nim nowy trener, Bronisław Waligóra. Zawsze były pewne „ale” między Dziekanowskim a chłopcami. Trudno, nie muszą się kochać ani całować, lecz mają grać i wypełniać swoje obowiązki. (...) Zawodnik jakby zapomniał, że zapłaciliśmy za niego duże pieniądze i sam otrzymał niemało. Unika jednoznacznego postawienia sprawy, że za te pieniądze to właśnie on miał pomóc zespołowi, a nie zespół jemu (...) Nasuwają się trzy podstawowe pytania. Po pierwsze – czy Dziekanowski powinien, czy też nie, pozostać w klubie? Po drugie – jeśliby pozostał, to na jakich warunkach współzycia? (...) Po trzecie – czy jego talent, obojętnie gdzie, będzie mógł się prawidłowo rozwinąć?”.

Kilka dni później na łamach tej samej gazety prezes Sobolewski poinformował o swojej decyzji:

„(...) jest jedna: Dziekanowski pozostaje w klubie, ma grać i wypełniać zobowiązania wynikające z zawartego kontraktu”.

W rzeczywistości postanowienia były inne. Nie wiem, czy nawet nie tego samego dnia prezes wezwał mnie do gabinetu i oświadczył: „Bez względu na to, jak będziesz grał, za pół roku nie będzie cię w tej drużynie. Idź sobie, dokąd chcesz: do Legii, dokądkolwiek”. Odparłem, że w porządku, za pół roku odejdę.

W trakcie przerwy zimowej w Widzewie nastąpiła zmiana trenera: Władysława Żmudę zastąpił Bronisław Waligóra. Kiedy w styczniu zjawiłem się na pierwszym treningu (odbywał



się w hali Anilany Łódź), wbrew doniesieniom prasowym (fragment materiału z „Przeglądu Sportowego”: „Wszyscy byli ogromnie ciekawi, jak też wytknięci przez widzowiaka koledzy, skarceni i obrażeni, przyjmą Dziekanowskiego na pierwszym treningu, tym niejako zapoznawczym. Według zgodnych opinii nie doszło do rękoczynów. Romke nie opluł Dziekanowskiego, Wraga nie policzył mu zębów. Przystąpili wszyscy do wspólnych zajęć”), przywitała mnie lodowata atmosfera, która szybko zamieniła się w bardzo gorącą. Kilku zawodników nawet nie podało mi ręki, a kiedy po rozgrzewce trener podzielił nas na minizespoły i zaczęła się gra, zakotłowało się na dobre. Powiem szczerze, że byłem wtedy święcie przekonany, że to ostatnie minuty mojej piłkarskiej kariery, bo lada chwila zostanę odwieziony do szpitala ze skomplikowanymi złamaniami obu nóg. Nikt nawet nie udawał, że chodzi o coś innego niż o to, żeby dać mi nauczkę – i to najlepiej taką, którą zapamiętam do końca życia. Podziałało to na mnie jak płachta na byka. Chcecie mnie załatwić? – pomyślałem. No to zobaczymy, czy dacie radę! Instynkt samozachowawczy poszedł w ką, ogarnęła mnie jakaś ślepa furia, na każde kopnięcie starałem się odpowiedzieć kopnięciem, na każdy brutalny wślizg jeszcze bardziej brutalnym wślizgiem. Naturalnie w myśl zasady „siła złego na jednego” musiało się to prędzej czy później źle dla mnie skończyć, i za kadencji trenera Żmudy z pewnością tak by się właśnie skończyło, gdyby nie trener Waligóra. Jeszcze przed wyjściem na trening zaprosił mnie na rozmowę w cztery oczy i powiedział wprost, że jest po mojej stronie. Przyznam, że było to dla nie ogromne zaskoczenie (wcześniej nigdy nie mieliśmy okazji poznać się ani porozmawiać), całą wiedzę o mojej sytuacji w Widzewie musiał więc czerpać od osób mi nieprzychylnych albo w najlepszym razie obojętnych. Byłem mile zaskoczony, że nie przyłączył się do nagonki i wyciągnął korzystne dla mnie wnioski.

Przyznam, że zdarzało mi się wystawiać go na ciężką próbę, jak na przykład podczas pierwszego wyjazdu pod jego wodzą na obóz kondycyjny z Widzewem. Mieszkaliśmy w Karpaczu w Novotelu. W recepcji pracowała prześliczna dziewczyna: drobna blondynka o ujmującym uśmiechu i błękitnych oczach. Na drugi albo na trzeci dzień zebrałem się na odwagę i postanowiłem zaprosić ją na dyskotekę. Problem w tym, że, jak wiadomo, dyskoteki odbywają się zwykle wieczorami, a nawet nocą, sportowcy zaś, zwłaszcza podczas wszelkich zgrupowań, raczej nie powinni prowadzić nocnego trybu życia. Zew natury okazał się jednak silniejszy. Mieszkalem w pokoju z Mirkiem Jaworskim. „Słuchaj, Mirek – mówię do niego. –

Idę z dziewczyną na dyskotekę. Zadzwoń kontrolnie około wpół do pierwszej i jeśli wszystko będzie w porządku, to zostanę jeszcze mniej więcej do trzeciej”. Jak powiedziałem, tak zrobiłem. O wpół do pierwszej dzwonię z automatu do naszego pokoju i pytam: „No i jak, Mirek? Wszystko OK?”. A na to w słuchawce odzywa się wściekły głos: „Tu trener Waligóra! Gdzie jesteś, do cholery???”. Trochę mnie przytknęło. Jak tylko doszedłem do siebie, obiecałem, że najdalej za pół godziny będę z powrotem. „Masz być natychmiast, rozumiesz?!”. Wróciłem więc najprędzej jak mogłem, wchodzę do pokoju, a tam obaj trenerzy i Mirek z niepyszną miną, skulony w kącie. Trener Waligóra przejechał się po mnie raz, drugi i trzeci, a potem zaczął od początku. Po mniej więcej dwudziestu minutach takiej „suszarki” kazał mi iść z nim do jego pokoju. Potulny jak trusia poszedłem za nim, a on zamknął drzwi i pyta: „Słuchaj, jak mogłeś wykręcić mi taki numer? Wiesz przecież, jak wygląda sytuacja: masz przeciwko sobie praktycznie całą drużynę, tylko ja jestem po twojej stronie, a ty takie hece wyczyniasz?”. „Trenerze – mówię na to. – Nie jestem po alkoholu, poszedłem tylko trochę

potaćzyć, a poza tym przecież sam pan widział, jaka ładna ta dziewczyna... Głupi bym był, gdybym jej nie zaprosił na dyskotekę”. Trener odruchowo przyznał mi rację, ale zaraz potem znowu na mnie naskoczył: „Ty mi tu dziewczyną oczu nie mydl, ja nie do dziewczyny mam pretensje, tylko do ciebie, ty tu jesteś na obozie klubowym, ciebie obowiązuje regulamin!”. Po kolejnych dziesięciu minutach trochę się zasapał, nieco ochłonał i kazał mi wybrać karę. Nie pamiętam już, na czym stało, ale wydaje mi się, że nie była szczególnie dotkliwa. Później okazało się, że o moich dyskotekowych podbojach donieśli życzliwi koledzy z drużyny...

W okresie przygotowawczym do rundy wiosennej sezonu 1984/1985 wszyscy w Łodzi wciąż mieli świeżo w pamięci mój wywiad i z pewnością nie skłamię, jeżeli powiem, że gdyby ktoś zorganizował wówczas plebiscyt na najmniej lubianego człowieka w tym mieście, miałbym chyba pewne pierwsze miejsce. Niespecjalnie się tym przejmowałem. Powiedziałem przecież to, co naprawdę myślałem, opisałem sytuację, tak jak wyglądała z mojej perspektywy, a że zrobiłem to w, delikatnie mówiąc, niezbyt polityczny sposób... Cóż, taki po prostu wtedy byłem i nie miałem obok siebie nikogo, kto by mi podpowiedział, że można postąpić inaczej. Podejrzenia, że wywiad był ukartowaną zagrywką mającą doprowadzić do natychmiastowego zerwania kontraktu i umożliwić mi przejście do innego klubu (najprawdopodobniej do Legii Warszawa), były kompletną bzdurą. Dusiałem się w toksycznej atmosferze i zrobiłem to, co wtedy wydawało mi się najwłaściwsze, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Trener Waligóra przed każdym meczem – zwłaszcza jeśli graliśmy w Łodzi – poświęcał mi co najmniej pół godziny, przygotowując mnie psychicznie do starcia nie tyle z przeciwnikiem, ile z publicznością, która praktycznie w stu procentach była przeciwko mnie. No, może w dziewięćdziesięciu dziewięciu. (Mój dziadek, który przyjechał obejrzeć jakiś mecz na stadionie Widzewa, tak bardzo zirytował się, słysząc chamskie obelgi sypiące się z trybun na moją głowę, że nie wiadomo, jak odbiłoby się to na jego zdrowiu; ojciec musiał go wyprowadzić jeszcze przed początkiem meczu, staruszek bowiem był gotów w pojedynkę bronić honoru obrażanego nie wiadomo za co wnuka). Przekonywał mnie, że on, jako szkoleniowiec, panuje nad sytuacją w drużynie, że mam się skupić wyłącznie na swojej grze i że jeśli zauważy, że ktoś raz czy drugi nie zagra mi wtedy, kiedy powinien, to wyp...y go z drużyny na zbity pysk. Nie ukrywam, iż świadomość, że zespołem kieruje rozsądny, mądry człowiek, który docenia moje zaangażowanie i wierzy w to, że moje umiejętności mogą się do czegoś przydać, była dla mnie ogromnie ważna i dodawała mi pewności siebie. Nie oznacza to wcale, że byłem ulubieńcem trenera i że stosował wobec mnie taryfę ulgową; wiele razy słyszałem od niego, że jeśli nie będę się starał, jeśli nie będę dawał z siebie wszystkiego, to szybko wylecę z pierwszego zespołu.

Paradoksalnie, ten najtrudniejszy dla mnie okres w trakcie pobytu w Łodzi okazał się dla mnie także najlepszym pod względem sportowym. Nie wiem, czy tak dopingująco podziałał na mnie zakład z cukiernikami, ale grało mi się doskonale. W sumie w tym sezonie zdobyłem w lidze dziesięć bramek, wielokrotnie otrzymywałem najwyższe oceny, a co najważniejsze, czułem, że dobrze gram i wiedziałem, że drużyna ma ze mnie pożytek. To zresztą nie była tylko kwestia subiektywnych odczuć, świadczyły o tym twarde fakty: w sezonie 1984/1985 (zresztą podobnie jak w poprzednim) okazałem się najskuteczniejszym strzelcem Widzewa... Zdawali sobie z tego sprawę także koledzy z zespołu; pod koniec rundy całkiem szczerze, choć może

bez przesadnej serdeczności, gratulowaliśmy sobie udanych meczów. W lidze zajęliśmy trzecie miejsce, dotarliśmy do finału Pucharu Polski (przeciwnikiem był katowicki GKS). Spotkanie miało zostać rozegrane w Warszawie. Właśnie tam, dzień przed meczem, powiedziałem trenerowi Waligórze, że nieodwołalnie odchodzę z Widzewa. Po słabym meczu, w moim wykonaniu też, wygraliśmy po rzutach karnych. Z jednej strony na pewno chciałem zakończyć przygodę z Widzewem mocnym uderzeniem, z drugiej jednak myślami byłem już chyba gdzie indziej. Choć zawsze chętnie, i z reguły skutecznie, wykonywałem jedenastki, tym razem kompletnie nie czułem się na siłach, żeby postawić piłkę na „wapnie”... Na pocieszenie pozostała mi świadomość, że jednak w dość znaczący sposób przyczyniłem się do pierwszego – i, jak dotąd, jedyne go triumfu Widzewa w rozgrywkach o Puchar Polski – strzelając siedem z siedemnastu bramek, które zdobyliśmy w drodze po to trofeum.

Po powrocie do Łodzi władze klubu wydały uroczysty bankiet na cześć zwycięskiej drużyny. Impreza była suto zakrapiana i szczerze, choć ze wstydem, muszę przyznać, że pili wszyscy: działacze, trenerzy, zaproszeni goście i piłkarze. Wracaliśmy do domów kolumną samochodów, ale dziwny traf chciał, że milicyjny patrol, który nie wiadomo skąd pojawił się na drodze, zatrzymał tylko mnie. Dalej wszystko potoczyło się szybko i według łatwego do przewidzenia scenariusza: panie kierowco, proszę dmuchnąć w balonik... proszę oddać kluczyki... zatrzymujemy panu prawo jazdy. To smutne i przykre, ale w tamtych czasach sportowcom, a zwłaszcza piłkarzom takie „wpadki” zdarzały się dość często. Zwykle nazajutrz informowało się władze klubu o niezręcznej sytuacji, te zaś znanymi tylko sobie sposobami i kanałami doprowadzały do zatuszowania incydentu, a mniej lub bardziej szczerze skruszony delikwent otrzymywał z powrotem prawo jazdy. Kiedy następnego dnia stawiłem się w gabinecie prezesa Sobolewskiego, żeby poinformować go o przykrym finale imprezy i poprosić o szybkie „załatwienie” sprawy, prezes odparł, że owszem, pomoże mi, ale pod warunkiem że zgodzę się jednak zostać w Widzewie. Było to zaledwie pół roku po tym, jak powiedział mi, że po zakończeniu sezonu nie życzy sobie widzieć mnie w swojej drużynie... Nie chciałem nawet o tym słyszeć, więc na jakiś czas – zdaje się, że na dwa miesiące – pożegnałem się z prawem jazdy. Odzyskałem je dopiero po powrocie do Warszawy. Nawiasem mówiąc, ten przykry i bez wątpienia wstydlivy dla mnie incydent dał później kilku piłkarzom Widzewa, w tym niestety także Włodkowi Smolarkowi, pretekst do opowiadania w mediach o tym, jak to dobrze, że odchodzę z zespołu i że z pewnością nie zagrzeję długo miejsca w Legii, ponieważ mój wysoce niesportowy tryb życia niszczy morale drużyny. Niezręcznie mi polemizować dzisiaj z tymi, których niestety nie ma już wśród nas, ograniczę się więc do stwierdzenia, iż – w niczym nie pomniejszając mojej oczywistej winy i nie usprawiedliwiając bezmyślności – naprawdę nie byłem osamotniony w takich „popisach”...

Niespełna rok później, pod koniec mojego pierwszego sezonu w Legii, przeżyłem niemałą satysfakcję, ponieważ trener Bronisław Waligóra i jeden z prezesów Widzewa przyjechali do Warszawy, żeby namawiać mnie do powrotu do Łodzi... Spotkanie odbyło się w Novotelu przy Żwirki i Wigury. Zapewniali mnie, że tym razem to nie ja będę musiał dostosować się do zespołu, ale zespół będzie budowany wokół mnie, że są gotowi sprostać wszystkim moim żądaniom i tak dalej. Taki ruch z mojej strony naturalnie nie wchodził w grę, ale przyznam, że zrobiło mi się przyjemnie, bo jednak wyszło na to, że po dwóch niezbyt udanych latach spędzonych przy ulicy Armii Czerwonej pozostały po mnie nie tylko zgliszcza i niedobre

wspomnienia... Po latach zatarły się też niesnaski z kolegami z drużyny. Dziś, kiedy spotykam się z niektórymi z nich – Wieśkiem Wragą, Józefem Młynarczykiem, Romanem Wójcickim czy Tadeuszem Świątkiem – to potrafimy serdecznie ze sobą rozmawiać. Cenię tych dumnych widzewiaków...

# Nasza duma i sława

Po zakończeniu sezonu 1984/1985 z pracą przy Łazienkowskiej pożegnał się trener Jerzy Kopa, jego miejsce zaś zajął Jerzy Engel, do tej pory drugi czy trzeci szkoleniowiec zespołu, a równocześnie człowiek odpowiedzialny za rozpracowywanie przeciwników. Ja od dłuższego czasu nie ukrywałem, że jestem bardzo zainteresowany przenosinami do Legii, ale gdyby nie nastąpiła zmiana szkoleniowca i gdyby Legia nie grała słabo, nie spełniając pokładanych w niej oczekiwań, wcale nie jestem pewien, czy doszłoby do tego transferu. Legia pilnie potrzebowała wzmocnień; drugim ważnym zawodnikiem, którego ściągnięto w tym samym czasie, tyle że w trybie powołania do wojska, był Jarosław Araszkiewicz.

Jak wspomniałem, wszyscy doskonale wiedzieli o tym, że zależy mi na grze w Legii. Mogłoby się wydawać, że takie odsłanianie kart i informowanie potencjalnego pracodawcy o tym, że gra u niego to marzenie jeszcze z lat dziecięcych, które wreszcie jest szansa zrealizować, to kiepska strategia negocjacyjna. To prawda, ale tylko wtedy, jeśli jest się zawodnikiem słabym albo nawet przeciętnym. Odrzucając na bok fałszywą skromność, muszę jednak przypomnieć, że wtedy, wiosną 1985 roku, naprawdę grałem dobrze, a chwilami może nawet znakomicie, że należałem do najsilniejszych punktów kadry narodowej, strzelałem bramki w lidze, Pucharze Polski i dla reprezentacji. Znałem swoją wartość, znali ją także ci, którzy myśleli o tym, żeby mnie zatrudnić, nie musieliśmy więc mydlić sobie wzajemnie oczu, uprawiać podchodów ani niczego udawać.

Choć Legia nie była jedynym klubem, który przejawiał zainteresowanie moją osobą (podchody czynił też m.in. Górnik Zabrze), to ja w głębi duszy już dawno podjąłem decyzję o tym, gdzie chcę kontynuować karierę. Po finale Pucharu Polski nie wróciłem już do Łodzi, tylko pojechałem na zgrupowanie kadry narodowej w Straszęcinie. Wystosowałem pismo do zarządu RTS Widzew z prośbą o wyrażenie zgody na grę w Legii Warszawa. O tym, z jaką spotkało się reakcją, najlepiej świadczy wypowiedź prezesa Sobolewskiego w „Przeglądzie Sportowym” z 19 lipca 1985 roku:

„Dziekanowski na swoje podanie otrzymał negatywną odpowiedź, zresztą innej być nie mogło. [...] Piłkarz ma z nami podpisany kontrakt do 1990 roku i do tego czasu jesteśmy jego pracodawcami. Po zgrupowaniu kadry Dziekanowski powinien stawić się w Łodzi i przystąpić do zajęć w klubie. Do tej pory go nie ma. Poczekamy jeszcze dwa, trzy dni – mimo wszystko nadal liczymy, że się opamięta – jeśli nie, zarząd klubu podejmie stosowną decyzję. Proszę nas dobrze zrozumieć – nie szukamy okazji do wymierzenia kary, ale musimy ściśle trzymać się tego, co podpisali dorośli ludzie. Przecież każde dziecko w naszym kraju wie, że nie był to kontrakt o czapkę gruszek”.

Równocześnie propozycję podjęcia rozmów na mój temat złożyła Widzewowi Legia. Negocjacje trwały kilka tygodni, wielkimi krokami zbliżał się termin zgłaszania składów do gry w Pucharze UEFA (15 sierpnia). Porozumienie udało się osiągnąć dosłownie na kilka dni przed tą datą, a właśnie 15 sierpnia „Przegląd Sportowy” podał jego szczegóły:

„Dariusz Dziekanowski zostaje zawodnikiem Legii i zgłoszony będzie do rozgrywek pucharowych UEFA jako piłkarz warszawskiego klubu. Z Legii do Widzewa przechodzi

Wiesław Cisek i zgłoszony będzie do Pucharu Zdobywców Pucharów. W przypadku transferu Dziekanowskiego do zagranicznego klubu podział sum transferowych należnych polskim klubom będzie następujący: 50 procent Gwardia Warszawa, po 25 procent Widzew i Legia. Legia przekaże Widzewowi dodatkową, zgodną z przepisami PZPN sumę transferową [...] Zarząd RTS Widzew w sprawie Dziekanowskiego kierował się przede wszystkim dobrem reprezentacji, gdyż awans i pomyślny start w mistrzostwach świata w Meksyku jest najważniejszy dla polskiego futbolu”.

Na moim kontrakcie z Legią również widnieje data 15 sierpnia. Klub zobowiązał się m.in. do zapewnienia mi „świadczeń określonych w Zarządzeniach Przewodniczącego GKKFiS nr 7 z dnia 9.03.84 i nr 25 z dnia 12.12.1984” (chodziło o stypendium sportowe) i do wypłacenia mi jednorazowej zapomogi na zagospodarowanie się w wysokości dwóch milionów czterystu tysięcy ówczesnych złotych. Żeby dać młodszym czytelnikom wyobrażenie o wysokości tej kwoty, powiem, że w roku 1985 urzędowy kurs dolara wynosił sto czterdzieści osiem złotych, czarnorynkowy (teraz powiedzielibyśmy: rynkowy) sześćset czterdzieści złotych, przeciętna pensja zaś to było około dwudziestu tysięcy złotych miesięcznie. W kontrakcie znalazł się też zapis przeniesiony z zawartej nieco wcześniej umowy, zgodnie z którą klub miał „podjąć działania, których celem będzie przydzielenie zawodnikowi mieszkania spółdzielczego własnościowego w Warszawie o wymiarze M-6 w terminie do zasiedlenia do końca 1986 roku, którego wkład pokryje CWKS Legia, a znajdującego się w gestii Robotniczej Spółdzielni Mieszkaniowej »Osiedle Młodych« w budynku przy ul. Szczawnickiej”. Z tego zobowiązania Legia wywiązała się z dużym, bo ponaddwuletnim opóźnieniem.

Do połowy sierpnia żyłem jakby w zawieszeniu: nie grałem w Widzewie, bo nie chciałem, nie grałem też w Legii, bo nie mogłem. Trenowałem z pierwszym zespołem Legii i występowałem w sparingach. W podobnej sytuacji znajdował się Jarek Araszkiwicz, dwa lata młodszy ode mnie kolejny nowy nabytek Legii, tyle że nie z wyboru, lecz z powołania – do wojska, ma się rozumieć. Z jakichś powodów Legia nie mogła się dogadać z jego dotychczasowym klubem, Lechem Poznań.

Jeden z meczów sparingowych graliśmy z Ząbkowią, na bocznym boisku przy Łazienkowskiej. Nie mam pojęcia dlaczego – naprawdę bardzo rzadko zdarzało mi się coś takiego – ale wyszedłem z szatni z jakimś idiotycznym przeświadczeniem o własnej wielkości i od samego początku robiłem wszystko, żeby ośmieszyć przeciwników najbardziej wymyślnymi zwodami i sztuczkami technicznymi, na jakie było mnie stać. Ponieważ nawet w „normalne” dni zawsze przejawiałem skłonności do gry indywidualnej, w takiej wynaturzonej wersji moje poczynania na boisku musiały wyglądać po prostu karykaturalnie. Oprzytomniałem po piątej czy szóstej bezpardonowej „kosie”, jaką zafundowali mi piłkarze Ząbkowii; widząc, co się dzieje, postanowili za wszelką cenę pokazać zarozumiałemu młokosowi, gdzie jego miejsce i dać mu nauczkę, żeby zapamiętał na zawsze, że nigdy, pod żadnym pozorem, nie wolno okazywać przeciwnikowi lekceważenia ani wyższości. Ta lekcja, którą odebrałem na początku jednego z najlepszych okresów w całej mojej karierze, na długo zapadła mi w pamięć.

O debiucie w meczu z Bałtykiem Gdynia piszę dość obszernie w innym miejscu, tutaj więc wspomnę tylko półzartem, że od tego spotkania nad kryjącym mnie Mieczysławem Gierszewskim i bramkarzem Andrzejem Czyżniewskim zawisło fatum; za każdym razem, kiedy

graliśmy przeciwko sobie, strzelałem im bramkę. A sam mecz? Cóż, czy można sobie wyobrazić lepszy debiut niż taki, w którym w osiemdziesiątej dziewiątej minucie spotkania, na wypełnionym prawie po brzegi stadionie, strzela się pięknego zwycięskiego gola? Z perspektywy czasu mogę chyba stwierdzić, że był to punkt kulminacyjny bardzo dobrego dla mnie roku, kto wie, czy nie jednego z najlepszych w mojej karierze. Potwierdziły to wyniki organizowanego przez „Przegląd Sportowy” plebiscytu na najlepszego sportowca Polski; zająłem w nim siódme miejsce, tylko oczko niżej od Zbyszka Bońka.

Wielu legionistów znałem dobrze jeszcze z czasów gry w Gwardii i w reprezentacji Polski juniorów i seniorów: Andrzej Sikorski, Darek Wdowczyk, Darek Kubicki, Zbyszek Kaczmarek, Jacek Kazimierski, Andrzej Buncol, Kazimierz Buda... To wszystko byli jeśli nie przyjaciele lub koledzy, to na pewno znajomi z boiska, miałem więc ten spory komfort, że nie znalazłem się w obcym otoczeniu. Po dwóch sezonach w Widzewie zyskałem chyba opinię twardego człowieka, który nie da sobie w kaszę dmuchać i potrafi się postawić, nawet jeśli ma przeciwko sobie połączone siły kibiców i zawodników swojej drużyny. Nie było więc mowy o tym, żebym dał sobą pomiatać, a zresztą nie przypominam sobie, żeby ktokolwiek miał wobec mnie takie zamiary. Z drugiej strony, przyszedłem do zespołu o ogromnym potencjale, złożonym w znacznej części z wielokrotnych reprezentantów kraju, z piłkarzy doświadczonych oraz takich, którzy to doświadczenie szybko zdobywali, przekonanych o własnej wartości. Trzeba pamiętać, że wielu z nich grało w Legii nie z wyboru, ale z przymusu; z klubem nie łączyły ich żadne emocjonalne więzi, grali tylko dla siebie i dla pieniędzy, które dzięki tej grze zarabiali. Z ich punktu widzenia moje przyście, choć obiektywnie będące wzmocnieniem dla klubu, mogło stanowić zagrożenie dla ich pozycji w zespole. Może właśnie dlatego nie bratałem się ze wszystkimi i nie ze wszystkimi padaliśmy sobie w ramiona. Na pewno blisko kolegowałem się z Darkiem Wdowczykiem i Krzyśkiem Gawarą; z innymi widywałem się wyłącznie na treningach i meczach. Oczywiście sytuacja w niczym nie przypominała tej z Widzewa, kiedy do przyścia Mirka Jaworskiego byłem całkowicie wyobcowany z drużyny. W Legii istniało kilka „kółek towarzyskich” – do innego należał na przykład Zbyszek Kaczmarek, do innego Jacek Kazimierski, a do innego Janek Karaś – zatem to, że trzymam się trochę na uboczu i spotykam się w wolnym czasie zaledwie z paroma kolegami z zespołu, w gruncie rzeczy nikogo za bardzo nie obchodziło.

Kto wie, czy w sezonie 1985/1986 i w kolejnych Legia nie osiągnęłaby znacznie więcej, gdyby opiekował się nią szkoleniowiec potrafiący – i chcący – wejść głębiej w relacje między zawodnikami, łagodzić konflikty i pomagać w tworzeniu pozytywnych relacji. Klubem kierowali nie menedżerowie, lecz wysocy rangą wojskowi, którym wydawało się, że wystarczy wyznaczyć cel i wydać rozkaz, a reszta dokona się sama. Tym większe było pole do popisu dla charyzmatycznego szkoleniowca, który zdołałby przemówić do piłkarzy językiem nie tylko dla nich zrozumiałym, ale takim, którego chcieliby słuchać. Trener Engel był – i jest – człowiekiem bardzo inteligentnym, na poziomie, naprawdę dobrym fachowcem, który gdyby robił tyle, ile mówił, to osiągnęłaby jako szkoleniowiec znacznie więcej i być może jeszcze dzisiaj odnosiłby sukcesy, jeśli nie z reprezentacją, to na pewno z drużynami klubowymi. Niestety, nie angażował się do końca, nie oddawał się całą duszą swemu zajęciu, zbyt dużo uwagi zaprzętały mu pozapiłkarskie sprawy. Z zespołem porozumiewał się za pośrednictwem dość wąskiej „rady starszych”, którą sam sobie wyznaczył, a do której próbowali podłączyć

się inni. Nie potrafił wykrzesać z nas ekstraskry, nie potrafił nas przekonać, że razem jesteśmy czymś więcej niż sumą jednostek.

W tym pierwszym sezonie w Legii grało mi się naprawdę dobrze, choć – o ironio! – w przeciwieństwie do obu sezonów spędzonych w Widzewie wcale nie byłem najskuteczniejszym strzelcem drużyny (w tej klasyfikacji wyprzedził mnie Jarek Araszkiwicz). Co prawda w rundzie jesiennej nie wystąpiłem w wyjazdowym spotkaniu z Widzewem, bo taki zapis widniał w umowie między klubami, przegranym przez nas 1:3, za to już dwa dni później, 9 października, zagrałem w zwycięskim dla Legii meczu 1/8 finału Pucharu Polski, a naprawdę słodkie chwile przeżyłem wiosną przy Łazienkowskiej, strzelając widzowiakom dwa gole w wygranym 3:0 meczu. Chyba jednak najprzyjemniejsze wspomnienia wiążą się z występami w Pucharze UEFA. Odpadliśmy w trzeciej rundzie z Interem Mediolan, po bezbramkowym remisie na wyjeździe i jednobramkowej porażce u siebie, wcześniej eliminując norweski Viking Stavanger i węgierski Videoton Szekesfehervar. Mecze z Interem starsi i średni wiekiem kibice Legii wspominają do dzisiaj. Zmobilizowani klasą przeciwnika naprawdę wznieśliśmy się w nich na szczyty naszych piłkarskich umiejętności; niestety, okazało się, że to trochę za mało. Zespołowi pozostała satysfakcja z pokonania solidnych Norwegów i naprawdę mocnych Węgrów (w poprzednim sezonie Videoton dotarł aż do finału tych rozgrywek, ulegając w dwumeczu nie byle komu, bo Realowi Madryt), mnie zaś radość z pierwszego gola strzelonego Vikingowi w wygranym 3:0 meczu przy Łazienkowskiej i z wyrównującej, a dającej nam awans, bramki przeciwko Videotonowi, którą zdobyłem w siedemdziesiątej piątej minucie meczu także rozgrywanego w Warszawie. O tych spotkaniach piszę obszerniej w rozdziale *Złota księga*, poświęconym meczom, które z różnych powodów najmocniej wryły mi się w pamięć i do których najczęściej wracam wspomnieniami.

Nie mam pojęcia, jakim cudem udało nam się nie zdobyć mistrzostwa Polski... To znaczy: mam na ten temat swoje zdanie, ale wciąż, mimo upływu prawie trzydziestu lat, nie mogę otrząsnąć się ze zdumienia. Dość wyraźnie, bo o cztery punkty, przegraliśmy z Górnikiem Zabrze i zaledwie o punkt wyprzedziliśmy Widzew. Na cztery mecze przed końcem sezonu wszystko jeszcze wyglądało obiecująco: po zwycięstwie 3:0 z Widzewem (jak wspaniale smakowały dwa gole, które strzeliłem...) jako lider pierwszej ligi pojechaliśmy na mecz do Zabrza... i tyleż niespodziewanie, co zasłużenie, przegraliśmy 0:3. Byłem jednym z najsłabszych zawodników na boisku, kryjący mnie Waldek Matysik dosłownie „przykrył mnie czapką”, a do tej pory zwykle to ja wychodziłem zwycięsko z naszych pojedynków. Naprawdę trudno było znaleźć racjonalne wyjaśnienie dla takiego nagłego spadku formy, pojawiły się rozmaite plotki i domysły, a wśród nich również takie, że kilku legionistów sprzedało mecz. Niemiły zapach wokół tego spotkania unosił się jeszcze przez kilka lat. Trudno mi wypowiadać się za innych, mogę więc jedynie ręczyć za to, że podejrzenia kierowane w moją stronę były całkowicie bezpodstawne, nie sądzę też, by którykolwiek z kolegów z premedytacją zrezygnował z mistrzowskiego tytułu, który był dosłownie na wyciągnięcie ręki. Wydaje mi się, że po prostu zabrakło nam determinacji i być może po wysokiej wygranej z Widzewem za bardzo uwierzyliśmy w to, że już nic złego nie może nas spotkać, a sztab szkoleniowy nie potrafił wybić nam z głów niebezpiecznego samozadowolenia i natchnąć bojowym duchem, który pozwoliłby nam dowieźć prowadzenie



w tabeli do końca sezonu. Górnik – wręcz przeciwnie. Prowadzony przez Huberta Kostkę, jednego z największych zamordystów wśród polskich trenerów ligowych, walczył z zapałem i poświęceniem, jakiego my nie potrafiliśmy z siebie wykrzesać. Tak myślę, choć nie ukrywam, że głęboko w sercu pozostał mi cień wątpliwości. Choć minęło już tyle lat, bardzo chciałbym się dowiedzieć, jak było naprawdę – chociażby po to, aby zrozumieć przyczynę naszego niepowodzenia. Jakkolwiek wyglądała prawda, po tym meczu całkowicie uszło z nas powietrze, mało istotne do tej pory lub skrywane animozje i wzajemne pretensje błyskawicznie urosły do rangi poważnych problemów, przegraliśmy jeszcze jeden mecz, z Zagłębiem Sosnowiec, i było pozamiatane.

Prawdziwa katastrofa nastąpiła jednak w kolejnym sezonie, 1986/1987. Zaczęło się jak u Hitchcocka, od trzęsienia ziemi, ale potem napięcie zamiast narastać, już tylko spadało, przybierały natomiast na sile zniechęcenie, nerwowość i rozgoryczenie. Tym trzęsieniem ziemi była klęska 2:5 na wyjeździe z GKS Katowice. Była to druga kolejka spotkań, ale dla nas pierwszy mecz w sezonie, ten z pierwszej kolejki bowiem, z ŁKS, z powodu naszych występów w Pucharze UEFA został przełożony na późniejszy termin. Potem przez chwilę było trochę lepiej, bo zaliczyliśmy zwycięstwa nad Polonią Bytom i Śląskiem Wrocław, ale tylko przez chwilę, niestety. Szło nam jak po grudzie, żaden z nas nie potrafił pokazać pełni swoich umiejętności. Sztab szkoleniowy, szukając wytłumaczenia, wytypował mnie na kozła ofiarnego i po zakończeniu rozgrywek zostałem zawieszony na trzy miesiące. Oto fragmenty komunikatu w tej sprawie przekazanego prasie przez zarząd CWKS Legia Warszawa (cytuję za „Przełęcz Sportową” z 11 czerwca 1987 roku):

„[...]prezydium zarządu wysłuchało ocen i wniosków kierownictwa zarządu sekcji piłki nożnej oraz szkoleniowców i kierownika drużyny. Na tej podstawie stwierdzono, iż w działalności sekcji oraz pracy szkoleniowo-organizacyjnej i wychowawczej zaistniało wiele niedociągnięć w kształtowaniu wysokich kwalifikacji sportowych, zwłaszcza przez reprezentantów Polski. [...] Uznano, że zdecydowana większość graczy właściwie wypełnia swoje obowiązki, ale zarazem stwierdzono, iż niektórzy zawodnicy – mający szczególne predyspozycje wpływania na atmosferę, postawę drużyny i uzyskiwane przez nią wyniki – nie spełnili tego zadania lub wręcz zaniedbywali swoje sportowe obowiązki. Co gorzej, na wielokrotnie zwracane im uwagi nie reagowali, a ich postawa nie uległa pozytywnym przemianom. W tym stanie rzeczy prezydium zarządu CWKS Legia uznało za konieczne radykalne przeciwdziałanie tym zjawiskom, postanawiając wyciągnąć sankcje dyscyplinarne w stosunku do:

– Dariusza Dziekanowskiego za: niesportowy tryb życia i naruszenie zasad współżycia społecznego w stosunku do kadry szkoleniowej i zawodników; niedopełnienie oraz niedbałe wykonywanie obowiązków zawodnika określonych w statucie klubu i w oparciu o paragraf 13 (ust. 1 i 3) regulaminu dyscyplinarnego PZPN ukarać go trzymiesięczną dyskwalifikacją”.

Kara – choć znacznie mniej dotkliwa – spotkała jeszcze Tomka Arceusza. Nie ukrywam, że był to dla mnie szok. Zareagowałem furją, wściekłością i niedowierzaniem. Kiedy teraz analizuję tamte wydarzenia na chłodno, z perspektywy kilkadziesiąt lat, widzę co najmniej kilka przyczyn, które doprowadziły do tej sytuacji. Przede wszystkim znowu zadziało coś, co nazywam wielkim niedosytem, czyli ogromne oczekiwania szefostwa klubu, trenerów i kolegów wobec mnie. Na pewno niebezpieczne – nie jest przecież żadną tajemnicą, że

zawodnicy, na których najbardziej się liczy, zazwyczaj dostają najmocniej po głowie za brak sukcesu. Wówczas zaliczano mnie do grona najbardziej utalentowanych i chyba po prostu najlepszych piłkarzy w kraju, co często wiązało się nie z życzliwością i podkreślaniem zasług lub sukcesów, lecz z wychwytywaniem wszystkich uchybień, niedociągnięć i potknięć, i rozdmuchiwaniem ich do niewyobrażalnych rozmiarów. Żaden sportowiec nie jest w stanie bez przerwy utrzymywać się w najwyższej dyspozycji, kiedy więc po w sumie bardzo dla mnie udanym pierwszym sezonie w barwach Legii przyszła obniżka formy, natychmiast znaleźli się tacy, którzy skwapliwie to podkreślali.

Inną sprawą, która z pewnością nie pomagała mi w prezentowaniu na boisku wszystkich umiejętności, były problemy osobiste. Tak jakoś miałem w życiu, że zawsze wtedy, kiedy w kwestiach sportowych – czyli tak naprawdę zawodowych – zaczynało mi się wieść dobrze albo nawet znakomicie, coś waliło mi się w życiu prywatnym. Tym razem zaważyło mi się wyjątkowo paskudnie, miotałem się jak zwierzę w klatce, po głowie tłukły mi się naprawdę niewesołe myśli. Skumulowane błędy młodości i – wciąż jeszcze – niewystarczająca dojrzałość emocjonalna przygniotły mnie ciężarem, z którym nie potrafiłem sobie poradzić. Obciążające mnie problemy musiały niekorzystnie odbić się przede wszystkim na moim stanie psychicznym, a przecież wiadomo, że w grze najważniejsza jest głowa.

Nieoficjalnymi kanałami – konkretnie od bliskiego mi Jurka Helmana, ówczesnego członka zarządu Legii – dotarła do mnie informacja, że głównym argumentem trenera Engela, na którego wniosek zarząd klubu ukarał mnie trzymiesięcznym zawieszeniem, było to, że mam jakoby zbyt wielkie ego. Hm... Mogę się tylko domyślać, że chodziło mu nie o moje boiskowe poczynania, bo tu – poza oczywistą dla dość dobrze wyszkolonego technicznie zawodnika skłonnością do gry indywidualnej – nawet najmniej życzliwy obserwator nie doszukałby się żadnych przejawów wywyższania się czy arogancji. Zapewne miał na myśli całą resztę, czyli moją niezbyt głęboką integrację z zespołem. Rzeczywiście, nie sposób było nazwać mnie duszą towarzystwa, nie kumpłowałem się z każdym, nie imprezowałem ze wszystkimi, którzy akurat mieli ochotę się zabawić, nie dzieliłem się szczegółami mojego życia prywatnego i nie byłem zainteresowany wysłuchiwaniami zakrapianych – albo nie – opowieści o prywatnym życiu kolegów. Nie starałem się też zawsze i w każdej sytuacji mieć coś do powiedzenia na dowolny temat, nie spieszyłem się z ocenianiem występów innych zawodników, nie skakałem do oczu każdemu, kto miał coś złego do powiedzenia na mój temat. A co najważniejsze – nie podejmowałem rozmów z szefostwem klubu na temat słabszej gry i kondycji naszej drużyny.

I to był mój błąd.

W grze zespołowej, jaką jest piłka nożna, nie da się funkcjonować w oderwaniu od mikrospołeczności, jaką tworzy zespół. Tak jak w prawdziwym „dużym” społeczeństwie, tak samo tam tworzą się i rozpadają sojusze, nawiązują się i kończą sympatie, cały czas trwa jakaś interakcja. Ktoś, kto choćby z najlepszych pobudek chce tylko grać, nie ma zaś zamiaru uczestniczyć w pozaboiskowym funkcjonowaniu drużyny, prędzej czy później musi się stać obiektem niechęci i podejrzeń o zarozumiałstwo – nawet jeżeli, a raczej zwłaszcza jeśli w jakiś sposób wyróżnia się pod względem piłkarskim. Była to już trzecia taka lekcja, jaką odebrałem w trakcie wcale nie jakoś oszałamiająco długiej kariery; wszystko wskazywało jednak na to, że w dziedzinie zachowań społecznych byłem wyjątkowo opornym uczniem. Już w Gwardii, chociaż w wieku niespełna dwudziestu lat zostałem kapitanem, na pewno nie

byłem „ojcem drużyny”, który wnika we wszystkie problemy i próbuje znaleźć ich rozwiązanie. O Widzewie nie ma nawet co wspominać. W Legii, dopóki grałem dobrze albo nawet bardzo dobrze, wszystko było w porządku; wystarczyło jednak kilka słabszych spotkań, żebym z tolerowanego indywiduum zamienił się w czarnego luda odpowiedzialnego jeśli nie za całe zło tego świata, to przynajmniej za kiepską grę drużyny. Oczywiście nikt nie pluł mi do zupy, nie udawał, że mnie nie dostrzega, na mój widok nie milkły rozmowy w szatni i nikt nie wytykał mnie palcem, ale atmosfera z pewnością nie była najlepsza. I znowu, podobnie jak w Widzewie, pojawia się kwestia trenera; rolą szkoleniowca jest bowiem orientowanie się, co jest grane zarówno w drużynie, jak i w głowie każdego zawodnika, i dla dobra zespołu podejmowanie interwencji, rozmów ze wszystkimi zainteresowanymi stronami. Byliśmy przecież młodymi ludźmi, a ktoś z autorytetem mógł wpływać na nasze działania i postawy, może ja podjąłbym wysiłek, żeby coś zmienić w moim postępowaniu, może koledzy zrozumieliby, że moje zachowanie nie jest przejawem buty i zarozumiałstwa... Niestety, trener Engel skwapliwie skorzystał z okazji, żeby zepchnąć na moje barki przynajmniej część odpowiedzialności za niepowodzenia drużyny, dołączył do chóru krytyków, a nawet został jego dyrygentem. Dziś chyba nawet jakoś bardzo mu się nie dziwię, ale żal na pewno pozostał.

Wtedy, ma się rozumieć, nie mogło być mowy ani o żadnych pogłębionych analizach psychologicznych, ani o uczuciach tak łagodnych jak żal. Byłem po prostu koszmarnie, ale to koszmarnie wkurzony. Zawieszenie dotyczyło występów w oficjalnych meczach pierwszej drużyny (z pominięciem przerwy letniej, czyli obejmowało także kilka początkowych kolejek nowego sezonu), nie obejmowało natomiast oczywiście udziału w treningach. Z zaciśniętymi zębami wykonywałem wszystkie polecenia – miałem przynajmniej tyle rozumu w głowie, żeby zdawać sobie sprawę, że jakakolwiek niesubordynacja może zaowocować znacznie poważniejszymi konsekwencjami – ale przestałem odzywać się do trenera Jerzego Engela, wszem i wobec okazując swoje oburzenie (dziś włos jeży mi się na głowie na samą myśl o tym, że jako trener miałbym pracować z takim zawodnikiem, jakim ja byłem wtedy). Naprawdę nie wiem, jakim cudem udało mi się to przeżyć... Już mniej więcej po miesiącu kierownik drużyny Kazimierz Orłowski zaczął mnie podpytywać, czy nie byłbym skłonny skierować do zarządu klubu pisma z prośbą o skrócenie kary. Odpowiedziałem mu uprzejmie (to był bardzo miły człowiek), że owszem, pod warunkiem że zarząd sam do siebie napisze taką prośbę, a następnie podpisze ją w moim imieniu... Kiedy teraz to wspominam, rumienię się ze wstydu i z dużym współczuciem myślę o ludziach, którzy musieli współpracować z delikwentem o tak niewyrafinowanym – delikatnie mówiąc – sposobie myślenia.

Nie po raz pierwszy – i nie ostatni, niestety – boleśnie odczułem konsekwencje nieumiejętności stuprocentowego angażowania się w życie drużyny. Nie wiem, z czego to wynikało – może z tego, że byłem jedynakiem, a może z tego, że nie potrafiłem zadbać o to, by w jasny i wyraźny sposób pokazać otoczeniu moje intencje, oraz o to, by na bieżąco odbierać i reagować na sygnały świadczące o tym, jak moje intencje – i czyny – są odbierane. Żyjąc w czarno-białym świecie (dziś powiedzielibyśmy: zerojedynkowym) nie dbałem o niuansy i odcienie. Skupiałem się na tym, żeby jak najlepiej robić to, co kochałem; innych postrzegałem albo jako wrogów, albo jako przyjaciół i z całą pewnością wszystkim, niezależnie od tego, jak ich zaszeregotałem, nie poświęcałem tyle uwagi, ile powinienem.

O tym, jak po mistrzowsku potrafiłem zrażać do siebie ludzi i jak mało zastanawiałem się

nad tym, w jaki sposób mogą odebrać to, co mówię i robię, doskonale świadczy takie oto drobne wydarzenie z okresu, kiedy Legię prowadził Andrzej Strelau. Z powodu koszmarnego korka spowodowanego przez poważny wypadek spóźniłem się dziesięć minut na odprawę przedmeczową i jak gdyby nigdy nic, usiadłem na ławce. Trener Strelau zaczął już przemowę, siłą rzeczy więc, kiedy wszedłem do sali, przerwał i zapytał, co się stało. „Cieszcie się, że w ogóle przyjechałem”, rzuciłem jakby nigdy nic. W sali zapadła cisza jak makiem zasiał. Jak tylko trener ochłonął, wziął mnie na bok i przejechał się po mnie od góry do dołu i z powrotem, chociaż ja naprawdę nie miałem niczego złego na myśli! Chodziło mi wyłącznie o to, że gdyby korek był jeszcze większy albo gdybym to ja uczestniczył w tym wypadku, mógłbym w ogóle nie dotrzeć na stadion, ale moja wypowiedź została zinterpretowana jako kolejny dowód niesłuchanej arogancji i lekceważenia kolegów z drużyny... Dodam, że trener Strelau do dziś, przy każdym spotkaniu, powtarza mojej partnerce życiowej, że dobry ze mnie chłopak, ale profilaktycznie powinna mnie bić dwa razy w tygodniu.

Mniej więcej właśnie wtedy nadarzyła mi się okazja do zmiany barw klubowych. Praprzączyną było wcześniejsze odejście Andrzeja Buncola do FC Homburg, a następnie jego przejście do Bayeru Leverkusen. Trener Erich Ribbeck wpadł na pomysł, żebym dołączył do Andrzeja i żebyśmy tworzyli we dwóch ofensywną „żądło” drużyny. Przyjechał nawet do Warszawy w towarzystwie Reiner Calmunda, znanego niemieckiego menedżera i działacza piłkarskiego, charakteryzującego się lśniąca łyściną i gigantyczną tuszą. Osobą „spinającą” deal, czyli kimś w rodzaju pośrednika, był Tomasz Cybulski, który przekazał mi informację o zainteresowaniu niemieckiej drużyny moją osobą. Jak już wspominałem, nie były to dobre ani łatwe czasy na załatwianie takich spraw, zwłaszcza w klubach wojskowych i milicyjnych. Każdy każdemu patrzył na ręce, łańcuch decyzyjny był koszmarne długi, klubom zaś średnio zależało na sprzedaży zawodników, ponieważ kwoty transferowe były przeliczane po oficjalnym, zaniżonym kursie, a do tego trzeba było odprowadzać ogromny haracz do Centralnego Ośrodka Sportu, który nadzorował wszystkie transakcje. W związku z tym chętnych do rozmowy z Ribbeckiem, Calmundem i Cybulskim było brak; w końcu ten nieprzyjemny obowiązek spoczął na barkach pułkownika Lasoty. Nie muszę chyba dodawać, że ten miły skądinąd człowiek nie miał pełnomocnictw do podejmowania żadnych decyzji. Spotkaliśmy się w piątkę – Lasota, Cybulski, dwaj Niemcy i ja – w maleńkim pokoiku z wielką kasą pancerną w kącie. Wspominam o niej, ponieważ miała odegrać istotną rolę w dalszym biegu wydarzeń. Po wymianie wstępnych uprzejmości pan Cybulski poinformował pułkownika Lasotę, że Bayer Leverkusen chciałby złożyć Legii ofertę dotyczącą Dariusza Dziekanowskiego, ale zanim zdążył przejść do szczegółów, rozległ się donośny trzask, krzesło, na którym siedział Reiner Calmund rozpadło się na kawałki i potężny Niemiec runął na podłogę, uderzając głową w kasę pancerną. Mocno oszołomiony, miał spore kłopoty z podniesieniem się na nogi. Wybuchło zamieszanie, posypały się przeprosiny i wyjaśnienia, po dłuższym czasie przyniesiono nowe krzesło. Ktoś przesądny mógłby uznać, że to zły omen dla rozpoczynających się negocjacji... i miałyby całkowitą słuszność. Bayer zaproponował za mnie dwa miliony marek, ale pułkownik Lasota nie wyraził – bo nie mógł wyrazić – zainteresowania. Inaczej było ze mną; mój kontrakt miał opiewać na ponad milion marek rocznie, co jak na nasze ówczesne warunki było kwotą wręcz astronomiczną, a i na rynku niemieckim nie do pogardzenia, ponieważ takie zarobki ulokowałyby mnie w ścisłej czołówce

najlepiej opłacanych zawodników Bundesligi. W przeciwieństwie do moich pracodawców byłem zainteresowany ofertą, i to nawet bardzo. Niemcy też nie chcieli się łatwo poddać. Później kilkakrotnie kontaktowali się ze mną już bez wiedzy i pośrednictwa klubu, proponując wyjazd bez zgody Legii i władz PZPN, aż wreszcie w październiku 1987 roku, po przegranym przez naszą reprezentację 1:3 meczu z Czechosłowacją, Cybulski i Calmund zjawili się w hotelu, czekając na moją ostateczną decyzję. Gdybym wtedy wszedł z nimi do samochodu i wyjechał do Niemiec, spotkałaby mnie zapewne dożywotnia dyskwalifikacja i już nigdy – a przynajmniej w tamtej politycznej rzeczywistości – nie tylko nie zagrałbym w reprezentacji Polski, ale zapewne nie mógłbym przyjechać do kraju. Nie wszedłem i nie wyjechałem. Bez wątplenia był to jeden z punktów zwrotnych w mojej karierze; o nim, a także o kilku innych, piszę obszerniej w rozdziale *Bristol i co by było, gdyby...*

Do gry wróciłem ostatecznie na początku następnego sezonu. Nie napisałem odwołania, klub sam skrócił mi zawieszenie, ale atmosfera wokół mnie nie była już tak dobra – albo przynajmniej neutralna – jak przed tą aferą. Oferty transferowe ciągle napływały, choć już nie tak lukratywne jak ta z Leverkusen. Najbardziej zainteresowany moją osobą wydawał się Eintracht Frankfurt. Trener tej drużyny chyba przez miesiąc przylatywał nie tylko na nasze mecze, lecz także na niektóre treningi, aż wreszcie we wrześniu 1988 roku otrzymałem zgodę na wyjazd na tygodniowe testy do Frankfurtu. Pech chciał, że w trakcie mojego pięciodniowego pobytu w Niemczech zmienił się trener Eintrachtu; Karlheinz Feldkamp zastąpił Pal Csernai, a nowy szkoleniowiec przyleciał na pierwszy mecz Legii po moim powrocie z testów. Graliśmy u siebie z GKS Katowice. To był chyba jeden z najgorszych, jeśli nie najgorszy mecz w mojej karierze. Trener Strelau wystawił mnie na środku pomocy, a krył mnie indywidualnie Janusz Nawrocki. To był dla mnie prawdziwy koszmar. Nie wiem, czy w trakcie całego spotkania udało mi się wygrać choć jeden pojedynek z Januszem. Nie działały żadne zwody, zawsze zdążył wystawić nogę i zablokować piłkę, był wszędzie tam, gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa nie powinno go być. Nigdy wcześniej i nigdy później nikomu nie udało się tak całkowicie wyłączyć mnie z gry. Spotkanie zasłużyło przegraliśmy 0:2 (Janusz swoją doskonałą grę podkreślił zdobyciem bramki), a temat mojego przejścia do Eintrachtu przestał istnieć. Szkoda, bo było naprawdę blisko. W trakcie mojego krótkiego pobytu we Frankfurcie działacze klubowi pokazywali mi nawet dom, w którym miałbym zamieszkać. Jego poprzednim lokatorem był słynny węgierski napastnik Lajos Detari, który z początkiem nowego sezonu przeniósł się do Olympiakosu Pireus, dostałem też do dyspozycji nowiutkie bmw 318. Tak zwykle bywa, że każdy nowy szkoleniowiec stara się na początku pracy zaakcentować różnice dzielące go od poprzedniego trenera, w tym także dotyczące transferów. Być może nie pasowałem do koncepcji trenera Csernaia, choć bardziej prawdopodobne wydaje mi się, że widząc, z jak dziecinną łatwością radzi sobie ze mną niezbyt rośły pomocnik GKS, uznał, że po prostu nie warto zawracać sobie głowy takim słabeuszem. Gdybym podszedł do sprawy spokojnie i po dwóch–trzech nieudanych próbach ogrania przeciwnika zaczął szybciej pozbywać się piłki, odgrywając ją do kolegów, może sytuacja rozwinęłaby się inaczej, ale zgubiły mnie źle pojmowana ambicja i chęć udowodnienia za wszelką cenę, kto jest lepszy. Tak się dla mnie niefortunnie złożyło, że akurat tego dnia zdecydowanie lepszy był Janusz.

Byłem już na tyle doświadczonego zawodnikiem, żeby zdawać sobie sprawę z tego, że

rzeczywiście niezbyt dobrze mi idzie. W związku z tym podczas przerwy zimowej w sezonie 1988/89 nigdzie nie wyjechałem, tylko niemal codziennie przyjeżdżałem na Łazienkowską i wieczorami trenowałem indywidualnie w sali pod główną trybuną, w której zawsze rozgrzewaliśmy się przed meczami. Żeby się tam dostać, musiałem pobrać klucze z wartowni, która mieściła się przy kasach od strony trybuny krytej. Któregoś dnia zapomniałem zabrać butów do treningu, poprosiłem więc wartownika – akurat tego dnia wartę pełnił nasz odbywający służbę wojskową masażysta – żeby otworzył mi magazyn ze sprzętem. Biedak na swoje nieszczęście spełnił moją prośbę. Nazajutrz magazynierka zauważyła naruszoną plombę (drzwi magazynu co wieczór były oficjalnie plombowane). Wybuchła straszna afera, ponieważ magazynierka zawiadomiła kierownictwo klubu, że zniknęła znaczna ilość sprzętu sportowego... Skończyło się na tym, że przeze mnie masażysta-wartownik trafił na tydzień do paki, a na mnie przez pewien czas patrzono jeszcze bardziej kosym okiem.

Okres mojej gry w Legii przypada na czasy ogólnego niedostatku wszystkiego. Puste półki sklepowe, horrendalne kolejki, listy społeczne... Jeżeli nawet w Centralnym Wojskowym Klubie Sportowym, cieszącym się szczególnymi względami ówczesnych władz, brakowało najbardziej podstawowych rzeczy takich jak proszek do prania – wiem, że trudno to sobie dziś wyobrazić, ale ręczniki po treningach nie były prane, tylko rozwieszane do wyschnięcia – to nie wyobrażam sobie, jak wyglądała sytuacja w gorzej „umocowanych” klubach. Jak wiadomo, niedostatek dóbr i brak możliwości dotarcia do nich w normalny sposób, czyli na przykład na prostej zasadzie „pieniądze za towar”, powoduje różne patologiczne zjawiska, takie jak na przykład korupcja. Co prawda nie doszło do tego, żebym musiał dawać magazynierce łapówkę za to, by wydała mi bardziej czysty (a przynajmniej mniej brudny...) ręcznik, ale pani Lucyna (razem z dwiema córkami od lat pracowała w klubie w pionie, nazwijmy to, magazynowo-sanitarnym) rozdzielała sprzęt według tylko sobie znanego klucza. Jej faworyci mogli liczyć na mniej cuchnące ręczniki i lepsze dresy, ci zaś, którzy z jakiegoś powodu popadli w niełaskę, musieli pogodzić się z koniecznością korzystania z najgorszego sprzętu.

Z takich specyficznych dla tamtych lat smaczków zapamiętałem jeszcze bar, mieszczący się po lewej stronie w budynku klubowym pod główną trybuną. Rządząca nim pani Basia cieszyła się nadzwyczajnym poważaniem nie tylko wśród nas, piłkarzy, ale także wśród kadry trenerskiej i pracowników klubu. Szacunek ów częściowo miał źródło w plotkach, jakoby panią Basię przez pewien czas łączyło z Kazimierzem Deyną coś więcej niż tylko praca w tym samym klubie, przede wszystkim wynikał jednak z faktu, że ta imponującej tuszy kobieta serwowała nóżki w galarecie i śledzie w occie; swoim ulubieńcom wydawała te specjały „spod lady”, pozostali zaś często musieli obejść się smakiem.

Do Legii wróciłem w rundzie jesiennej 1993 roku, po kilku latach spędzonych w Celticu Glasgow i Bristol City. Pierwszym trenerem już od ponad roku był Janusz Wójcik, jego asystentem zaś Paweł Janas. Sytuacja była, delikatnie mówiąc, dość dziwna, ponieważ zarząd klubu wyrażał zainteresowanie moimi usługami, trener Wójcik zaś jakby trochę mniej. Ze strony Legii rozmowy ze mną prowadzili panowie Andrzej Szymański i Artur Mazurek. Był to czas sporych zawirowań w polskiej piłce nożnej: po sukcesie na igrzyskach olimpijskich w Barcelonie, gdzie nasza reprezentacja olimpijska pod wodzą właśnie Janusza Wójcika zdobyła srebrny medal, trwała przepychanka we władzach PZPN oraz pseudopodjazdowa,

a w gruncie rzeczy otwarta i bezwzględna, walka o posadę selekcyjona kadry narodowej. Janusz Wójcik należał do jej najbardziej aktywnych uczestników. Argumentował, że mój powrót do zespołu może zburzyć jego koncepcję oraz przewrócić do góry nogami ustaloną już hierarchię w drużynie. Jednym z rzekomo najpoważniejszych problemów miało być to, kto będzie występował w koszulce z numerem dziesięć – ja czy pupil trenera, przejawiający takie same jak on upodobania trunkowe Wojtek Kowalczyk... Rozmowy przeciągały się, ich szybszemu postępowi nie sprzyjała także panująca wówczas w klubie atmosfera, zdecydowanie bardziej rozrywkowa niż sportowa. Gdyby za zjawienie się w pracy „na gazie” odbierano uprawnienia trenerskie i automatycznie dyskwalifikowano zawodników, to najdalej po tygodniu należałoby zawiesić działalność klubu, bo pozostałoby w nim najwyżej kilku piłkarzy i nie wiem, czy choć jeden szkoleniowiec – nawet jeśli tak, to żaden z tych najważniejszych. Kiedy wreszcie 25 września wybiegłem na boisko, tradycji stało się zadość: w ponownym debiucie w barwach Legii też strzeliłem gola, i to już w szóstej minucie meczu. Spotkanie (naszym przeciwnikiem był Zawisza) zakończyło się wynikiem 5:0, ale miałem nieodparte wrażenie, że ani bydgoszczanie nie są jakoś szczególnie przybici tym rezultatem, ani w Legii nikt się zanadto nie cieszy. Po kilkuletnim pobycie na Wyspach było to dla mnie czymś szokującym, ale w tamtych czasach tak jeszcze wyglądała rzeczywistość polskiego futbolu. Od nakręcenia *Piłkarskiego pokera* minęły przecież zaledwie cztery lata...

Trener Wójcik odznaczał się wyjątkowo niską kulturą osobistą, chwilami graniczącą wręcz z prostactwem, więc siłą rzeczy takie właśnie zachowania preferował w zespole. W tej atmosferze kilku zawodników czuło się niezbyt komfortowo, ale było sporo takich, którzy choćby myśleli sto lat, nie wymyśliliby dla siebie niczego lepszego. Pod koniec 1993 roku trener otrzymał jakąś propozycję zagraniczną, rozwiązał kontrakt z Legią i wyjechał. Jego następcą, nie tylko ku mojemu ogromnemu zdumieniu, został Paweł Janas, człowiek na pierwszy – a także na drugi i trzeci – rzut oka kompletnie pozbawiony jakiegokolwiek charyzmy, zdolności przywódczych czy nawet zdolności interpersonalnych. Paweł – z którym występowałem i w Legii, i w reprezentacji Polski – stanowi jednak doskonałe potwierdzenie słuszności twierdzenia, że nawet niezbyt wysokich lotów trener, mając w zespole zawodników dobrej klasy, może osiągać sukcesy; podczas swojej ponaddwuletniej pracy w charakterze szkoleniowca Legii doznał z nią na krajowych boiskach zaledwie dziesięciu porażek, w tym tylko jednej w Pucharze Polski, i doprowadził swoją drużynę do dwóch tytułów mistrzowskich oraz do jednego wicemistrzostwa kraju. Nie zmienia to w niczym mojej opinii, że nie jest człowiekiem stworzonym do tego, żeby przewodzić innym, ani takim, który ma własne zdanie i potrafi go skutecznie bronić.

Kontrakt miałem podpisany tylko do końca roku 1993, więc zaraz po zakończeniu rundy jesiennej zacząłem negocjować jego przedłużenie z ówczesnym prezesem Januszem Romanowskim i jego prawą ręką Markiem Polakowem. Wszystko było na właściwej drodze, udało się dogadać warunki – muszę przyznać, że bardzo dla mnie korzystne, gdyż podejrzewam, a nawet jestem pewien, że byłby to jeden z najwyższych kontraktów w polskiej lidze. Umówiliśmy się na podpisanie dokumentów po powrocie drużyny z tradycyjnego zimowego obozu treningowego w Zakopanem. Pasowało mi to, ponieważ w tym samym czasie dochodziły do mnie sygnały, że interesują się mną kluby z Japonii i Stanów Zjednoczonych; z oczywistych względów wyjazd do któregoś z tych krajów bardzo by mnie interesował, nie

chciałem więc jeszcze przez pewien czas mieć związanych rąk, aby móc błyskawicznie reagować na rozwój sytuacji.

Do Zakopanego wyjechaliśmy w połowie stycznia. Mieszkałem w pokoju z Maćkiem Szczęsnym. Z narastającym zdziwieniem obserwowaliśmy, jak dzień w dzień – a raczej wieczór w wieczór – dość liczna grupa zawodników oddaje się zajęciom, oględnie mówiąc, mającym niewiele wspólnego ze sportem. Dla mnie, po kilkuletnim pobycie w Szkocji i Anglii, było to tym bardziej szokujące, że tam po prostu nie ma możliwości, żeby w dzień powszedni jakikolwiek zawodnik – a co dopiero mówić o większej grupie – pozwolił sobie na coś więcej niż jedno małe piwo po treningu. Gdyby coś takiego się zdarzyło, konsekwencje ze strony kierownictwa drużyny byłyby natychmiastowe i bardzo poważne, tutaj tymczasem kadra szkoleniowa doskonale wiedziała, co się dzieje w niektórych pokojach i poza nimi, lecz w żaden sposób nie reagowała. Nie chcę stawiać się na piedestale ani przypinać sobie anielskich skrzydeł, bo raczej mało wiarygodnie bym w nich wyglądał, ale tak otwarte i bezczelne naruszanie wszelkich możliwych regulaminów i zasad naprawdę nie mieściło mi się w głowie. Drugim powodem, dla którego Maciek i ja nie uczestniczyliśmy w nocnych libacjach, było to, że najzwyczajniej w świecie nie mieliśmy na to najmniejszej ochoty. W ten sposób minął pierwszy tydzień i nadszedł weekend. Spojrzeliśmy na siebie z Maćkiem: skoro tamtym wolno codziennie, to chyba nic się nie stanie, jeśli my zaszalejemy od święta? Na Wyspach było tak, że klub nie wnikał w to, co zawodnik robi – zwłaszcza po wygranym meczu – w sobotni wieczór. W tym czasie przestawał obowiązywać zaostrożony sportowy rygor, piłkarz był przez kilka godzin zwyczajnym człowiekiem, którego dotyczyły standardowe zasady współżycia społecznego, i jak długo wypoczęty i pełen sił stawiał się na poniedziałkowy trening, tak długo klubowi nic było do tego, co wcześniej robił. W sobotni wieczór ruszyliśmy więc we dwóch na zwiedzanie stolicy polskich Tatr i około trzeciej nad ranem w niedzielę, w stanie wskazującym wróciliśmy do hotelu. Czekala tam na nas niespodzianka w postaci komitetu powitalnego złożonego z niemal całego kierownictwa drużyny.

Po śniadaniu trener Janas zwołał nadzwyczajną odprawę, na której oznajmił, że minionej nocy dwaj zawodnicy Maciek Szczęsny i Darek Dziekanowski rażąco naruszyli regulamin, w związku z czym Darek musi natychmiast opuścić zgrupowanie, Maciek zaś zostanie i będzie ukarany w inny sposób. Maciek zachował się bardzo fair: natychmiast wstał i zapytał, dlaczego za identyczne wykroczenie spotykają nas różne kary, lecz nie uzyskał żadnej sensownej odpowiedzi.

Byłem przekonany, że wyrzucenie z obozu treningowego stanowi wstęp do zerwania ustnej umowy dotyczącej nowego kontraktu, postanowiłem więc uprzedzić rozwój wypadków i zaraz po powrocie do Warszawy pojechałem na Łazienkowską, żeby zdać sprzęt i poinformować władze klubu, że nie jestem zainteresowany dalszą współpracą. Jakież było moje zdziwienie, kiedy Artur Mazurek oznajmił mi, że jeśli zgodzę się na obniżenie o połowę już wynegocjowanego wynagrodzenia, to władze klubu nie widzą przeciwwskazań, aby kontynuować naszą współpracę i podpiszą ze mną roczny, jeśli mnie pamięć nie myli, kontrakt. Odparłem, że ponieważ moja wina nie ulega wątpliwości, chętnie zapłacę regulaminową karę, ale nie widzę powodu, żeby godzić się na zmianę wcześniejszych ustaleń. I tak drogi moje i Legii ostatecznie się rozeszły.



Przyznam, że po tym wydarzeniu długo nie mogłem dojść do siebie. Moje przekonanie, że Legia jest solidną, poważną firmą, w której nie grożą mi żadne przykre niespodzianki, w której mogę czuć się pewnie i bezpiecznie, legło w gruzach. Przestępstwo, jakiego się dopuściłem – zwłaszcza w kontekście tego, co jeszcze całkiem niedawno działo się w zespole za czasów trenera Wójcika – moim zdaniem nie usprawiedliwiało takiego postępowania władz klubu. Do dzisiaj też mam żal do Pawła Janasa o „przysługę”, jaką mi wtedy wyświadczył; nie ulegało wątpliwości, że wykonywał polecenia zarządu klubu, wykazując się daleko posuniętą służalczością i prezentując nie tylko brak chęci pokazania własnego stanowiska, ale brak jakiegokolwiek stanowiska w ogóle. Tę jego cechę mogliśmy potem wielokrotnie obserwować w okresie, kiedy pełnił funkcję selektonera kadry narodowej. Ubolewam, że w taki sposób zakończyła się gra w moim ukochanym klubie.

# W szkocką kratę

Pierwszy sygnał o tym, że interesuje się mną Celtic Glasgow, otrzymałem w czerwcu 1989 roku od Romana Manuszewskiego, mieszkającego na stałe w Anglii Polaka, współpracującego z bardzo aktywnymi na tamtejszym rynku menedżerami: Jonem Smithem i Edwinem Benjaminem. Celtic znajdował się wtedy w nieciekawej sytuacji kadrowej, przynajmniej jeśli chodzi o formacje ofensywne: Maurice Johnston, który w latach 1984–1987 należał do gwiazd Celticu, wielokrotny reprezentant Szkocji, grający od dwóch lat we Francji, uzgodnił już wszystkie szczegóły oczekiwanego z utęsknieniem przez kibiców powrotnego transferu. Wystarczyło tylko podpisać kontrakt, kiedy nagle gruchnęła nieprawdopodobna wieść: Johnston podjął decyzję o przejściu do Rangersów, stając się w ten sposób pierwszym zdeklarowanym katolikiem, który związał się z tym klubem. (Był to szok nie tylko dla zwolenników Celticu; kilka tysięcy kibiców Glasgow Rangers wystosowało do klubu petycję z żądaniem wstrzymania transferu, grożąc, że jeśli do niego dojdzie, to przestaną przychodzić na mecze). O tej aferze rozpisywała się prasa – nie tylko sportowa – w całej Wielkiej Brytanii. Władze Celticu musiały jak najszybciej znaleźć kogoś, kto mógłby wypełnić lukę w ataku.

Wiedząc, jak do tej pory kończyły się próby pozyskania mnie przez kluby zagraniczne – nie dalej jak rok wcześniej Legia odrzuciła ofertę włoskiej Pescary, która dawała za mnie dwa miliony dolarów – początkowo podszedłem do sprawy dość sceptycznie. Okazało się jednak, że Manuszewski dobrze znał zasady rządzące polskim rynkiem transferowym, podobnie jak polskie realia końca lat osiemdziesiątych – przypuszczam, że głównie dlatego udało mu się nawiązać współpracę z angielskimi menedżerami – wiedział więc, że nie ma sensu tracić czasu na rozmowy w wojskowym klubie i od razu zapukał do drzwi COS, czyli Centralnego Ośrodka Sportu, kierowanego wówczas przez Stefana Machaja. Okazało się to genialnym posunięciem, ponieważ władze Legii, zwolnione z podejmowania decyzji, chętnie przystały na decyzję podjętą przez kogoś innego, i już w lipcu 1989 roku mogłem podpisać kontrakt z Celtikiem. Tradycji stało się zadość: podobnie jak z Widzewem, także z Legią pożegnałem się finałowym meczem o Puchar Polski. Dwudziestego czwartego czerwca w Olsztynie pokonaliśmy Jagiellonię Białystok 5:2. Roman Kosecki i ja strzeliliśmy po dwa gole, autorem piątego był Krzysztof Iwanicki. Zwycięstwo hucznie świętowaliśmy w rządowym ośrodku wypoczynkowym w Mierkach na Mazurach.

Celtic zapłacił Legii za mnie sporo poniżej miliona dolarów, czyli dużo mniej niż parę lat wcześniej oferowały inne kluby. Jeśli chodzi o indywidualne warunki kontraktu, to powiem tylko, że – licząc po kursie rynkowym – miałem zarabiać około dziesięciu razy więcej niż w Warszawie. Już po niespełna pół roku zażądałem zresztą znacznej podwyżki – i dostałem ją – zorientowałem się bowiem, że moje wynagrodzenie jest znacznie niższe niż wynikałoby z roli, jaką odgrywam w klubie i z tego, co swoją grą daję zespołowi. Włodarze klubu nie byli w ciemni bici, doskonale wiedzieli, jak ogromna przepaść dzieli zarobki w Polsce od tych

w Szkocji, spróbowali więc sporo zaoszczędzić, dając mi bardzo dużo w porównaniu z tym, co miałem w Legii, ale i tak znacznie mniej niż musieliby zapłacić na przykład komuś z Wysp.

Informację o podpisaniu przeze mnie kontraktu ze szkockim klubem podano 15 lipca 1989 roku w głównym wydaniu *Dziennika telewizyjnego*, czyli poprzednika *Wiadomości*. Na ekranie pokazywano bramkę, którą strzeliłem Włochom w listopadzie 1985 roku na Stadionie Śląskim, Włodzimierz Szaranowicz zaś odczytał następujący tekst: „Glasgow! Transfer Dariusza Dziekanowskiego sfinalizowany. Celtic kupił polskiego napastnika za 885 tysięcy dolarów. Menedżera Szkotów Billa McNeilla nie powstrzymała wątpliwa reputacja playboya naszego gracza. McNeill przyznał: »Brałem pod uwagę element ryzyka przy podpisywaniu kontraktu, ale wierzę, że po przystosowaniu ustabilizuje się i będzie grać jak pozostali gracze«. Oby tak, jak w pamiętnym meczu z Włochami”. Doprawdy trudno o lepszą rekomendację dla rodaka rozpoczynającego nowe sportowe życie w dalekim kraju...

Czternastego lipca 1989 poleciałem z Warszawy do Londynu, stamtąd zaś, w towarzystwie Romana Manuszewskiego i Jona Smitha, do Glasgow. Klubowy kierowca zabrał nas od razu do siedziby klubu, gdzie zostałem przedstawiony prezesowi, trenerowi i paru innym osobom ze sztabu szkoleniowego. Była akurat pora lunchu, więc w klubowej restauracji mogłem przywitać się także z piłkarzami. Odrobinę sztywna atmosfera szybko się rozluźniła, ponieważ podając zawodnikom rękę nad stołem (nie dało się go obejść), niechcący zanurzyłem krawat w czyimś talerzu z zupą, co oczywiście wywołało autentyczną wesołość moich nowych kolegów i, trochę wymuszoną, moją. Niektórych z nich dobry humor nie opuszczał zresztą ani na chwilę; wiedząc, że jestem zupełnie „świeży” i nie mam pojęcia o miejscowych obyczajach, wmówili mi, że nie wolno mi mieć na sobie niczego, co w jakikolwiek sposób mogłoby kojarzyć się z barwami naszych miejscowych arcyprzeciwników, Glasgow Rangers. Sprowadzało się to do tego, iż rzekomo nie powinienem nosić niczego granatowego. Pech sprawił, iż jedyna marynarka, jaką przywiozłem z Polski, była właśnie granatowa... Drugiego czy trzeciego dnia pobytu kupiłem więc sobie nową, w kolorze okropnej zgniłej zieleni, i z dumą pojechałem w niej do klubu. Muszę uczciwie przyznać, że nawet najmniej odporni wytrzymali dość długo, zanim parsknęli śmiechem i uświadomili mi, że zostałem bezlitośnie „wkręcony”. Zgniłozielona marynarka powędrowała na dno szafy, ja zaś z ulgą wróciłem do starej, granatowej. A skoro już o ubiorze mowa, to warto powiedzieć, że do klubu nie wolno było przychodzić w dżinsach. Dresy – proszę bardzo, ale nie dżinsy, a już na pewno nie w dni meczowe. Wtedy na stadion przyjeżdżaliśmy w klubowych garniturach. Dżinsy nie były też mile widziane na VIP-owskiej części trybun; każdy zawodnik dostawał dwa darmowe bilety na mecz, które dawały wstęp do specjalnego sektora dla gości honorowych, a także umożliwiały bezpłatne korzystanie z baru (płacić trzeba było tylko za szampana). Jeśli któryś z zaproszonych gości zjawił się w nieodpowiednim stroju, zawodnik był uprzejmie proszony o to, żeby albo następnym razem zwrócił uwagę swoim znajomym na zasady dotyczące ubioru, albo żeby zastanowił się nad tym, czy nie warto zaprosić kogoś innego.

Nie ukrywam, że sam widok stadionu Celticu wywarł na mnie duże wrażenie, mój podziw zaś wzrósł jeszcze bardziej, kiedy zapoznałem się z infrastrukturą klubu, jego organizacją, a przede wszystkim z ludźmi, którzy go tworzyli. Właśnie tak: tworzyli go, a nie tylko w nim pracowali. Uderzyło mnie przede wszystkim to, że nie ma tam osób sfrustrowanych, niezadowolonych ze swojej pozycji, niedowartościowanych i zawistnych. Być może wynikało

to z faktu, że każdego traktowano z szacunkiem, każdy wiedział, że na miarę swoich sił i możliwości uczestniczy w budowie wspólnego sukcesu, wszystkich zaś łączyło bezgraniczne oddanie klubowi oraz duma z tego, że są jego częścią. Obrazowo rzecz ujmując, Celtic dla tych ludzi był tym, czym Legia dla Lucjana Brychczego, a oni dla Celticu tym, czym Lucjan Brychczy dla Legii. Pensje – jak na tamtejsze standardy – nie były wysokie, ale nie pamiętam, żeby ktokolwiek z tego powodu zrezygnował z pracy. Kiedy miałem już własny dom, starsza pani zajmująca się utrzymaniem w czystości pomieszczeń klubowych – wiedziała, że mieszkam sam – zapytała, czy nie potrzebuję kogoś, kto od czasu do czasu by tam posprzątał, umył okna itp., bo jeśli tak, to ona chętnie się tym zajmie. Odpowiedziałem, że owszem, czemu nie, i zapytałem, ile sobie życzy za tę usługę. Jej oburzenie nie miało granic. „Ależ Jacki! Ja nie chcę żadnych pieniędzy! Ty tu grasz, trenujesz, nie masz czasu, jesteś jednym z najlepszych piłkarzy, chętnie to zrobię zupełnie za darmo!” Wielkoduszna propozycja tej miłej pani wynikała z poczucia więzi i przynależności do tej samej klubowej rodziny, i nie miało żadnego znaczenia, że ja w blasku jupiterów biegam po boisku, a ona sprząta szatnie. Oboje staraliśmy się jak najlepiej wykonywać naszą pracę, darzyliśmy się szacunkiem, więc ta propozycja wydawała jej się czymś całkowicie naturalnym. Ja mogłem się jej zrewanżować jedynie ofertą ewentualnego naprawienia samochodu syna albo kogoś innego z rodziny, ale po pierwsze – wątpię, czy po mojej „naprawie” ten samochód jeszcze kiedykolwiek ruszyłby z miejsca, a po drugie – pamiętałem o obietnicy, którą na koniec nauki w technikum samochodowym złożyłem jednej z nauczycielek... W związku z tym najczęściej wyrażałem swoją wdzięczność drobnymi upominkami: a to koszulką, a to proporczykiem, od czasu do czasu zaś darmowymi biletami na mecz. Nie ukrywam, że największą radość sprawiały właśnie bilety, naturalnie do strefy dla VIP-ów.

Trwała jeszcze przerwa między sezonami, wyjechaliśmy więc na dwutygodniowe zgrupowanie do Niemiec. Ku mojemu zdziwieniu po zakończeniu popołudniowego piątkowego treningu trener życzył nam dobrej zabawy, po czym przypomniał, że następnego dnia około dziewiątej spotykamy się na śniadaniu. Okazało się, że cała drużyna idzie „w miasto”. Na zgrupowaniu towarzyszyła nam całkiem liczna grupa szkockich dziennikarzy, na bieżąco relacjonujących przebieg treningów; nauczony przykrym doświadczeniem z kraju zapytałem klubowych wyjadaczy, czy to rozsądne, żebyśmy całą gromadą szli napić się niekoniecznie wody mineralnej czy coca-coli; popatrzyli na mnie ze zdziwieniem i wyjaśnili, że gdyby któregoś z nas zauważono przy piwie w tygodniu, to afera byłaby jak stąd do Gibraltaru, ale po uczciwie przepracowanych pięciu dniach mamy pełne prawo całkiem oficjalnie napić się czegoś mocniejszego, i nie tylko nie musimy kryć się z tym przed dziennikarzami, ale wręcz przeciwnie, weźmiemy ich ze sobą. Tak się stało, i choć odprężaliśmy się dość intensywnie – były śpiewy, było dużo piwa, jedyny problem zaś polegał na tym, że wpuszczono nas dopiero do trzeciej albo czwartej knajpy, właściciele bowiem brali nas za angielskich kibiców – to nazajutrz punktualnie o dziewiątej na śniadaniu karnie stawiała się cała drużyna i nikomu nawet przez myśl nie przeszło, żeby migać się od treningu. Nikt się nie chwalił, ile wypił, nikt nie narzekał na ból głowy, każdy tryskał energią i starał się pokazać światu, jaki jest mocny i że rwie się do pracy. I nie były to pozory: na treningach naprawdę wszyscy pracowali na sto procent, a nawet jeśli komuś zdarzyło się być w gorszej dyspozycji, to starał się to za wszelką cenę ukryć.

Przez pewien czas byłem w Celticu jedynym piłkarzem spoza Wysp, ale oprócz całkiem niewinnych żartów, których ofiarami padają „nowi” na każdej długości i szerokości geograficznej, nie spotkałem się z najmniejszymi oznakami lekceważenia ani dyskryminacji. Wręcz przeciwnie, ze względu na swoje dość egzotyczne pochodzenie budziłem życzliwe zainteresowanie i ciekawość, i wielokrotnie służyło mi bezinteresowną pomocą w przystosowaniu się do zupełnie nowych warunków. Ta życzliwość nie osłabła ani trochę nawet po pierwszym sparingowym meczu, który, muszę przyznać, był dla mnie dość frustrującym przeżyciem. Naturalnie uczestnicząc w treningach i zajęciach teoretycznych, nabrałem wyobrażenia o sposobie gry nie tylko naszego zespołu, ale tutejszych drużyn w ogóle. Co innego jednak wiedza teoretyczna, a co innego praktyka; przez kilkanaście minut po pierwszym gwizdku sędziego czułem się tak, jakbym stał na płycie lotniska; nad moją głową piłka przelatywała jak startujące i lądujące samoloty, ja zaś mogłem co najwyżej sobie na nią popatrzeć lub, ewentualnie, od czasu do czasu jej pomachać. Billy McNeill łapał się za głowę i pewnie zastanawiał się, czy można jeszcze oddać mnie Legii w ramach rękojmi; oni grali, ja stałem i śledziłem wzrokiem przelatującą nade mną futbolówkę. Na moje szczęście prędzej czy później do głosu dochodziło prawo powszechnego ciężenia, piłka spadała na murawę, i jeśli udało mi się ją dopaść, to już dobrze wiedziałem, co z nią zrobić. Wrażenie było na tyle pozytywne, że zostałem szybko i bezproblemowo zaakceptowany jako wartościowy składnik zespołu. Naturalnie dużą przesadą byłoby twierdzić, że ze względu na mnie – albo dzięki mnie – drużyna zmieniła styl gry, ale z każdym kolejnym meczem moi koledzy coraz częściej grali do mnie po ziemi; dzięki temu ja, nie musząc walczyć o piłkę w powietrzu, co nigdy nie było moją mocną stroną, rzadziej ją traciłem i mogłem z pożytkiem dla drużyny wykorzystać moje umiejętności techniczne. Wychodziło mi to chyba nie najgorzej, bo szybko zostałem zaakceptowany nie tylko przez kolegów z zespołu, o czym już wspomniałem, ale i przez kibiców; na trybunach początkowo nieśmiało, a potem coraz częściej i głośniej słychać było: „Jacki! Jacki!”.

Skoro mowa o kibicach: pierwszy raz w dorosłej karierze przychodziłem do nowego klubu, nie niosąc na barkach ciężaru wielkich oczekiwań jego sympatyków. W Widzewie zjawilem się w atmosferze może nie skandalu, ale na pewno sensacji związanej z kwotą, jaką za mnie zapłacono, poprzedzała mnie zaś opinia jednego z najbardziej utalentowanych zawodników młodego pokolenia. Przechodząc do Legii, należałem do grona najlepszych polskich piłkarzy, na stałe zadomowionych w reprezentacji kraju. Tu, w Szkocji, co prawda wszyscy wiedzieli, że cztery lata wcześniej zostałem wybrany na najlepszego piłkarza Polski, ale po pierwsze: tak naprawdę niewiele to tutaj znaczyło, a po drugie: wchodziłem do zespołu wręcz naszpikowanego gwiazdami, reprezentantami Szkocji, Anglii i Irlandii. Choć – jak od każdego – oczekiwano ode mnie wiele, to z pewnością nie znajdowałem się w centrum uwagi ani kibiców, ani mediów. Na to, żeby się tam znaleźć, dopiero musiałem sobie zasłużyć dobrymi występami, i z satysfakcją mogę stwierdzić, że dość szybko mi się to udało.

Tym, co mnie najbardziej zaskoczyło na boisku – poza stylem gry, zupełnie odmiennym od tego, do jakiego przywykłem w polskiej lidze, a także stopniem zaangażowana graczy – był stosunek zawodników i trenerów do pracy sędziego. Nikt, ani w trakcie meczu, ani po nim, nie kwestionował decyzji arbitra – to znaczy, piłkarze oczywiście protestowali przeciwko niesłusznie, ich zdaniem, podyktowanym rzutom wolnym, karnym i przyznanym przeciwnikom

autom, tak jak się dzieje wszędzie na świecie, ale chwilę potem jakby nigdy nic przystępowali do gry, po meczu natomiast nikomu nie przyszłoby do głowy sugerować, że za nawet najbardziej absurdalnymi decyzjami kryje się coś innego niż zwykły ludzki błąd. Przyzwyczajony do kubłów pomyj wylewanych na głowy naszych ligowych arbitrow i bezustannego kwestionowania ich uczciwości, kilka razy pozwoliłem sobie na utrzymanie w tym tonie sugestie. Spotkały się z całkowitym brakiem zrozumienia, a nawet z niedowierzającym zdumieniem, szybko więc dałem sobie z tym spokój.

Jeśli chodzi o wspomniane przed chwilą zaangażowanie, to było ono zupełnie nieporównywalne do tego, jakie prezentowało dziewięćdziesiąt dziewięć procent polskich piłkarzy ligowych. Przekonałem się o tym boleśnie podczas jednego z pierwszych sparingów. Graliśmy z Inverness, które wtedy występowało w trzeciej lidze. Byłem przekonany, że kiedy jak kiedy, ale w spotkaniu z tak mało wymagającym rywalem uda mi się zabłysnąć, pokazać parę sztuczek, trochę się pokiwać, może strzelić więcej niż dwie–trzy bramki. Nie założyłem nawet ochraniaczy (wtedy jeszcze nie było obowiązku ich używania). Koledzy co prawda ostrzegali mnie, że nie będzie lekko, ale ja uznałem to za kolejną próbę wpuszczenia mnie w maliny. Wyluzowany i pewny siebie wybiegłem na boisko.

Dziesięć minut później czułem się tak, jakbym biegał po polu minowym. Jak tylko dostałem piłkę, natychmiast rzucał się na mnie nie jeden i nie dwóch, ale kilku facetów, którzy chyba święcie wierzyli, że urodzili się po to, by tego sierpniowego dnia połamać mi wszystkie kości. Nieważne, że to był tylko mecz sparingowy; oni walczyli tak, jakby od wyniku tego spotkania zależały losy Pucharu Europy. Jeszcze przez chwilę łudziłem się nadzieją, że to tylko na pokaz i tylko przez parę minut, że zaraz trenerzy każą im się uspokoić, bo przecież taka gra w każdej chwili groziła ciężkimi kontuzjami, ale nic takiego nie nastąpiło, ja zaś zorientowałem się, że moi koledzy grają tak samo twardo i bezwzględnie. I tak było zawsze, w każdym spotkaniu, podczas każdej gry treningowej, w każdym meczu, niezależnie od jego stawki. Bez złościwości, bez chęci zrobienia krzywdy przeciwnikowi, za to tak ostro, jak pozwalały przepisy, bezpardonowo, bez „odpuszczania”. W Polsce tylko jeden, jedyny raz spotkałem się z podobną agresją na boisku – tyle że była ona skierowana wyłącznie przeciwko mnie: podczas pierwszego treningu w Widzewie po opublikowaniu w „Sportowcu” wywiadu, jakiego udzieliłem Jurkowi Chromikowi... Niewiarygodnie zacięte spotkanie zakończyło się naszym zwycięstwem 2:1. Zaraz po ostatnim gwizdku sędziego opętani żądzą mordury furia zamienili się w roześmianych od ucha do ucha, szczęśliwych facetów, którzy z podziwem poklepywali nas po plecach i widać było, że pękają z dumy, ponieważ postawili się znacznie silniejszemu przeciwnikowi, dali mu nieźle popalić, i choć zeszli z boiska pokonani, to przynajmniej mieli świadomość, że dali z siebie absolutnie wszystko.

Różnic, rzecz oczywista, było więcej, także w obszarze szeroko rozumianej obyczajowości. W poprzednich rozdziałach wspominałem kilkakrotnie o przypadkach pobłażliwego traktowania przez polskich stróżów porządku rozmaitych wybryków nas, sportowców – w tym również tych najbardziej nagannych, jak prowadzenie samochodu pod wpływem alkoholu. W Szkocji coś takiego było nie do pomyślenia. Przekonałem się o tym na własnej skórze, kiedy pewnego dnia w pośpiechu nie zapłaciłem za parkowanie w centrum miasta. Kiedy wróciłem do samochodu, funkcjonariusz właściwych służb właśnie kończył wypisywać mandat. Na mój widok rozpromienił się od ucha do ucha:

– Jacki! Rety, to dla mnie zaszczyt! Chodzę na wszystkie mecze, jesteś super, kibicuję ci z całą rodziną! Możesz dać mi autograf? Kumple umrą z zazdrości, słowo daję! Dzięki, wielkie dzięki! Trzymaj się, wszystkiego najlepszego! Aha, tu masz mandat. Trzeba zapłacić w ciągu siedmiu dni, tylko nie zapomnij, dobrze?

Jak mawia się na Wyspach: *no comment*.

Pierwszym oficjalnym meczem na stadionie Celticu, w którym wystąpiłem, było rozegrane 5 sierpnia 1989 roku towarzyskie spotkanie z Dynamem Moskwa. Kiedy pięćdziesiąt minut przed pierwszym gwizdkiem sędziego wyszliśmy na rozgrzewkę, nie potrafiłem ukryć rozczarowania: na ogromnym stadionie było może dwa tysiące widzów, puste trybuny sprawiały przygnębiające wrażenie. Podzieliłem się swoimi wrażeniami z jednym z kolegów, ale ten tylko uspokajająco poklepał mnie po plecach i powiedział: „Poczekaj, zobaczysz jak będzie na meczu”. I rzeczywiście: w chwili, kiedy sędzia dał znak do rozpoczęcia gry, trybuny były pełne. Zaczęło się tak sobie, bo już w szóstej minucie Rosjanie prowadzili 1:0. W dwunastej minucie Coyne wyrównał z karnego, potem Dynamo znowu wyszło na prowadzenie, ale w osiemdziesiątej pierwszej minucie udało mi się doprowadzić do remisu ładnym strzałem zza linii pola karnego. Do końca meczu wynik nie uległ już zmianie. I znowu tradycji stało się zadość: pierwszy mecz w nowej drużynie i od razu pierwsza bramka... Trudno, żebym nie był z siebie zadowolony, tym bardziej że otrzymałem całkiem przyzwoite oceny. Po raz kolejny pozytywnie podziały na mnie emocje, znowu okazało się, że podwyższone napięcie i trema działają na mnie mobilizująco.

Jeszcze większe emocje towarzyszyły naturalnie moim debiutanckim derbom. Był to chyba mój piąty albo szósty mecz w barwach Celticu. Dwudziestego szóstego sierpnia podejmowaliśmy Rangersów u siebie, jak zwykle przy takiej okazji już na tydzień przed meczem lokalna prasa nie pisała o niczym innym, we wszystkich pubach zaś dyskutowano wyłącznie o składach, taktyce, no i naturalnie o wyniku. Bukmacherzy przeżywali wielkie dni. W tamtym czasie Rangersi mieli wyraźnie mocniejszą drużynę. Takie nazwiska, jak Butcher, Woods, Stevens, Wilkins, McCoist czy Hateley jeszcze dziś wiele mówią fanom nie tylko wyspiarskiego futbolu. (Ciekawostka: syn Marka Hateleya, Tom, gra obecnie w Śląsku Wrocław). Zadanie miałem niełatwe, bo krył mnie sam Terry Butcher i to on właśnie już w piątej minucie po rzucie rożnym strzelił gola dla gości. Głową, rzecz jasna. Około trzydziestej minuty padło wyrównanie: po dośrodkowaniu z rzutu rożnego jeden z naszych zawodników uderzył silnie głową, piłka odbiła się od słupka, trafiła mnie w kolano i wpadła do bramki. Najbardziej przypadkowy gol, jakiego kiedykolwiek zdarzyło mi się strzelić, ale w niczym nie zmniejszyło to radości mojej, kolegów z drużyny i kilkudziesięciu tysięcy naszych kibiców. Tak oto, bardziej dzięki zrządzeniu losu niż umiejętnościom, już za pierwszym podejściem dołączyłem do grona klubowych bohaterów; takimi w Celticu stają się wszyscy, którym w derbowych pojedynkach uda się umieścić piłkę w siatce rywala zza między. Satisfakcja była tym większa, że więcej bramek w tym meczu już nie padło.

Nie ulega wątpliwości, że dobrze wprowadziłem się do drużyny, o czym najlepiej świadczy fakt, że już w październiku zostałem wybrany na najlepszego gracza ligi. Szefostwo klubu uznało zapewne, że nad Wisłą dobrzy piłkarze rodzą się na kamieniu, zapytano mnie więc, czy nie słyszałem o jakimś wartościowym lewym obrońcy, którego warto by ściągnąć do Glasgow. Bez wahania poleciłem im Darka Wdowczyka, wówczas bez wątpienia najlepszego lewego

obrońcę w Polsce. Wysłannicy klubu obejrzeligo w dwóch albo trzech meczach naszej ligi, Darek spodobał się i szybko dobito targu.

Przez pół roku na koszt klubu mieszkalem w hotelu Hospitality Inn. Oprócz mnie stałymi rezydentami byli m.in. Paul Elliott (dołączył do zespołu niemal równo ze mną), John Hewitt i właśnie Darek Wdowczyk. Potem przeprowadziłem się do własnego domu w Uddingston, jakieś dziesięć kilometrów od centrum Glasgow, jeszcze później zaś w Cumbernauld – trochę dalej, ale za to w pięknej okolicy, tuż obok pół golfowych. Gwoli ścisłości, między Hospitality Inn a Uddingston był jeszcze wynajęty przez klub domek w dzielnicy Bellshill, przez miejscowych często nazywanej Bellshit. Z przykrością muszę przyznać, że druga nazwa lepiej oddaje charakter i urok tego miejsca... Dzielnica rzeczywiście nie była ciekawa. Inni zawodnicy śmiali się z nas, że zgodziliśmy się tam zamieszkać (moim sąsiadem był Darek), ale przenieśliśmy się tam wyłącznie dlatego, że chcieliśmy zaprosić na pierwsze święta na obczyźnie nasze rodziny: Darek żonę z dziećmi, a ja rodziców. Ostatecznie przyjechała tylko moja mama, ojciec z jakichś powodów musiał zostać w kraju. Całkiem niedawno poleciałem do Szkocji, by odwiedzić stare miejsca... i wielu z nich nie byłem w stanie odnaleźć, tak dużo zmieniło się przez ćwierć wieku. Całe dzielnice zniknęły z powierzchni ziemi, powstały nowe drogi i osiedla. Poczuję się trochę dziwnie, jakby ktoś ukradkiem wymazał część mojej przeszłości... Na szczęście zostały wspomnienia, w tym także całkiem zabawne. Jedno z nich jest związane z domem w Cumbernauld. Jak tylko się tam przeprowadziłem, kupiłem w Polsce i przywiozłem do Szkocji dwa ogromne mosiężne żyrandole, tzw. Księstwo Warszawskie, niezwykle wtedy modne i wytwarzane masowo przez wielu rzemieślników. Znając swoje możliwości, nawet nie próbowałem wieszać ich samodzielnie, tylko od razu wezwałem fachowca, który na widok tych kolosów oświadczył, że trzeba będzie częściowo rozebrać dom i wzmocnić konstrukcję stropów, bo jak nie, to cały budynek, razem z żyrandolami, zwali mi się na głowę. Uznałem, że to lekka przesada, i żyrandole przy najbliższej okazji wróciły do kraju.

Krótko po moim przyjeździe zgłosił się do mnie diler Nissana z leżącego jakieś dziesięć kilometrów od Glasgow miasteczka Hamilton z propozycją, abym w zamian za możliwość nieograniczonego bezpłatnego korzystania z samochodu reklamował sprzedawane przez niego pojazdy w programach meczowych Celticu. Zgodziłem się chętnie, nasza współpraca trwała przez cały okres mojego pobytu w Szkocji, a taką samą ofertę dostał później także Darek. Traf chciał, że miesiąc czy dwa później w Glasgow odbywały się targi motoryzacyjne, w których uczestniczyła także Fabryka Samochodów Osobowych na Żeraniu. Jej przedstawicielowi ogromnie zależało, żebym stał się „twarzą” FSO w Szkocji. Miałem dostać nowiutkiego poloneza, użytkować go na co dzień i przy każdej okazji zachwalać jego walory. Jak się łatwo domyślić, odniosłem się do tej propozycji z dużą wstrzeźliwością, nie tylko ze względu na dopiero co zawartą umowę z dilerem Nissana. Za jego zgodą poinformowałem natomiast przedstawiciela FSO, że z przyjemnością mogę wziąć udział w targach, przebywać na stoisku, udzielać wywiadów, pozować do zdjęć i że mój wizerunek może być wykorzystywany w materiałach reklamowych fabryki – pod warunkiem że wspomniany polonez, którym miałem jeździć po Szkocji, trafi do mojego ojca w Warszawie (w wersji z kierownicą po „właściwej” stronie, ma się rozumieć). Moja kontrpropozycja została jednak odrzucona, więc nikt w Szkocji nie miał okazji się dowiedzieć, jak bardzo podobał mi się sztandarowy produkt



polskiej motoryzacji.

Pracowałem bardzo ciężko i solidnie, w każdy mecz wkładałem mnóstwo sił i serca, a mimo to czułem się prawie jak na wakacjach. Nareszcie mogłem się skoncentrować wyłącznie na grze, otaczali mnie ludzie, dla których byłem wart tyle, ile z siebie dałem, znaczna część problemów osobistych została daleko, nad Wisłą. (Dopadły mnie znacznie szybciej, niż mógłbym sobie życzyć, ale jednak miałem trochę czasu, żeby odetchnąć i poukładać sobie wszystko w głowie). Dająca wątpliwe powody do dumy reputacja playboya, która za sprawą mediów przywlokła się za mną z Polski, naturalnie budziła zainteresowanie brukowców, ale w miarę jak mijały miesiące, a ja nie robiłem nic, żeby ją podtrzymać, a tym bardziej umocnić, dziennikarzy coraz szybciej opuszczała nadzieja na wyśledzenie jakiegoś smakowitego skandalu z moim udziałem. Tego samego nie da się, niestety, powiedzieć o polskich żurnalistach. Mniej więcej w trzecim miesiącu mojego pobytu w Glasgow dotarła do mnie wiadomość, że w „Przeglądzie Sportowym” pojawiła się informacja, jakoby należał do stałych bywalców jednego z nocnych klubów, a nawet miał tam stale zarezerwowany stolik. Jak tylko przyleciałem do Warszawy – nie pamiętam już, czy na mecz reprezentacji, czy w sprawach prywatnych – pojechałem do redakcji przy placu Zawiszy, dopadłem Janusza Basałaja, który podpisał się pod tym materiałem, i w ostrych słowach zażądałem wyjaśnień. Janusz zaczął się wykręcać, że niby wyczytał coś na ten temat w jakiejś szkockiej gazecie, ale przyciśnięty – dosłownie i w przenośni – do muru nie był w stanie podać źródła informacji. Miałem wielką ochotę mu przyłożyć, ale niestety zostaliśmy rozdzieleni. Podobne, wysrane z palca sensacje pojawiały się w polskiej prasie z zaskakującą regularnością. Żeby była jasność: nigdy nie byłem, nie jestem i z pewnością nie będę święty. W tej książce szczerze piszę o wielu swoich niezbyt chwalebnych wyczynach na krajowym podwórku, w Szkocji zaś nie zawsze piłem wyłącznie mleko i nie codziennie kładłem się spać zaraz po dobranocce. Po meczach, zazwyczaj w towarzystwie Paula Elliotta, często lądowałem w Prince’s Square albo w Victoria’s, jednym z najlepszych nocnych klubów w Glasgow, ale kiedy całkiem niedawno wspominaliśmy stare dobre czasy, to z autentycznym zaskoczeniem stwierdziliśmy, że przez dwa lata tylko jeden jedyny raz zdarzyło nam się wyłopać po cztery pinty piwa w środku tygodnia, na trzy dni przed meczem... Jeden raz przez dwa lata. Chyba więc trudno mi się dziwić, że kiedy dowiadywałem się (sam rzadko czytywałem polską prasę) o kolejnych doniesieniach o moich rzekomych ekscesach, krew mnie zalewała i gdybym mógł dopaść autora takiego artykułu, z rozkoszą porachowałbym mu kości.

W tamtych latach Polaków w Szkocji nie było wielu, mimo więc, że w Glasgow był Dom Polski – coś jakby połączenie klubu z restauracją – to przychodzili tam niemal wyłącznie Szkoci, aby zakosztować smacznej kuchni i miłej atmosfery. Moje kontakty z Polonią były mocno ograniczone. Zaprzyjaźniłem się z mieszkającymi w Uddingston Krystyną i Zbyszkiem Wasilkowskimi; Zbyszek prowadził tam niewielki sklep spożywczy i bardzo interesował się piłką nożną. Niezwykle serdecznie podejmowali mnie u siebie w domu, a ja chętnie korzystałem z zaproszeń, ponieważ wiedziałem, że będę mógł spędzić nieco czasu w miłej rodzinnej atmosferze. Od czasu do czasu wpadałem też do biura podróży Transcontinental, gdzie zawsze rezerwowałem bilety lotnicze do kraju. Właścicielka, Irena Martin, tak samo jak ja cieszyła się z możliwości porozmawiania po polsku. Teraz z pewnością wygląda to zupełnie inaczej, ale wtedy naprawdę nie było ku temu wielu okazji.

Władze Celticu dużą wagę przywiązywały do utrzymywania dobrych stosunków z kibicami. Służyć temu miały między innymi organizowane raz lub dwa razy w miesiącu spotkania piłkarzy z najbardziej oddanymi zwolennikami klubu. Często były to spotkania „wyjazdowe” – nie na stadionie, lecz w rozsianych po całym Glasgow i okolicach siedzibach rozmaitych kibicowskich klubów i stowarzyszeń. W jednym z nich uczestniczyłem wspólnie z Paulem McStayem i Billym Starkiem. Pojechaliśmy we trzech nowiutkim audi 80 Paula. Spotkanie odbywało się w czymś w rodzaju klubu osiedlowego na ogromnym, ponurym blokowisku – w jednym z tych miejsc, które zazwyczaj omija się z daleka, a jeśli się odwiedza, to tylko w skrajnej konieczności i wyłącznie za dnia. Przywitała nas energiczna, korpulentna, grubo ponadsześćdziesięcioletnia pani, szefująca miejscowemu stowarzyszeniu fanów Celticu. Wszyscy kibice, którzy stawili się na spotkaniu w sile co najmniej trzystu chłopa, traktowali ją z niebywałym szacunkiem, ona zaś dyrygowała nimi jak jakiś *capo di tutti capi*. Nikt nie śmiał odezwać się bez jej zgody, wszyscy karnie stali w kolejce po autografy, nikomu nie przyszło do głowy rzucić jakimś „grubszym” słowem. Kiedy po kilku godzinach wróciliśmy do samochodu, okazało się, że brakuje w nim radioodtwarzacza wysokiej klasy, z którego Paul był niemal równie dumny jak z samego pojazdu. Energiczna pani, która nas odprowadziła, poczerwieniała jak burak, zakłęta pod nosem, po czym grzecznie poprosiła, żebyśmy wrócili jeszcze na chwilę do lokalu i napili się kawy. Mniej więcej po dwudziestu minutach, wyraźnie odprężona i uśmiechnięta, przeprosiła za zaistniałą sytuację, po czym poinformowała nas, że wszystko jest już w porządku i że możemy jechać. Kiedy znowu znaleźliśmy się przy samochodzie, radio było z powrotem na swoim miejscu.

Gdyby w Polsce namiętnie grywano w snookera, z pewnością na czołówki serwisów sportowych trafiłyby prześmiewcze relacje z pojedynku, jaki pewnego razu rozegrałem z Darkiem Wdowczykiem. Mieszkaliśmy wtedy jeszcze w Hospitality Inn, zdarzało nam się nudzić wieczorami, a przełączając kanały w telewizorze, dość często trafialiśmy na transmisje z turniejów snookera. Bardzo nam się ten sport spodobał, zwłaszcza że przechadzającym się wokół stołu panom z kijami wbijanie bil zdawało się nie sprawiać większej trudności. Któregoś wieczoru postanowiliśmy spróbować sił w tej atrakcyjnie wyglądającej grze; w tym celu udaliśmy się do pobliskiego klubu snookerowego, wynajęliśmy stół – trafił nam się najbardziej eksponowany, na samym środku sali – zamówiliśmy po piwie i przystąpiliśmy do gry. Żaden z nas nigdy wcześniej nie miał kija w ręce, nie mieliśmy najmniejszego pojęcia ani o zasadach, ani o punktacji. Z zasad w ogóle zrezygnowaliśmy, punktację ustaliliśmy zaś własną: za wbicie dowolnej bili otrzymywało się jeden punkt. W miarę upływu czasu w gwarnej początkowo sali robiło się coraz ciszej, przy kolejnych stołach zawodnicy przerywali grę, aż w końcu wszyscy zgromadzili się wokół nas i w milczeniu, z niedowierzaniem przechodzącym chwilami w przerażenie, śledzili nasze wyczyny. Nieco speszeni tym zainteresowaniem przenieśliśmy się na stół w kącie i kontynuowaliśmy rozgrywkę. Po ponad dwóch godzinach mecz zakończył się bardzo piłkarskim rezultatem 3:2 w pierwszym framie, nie pamiętam już dla kogo... Mniej obeznanym z zasadami snookerowej punktacji wyjaśnię, że taki wynik w tej grze owszem, jest możliwy – choć dość mało prawdopodobny – ale nigdy nie będzie wynikiem końcowym. Niezrażeni umiarkowanym sukcesem w debiutanckim występie, później parokrotnie próbowaliśmy grać z kolegami podczas klubowych imprez albo obozów przygotowawczych, ale po zaledwie kilku

uderzeniach nawet najbardziej odporni nerwowo gracze uciekali gdzie pieprz rośnie, nie mogąc patrzeć na nasze żalosne wysiłki.

Krótko mówiąc: było mi naprawdę dobrze. Zostałem najlepszym strzelcem Pucharu Ligi i w nagrodę mogłem albo odebrać czek na półtora tysiąca funtów, albo polecieć na wypoczynek w dowolne miejsce na świecie. Poleciałem na Seszele. Spędziłem tam dziewięć wspaniałych dni, zupełnie sam, leżąc na plaży, gapiąc się w cudowne niebo, kąpiąc się w nieprawdopodobnym morzu, cholernie szczęśliwy i wdzięczny losowi. Po powrocie dowiedziałem się od mojego menedżera, że zaczęły napływać oferty od znacznie większych i potężniejszych klubów, m.in. z Hiszpanii, ale przyznam szczerze, że nie byłem gotowy poważnie się nad nimi zastanawiać. Dopiero co dokonałem przecież ogromnego i ważnego kroku: z miejsca, które w Polsce zawsze było szczytem moich marzeń, czyli z Legii, przenieśliśmy się do o niebo lepiej zorganizowanego i znacznie zamożniejszego klubu, grałem za nieporównanie większe pieniądze, zostałem bardzo życzliwie przyjęty przez kibiców, byłem przekonany, że będę się rozwijał i że będzie mi tu jeszcze lepiej. Wszystkie potrzeby finansowe i bytowe miałem zaspokojone z nawiązką, a że nigdy nie byłem chciwy, nie widziałem sensu w pogoni za pieniędzmi. Kiedyś może tak, ale na razie byłem przekonany, że jeszcze mam tutaj coś do udowodnienia.

Mimo że dla mnie osobiście był to całkiem udany sezon, to dla klubu nie zakończył się on szczęśliwie. W lidze zajęliśmy dopiero piąte miejsce, w finale Pucharu Szkocji przegraliśmy w karnych 8:9 z Aberdeen, temu samemu zespołowi ulegliśmy 0:1 w półfinale Pucharu Ligi. Mój kontrakt opiewał na trzy lata, więc pytanie „co dalej” nie miało większego sensu. Chodziło tylko o to, żeby było coraz lepiej. Nikt w klubie nie był zawiedziony moją postawą, wręcz przeciwnie: zanosilo się na to, że niebawem otrzymam propozycję przedłużenia kontraktu na długo przed jego wygaśnięciem. Właściwie jedyną rzeczą, jaka mi nie pasowała, czasem zaś wręcz doprowadzała mnie do rozpacz, była pogoda: przez większą część roku ponura, wilgotna, przygnębiająca. Z dużymi nadziejami czekałem na mój drugi sezon w Celticu. Liczyłem na to, że – będąc już od dłuższego czasu jednym z podstawowych zawodników – znacząco przyczynię się do odzyskania przez mój klub supremacji na szkockich boiskach. Bardzo poważnie brałem pod uwagę możliwość, że być może zostanę tu na dłużej, więc zainwestowałem sto osiemdziesiąt tysięcy funtów w ładny i wygodny dom w Cumbernauld.

Niestety, sezon 1990/1991 ukończyliśmy na trzecim miejscu w lidze. W Pucharze Szkocji w powtórzonym półfinałowym meczu przegraliśmy 2:4 z Motherwell (w pierwszym spotkaniu padł bezbramkowy remis), w Pucharze Ligi dotarliśmy do finału, ale po dogrywce ulegliśmy Rangersom 1:2. Strzelcem gola dla Celticu był mój przyjaciel Paul Elliott. Kolejny rok bez sukcesów przypieczętował los naszego trenera Billy'ego McNeilla, a także mój, jak się szybko okazało. Nowym trenerem został Irlandczyk Liam Brady, z którym kilka lat wcześniej spotkałem się na boisku przy okazji pucharowych zmagani Legii z Interem Mediolan. Był doskonałym piłkarzem, największe sukcesy odnosił z Arsenalem, grał też m.in. w Juventusie i Sampdorii. Jedną z jego pierwszych decyzji było kupienie za półtora miliona funtów irlandzkiego napastnika Tony'ego Cascarino, który, w zamyśle szkoleniowca, miał być cudownym lekarstwem na problemy Celticu. Zapewne całkowitym zbiegiem okoliczności menedżerem Tony'ego był... Liam Brady. Tak kosztowny nabytek nie mógł siedzieć na ławce

rezerwowych, na ławkę więc trafiłem ja. Podczas przedsezonowego zgrupowania w Dublinie na pięć meczów sparingowych rozegrałem jedną połowę... Nie trzeba było wielkiego geniuszu, by stwierdzić, że zanoszą się na problemy, ale początkowo nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak poważne będą. Naiwnie myślałem, że będziemy konkurować o miejsce w składzie, że szkoleniowiec umiejętnie wykorzysta naszą rywalizację dla dobra zespołu, że sportowa złość i ambicja pomogą nam obu dać z siebie naprawdę wszystko, a może nawet odrobinę więcej. Nic z tych rzeczy. Tony na stałe zajął miejsce na środku ataku, a ze mnie całkiem uszło powietrze. Kiedy zostałem odsunięty od pierwszego zespołu i zacząłem grać w rezerwach, czułem się tak, jakby jakiś potworny ciężar zwałił mi się na głowę. Nie potrafiłem dojść do ładu ze sobą i ze światem, grałem naprawdę słabo. Tak słabo, że wysłannicy innych klubów, którzy wciąż pojawiali się w Glasgow, żeby obejrzeć mnie w akcji, szybko pakowali manatki i wracali do domu, nawet nie nawiązując rozmów z moim menedżerem. Było źle, bardzo źle. Niewiele brakowało, żebym przestał „łapać się” nawet do drugiego zespołu. Młodzi zawodnicy, dla których jeszcze niedawno byłem niedoścignionym wzorem, patrzyli na mnie z coraz większym zdziwieniem, a w ich wzroku stopniowo zaczęło się pojawiać także lekceważenie.

Ktoś może powiedzieć: rozpieszczony maminsynek pierwszy raz w karierze zderzył się z twardą rzeczywistością, potłukł się boleśnie i obraził na cały świat. Nieprawda. Nie obraziłem się, nie poddałem, nie wywiesiłem białej flagi. Walczyłem, a przynajmniej starałem się walczyć, ale cały zapal, jaki udało mi się w sobie zgromadzić, ulatniał się zaraz po pierwszym gwizdku sędziego. Nie zawiodło mnie zdrowie, nie straciłem nagle umiejętności technicznych, nie zapomniałem, jak się gra. To była wyłącznie kwestia psychiki. Nie potrafiłem sobie poradzić z tą sytuacją i, niestety, nie miałem obok siebie nikogo, kto mógłby mi w tym pomóc. Kłóciłem się z trenerem, kłóciłem się z kolegami, nie potrafiłem poukładać sobie tego wszystkiego w głowie.

Po jakichś dwóch miesiącach zacząłem powoli dochodzić do siebie. Poczucie bezradności i zagubienia osłabło, wreszcie znowu chciało mi się chcieć. Szkoleniowiec drugiego zespołu Bobby Lennox dostrzegł zmianę i zachęcał mnie do jeszcze większego wysiłku.

– Walcz, Jacki! Graj tak, jak uważasz, tak jak czujesz. Jest coraz lepiej, wracasz na właściwy tor!

Na właściwy tor może wróciłem, ale do pierwszej drużyny już nie. Bobby był ze mnie bardzo zadowolony, ale na moje pytania, kiedy znowu trafię do pierwszego składu, tylko bezradnie rozkładał ręce.

– To naprawdę nie ode mnie zależy, Jacki. Mówię Liamowi, że się wyróżniasz, że pracujesz, że dajesz z siebie wszystko, ale to on podejmuje decyzje, nie ja.

Pozostała mi satysfakcja z tego, że nie straciłem szacunku kolegów, że nikt nie mógł mi zarzucić gwiazdorzenia i tego, że mam muchy w nosie, a także z tego – to już trochę mniejszy powód do chwały, ale byłbym nieuczciwy, gdybym się do tego nie przyznał – że Tony Cascarino, który zajął moje miejsce i miał odmienić oblicze zespołu, radził sobie, oględnie mówiąc, przeciętnie: w całym sezonie 1991/1992 zdobył raptem cztery bramki i został sprzedany do Chelsea, gdzie też niczym szczególnym się nie wyróżniał. (Jego niewątpliwym talentem rozkwitł dopiero po przenosinach do Francji, gdzie w latach 1994–2000, grając w Olympic Marseille i Nancy, nastrzelał ponad sto goli).

Na przełomie lat 1991 i 1992 straciłem nadzieję, że coś się zmieni w mojej sytuacji, a i klubowi, który pod wodzą nowego szkoleniowca i przy udziale ściągniętej przez niego gwiazdy wciąż nie odnosił upragnionych sukcesów, moja obecność nie była za bardzo na rękę: trudno mnie było obarczyć winą za wcześniejsze niepowodzenia, a fakt, że nie chciałem pokornie odejść w cień i – na ile było to możliwe na „zesłaniu” do drugiego zespołu – wciąż uparcie przypominałem o swoich umiejętnościach i możliwościach, sprawiał, że nie bardzo dało się „zamieść mnie pod dywan”. Liam Brady wciąż cieszył się zaufaniem władz klubu, a że nie chciał lub nie potrafił ugiąć się przed żądaniami zawiedzionych kibiców – na trybunach coraz częściej skandowano „Jacki! Jacki!”, choć minęło już ładnych kilka miesięcy od chwili, kiedy po raz ostatni wybiegłem na murawę w pierwszym składzie Celticu – jedynym sensownym rozwiązaniem było moje odejście z klubu.

Ale dokąd?

Traf chciał, że właśnie wtedy zainteresował się mną Bristol City. Solidna drużyna, bez trudu lokująca się w środkowej części tabeli Championship, postanowiła energicznie zapukać do bram Premiership, a jej nowy trener, znający mnie ze szkockich boisk Jimmy Lumsden, uznał, że mogę jej w tym pomóc. Zaoferowano mi warunki finansowe wyraźnie lepsze od tych, jakie miałem w Celticu, a choć na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że pod względem piłkarskim robię krok wstecz – z czołowego zespołu szkockiej ekstraklasy przenosiłem się przecież do przeciętnej drużyny angielskiej pierwszej ligi – to po namyśle przyjąłem propozycję. Miałem też nadzieję, że nowy klub stanie się dla mnie czymś w rodzaju kładki, po której przejdę na bezpośrednie zaplecze najsilniejszej wówczas ligi świata. Bristol zapłacił Celticowi dwieście pięćdziesiąt tysięcy funtów odstępnego i w styczniu 1992 roku oficjalnie zostałem graczem Bristol City F.C.

Nie ukrywam, że odchodziłem z Celticu ze smutkiem i poczuciem niespełnienia. Przyzwyczailem się do miejsca i do ludzi (ale nie do pogody!), polubiłem miasto, zyskałem sympatię kibiców, ale mój wkład okazał się za mały, by zespół sprostał oczekiwaniom właścicieli i sympatyków. Można by powiedzieć, że przeżywałem *déjà vu*: przecież do Legii też przyszedłem po to, żeby pomóc jej sięgnąć po wyczekiwany od lat tytuł mistrzowski i zająć z nią jak najdalej w europejskich pucharach, i tam też moje nazwisko (tyle że w oryginalnym brzmieniu) należało do najczęściej skandowanych na trybunach. Różnica polegała na tym, że z Łazienkowskiej odchodziłem jako jeden z podstawowych i najbardziej wartościowych graczy, z Celtikiem natomiast żegnałem się po najbardziej bolesnym upadku w karierze. Było ciężko, ale nie poddałem się, wciąż chciałem iść naprzód, wciąż wierzyłem, że moja siła, energia i umiejętności mogą się komuś przydać i że swoją grą potrafię sprawić widzom dużo radości. W Bristolu zamierzałem udowodnić, że tak jest naprawdę.

# Bristol i co by było, gdyby...

Dwa czy trzy lata temu klub kibica Bristol City F.C. zaprosił mnie do udziału w pożegnalnym występie jednej z tamtejszych sław, starszego ode mnie Gerry'ego Gowa, który, jak to często bywa na Wyspach, po zakończeniu kariery pozostał w klubie i przez wiele lat w nim pracował. Jego odejście na już nie tylko piłkarską emeryturę miał uświetnić mecz oldboyów Bristol City z oldboyami Manchesteru City. Gerry'emu bardzo zależało na tym, by na stadionie zjawilo się jak najwięcej publiczności, stąd też jego pomysł, by do drużyny zaprosić także zawodników, z którymi co prawda nigdy nie występował na boisku, ale których obecność mogła stanowić dodatkowy magnes dla kibiców. Plan się powiódł, ponieważ na stadionie zjawilo się około sześciu tysięcy osób, czyli mniej więcej połowa tych, które regularnie przychodzą na spotkania ligowe i pucharowe. Już w czasie meczu zrobiło mi się bardzo przyjemnie, bo każde moje udane zagranie było nagradzane oklaskami, najciekawiej jednak zrobiło się po zakończeniu spotkania: dwa, może trzy tysiące widzów zostało na trybunach i głośno skandowało moje nazwisko... Choć z reguły nie rwę się do mikrofonu, musiałem wziąć go od spikera zawodów, podziękować za tak ciepłe przyjęcie i zapewnić kibiców, że wciąż miło wspominałm zarówno ich, jak i cały mój, niezbyt długi, pobyt w Bristol City. I ani trochę nie skłamałem.

Pierwsze wrażenie nie było jednak najlepsze – mam na myśli samo miasto oraz wagę, jaką jego mieszkańcy przywiązywali do futbolu. O ile na mecze Celticu i Rangersów regularnie przychodziło po trzydzieści–czterdzieści tysięcy widzów, o tyle na piętnastotysięczną widownię na stadionie Bristol City mogliśmy liczyć wyłącznie podczas największych ligowych i pucharowych hitów. Na mecze naszego lokalnego rywala, Bristol Rovers, przychodziło trzykrotnie mniej kibiców. Piłka nożna nie była głównym tematem rozmów w pubach, a choć po dwóch latach gry w Celticu rozpoznawano mnie niemal w każdym sklepie, lokalu, a nawet na ulicy, to nawet największe gwiazdy mojego nowego zespołu mogły spokojnie poruszać się po mieście, bez obawy o jakiegokolwiek przykre konsekwencje wynikające z nadmiernej popularności.

Trudne chwile przeżyłem w gabinecie prezesa przy podpisywaniu kontraktu. Spotkaliśmy się wtedy po raz pierwszy – wcześniejsze rozmowy prowadzili moi agenci – a prezes przywitał mnie bardzo serdecznie, ale problem polegał na tym... że ani w ząb go nie rozumiałem. Wydawało mi się, że całkiem nieźle władam angielskim, i pewnie tak było, tyle że był to angielski taki, jakim mówi się w Szkocji. Kiedy stanąłem przed stuprocentowym Anglikiem, mogłem tylko uśmiechać się i kiwać głową, bo równie dobrze mógłby do mnie mówić po chińsku. Na szczęście z pomocą pospieszyli mi uczestniczący w spotkaniu trener Jimmy Lumsden i Roman Manuszewski. W ciągu kilku tygodni udało mi się przyswoić nowy dla mnie akcent – nie miałem zresztą wyboru, ponieważ w przeciwnym razie miałbym spore problemy z porozumiewaniem się z kolegami z drużyny. Zanim to jednak nastąpiło, doszło do jeszcze jednej zabawnej sytuacji o podłożu lingwistycznym. W trakcie zapoznawczej wycieczki po klubowych budynkach i pomieszczeniach, zostałem przedstawiony masażystcie, Busterowi Footmanowi. Było to ogromne chłopisko, kiedyś służył w wojsku w oddziałach

powietrznodesantowych. Powitał mnie szerokim uśmiechem i żelaznym uściskiem potężnej dłoni.

– Hello, Jacki!

– Hello, Buster!

Spojrzał na mnie tak jakoś dziwnie, po czym, nie odzywając się już ani słowem, wrócił do swoich zajęć. Nazajutrz na moje równie entuzjastyczne „Hello, Buster!”, zareagował jeszcze bardziej marsową miną, na trzeci dzień zaś nie wytrzymał, ujął mnie delikatnie za ramię (delikatnie w jego mniemaniu; sińce schodziły mi przez tydzień) i wycedził, że jeśli nie przestanę wyzywać go od drani, to on tak mnie wymasuje, że będę mógł występować w cyrku jako jedyny na świecie człowiek bez nawet jednej całej kości w rękach i nogach. Okazało się, że jego imię wymawiane przeze mnie ze szkockim akcentem brzmiało – przynajmniej w jego uszach – jak słowo „bastard”, czyli w najdelikatniejszym przekładzie właśnie „drań”.

Sam klub był jak najbardziej w porządku: dobrze zorganizowany, z okazałym budżetem, choć może nieco mniejszym niż ten, jakim dysponował Celtic. Chociaż moje przenosiny nastąpiły w trudnej dla mnie chwili, kiedy od dobrych kilku miesięcy nie mogłem się pochwalić praktycznie żadnymi profesjonalnymi osiągnięciami, przyjęto mnie jak gwiazdę: jako jeden z nielicznych zawodników dostałem do dyspozycji służbowy samochód, traktowano mnie z miłym mojemu sercu, choć nie ukrywam, że nieco zaskakującym szacunkiem. Oznaczało to także duże oczekiwania. Miałem być zawodnikiem, który odciśnie wyraźne piętno na grze zespołu, niemal z marszu stanie się jednym z jego głównych atutów i znacząco przyczyni się do osiągnięcia upragnionego celu, jakim był awans do Premiership. Nie miałem nic przeciwko temu. Nigdy nie przygniatał mnie ciężar odpowiedzialności, nie paraliżowała mnie trema, a w profesjonalnej piłce funkcjonowałem już wystarczająco długo, żeby dobrze czuć się w jednej z głównych ról. Mimo ciężkich przejść w końcowym okresie pobytu w Glasgow – a może raczej dzięki nim? – tryskałem energią i ochotą do gry, i byłem przekonany, że sprostam czekającemu mnie wyzwaniu.

Po kilku nocach w hotelu przenieśliśmy się do wynajętego trzypokojowego mieszkania w pobliżu stadionu. O ile w Celticu klub opiekował się piłkarzami jak kwoka kurczętami (ta opieka obejmowała także pomoc w codziennych sprawach bytowych, takich jak m.in. właśnie znalezienie i wynajęcie odpowiedniego lokum), o tyle w Bristolu nikt nas nie niańczył i większość spraw należało zorganizować sobie samodzielnie. Dość szybko okazało się, że mój wybór nie był najlepszy, zmieniłem więc adres, a potem była jeszcze jedna przeprowadzka. Nie myślałem o kupowaniu czegokolwiek, bo miałem już dom w Glasgow, którym na dobrą sprawę nie zdążyłem się nawet porządnie nacieszyć, a który teraz przysparzał mi praktycznie samych problemów; za pośrednictwem klubu wynajmowałem go świeżo ściągniętym do Celticu zawodnikom, ale ci albo zalegali z opłatami, albo – oględnie mówiąc – niespecjalnie dbali o to, by utrzymać go w dobrym stanie, jeden z nich zaś wyprowadzając się, zapewne przez roztargnienie, zabrał ze sobą znaczną część wyposażenia... Wizja sprowadzenia sobie na głowę podobnych problemów skutecznie odstręczyła mnie od dalszego inwestowania w nieruchomości, a poza tym nie zamierzałem zabawić tutaj zbyt długo. Bristol miał być jedynie krótkim przystankiem dla otrząśnięcia się z nowym otoczeniem i nabrania tchu przed dalszym ciągiem kariery. Tak się zresztą stało, choć ów „dalszy ciąg” z pewnością nie wyglądał tak, jak mógłbym sobie wymarzyć.

I za Jimmiego Lumsdena, i za Denisa Smitha grało mi się naprawdę dobrze. Wiedziałem już, co mnie czeka – ani pod względem stylu gry, ani poziomu zaciętości Championship nie różni się szczególnie od szkockiej ekstraklasy – znałem język, po ciężkich przejściach w końcówce mojego pobytu w Celticu bardzo chciałem udowodnić swoją wartość, mogłem więc od razu zacząć na wysokich obrotach. Zaakceptowali mnie zarówno kibice, jak i koledzy z drużyny, choć akurat ci miewali niekiedy jeśli nie zastrzeżenia, to przynajmniej wątpliwości, czy mój styl gry aby na pewno jest stuprocentowo kompatybilny z ich... Wayne Allison, z którym często grywałem w ataku, zasugerował mi kiedyś przy piwie, żebym spróbował trochę inaczej zachowywać się na boisku.

– Inaczej, czyli jak? – zapytałem.

– Chodzi o to, że kiedy tracimy piłkę, musisz wracać na naszą połowę, tak jak my wszyscy, biegać i walczyć o nią, a kiedy ją odzyskamy, to wtedy odpoczywamy.

– Źle kombinujesz, Wayne – odparłem z przekonaniem. – Kiedy tracimy piłkę, to wy biegacie i walczyacie o nią, a ja odpoczywam. Kiedy ją odzyskamy, patrzycie, gdzie jestem, podajecie mi ją i wtedy odpoczywacie.

Wiem, że to zabrzmie nieprawdopodobnie, ale ja naprawdę tak myślałem, mając na uwadze to, co najlepszemu mogę dać drużynie. Trudno zresztą, żeby było inaczej – jako dojrzały trzydziestoletni zawodnik miałem raczej niewielkie szanse na to, by zabłysnąć w dziedzinie, w której nigdy nie błyszczałem, czyli w grze obronnej. W ofensywie dawałem za to z siebie wszystko, z całkiem przyzwoitym skutkiem: były gole, były asysty, były zacięte mecze, z których kilka opisałem w rozdziale *Złota księga*. Bez wątpienia najlepszy okres i dla mnie, i dla zespołu, nastąpił po przyjściu Andy'ego Cole'a. Grałem wtedy jako ofensywny środkowy pomocnik zaraz za dwoma napastnikami, i to było to. Kiedy graliśmy w takim ustawieniu, nagle okazało się, że moja – zdaniem niektórych nadmierna – skłonność do gry indywidualnej doskonale służy drużynie, bo ściągając na siebie dwóch albo trzech zawodników drużyny przeciwnej, robię miejsce szybszym ode mnie kolegom.

Graliśmy naprawdę nieźle, ale wyniki nie przychodziły. Najpierw, jeszcze w lutym 1992 roku, z posadą pożegnał się Jimmy Lumsden. Potem, w styczniu 1993, zwolniono Denisa Smitha, a grającym trenerem został trzydziestoczteroletni wówczas Russell Osman. Wcześniej współpracowaliśmy bezproblemowo, ale z chwilą, kiedy objął stanowisko szkoleniowca, coś zaczęło między nami zgrzytać. Ciekawy i nowoczesny styl gry zespołu przestał Russellowi odpowiadać; mieliśmy zacząć grać „po staremu” – długimi piłkami do skrzydłowych, których zadanie polegało na pognaniu sprintem do linii końcowej boiska i wrzuceniu górnej piłki na głowę któregoś z wbiegających napastników lub pomocników. W tak grającym zespole raczej nie było dla mnie miejsca. Nie byłem sprinterem, słabo sobie radziłem w walce w powietrzu, a kopnąć piłkę z całej siły do przodu w nadziei, że zanim opuści boisko, dopadnie jej któryś z szybszych od wiatru skrzydłowych, mógł właściwie każdy. Zapotrzebowanie na kogoś, kto potrafił rozegrać piłkę w środku pola, podciągnąć ją kilkanaście metrów w stronę bramki, „kiwnąć” raz, drugi albo trzeci, strzelić z dystansu albo podać po ziemi do wybiegającego napastnika, spadło do zera.

Nie miałem dwudziestu lat, nie mogłem sobie pozwolić na siedzenie miesiącami na ławce rezerwowych. Chciałem i musiałem grać, a szans na grę w drużynie prowadzonej przez Russella nie miałem prawie żadnych. Mimo że mój kontrakt wygasiał dopiero za prawie dwa



lata, i ja, i władze klubu uznaliśmy, że dla obu stron będzie lepiej, jeśli rozwiążemy go już teraz. Mnie zależało chyba na tym bardziej, ponieważ zgodziłem się podpisać zobowiązanie, że nie będę kontynuował kariery w Anglii... Zapewne chodziło o to, żebym nie przeszedł do jednego z klubów bezpośrednio rywalizujących z Bristolem o awans do Premiership, ale nawet gdybym takie propozycje otrzymał, chyba nie brałbym ich poważnie pod uwagę.

Właśnie: gdyby...

Co by było, gdybym jednak został na Wyspach, trafił do klubu, w którym grałoby mi się równie dobrze, albo nawet lepiej niż w Bristol City pod wodzą Jimmiego Lumsdena, a zwłaszcza Denisa Smitha, gdyby ten klub zaczął odnosić sukcesy, gdyby... Naturalnie nigdy się tego nie dowiem, ale trzeźwo oceniając sytuację, muszę stwierdzić, że szanse na taki rozwój wydarzeń nie były duże. Wtedy, w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych, piłkarze z kontynentalnej części Europy wciąż jeszcze stanowili dość egzotyczny widok na angielskich, walijskich i szkockich boiskach; w większości zespołów nie było ich w ogóle. Określenie „angielska piłka” wywoływało jednoznaczne skojarzenia: futbol siłowy, bieganie na najwyższych obrotach przez dziewięćdziesiąt minut, długie podania do skrzydłowych, seryjne wrzutki na pole karne. I tak naprawdę się tam grało. Czy mogłem się w tym odnaleźć? Chwilami z pewnością tak, o czym najlepiej świadczyły doskonałe recenzje, uznanie kibiców, wysokie oceny pomeczowe, nagrody, bramki i asysty. Chwilami zaś nie, co owocowało odciskami na pewnej części ciała od siedzenia na ławce rezerwowych, a niekiedy nawet relegowaniem do drugiej drużyny. Z pewnością wnosilem do gry zespołu coś zupełnie nowego, i dopóki to „coś” dawało pożądane efekty w postaci zwycięstw, wszystko było w porządku. Jeśli moja odmienność stanowiła wzmocnienie drużyny, przymykano oko na nawyki zupełnie niepasujące do wspomnianego angielskiego stylu gry, ba, wręcz podkreślano je jako coś wartościowego i zasługującego na uznanie. Wystarczyły jednak trzy czy cztery mniej udane występy, dwie albo trzy porażki z rzędu, żeby ostrze krytyki kierowało się właśnie na mnie jako na tego, który burzy wyćwiczone, sprawdzone schematy, sieje zamieszanie na boisku albo nawet, nie daj Boże, przedkłada indywidualne popisy nad ciężką harówkę dla dobra całego zespołu. Oczywiście nie chcę przez to powiedzieć, że byłem misjonarzem nowoczesnego futbolu wśród ciemnych jak tabaka w rogu brytyjskich plemion. Nie skarżę się też na to, że kostyczni tubylcy nie docenili mego piłkarskiego geniuszu i nie poznali się na pożytkach płynących ze stylu gry, jaki preferowałem. Takie podejście świadczyłoby o skrajnym kabotyństwie i całkowitym utracie kontaktu z rzeczywistością. Chcę po prostu powiedzieć coś na pewno mało odkrywczego, ale za to boleśnie prawdziwego: odmienność bywa cnotą, ale równie często, jeśli nie częściej, może być wadą. Nie mogłem oczekiwać, i nie oczekiwałem, że trenerzy, natchnieni widokiem moich poczynań na boisku, niemal z dnia na dzień zmienią swoje myślenie o futbolu. Z drugiej strony, na pewno za słabo starałem się dostosować do tego myślenia – przynajmniej na tyle, na ile fizycznie było to dla mnie możliwe. Zmęczony szarpaniną uznałem, że to właściwa chwila, by się z godnością wycofać i spróbować gdzie indziej.

Pytanie „co by było, gdyby” zadajemy sobie chyba wszyscy, wraz z upływem lat raczej coraz częściej niż coraz rzadziej. Nie jestem wyjątkiem, wielokrotnie wracałem pamięcią do tych chwil w moim życiu, kiedy sam mogłem pchnąć je na inne tory, kiedy mogli to za mnie uczynić inni albo kiedy mogło to nastąpić za sprawą zwykłego przypadku. Takie rozważania

naturalnie niczego już nie zmienią – w innym miejscu tej książki radzę zresztą młodym zawodnikom, żeby zaniadto się w nich nie pograżali – ale mogą stać się pretekstem do ciekawych refleksji i eksperymentów myślowych. Choć w życiu każdego z nas poważne zmiany mogły nastąpić niemal w każdej, dowolnie wybranej chwili, to z pewnością możemy pokusić się o wybranie momentów i zdarzeń niosących potencjalnie najpoważniejsze konsekwencje.

Gdybym jednak, nie zważając na nieprzychylność trenera, a dawnego kolegi z drużyny, zacisnął zęby i został w Bristolu, to czy moja kariera mogłaby się potoczyć tak jak na przykład kariera Andrew Cole'a, który do Bristol City trafił mniej więcej w tym samym czasie co ja i z którym przez pewien czas tak dobrze mi się grało? Przypomnę, że po zakończeniu sezonu 1992/1993 Andrew trafił do Newcastle, stamtąd zaś do Manchesteru United, w którym spędził sześć lat, strzelając niemal sto bramek. Mocno wątpliwe, przede wszystkim ze względu na dzielącą nas różnicę wieku – Andrew jest ode mnie o dziewięć lat młodszy – ale także dlatego, że w jego przypadku nie istniał problem dopasowania lub niedopasowania do obowiązującego wówczas na Wyspach sposobu gry. Andy, głównie dzięki swojej bajecznej szybkości, doskonale się w nim odnajdywał bez względu na osobę szkoleniowca i pozycję, na jakiej przyszło mu występować. Ja największą wartość dla drużyny przedstawiałem pod kierunkiem trenera, który rozumiał i akceptował mój styl gry. Ponadtrzydziestoletni zawodnik z dość egzotycznej jeszcze wtedy piłkarsko Polski nie bardzo mógł jednak liczyć na specjalne traktowanie, więc moje szanse na sensowną kontynuację kariery na Wyspach w najlepszym razie należało uznać za mocno wątpliwe.

Pewne jest natomiast, co by się stało, gdybym jesienią 1987 roku zdecydował się wyjechać „na czarno” do Bayeru Leverkusen: w krótkim czasie zostałbym bardzo, ale to bardzo zamożnym człowiekiem. Niemcy proponowali mi zarobki przekraczające milion marek za sezon, do tego dochodziłyby wszelkiego rodzaju premie i bonusy oraz pieniądze z kontraktów reklamowych. Dodatkowo – a może przede wszystkim – grałbym na co dzień w lidze znacznie silniejszej od polskiej, choć ówczesnej Bundeslidze jeszcze daleko było do poziomu, jaki prezentuje obecnie. I to chyba wszystko, co mógłbym wymienić po stronie plusów. Lista minusów jest znacznie bardziej obszerna: najprawdopodobniej dożywotnia dyskwalifikacja nałożona przez PZPN, a więc koniec występów w reprezentacji Polski. (Wtedy, w roku 1987, nikt nie mógł przewidzieć rozwoju sytuacji geopolitycznej na świecie, a więc i tego, że już za dwa lata zniknie żelazna kurtyna i że ci, którym komunistyczne władze przypinały łatki zdrajców i uciekinierów – a więc także sportowcy, którzy nielegalnie wyjechali na Zachód – będą mogli liczyć na rehabilitację). Najpierw zmasowany atak funkcyjnych dziennikarzy w prasie, radiu i telewizji, a potem staranne przemilczanie wszystkich moich nowych i starych dokonań. Duże problemy dla moich bliskich, którzy pozostaliby w kraju – rodziny „uciekierów” mogły nie tylko zapomnieć o otrzymaniu paszportu, ale często całkiem niespodziewanie natrafiały na mur formalnych utrudnień przy załatwianiu całkiem zwyczajnych, codziennych spraw. Władza miała wtedy naprawdę długie ręce.

Kiedy się teraz zastanawiam, dlaczego nie skorzystałem z okazji i po meczu z Czechosłowacją nie wsiadłem do czekającego na mnie samochodu, przede wszystkim przychodzą mi do głowy dwa wyjaśnienia: pierwsze to kwestia wychowania. Nie chcę ani siebie, ani moich rodziców stroić w piórka płomiennych patriotów, ale też w moim domu

rodzinnym nigdy nie było kultu dorabiania się za wszelką cenę, nikt nie opowiadał z zazdrością o takim czy innym krewnym, który uciekł na Zachód i świetnie na tym wyszedł, nikt nie kładł mi do głowy, że życie w Polsce to wegetacja, a prawdziwe eldorado zaczyna się dopiero za Łabą. W dzieciństwie nie otaczały mnie luksusy, ale nikt mi nie powtarzał, że powinienem czuć się z tego powodu nieszczęśliwy. Drugi powód jest znacznie bardziej przyziemny: w gruncie rzeczy wcale nie było mi tu źle, jak zresztą większości wybijających się sportowców. Ba, można powiedzieć, że w porównaniu z moimi rówieśnikami, którzy najpierw ciężką pracą zdobywali wykształcenie, a potem trafiali na rozmaite państwowe posady, byłem niemal krezusem. Jak inaczej można określić młodego człowieka, który w wieku osiemnastu lat jest w stanie za własne pieniądze kupić pierwszy samochód (tak, wiem, malucha, ale przecież na takie coś ludzie musieli pracować wtedy wiele lat...). Odkąd sięgam pamięcią, prawie zawsze pobierałem jakieś, mniejsze lub większe, stypendium, a równocześnie przez cały czas mogłem robić jedyną rzecz, która mnie pasjonowała i która dawała mi autentyczną radość: grałem w piłkę.

Z takimi okazjami jest jak z szansami na strzelenie bramki: kiedy się nadarzają, trzeba je wykorzystywać, bo nigdy nie wiadomo, czy i kiedy nadejdzie kolejna. Ja o tej konkretnej okazji myślę dziś z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony, jestem chyba zadowolony, a nawet dumny z siebie, że nie czmychnąłem chyłkiem z hotelu, nie pożegnawszy się nawet z trenerem i kolegami; z drugiej – zdaję sobie sprawę, że nie za bardzo mam prawo być z siebie dumny, ponieważ w głębi duszy wiem, iż moja decyzja o pozostaniu w kraju nie wynikała wyłącznie z wyższych pobudek. Żyło mi się tu całkiem wygodnie, tu wszystkich znałem, tu miałem rodzinę, powodziło mi się znacznie lepiej niż wielu moim rówieśnikom i po prostu nie widziałem powodu, żeby desperacko starać się poprawić sobie jakość życia. Nie chciałem stracić tego, co miałem, a musiałem brać pod uwagę i taką możliwość, że wizja niesłychanego bogactwa i trudnych do wyobrażenia dostatków może się okazać jedynie gruszkami na wierzbie. Teraz, po latach, zastanawiam się, czy nie należało jednak nabrać powietrza w płuca, zacisnąć powieki i dać krok naprzód, nie dbając o konsekwencje...

Gdybym latem 1983 roku nie przeszedł do Widzewa, na sto procent znalazłbym się w warszawskiej Legii. Z jednej strony, byłoby super, bo w ten sposób znacznie wcześniej nastąpiłoby spełnienie moich dziecięcych marzeń – pewnie też ci, którzy za mną nie przepadali, nie mieliby okazji przyklejenia mi łatki rozkapryszonego, wiecznie niezadowolonego gwiazdora, kibice Legii nie mieliby mi za złe przenosin do Łodzi, dwa lata później kibice Widzewa nie szydziliby ze mnie z powodu mojej „ucieczki” do Warszawy... Z drugiej strony, trafiłbym do Legii jako żołnierz służby zasadniczej, a takich zawodników z reguły zanadto się tam nie doceniało. Znalazłbym się w środowisku mimo wszystko na pewno bardziej przyjaznym, ale prawdopodobnie mniej wymagającym. Pobyt w Widzewie na pewno mnie zahartował, a największą korzyścią, jaką odniosłem, było to, że poznałem Mirka Jaworskiego. Zanim zostaliśmy przyjaciółmi, łączące nas relacje były wyjątkowo jednostronne: podziwiałem go jak cholera. Ja swoją lepszą, prawą nogą nie potrafiłem zrobić nawet siedemdziesięciu procent tego, co on potrafił obojętnie którą. Przyszedł do Widzewa z Hutnika Warszawa. Pamiętam, jak po pierwszym treningu zostaliśmy na boisku, żeby poćwiczyć rzuty wolne, a on zapytał mnie, którą nogą ma strzelać. Poprosiłem go grzecznie, żeby nie pajacował, bo przecież zawsze strzela się tą lepszą, ale okazało się, że to nie

wygłupy ani nie pyszałkowatość. Jemu n a p r a w d ę było wszystko jedno, którą nogą strzela! Już na tym pierwszym treningu opadła mi szczęka na widok jego techniki, sposobu prowadzenia piłki i poruszania się po boisku. Jakim cudem zawodnik o takich umiejętnościach tak długo obijał się po drugiej lidze? (Mirek jest starszy ode mnie). Potem bardzo często trenowaliśmy razem. Chyba nie muszę mówić, który z nas wynosił większe korzyści z tych treningów... W najtrudniejszym okresie mojego pobytu w Widzewie zdarzało się, że cztery razy w tygodniu przychodziliśmy około dwudziestej trzeciej na salę gimnastyczną, dawaliśmy dozorczy paczkę marlboro, żeby włączył nam światło, i ćwiczyliśmy bitą godzinę. Dysponował znacznie większą ode mnie wiedzą o tym, co w indywidualnym wyszkoleniu zawodnika jest najbardziej istotne i na co należy kłaść największy nacisk, i chętnie się nią ze mną dzielił. Nigdy mu tego nie zapomnę. Byłem wtedy najdroższym zawodnikiem w polskiej lidze, lecz bez szemrania poddawałem się jego ocenie i wykonywałem jego zalecenia. Po moim odejściu grał jeszcze w Widzewie przez rok albo dwa, po czym przeszedł do Motoru Lublin. Później wyjechał do francuskiej trzeciej ligi, jeszcze później grał w niższych klasach rozgrywkowych.

Kiedy opowiadam o Mirku, wiele osób zadaje mi pytanie – a i sam często je sobie stawiam – jak to możliwe, żeby człowiek o tak wielkich walorach piłkarskich osiągnął w futbolu tak mało? Powstrzymam się od porównań z innymi zawodnikami z tamtego okresu i pozostanę przy sobie; jeśli czołowy wówczas polski klub zapłacił za mnie dwadzieścia jeden milionów ówczesnych złotych, to z dużą dozą prawdopodobieństwa możemy przyjąć, iż prezentowałem co najmniej przyzwoity, jeśli nie ponadprzeciętny poziom umiejętności. Stwierdzam z całą odpowiedzialnością, i zawsze będę to powtarzał, że Mirek potrafił więcej ode mnie. Ile więc powinien być wtedy wart? Dwadzieścia pięć milionów? Trzydzieści? Co najmniej. Czy ktoś dał za niego tyle? Nie. Dlaczego? Bo do tego, żeby robić karierę, czy to w piłce nożnej, czy w jakiegokolwiek innej dziedzinie, oprócz talentu i umiejętności trzeba mieć kilka niezbędnych cech charakteru: przebojowość, umiejętność podkreślenia swoich zalet, zdolność przemilczania i tuszowania wad. Trzeba umieć i chcieć powiedzieć, że jest się dobrym. Zawodnik preferujący grę indywidualną, sam dla siebie jest zarazem szczęściem i nieszczęściem. Kiedy jest w formie, kiedy wszystko mu wychodzi, zbiera pochwały i zachwyty, i wszyscy na wyścigi podkreślają jego boiskowe zasługi. Kiedy forma jest słabsza, kiedy większość pojedynków jeden na jednego przegrywa, jego przydatność dla zespołu gwałtownie spada i na jego głowę natychmiast zwala się lawina krytyki. Trzeba wtedy zacisnąć zęby i udowodnić trenerowi, kolegom, dziennikarzom i kibicom, że pozornie egoistyczna gra daje jednak korzyść drużynie, że nie służy tylko autopromocji i zaspokajaniu gwiazdorskich ambicji. Trzeba być cholernie twardym – zasada stara i banalna, ale prawdziwa, zwłaszcza w przypadku takich właśnie zawodników. Mirek chyba się nie obrazi, jeśli powiem, że zabrakło mu właśnie tej twardości i bezwzględności w udowadnianiu, jak bardzo wartościowym jest piłkarzem, a i żaden z pracujących z nim szkoleniowców nie wykazał się wystarczającą przenikliwością, żeby dostrzec jego nadzwyczajne umiejętności, odpowiednio je rozwinąć i wykorzystać. Gdyby ktoś taki w odpowiedniej chwili się znalazł, kto wie, czy Mirek nie dołączyłby do panteonu największych gwiazd polskiej piłki nożnej i czy jego nazwiska nie wymieniałybyśmy z takim samym podziwem jak nazwiska Lubańskiego, Deyny czy Bońka...

# Meksykańska „klapa”

Rok 1985 był jednym z najlepszych w mojej karierze. Tak się szczęśliwie złożyło, że był to również rok kończący eliminacje do Mistrzostw Świata w Meksyku, i dzięki swojej wysokiej formie mogłem pomóc reprezentacji w uzyskaniu awansu. Nie zagrałem tylko w dwóch z piętnastu spotkań drużyny narodowej, strzeliłem dla niej trzy bramki – w tym aktualnym mistrzom świata Włochom oraz taką, która początkowo wydawała się kompletnie nieistotna, a dzięki której, jak się później okazało, awansowaliśmy z pierwszego miejsca w grupie. Myślę o czwartym голу w wyjazdowym spotkaniu z Grecją. Gdybym go nie zdobył, bezbramkowy remis, jaki uzyskaliśmy w ostatnim grupowym meczu z Belgią, dałby pierwsze, premiowane bezpośrednim awansem miejsce nie nam, tylko właśnie Belgom. Moją dobrą postawę docenili kibice, dzięki którym zająłem siódme miejsce w corocznym plebiscycie „Przeglądu Sportowego” na najlepszych polskich sportowców. Awans do turnieju finałowego MŚ spowodował, że w pierwszej dziesiątce znaleźli się jeszcze dwaj piłkarze: Zbyszek Boniek na miejscu szóstym i Józef Młynarczyk na dziesiątym. Spotkało mnie jeszcze jedno, bardziej „branżowe” wyróżnienie: czytelnicy tygodnika „Piłka Nożna” uznali mnie za najlepszego polskiego piłkarza 1985 roku.

Rozegrany 19 maja w Atenach mecz z Grecją, w którym zdobyłem tę jakże ważną bramkę, był pierwszym spotkaniem eliminacyjnym, w którym trener Piechniczek nie wstawił mnie do pierwszego składu. Wszedłem z ławki w piętnastej minucie za kontuzjowanego Ryszarda Tarasiewicza. Nie ukrywam, że trochę mnie to zdziwiło, ale przecież nie od wczoraj grałem w piłkę i doskonale wiedziałem, że nikt nie ma monopolu ani stałego nadania na grę w pierwszej jedenastce, i że trener ma święte prawo dokonywać rozsad według własnego uznania, także po to, by zmotywować zawodników do zdrowej rywalizacji o miejsce w składzie. Jak się okazało, nie było to do końca takie proste, ale o tym będzie jeszcze okazja mówić zarówno w tym, jak i w innych rozdziałach.

W ostatnim, rozstrzygającym losy rywalizacji meczu z Belgią wystąpiłem w linii pomocy razem z Matysikiem, Komornickim i Urbanem, i właśnie ta formacja naszej reprezentacji zebrała najbardziej pochlebne opinie komentatorów, choć w mojej opinii cała drużyna zasłużyła na najwyższe noty, przede wszystkim dlatego, że wytrzymała ogromną presję i napięcie psychiczne. Co prawda nawet przegrana nie przekreślała naszych szans na awans, ponieważ zagralibyśmy wtedy w barażach, ale zważywszy na to, że naszym przeciwnikiem byłaby Holandia, trudno wyrokować, czym by się to dla nas skończyło. Wiedzieliśmy, że wystarczy nam remis i go uzyskaliśmy, choć w pierwszej połowie piłka po atomowym strzale Zbyszka Bońka trafiła w lewy słupek bramki Belgów, przemknęła wzdłuż linii bramkowej, minęła prawy słupek, po czym skręciła i wyszła na aut bramkowy... Gdyby Zbyszek strzelił odrobinę lżej, przypuszczalnie zdążyłaby zmienić kierunek jeszcze w obrębie bramki i prowadzilibyśmy 1:0. W drugiej z kolei raz pomógł nam słupek, a w kilku innych sytuacjach rewelacyjnymi interwencjami popisał się Józef Młynarczyk. Końcówka była niezwykle dramatyczna – może nie aż tak jak w roku 1973, kiedy zespół prowadzony przez Kazimierza Górskiego walczył z Anglią na Wembley, ale emocje i na trybunach, i na boisku sięgały zenitu.

Wreszcie sędzia zagwizdał po raz ostatni i stało się: reprezentacja Polski czwarty raz z rzędu, a drugi pod wodzą Antoniego Piechniczka, awansowała do finałów Mistrzostw Świata.

Sukces, choć z pewnością ogromny, nie był jakoś szczególnie celebrowany – być może dlatego, że w tamtych czasach udział w finałowych turniejach Mistrzostw Świata był dla polskiej reprezentacji normą, nie zaś nieosiągalnym celem... Po meczu wróciliśmy do hotelu Warszawa w Katowicach, po czym rozjechaliśmy się do domów. Pamiętam, że wracałem do Warszawy samochodem z Darkiem Szpakowskim. W moim sercu, oprócz radości z awansu, znalazło się miejsce dla odrobiny niepokoju; zbyt mocno utkwiała mi w pamięci znacznie większa euforia po wywalczeniu awansu przed czterema laty oraz to, co nastąpiło później, czyli brak powołania do kadry na mistrzostwa. Niby sytuacja była teraz całkiem inna – wtedy dopiero co debiutowałem w reprezentacji, teraz należałem do jej podstawowych zawodników – niemniej zbyt dobrze znałem już trenera Piechniczka i jego przywiązanie do piłkarzy, których dobrze znał i z którymi wcześniej odnosił sukcesy, żeby niczym się nie przejmować. Nie ukrywam, że ogromnie zależało mi na wyjeździe do Meksyku, zarówno z czysto piłkarskich, jak i osobistych powodów. Lata mijały, a ja poza sukcesami juniorskimi (dwa wicemistrzostwa Europy, brązowy medal Mistrzostw Świata) wciąż nie mogłem się szcycić nie tylko jakimikolwiek osiągnięciami w „dorosłych” imprezach, ale w żadnej z nich nie brałem jeszcze udziału... Bardzo udany pod względem sportowym rok, który właśnie dobiegał końca, napełniał mnie optymizmem i nadzieją na przyszłość. Cóż, nie pozostawało mi nic innego, jak solidnie pracować, w meczach i na treningach pokazywać się z jak najlepszej strony i liczyć na to, że moje wysiłki zostaną docenione.

Niewiele brakowało, żeby mistrzostwa skończyły się dla mnie jeszcze tu, w kraju. Tuż przed wyjazdem na zgrupowanie do Scheidegg w Bawarii, w meczu ligowym z Zagłębiem Sosnowiec, na dziesięć minut przed końcem tak nieszczęśliwie zderzyłem się z Bogusławem Plichem, że doznałem wstrząśnienia mózgu i zostałem odwieziony do szpitala. W kończącym sezon spotkaniu z Motorem Lublin już nie wystąpiłem. Na szczęście do 2 maja, czyli dnia wylotu na zgrupowanie, zdążyłem prawie całkowicie wrócić do sił. W trakcie zgrupowania mieliśmy zaplanowane dwa spotkania sparingowe: z Norymbergą i Eintrachtem Frankfurt. Choć od zakończenia rozgrywek ligowych minęło zaledwie pięć dni, selekcjoner od razu zagonił nas do ciężkiej pracy. Teraz nie ulega dla mnie wątpliwości, że był to poważny błąd; na tym etapie przygotowań powinniśmy przede wszystkim porządnie wypocząć, a nie harować na boisku tak, jakbyśmy zaczynali wszystko od zera i musieli od początku zbudować zarówno siłę, jak i wytrzymałość. Wtedy, w maju 1986 roku, ani nie miałem takiej pozycji w zespole, żeby zgłaszać zastrzeżenia, ani – szczerze mówiąc – nie przyszło mi do głowy, żeby cokolwiek kwestionować. Podobnie jak inni zawodnicy uznałem, że doświadczony sztab szkoleniowy wie, co robi, zacisnąłem zęby i wziąłem się do roboty. Nic mi nie dały do myślenia – a szkoda! – doświadczenia starszych kolegów, którzy na mundialu w roku 1982 po dwóch nieudanych spotkaniach wzięli sprawy częściowo w swoje ręce, we właściwy sposób ustalili priorytety (najważniejszy jest mecz, nie trening) i efekt w postaci imponującego zwycięstwa nad Peru nie kazał na siebie długo czekać.

W zgrupowaniu uczestniczyło dwudziestu czterech zawodników, na mundial mogło polecieć tylko dwudziestu dwóch. Dwoma pechowcami okazali się Waldek Prusik i Krzysiek Baran. Co prawda trener Piechniczek zabrał ich do Meksyku, ale zostali zgłoszeni jako członkowie ekipy,

nie jako piłkarze, wiadomo więc było, że na pewno nie wystąpią. Skład drużyny ogłoszono w blasku reflektorów i przy obecności kamer telewizyjnych w sali konferencyjnej nieistniejącego już hotelu Solec. Dyplomy będące potwierdzeniem powołania do kadry wręczał Bolesław Kapitan, przewodniczący Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki, czyli ówczesnego odpowiednika Ministerstwa Sportu i Turystyki.

Nie ukrywam, że kiedy 20 maja wsiadałem do samolotu, który miał mnie zabrać na największą piłkarską przygodę mojego życia, towarzyszyły mi całkiem spore nadzieje i oczekiwania. Chyba trudno było mi się dziwić; wchodziłem w najlepszy dla piłkarza wiek, miałem za sobą całkiem udany sezon, drużyna zaś, której niekwestionowanym liderem był Zbyszek Boniek, stanowiła – przynajmniej na papierze – potencjalnie zabójczą dla przeciwników mieszankę doświadczenia i młodości... Niestety, już wkrótce miało się okazać, że to, co teoretycznie wydawało się jej siłą, w praktyce okazało się słabością i że ani proporcje mieszanki nie były właściwe, ani przyrządzający ją kucharz nie potrafił wymieszać składników w taki sposób, by stworzyły jednolitą całość.

Ale po kolei.

Antoni Piechniczek był – piszę „był”, bo jakiś czas temu wycofał się z aktywnego życia trenerskiego – dość specyficznym szkoleniowcem. Ogromną wagę przywiązywał do przygotowania fizycznego, co często gęsto prowadziło do zaniedbania pozostałych elementów, a także nie potrafił, lub nie chciał, ukrywać swoich sympatii i antypatii. Chciałbym być właściwie zrozumiany: doskonale zdaję sobie sprawę, iż każdy trener klubowy i każdy selekcjoner reprezentacji narodowej pewnych zawodników lubi bardziej, innych zaś mniej, ale nie powinno to w przesadny sposób wpływać ani na jego decyzje personalne, ani na traktowanie poszczególnych piłkarzy. (O tym, że można mieć całkowicie neutralny stosunek do wszystkich powoływanych do kadry zawodników, przekonałem się wiele lat później, obserwując z bliska pracę Leo Beenhakera). U trenera Piechniczka wpływało, i to bardzo.

Niekwestionowaną pozycję miał z pewnością Zbyszek, i akurat w tym przypadku sympatie ani antypatie trenera nie miały najmniejszego znaczenia. Zbyszek, ze swoją dominującą osobowością, cechami przywódczymi i – jak mówią jedni – otwartością wypowiedzi, albo – jak mówią inni – niewyparzoną gębą, był naturalnym liderem, a że równocześnie błyszczał, dowodził i harował na boisku, to nikt jego przywódczej roli nie kwestionował. Trzeba by trenera o ego wielkości Himalajów, żeby zdecydował się na konfrontację; trener Piechniczek się na nią nie zdecydował i uważam, że dobrze zrobił. Wszechobecny, wszechwiedzący i nieustająco pewny siebie Zbyszek mógł czasem niektórych z nas wkurzać, ale z pewnością wzmacniał zespół – pal licha, że w apodyktyczny, nieliczący się z nikim ani niczym sposób.

Dalej szła grupa „wiernych pretorian” selekcjonera: doświadczeni, zaawansowani wiekiem zawodnicy, z którymi zdobywał srebrny medal na Mistrzostwach Świata w 1982 roku. Między nimi i Piechniczkiem wytworzyła się swoista symbioza, która nie zawsze była dobra dla drużyny. On mógł zawsze liczyć na ich lojalność i wsparcie, oni zaś na to, że nawet w nieco słabszej formie i tak zostaną powołani do reprezentacji i pokażą się na arenie międzynarodowej. Jedynym piłkarzem z mistrzowskiej grupy, który nie mógł liczyć na względy selekcjonera, a nawet został potraktowany w wyjątkowo niemiły sposób, był Władysław Żmuda. O jego przypadku opowiem w dalszej części rozdziału.

Na trzecim miejscu wymienilibym zawodników, których trener Piechniczek z takich czy

innych względów po prostu lubił, m.in.: Ryszarda Komornickiego, Krzysztofa Pawlaka, Andrzeja Pałasa. Chętnie powoływał ich na zgrupowania i często wpuszczał na boisko. Miał słabość do piłkarzy ze Śląska.

Pozostała cała reszta: zawodnicy młodzi, wyróżniający się na tyle, że nie sposób było nie powołać ich do kadry, ale którzy na każdym kroku musieli udowadniać swoją przydatność, w razie jakiegoś potknięcia szybko i łatwo przesuwani do drugiego szeregu, rzadko chwaleni, za to ganieni zawsze, jak tylko nadarzyła się sposobność: Tarasiewicz, Karaś, Kubicki, ja. To, że jednak udawało nam się stworzyć w miarę zgrany zespół i że podczas przedmeczowych zgrupowań w kadrze panowała całkiem znośna atmosfera, zawdzięczaliśmy w głównej mierze sobie, a nie trenerowi. Z nami, młodymi, trener właściwie nie rozmawiał. Nie chodzi mi o to, żeby pytał nas, jaki skład ma wystawić w najbliższym meczu, bo tego nie robi żaden zdrowo myślący trener na świecie, ale jeśli w trakcie trwającego kilka czy kilkanaście dni zgrupowania jedyny kontakt z zawodnikiem ogranicza się do wydawania poleceń na treningach, to naprawdę trudno mówić o budowaniu i cementowaniu więzi... Zwłaszcza jeśli jest grupa piłkarzy, którą w tym samym czasie traktuje się na niemal rodzinnych zasadach.

Zakwaterowano nas w pięknym ośrodku treningowym Bahia Escondida pod Monterrey. Mieszkałem w pokoju z Darkiem Kubickim. Teoretycznie mieliśmy ośrodek wyłącznie dla siebie, ale ku naszemu zdziwieniu zauważyliśmy grupkę turystów ze Stanów Zjednoczonych, którzy także się tam zatrzymali. Jestem prawie pewien, że nie mieli pojęcia, kim jesteśmy ani z jakiego powodu się tam znaleźliśmy. Warunki były doskonałe: mieszkaliśmy w hotelowym budynku położonym na wzgórzu, do stołówki szło się spacerkiem niespełna dziesięć minut, posiłki podawano nie w sali, lecz pod ogromnymi płóciennymi zadaszeniami. Naturalnie do dyspozycji mieliśmy basen, siłownię, saunę, gabinety odnowy biologicznej i wszelkie udogodnienia, jakich na imprezie tej rangi można oczekiwać. Treningi odbywały się na dwóch doskonale utrzymanych, dostępnych wyłącznie dla nas, boiskach. Ćwiczyliśmy dużo i ciężko, zupełnie jakbyśmy mieli poważne zaległości, które koniecznie należało w ostatniej chwili uzupełnić. Pal licha, że było to potwornie męczące – pamiętajmy o upałach – i w sumie bezcelowe. Dużo gorsze było zdenerwowanie i poczucie niepewności, szybko udzielające się kolejnym zawodnikom. Skoro tak ciężko trenujemy, to znaczy, że selekcjoner widzi poważne braki, ale przecież do pierwszego meczu zostało bardzo niewiele czasu, więc czy zdążymy je nadrobić? Zamiast podbudowywać nas psychicznie, umiejętnie dobranymi ćwiczeniami utwierdzać nas w przekonaniu, że jesteśmy naprawdę dobrze przygotowani do imprezy, trener Piechniczek nieświadomie osłabiał morale drużyny. To oczywiste, że zarówno indywidualnie, jak i jako zespół nie byliśmy doskonali; było już jednak naprawdę za późno, żeby w cudowny sposób wyeliminować wszystkie braki. Należało raczej skupić się na budowaniu przekonania, że plusy przeważają nad minusami i że trzeba grać tak, by jak najlepiej wykorzystać arsenał dostępnych środków – w końcu byliśmy w gronie najlepszych drużyn świata.

Mimo to, gdybym miał najkrócej opisać atmosferę w drużynie, powiedziałbym tak: wielkie oczekiwania. Na pewno podniosła nas na duchu wizyta Kazimierza Deyny, który pewnego dnia niespodziewanie pojawił się w Bahia Escondida. To było dla mnie wielkie przeżycie móc uścisnąć mu dłoń, ale niestety nie zdołałem zamienić z nim choćby paru słów, ponieważ od razu „zagarnęli” go starsi koledzy, którzy występowali z nim kiedyś na boisku. Sytuacja była bardzo podobna do tej z 1978 roku; teraz też przyjechaliśmy na Mistrzostwa Świata jako trzeci



zespół poprzedniej imprezy, teraz też drużyna stanowiła potencjalnie bardzo obiecującą mieszankę doświadczenia z młodością. Prowadził nas jedyny polski szkoleniowiec, który dwukrotnie wprowadził reprezentację narodową do finałów mundialu (pozostaje nim zresztą do dzisiaj). Wydawało się, że sukces – nikt o tym nie mówił głośno, ale za taki uważano awans do strefy medalowej – wydawał się nieunikniony.

Pierwszy mecz rozegraliśmy 2 czerwca w Monterrey z Marokiem, w upale i przy wysokiej wilgotności powietrza. Nie ukrywam, że przystępowaliśmy do niego z przeświadczeniem, że może nie będzie to spacer, ale że bez większego trudu poradzimy sobie z reprezentantem Afryki. Myliliśmy się, i to bardzo. Mecz był po prostu nudny, żadna drużyna nie wypracowała sobie stuprocentowych sytuacji do strzelenia bramki, interesujące akcje reprezentacji Polski można było policzyć na palcach jednej ręki. Ja też niczym szczególnym się nie wyróżniłem, choć w pierwszej połowie pociągnąłem mocno lewą stronę boiska i usiłowałem dośrodkować mniej więcej z bocznej linii pola karnego. Piłka zeszła mi nieco z nogi i zamiast dośrodkowania wyszedł mi całkiem przyzwoity, minimalnie niecelny strzał w krótki górny róg bramki. Gdyby piłka trafiła do siatki, padłby gol niemal identyczny jak ten, którego Witek Sikorski strzelił na Łazienkowskiej w pamiętnym, wygranym przez Legię 3:2, spotkaniu z Interem Mediolan... Parę minut później w polu karnym wyłożyłem piłkę Andrzejowi Buncolowi, ale on huknął ładnych parę metrów nad poprzeczką. Schodzące na przerwę drużyny żegnało całkowicie zasłużone buczenie i gwizdy widzów. W drugiej połowie po ładnej akcji Włodka Smolarka, którego dośrodkowanie przedłużył do mnie głową Boniek, dostałem piłkę na piętnastym metrze, ale strzeliłem za słabo i bramkarz bez trudu złapał piłkę. W pięćdziesiątej szóstej minucie trener Piechniczek zmienił mnie na Jana Urbana, ale ani ta, ani wcześniejsza zmiana Kubickiego na Przybysia nie zmieniła obrazu gry. Spotkanie zakończyło się rozczarującym remisem 0:0.

Po meczu w szatni długo panowała martwa cisza. Chyba nie mogliśmy uwierzyć w to, co się stało. Nikt nie uważał Maroka za chłopca do bicia, niemniej zwycięstwo nad afrykańską drużyną było już dawno wpisane w nasz rozkład jazdy. To miał być mecz „na przetarcie”, pewna szansa na komplet punktów, bo przecież spotkania z naprawdę wymagającymi zespołami dopiero nas czekały. Co gorsza, zdawaliśmy sobie sprawę z mnóstwa niedostatków, które sprawiły, że na naszą grę naprawdę przykro się patrzyło: brak przyspieszenia, ślamazarne i monotonne rozgrywanie akcji, ospałość i niezdolność wykrzesania z siebie zaskakujących, nietuzinkowych rozwiązań... Niewiele przesadzę, jeżeli powiem, że strach zajrzał nam w oczy. Plany bezproblemowego dotarcia do strefy medalowej wzięły w łeb, stanęliśmy przed widmem całkiem realnej katastrofy, jaką byłoby zakończenie turnieju w fazie grupowej. Portugalia, z którą graliśmy kolejny mecz, była przeciwnikiem o wiele bardziej wymagającym niż Maroko, o czym wielu z nas miało okazję przekonać się osobiście, uczestnicząc w przegranych w 1982 i 1983 roku spotkaniach eliminacyjnych do Mistrzostw Europy.

Słabą postawę należało jakoś wyjaśnić dziennikarzom i kibicom. Sztab szkoleniowy najchętniej mówił o trudnych warunkach atmosferycznych (wysoka temperatura i wilgotność), przywoływano też – cokolwiek bez sensu, bo co ma piernik do wiatraka? – analogie z poprzednimi finałami Mistrzostw Świata, kiedy również zaczęliśmy od mało efektownego remisu, a wiadomo, co było potem. Jeśli chodzi o mnie, to byłem na siebie po prostu wściekły,

bo dobrze wiedziałem, że zagrałem w najlepszym razie przeciętnie. „Przeciętnie” nie znaczy jeszcze „źle”, ale oczekiwania wobec mnie były tak wysokie, że moja przeciętność została oceniona gorzej niż ewidentnie nieudany występ kilku innych zawodników. I słusznie, nie miałem o to do nikogo pretensji. Analizując tamte wydarzenia z perspektywy czasu, dochodzę do wniosku, że na moją niezbyt przekonującą postawę mogła mieć wpływ drakońska kuracja odchudzająca, jaką na żądanie trenera zaaplikowałem sobie jeszcze na zgrupowaniu w Scheidegg (Piechniczek miał obsesję nie tylko na punkcie przygotowania kondycyjnego, ale także wagi zawodników). W dniu meczu z Marokiem ważyłem siedemdziesiąt sześć i pół kilograma, i nie była to dla mnie najlepsza waga. Widać to dobrze na zdjęciach i filmach z tego okresu. Teoretycznie im mniej ważysz, tym szybciej biegasz i tym bardziej zwrotny jesteś, ale z drugiej strony, każdy z nas ma swoją optymalną wagę, przy której czuje się najlepiej, a jego organizm ma największą wydolność. Ja źle się czułem w charakterze chuchra; dziś nie ulega dla mnie wątpliwości, że to odchudzanie nie wyszło mi na dobre, ale naturalnie nie jestem w stanie zaręczyć, że grubszy Dziekanowski byłby bardziej przydatny dla drużyny od chudego.

Kto wie, czy nasze losy na tym turnieju nie potoczyłyby się inaczej, gdyby po wstrząsie, jakim bezsprzecznie był nieudany mecz z Marokiem, grupa najmłodszych zawodników, do których i ja się zaliczałem, spróbowała wyjść z cienia zasłużonych weteranów. Przecież ten mundial miał być szansą przede wszystkim dla nas, to przede wszystkim nam powinno zależeć na tym, by zespół zaprezentował się jak najlepiej, to w naszych karierach mógł nastąpić zwrot, kierujący je na całkiem nowe, światowe tory... Nie zrobiliśmy tego i to był nasz – i mój – ogromny błąd.

Pięć dni po blamażu z Marokiem wybiegliśmy na to samo boisko w Monterrey, by powalczyć z Portugalią. Mieliśmy nóż na gardle – nasi rywale nie, ponieważ w pierwszym spotkaniu dość niespodziewanie pokonali Anglię 1:0. Trener Piechniczek dokonał w naszym składzie kilku zmian oraz roszył w ustawieniu. Kontuzjowanego Darka Kubickiego na prawej obronie zastąpił Krzysztof Pawlak, zamiast Andrzeja Buncola pojawił się Jan Urban, ja przeszedłem na prawą pomoc, a moje miejsce w ataku, obok Włodka Smolarka, zajął „Zibi”. W pierwszym składzie ponownie wyszedł jeden z ulubieńców trenera, Ryszard Komornicki, choć w odwodzie byli przecież z pewnością nie gorsi Janek Karaś i Rysiek Tarasiewicz. Karaś wszedł za „Koko” dopiero w pięćdziesiątej siódmej minucie.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że rozegraliśmy o niebo lepsze spotkanie niż z Marokiem. Świadomość ciężkiej na nas odpowiedzialności nie spętała nam nóg, ruszaliśmy się żwawiej, śmiało atakowaliśmy, stwarzaliśmy sytuacje bramkowe. Co prawda wykorzystaliśmy tylko jedną z nich – w sześćdziesiątej ósmej minucie Zbyszek poszedł prawą stroną, podał mi piłkę przed pole karne, ja wrzuciłem ją miękko na jedenasty metr, a tam dopadł ją Włodek i w typowy dla siebie, sprytny sposób umieścił w siatce obok rozpaczliwie interweniującego Manuela Bento – ale to wystarczyło do zwycięstwa. Prawdą jest jednak także to, że ten mecz wygrał dla nas Józef Młynarczyk. Zwłaszcza w drugiej połowie „Młynarz” dokonywał prawdziwych cudów, kilkakrotnie ratując nas przed pewną utratą gola. Powiało optymizmem, i to mocno, ponieważ dzień wcześniej Anglia kompletnie się skompromitowała, tak samo jak my bezbramkowo remisując z Marokiem. Po dwóch rundach spotkań sytuacja przedstawiała się więc następująco (przypominam, że w tamtych czasach za

zwycięstwo dostawało się nie trzy, lecz dwa punkty): Polska trzy punkty, Maroko dwa punkty, Portugalia dwa punkty i Anglia jeden punkt. Wystarczyło zremisować z Anglią, żeby mieć awans w kieszeni. (Do dalszych gier awansowały dwie najlepsze drużyny z każdej grupy oraz cztery najlepsze zespoły z trzecich miejsc; grup było sześć).

Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić.

Wiedzieliśmy, że największe zagrożenie grozi nam ze strony Gary'ego Linekera, będącego wówczas u szczytu formy napastnika, który w czterdziestu dwu meczach w barwach Evertonu zdobył czterdzieści bramek i tuż przed mundialem w Meksyku podpisał kontrakt z Barceloną. Miał go kryć indywidualnie Stefan Majewski, ale szło mu tak sobie, ponieważ już w dziewiątej minucie Lineker bez trudu uwolnił się spod jego opieki i z bliska strzelił nam pierwszą bramkę. Sytuacja powtórzyła się sześć minut później i właściwie było już po meczu. Szkoda, bo w pierwszych minutach wcale nie graliśmy źle i to my pierwsi mieliśmy świetną okazję do zdobycia bramki: po doskonałym wyjściu lewą stroną Zbyszek oddał silny, ostry strzał, po którym Peter Shilton wypuścił piłkę z rąk. Dzieliły mnie od niej może dwa metry; Anglików ocaliła wystawiona noga Terry'ego Butchera, z którym za kilka lat miałem się spotkać na boiskach Szkocji. Trzeciego gola Lineker wbił nam w trzydziestej czwartej minucie po kozmarnym błędzie Józka Młynarczyka.

Wielu fachowców i kibiców uważa, że ten mecz przegrała nasza obrona do spółki z „Młynarzem”. Zapewne w takiej opinii jest ziarno prawdy, ale warto się zastanowić, dlaczego zadanie indywidualnego krycia Linekera otrzymał niespecjalnie szybki i zwrotny Majewski? Jeśli zaś chodzi o Józka, to i on, i my mieliśmy po prostu pecha, że akurat wtedy przydarzył mu się gorszy dzień. Pamiętajmy, że gdyby tak obniżka formy przytrafiła mu się parę dni wcześniej, w spotkaniu z Portugalią, z Anglią praktycznie gralibyśmy „o pietruszkę”. Wtedy był bohaterem, teraz schodził z boiska z opuszczoną głową. Taki los.

Nie pozostało nam nic innego, jak czekać na rezultat rozgrywanego równolegle spotkania Maroko – Portugalia oraz na wyniki meczów w pozostałych grupach. Mieliśmy szczęście: Maroko pokusiło się o ogromną sensację, wygrywając 3:1 z faworyzowaną Portugalią, rywalizacja zaś w innych grupach potoczyła się w taki sposób, że w dodatkowej tabeli drużyn, które zajęły trzecie miejsca, zajęliśmy czwartą pozycję i jako ostatni zespół awansowaliśmy – przepraszam, wczłgaliśmy się – do jednej ósmej finału.

A tam czekała na nas Brazylia.

Gdybym miał jednym słowem opisać nastrój panujący w drużynie, na pewno nie użyłbym słowa „ optymizm”. Zarówno trener, jak i my wyczerpaliśmy arsenał wymówek. Każdy, kto miał oczy i odrobinę rozumu w głowie, widział wyraźnie, że jesteśmy po prostu słabi, i żadne zaklinanie rzeczywistości nie było w stanie tego zmienić. Nie wznieśliśmy się ponad przeciętność w ofensywie, nikogo nie powaliliśmy na kolana grą defensywną. Upalny meksykański mundial okazał się kubłem lodowatej wody, który chlusnął na nasze głowy i na głowę selekcjonera – niestety, czekała nas jeszcze przeprawa przez Niagarę... Nikt nie mówił tego głośno, ale zdawaliśmy sobie sprawę, że choćby nie wiadomo co, nie zdołamy pokonać Brazylii. Paradoksalnie, ta świadomość chyba bardziej nam pomogła, niż zaszkodziła. Mogliśmy liczyć tylko na cud, a w takiej sytuacji nie ma się nic do stracenia. Do takiego wniosku doszedł chyba również trener Piechniczek, ponieważ od pierwszej minuty wystawił grających ofensywnie Ryśka Tarasiewicza i Janka Karasia, a także Janka Urbana. Do

trzydziestej minuty szło nam nie najgorzej. Ba, przy odrobinie szczęścia mogliśmy nawet prowadzić 2:0, ponieważ najpierw, po niby-wrzutce-niby-strzale Tarasiewicza piłka trafiła w słupek bramki Brazylijczyków, a potem po atomowym strzale Janka Karasia z około trzydziestu metrów mało nie złamała poprzeczki. Dalej, niestety, wszystko potoczyło się zgodnie z oczekiwaniami. Brazylijczycy zaczęli tańczyć sambę, Socrates, Josimar, Edinho i Careca zapisali po trafieniu każdy (dwa gole padły z rzutów karnych po faulach wynikających z całkowitej bezradności naszych obrońców i Józka Młynarczyka). W drugiej połowie mieliśmy jeszcze jedną szansę bramkową, kiedy po moim dośrodkowaniu z prawej strony „Zibi” oddał przepiękny strzał nożycami – niestety niecelny. W osiemdziesiątej szóstej minucie trener Piechniczek wprowadził na boisko Władka Żmudę, który dzięki temu wysunął się na drugie miejsce (po Uwe Seelerze) w klasyfikacji piłkarzy, którzy rozegrali najwięcej meczów podczas finałów Mistrzostw Świata.

Skoro o Władku mowa: Lecąc do Meksyku, miał już za sobą udział w trzech turniejach o mistrzostwo świata, w kolekcji miał dwa srebrne medale tych imprez oraz srebrny medal olimpijski, i wcale nie był taki stary: trzydzieści dwa lata to dla stopera wiek stosunkowo zaawansowany, lecz w żadnym wypadku niewykluczający gry na najwyższym poziomie. Problem polegał na tym, że Władek już od dłuższego czasu na tym poziomie nie grał... Zawodnik z tak ogromnym doświadczeniem doskonale wie, kiedy jest w formie, a kiedy nie, i Władek z pewnością zdawał sobie sprawę z tego, że w kadrze są od niego lepsi. Z drugiej strony, perspektywa dołączenia do panteonu futbolowych sław była tak kusząca, że przyjął powołanie do kadry na mundial. Tak naprawdę problem nie polegał na jego słabszej formie ani na tym, że w koncepcji trenera Piechniczka zabrakło dla niego miejsca w drużynie, lecz na braku jasnego i jednoznacznego komunikatu ze strony selekcjonera: „Słuchaj, Władek: jesteś świetny, ale dziś są lepsi od ciebie. Zawdzięczamy ci niewiarygodnie dużo, ale teraz bijemy się o jeszcze więcej. Podczas tego turnieju nie zagrasz w pierwszym składzie, ale liczę na twoje wsparcie i doświadczenie”. Takiego komunikatu nie było, w związku z czym Władek był cały czas sfrustrowany, niezadowolony i rozżalony, i czynił bardzo niewiele – albo nawet nic – żeby te negatywne emocje ukryć. Powiedzieć, że wyglądał i zachowywał się tak, jakby przez cały czas żuł cytrynę, to nic nie powiedzieć.

Po spotkaniu, w trakcie rozmowy w studiu telewizyjnym, wyraźnie wzburzony Antoni Piechniczek niemal całą winę za porażkę zrzucił na arbitrów, zapowiedział swoje odejście ze stanowiska selekcjonera oraz z lekkim przekąsem życzył swojemu następcy, żeby – podobnie jak on – zdołał dwukrotnie doprowadzić polską reprezentację do finałów Mistrzostw Świata. Te życzenia przeszły do historii jako „klątwa Piechniczka”; przesądni mogą wierzyć, że istotnie coś było na rzeczy, ponieważ na mistrzostwa wróciliśmy dopiero szesnaście lat później.

Po tym wszystkim, co napisałem o trenerze Piechniczku, sztabie szkoleniowym i starszych, bardziej doświadczonych zawodnikach, mogłoby się wydawać, że to ich głównie obarczam winą za nasz mierny występ. Nic podobnego. Uważam, że do porażki – bo przecież trudno inaczej ocenić nasz udział w mundialu – w równie dużym, jeśli nawet nie większym stopniu przyczynili się młodzi piłkarze, w tym także ja. Za słabo walczyliśmy o swoje, za rzadko i zbyt nieśmiało próbowaliśmy dojść do głosu, zbyt szybko potulnie położyliśmy uszy po sobie, zbyt łatwo zaakceptowaliśmy marazm panujący w grupie starszych zawodników i oportunizm

trenera. Uznaliśmy, że skoro tak jest, to tak musi być i już. Ten mundial był dla nas, młodych, ogromną szansą. Jak ogromną, uświadomiliśmy sobie chyba dopiero wtedy, kiedy po klęsce z Brazylią szykowaliśmy się do powrotu do domu. Powinniśmy byli rzucić się na nią jak głodne psy na mięso i walczyć o to, by wyszarpać dla siebie jak największy kawałek, ale tego nie zrobiliśmy. Takie postępowanie działa również trzeźwiąco i pobudzająco na starszych, pewnych swego, sytych sukcesów i może nieco zmanierowanych piłkarzy. Czując na karku oddech „młodych wilków”, potrafią wykrzesać z siebie jeszcze niejedną iskrę. Wspaniały przykład takiego postępowania dał w 1978 roku Zbyszek, kiedy przebojem wdarł się do drużyny w znacznej części złożonej z medalistów poprzednich mistrzostw świata i nie bacząc na zasługi starszych kolegów, zaczął bezceremonialnie rozpychać się łokciami. Nikt z nas nawet nie spróbował czegoś takiego zrobić.

W moim przypadku, niestety, nie był to pierwszy ani ostatni raz, kiedy potężną czkawką odbił mi się mój całkowity brak dążenia do odgrywania wiodącej roli w zespole, niechęć do publicznego oceniania innych, wstrzeźliwość w angażowaniu się w personalne rozgrywki i przepychanki, nieumiejętność atakowania innych i bronienia siebie. Podobnie jak w drużynach klubowych, w których występowałem do tej pory, najlepiej jak potrafiłem robiłem swoje na treningach i podczas meczu, po czym pakowałem torbę i szedłem do hotelu. Wtedy wydawało mi się to świetnym sposobem na życie – teraz wiem, że to był ogromny błąd, w którym tkwiłem właściwie przez całą sportową karierę.

Czy podejrzewałem, że to moje pierwsze i zarazem ostatnie Mistrzostwa Świata? Z pewnością nie. Miałem dopiero 24 lata, wchodziłem w wiek powszechnie uważany za najlepszy dla zawodnika, a choć na tym turnieju z pewnością niczym szczególnym nie zaimponowałem, to przecież nie zapomniałem nagle, jak się gra w piłkę. Niewiele na tym mundialu zwojowałem, ale zdobyłem sporo doświadczeń, które powinny procentować w przyszłości. Opuszczałem więc Meksyk daleki od zadowolenia z siebie i drużyny, lecz z wiarą, że kiedyś będzie lepiej.

To ponad siedemnaście metrów kwadratowych, więcej niż pokój, w którym mieszkaliśmy na Białobrzeskiej i połowa mieszkania na Marysinie. Cholernie dużo, mogłoby się wydawać, ale kiedy pośrodku tego prostokąta stanie drab z refleksem rewolwerowca i rękami do kolan, kiedy widownia buczy i gwizdże albo wręcz przeciwnie, skanduje twoje imię, kiedy na plecach czujesz pełne nadziei spojrzenia kolegów z drużyny, wtedy okazuje się, że trafienie nawet w takie wrota od stodoły nie jest wcale prostą sprawą – a co dopiero mówić o trafieniu w taki sposób, żeby piłka ugrzęzła w siatce...

Oczywiście mam na myśli rzuty karne. Jeśli chodzi o moje doświadczenia w tej kwestii, to co prawda nigdy nie miałem większych problemów z trafieniem w bramkę, a i ze skutecznością nie było u mnie najgorzej, ale i mi zdarzały się haniebne pudła albo szmaty tak żałosne, że bramkarz nie musiał się nawet szczególnie wysilać, żeby złapać lub odbić piłkę. O sposobach egzekwowania karnych napisano już setki, jeśli nie tysiące stron, z pracami magisterskimi i doktorskimi włącznie. Z moich doświadczeń wynika jedno: niezależnie od tego, którą metodę preferujesz (obserwujesz zachowanie bramkarza i decydujesz w ostatniej chwili, w które miejsce posłać piłkę, czy strzelasz na pewniaka w wyćwiczony na treningach sposób), przede wszystkim musisz odpowiedzieć sobie na pytanie, czy akurat w tym miejscu i czasie czujesz się na siłach, by wziąć na barki tę odpowiedzialność? Już na podwórkowym etapie kariery lubiłem strzelać karne i często to robiłem – jako najlepszemu w drużynie, w dodatku najczęściej grywającemu z wyimaginowaną dziesiątką na koszulce, przez myśl by mi zresztą nie przeszło, żeby komukolwiek ustąpić miejsca. Później we wszystkich klubach, w których występowałem, zawsze należałem do grona żelaznych egzekutorów jedenastek. Zazwyczaj dobrze wywiązywałem się z tego obowiązku, lecz wciąż dobrze pamiętam najbardziej bolesną wpadkę. Przydarzyła mi się 23 czerwca 1988 roku w finale Pucharu Polski, w którym Legia grała z Lechem na stadionie Widozowa. Wszystko wskazywało na to, że tym meczem pożegnam się z Legią, ponieważ mój transfer do Pescary wydawał się prawie przesądzony. Po dogrywce był remis 1:1. Strzelałem jako drugi. Byłem spokojny i rozluźniony, nie miałem najmniejszych obaw. Ustawiłem piłkę na „wapnie”, zerknąłem spod oka na przyczajonego w bramce Ryszarda Jankowskiego, wziąłem rozbieg... i w ostatniej chwili postanowiłem strzelić nie tak, jak dziesiątki, jeżeli nie setki razy robiłem na treningach, lecz w przeciwny róg bramki. Do dziś nie wiem, dlaczego to zrobiłem, co mnie podkusiło, dlaczego zrobiłem właśnie tak, jak robić nie należy... Piłka minęła słupek o dobre dwa, może nawet trzy metry. Przegraliśmy 2:3 i Puchar Polski pojechał do Poznania, a mój wyjazd do Pescary nagle się zdematerializował. W tamtych czasach kluby nie były jakoś przesadnie zainteresowane sprzedażą zawodników za granicę, gdyż należność za transfer (a i to nie całą, ponieważ znaczący haracz pobierał Centralny Ośrodek Sportu) otrzymywały w złotówkach, przeliczoną po oficjalnym kursie, kilkakrotnie niższym od rynkowego. Działacze Legii uznali więc, że to świetny pretekst, by ukrócić moje wyjazdowe ambicje i zatrzymać mnie na następny sezon.

Pamiętam też sytuacje, kiedy rezygnowałem z wykonywania rzutu karnego, bo po prostu

czułem, że nic z tego nie wyjdzie. Tak było na przykład w finale Pucharu Polski w sezonie 1984/1985. Był to równocześnie mój ostatni mecz w barwach Widzewa przed przejściem do Legii. Rozgrywane na stadionie przy Łazienkowskiej spotkanie nie należało do najbardziej interesujących, a ja, mimo że bardzo się starałem, grałem co najwyżej przeciętnie. Po bezbramkowych dziewięćdziesięciu minutach i również bezbramkowej dogrywce sędzia Andrzej Libich zarządził rzuty karne. Podeszedłem do trenera Waligóry i poprosiłem, żeby nie wyznaczał mnie do pierwszej piątki egzekutorów, bo czułem, że to kompletnie nie jest mój dzień. Myślami byłem wszędzie, tylko nie na boisku, coś mi podpowiadało, że nie powinienem brać na siebie takiej odpowiedzialności. Trener Waligóra (jako jedyny w zespole Widzewa wiedział o tym, że to mój pożegnalny występ) poklepał mnie po ramieniu, powiedział, żebym się nie wygłupiał, i strzeliłem jako drugi. Franciszek Sput bez problemu obronił mój strzał. Na szczęście nie wpłynęło to na końcowy rezultat, ponieważ Widzew zwyciężył ostatecznie 3:1.

Najprzyjemniej jednak, ma się rozumieć, wspominam te wykorzystane rzuty karne, które o czymś decydowały albo z którymi wiążą się jakieś nadzwyczajne okoliczności. Z pewnością należy do nich karny z meczu ligowego z Lechem Poznań. Było to 25 sierpnia 1982 roku, Gwardia podejmowała Lecha na Raławickiej, sędzia Karolak podyktował rzut karny w dziewięćdziesiątej minucie spotkania przy stanie 0:0. Nie miałem wtedy jeszcze dwudziestu lat (ale już byłem kapitanem drużyny), w bramce Lecha stał Zbigniew Pleśnierowicz. Wykonywałem karnego na bramkę od strony zegara, strzeliłem dokładnie tak, jak ćwiczyłem na treningach: w lewy dolny róg. Czy biło mi mocniej serce, czy zadrżały nogi? To pierwsze – na pewno, to drugie – nie pamiętam, ale wątpię. Byłem bardzo młody, a młodość ma to do siebie, że nie boi się niczego.

Piętnastego października 1986 roku reprezentacja Polski, objęta dopiero co przez Wojciecha Łazarkę, grała z Grecją w Poznaniu w eliminacjach do Mistrzostw Europy. Jeszcze dzień wcześniej wszystko wskazywało na to, że nie wystąpię w tym spotkaniu; skręcony staw skokowy bolał jak diabli i rozsądek nakazywał raczej odpoczynek niż grę w ważnym międzynarodowym spotkaniu. Rozsądek rozsądkiem, a pragnienie gry za wszelką cenę pragnieniem. Przekonałem selekcjonera, że w gruncie rzeczy nic mi nie dolega i nafaszerowany środkami przeciwbólowymi wyszedłem w pierwszym składzie. Strzeliłem w tym meczu dwa gole, oba z rzutów karnych podyktowanych za faule na Włodzimierzu Smolarku, oba prawą, bolącą i mniej sprawną nogą. Dziś sam już nie wiem, czy bardziej świadczy to o mojej głupocie oraz braku odpowiedzialności i wyobraźni, czy o duchu piłkarskim i ogromnej determinacji, aby grać... Najwidoczniej czułem, że jestem w formie, że przydam się drużynie, że mimo niesprawnej nogi pokonam bramkarza, i tak właśnie się stało. Pierwszy strzał oddałem w lewy dolny róg bramki, czyli ten najlepiej „ostrzelany” na treningach. Ustawiając piłkę na jedenastym metrze, zastosowałem drobną sztuczkę, tyleż prostą, co zadziwiająco często skuteczną: lekko (ale na tyle wyraźnie, żeby bramkarz na pewno to zauważył) zerknąłem w prawy róg bramki, czyli tam, gdzie absolutnie nie miałem zamiaru strzelać. Bramkarze naturalnie doskonale wiedzą, że takie zachowanie najprawdopodobniej ma na celu wyłącznie zmylenie ich i zmuszenie do popełnienia błędu, ale z drugiej strony, nie mają stuprocentowej pewności, co o tym myśleć... Grecki bramkarz akurat dał się nabrać i rzucił się w prawą – to znaczy swoją lewą – stronę, a kopnięta przeze

mnie piłka wpadła do siatki tuż przy przeciwnym słupku. Przy drugim karnym miałem dylemat: powtórzyć ten sam manewr, licząc na to, że Grek znowu się nabierze, czy zastosować inne rozwiązanie? Już przy pierwszym karnym, a potem przy okazji kilku interwencji bramkarza przeciwników zauważyłem, że jest „efekciarzem” – chętnie rzuca się do piłki, nawet w sytuacjach, kiedy mógłby jej dosięgnąć bez popisywania się robinsonadą. Założyłem więc, że przy karnym tym bardziej nie będzie stał w miejscu, tylko rzuci się w któryś róg. Mógł się domyślać, że skoro pierwszego karnego strzeliłem w lewy dolny, to taki właśnie strzał wypracowałem na treningach. (Przy pierwszym karnym nie mogłem przecież wiedzieć, że będzie kolejny, logiczne więc było, żebym od razu wykorzystał swoją najlepszą broń). Postanowiłem więc strzelić jak najmocniej w środek bramki, unosząc piłkę tylko na tyle, żeby przypadkowo nie trafić w jego nogi, i tak uczyniłem. Wyszło mi nawet trochę lepiej, niż planowałem, bo piłka poszybowała tuż pod poprzeczką, efekt był jednak zgodny z oczekiwaniami. Więcej goli w tym meczu nie zdobyliśmy, spotkanie zakończyło się rezultatem 2:1. Na drugą połowę już nie wyszedłem; ból stał się tak silny, że mogłem co najwyżej kuśtykać po boisku, z pewnością tylko osłabiałbym drużynę, a na trzeciego karnego raczej nie należało już liczyć...

Skoro mowa o trzecim karnym: moim kolegą klubowym w Bristol City był Andy Cole, później jedna z największych gwiazd Manchesteru United i wielokrotny reprezentant Anglii. W Bristolu był etatowym egzekutorem rzutów karnych i praktycznie nigdy się nie mylił. Nadszedł jednak mecz – niestety, nie pamiętam już przeciwko której drużynie – kiedy przestrzelił karnego. Kilkanaście minut później sędzia podyktował kolejny rzut karny na naszą korzyść... i Andy znowu spudłował. Jego wiara w swoją nieomyślność była jednak tak mocna, że kiedy w drugiej połowie sędzia po raz trzeci wskazał na „wapno” w polu karnym naszych przeciwników, Andy jakby nigdy nic zaczął się szykować do wykonania jedenastki. Musieliśmy siłą wydrzeć mu piłkę, a on miotał się jak szalony i wrzeszczał, że przecież trzeci raz na pewno nie spudłuje, że to przecież niemożliwe...

Niestrzelony karny to – jeśli na chwilę zapomnimy o istnieniu czegoś takiego jak pech – prawie zawsze kwestia głowy. Jeśli w głowie jest wszystko poukładane, jeśli nie ma tam miejsca na zwątpienie i niepewność, jeśli zawodnik jest spokojny i pewny siebie, wtedy bramkarz może liczyć już tylko na łut szczęścia. No, może nie tylko, bo może też dysponować wiedzą na temat sposobu egzekwowania rzutów karnych przez danego zawodnika, ale nie zmienia to ani trochę faktu, że pewnie i precyzyjnie oddany strzał z jedenastu metrów jest praktycznie nie do obronienia. Z moich doświadczeń wynika – i dotyczy to nie tylko strzelania rzutów karnych, ale właściwie wszystkich elementów piłkarskiego rzemiosła – że z im większym zaangażowaniem i pasją ćwiczy się je na treningach, tym łatwiej później wykonuje się je podczas meczu. Jeśli na treningu emocje są wysokie, to taki trening – przynajmniej pod tym względem – niewiele różni się od meczu, a więc i obciążenie psychiczne na przykład przy wykonywaniu karnego jest niewiele większe od tego, jakie towarzyszyło mi na treningu. To oczywiście nie do końca działa, bo na żadnym treningu nie da się stworzyć atmosfery takiej jak na przykład w końcowych minutach zaciętego spotkania w finale Pucharu Polski albo w meczu decydującym o awansie do kolejnej rundy europejskich pucharów, niemniej warto nawet sztucznie „podkręcić się” podczas ćwiczeń, żeby później, na stadionie wypełnionym widzami, w świetle jupiterów, bez dodatkowego stresu zrobić to, co należy.



Niektórzy powiadają, że rzut karny to już prawie gol. Nie do końca się z tym zgadzam, bo przecież trzeba tego gola jeszcze strzelić, ale rzeczywiście mamy do czynienia już z samym momentem kulminacyjnym, wyjętym z kontekstu i odseparowanym od tego, co poprzedza „zwykłe” bramki: rozgrywania piłki, podań, pomysłu na akcję, czasem łutu szczęścia. Rzut karny to strzał i parada bramkarza (lub jej brak); gol z akcji to często zwieńczenie finezyjnego planu realizowanego niekiedy przez całą drużynę, choć kropkę nad „i” stawia zawsze tylko jeden zawodnik, a czasem to rezultat genialnego indywidualnego zagrania dającego może nawet więcej powodów do dumy niż sama strzelona bramka.

Może to dziwnie zabrzmieć w ustach kogoś, kto od najmłodszych lat chciał grać w koszulce z numerem dziesiątym, ale strzelanie bramek nigdy nie było dla mnie najważniejsze. Na tym chyba polegał największy problem, z którym borykałem się w trakcie kariery: nigdy nie byłem rasową „dziesiątką”, bo nie miałem wybitnej szybkości i startu do piłki, nie byłem też pazerny w polu karnym, ale i bycie typową „dziewiątką” nie zawsze mi wychodziło. Stosując terminologię bokserską, można by powiedzieć, że w zwarciach i walce na dystans radziłem sobie na pewno dobrze, choć nie wybitnie, błyszczałem natomiast w półdystansie. Na boisku w swoim żywiole czułem się gdzieś między pomocą a atakiem, trzydzieści metrów od bramki przeciwnika, tam, gdzie jeden lub dwa udane zwody otwierały drogę do bramki, gdzie można było piłkę przyjąć, bujnąć się w prawo albo w lewo, podciągnąć kilkanaście metrów, oszukać jednego, dwóch albo trzech rywali i oddać mocny strzał. Jeśli padł gol, to super, przecież gole są niezbędne do tego, żeby wygrywać mecze, ale największa radość była wcześniej, w przechwyceniu i zgaszeniu trudnej piłki, w zastawieniu się ciałem, w zwodzie.

Pomimo tego, o czym powiedziałem powyżej, bramki jednak zdobywałem, i to wcale nie tak rzadko. W sezonie 1987/1988 zostałem nawet królem strzelców pierwszej ligi z całkiem przyzwoitym rezultatem dwudziestu goli (w sumie dla Legii zdobyłem pięćdziesiąt dziewięć bramek), do dzisiaj prowadzę w klasyfikacji najskuteczniejszych strzelców Włocławka w rozgrywkach o Puchar Polski, w reprezentacji Polski zaliczyłem dwadzieścia trafień. Pewnie mogłoby ich być więcej, gdybym lepiej grał głową. Niestety, w tym elemencie piłkarskiego rzemiosła nigdy nie byłem szczególnie dobry, choć zdarzało mi się zdobywać główką ważne bramki, jak choćby w rewanżowym spotkaniu Pucharu UEFA między Legią i Videotonem Szekesfehervar, o którym piszę obszerniej w rozdziale *Złota księga*.

Doskonale pamiętam pierwszą bramkę zdobytą w reprezentacji. Było to w listopadzie 1981 roku we Wrocławiu, w meczu eliminacyjnym do Mistrzostw Świata przeciwko Malcie. Trener Piechniczek wpuścił mnie na boisko w sześćdziesiątej ósmej minucie, za Włodzimierza Smolarka. Niespełna dwa miesiące wcześniej skończyłem dziewiętnaście lat, był to mój reprezentacyjny debiut, a w tamtych czasach – w niczym nie uwłaczając obecnym reprezentantom Polski i obecnej drużynie narodowej – każdy występ w biało-czerwonym stroju miał wielokrotnie większy ciężar gatunkowy niż teraz. Dlaczego? Przede wszystkim dlatego, że niemal wszyscy zawodnicy grali w kraju i mieli nieporównanie mniej okazji do pokazania się futbolowemu światu, ale także dlatego, że – mimo notorycznie przegrywanych eliminacji do Mistrzostw Europy – to była reprezentacja, która już niemało osiągnęła i uparcie stukała do drzwi ścisłej czołówki światowej. Przypomnijmy tylko serię, która zaczęła się w roku 1972 złotym medalem olimpijskim: 1974 – trzecie miejsce na Mistrzostwach Świata, 1976 – srebrny medal olimpijski, 1978 – piąte-szóste miejsce na Mistrzostwach Świata...

W roku mojego debiutu w drużynie narodowej wciąż występowały piłkarskie legendy lat siedemdziesiątych, takie jak Tomaszewski, Żmuda, Lato i Szarmach, grali doskonali zawodnicy średniego pokolenia, tacy jak Dziuba, Janas, Iwan, Smolarek czy przede wszystkim Boniek, coraz śmielej poczynają sobie „młode wilki” w osobach Buncola, Matysika, Skrobowskiego, Okońskiego i Jałochy. Dołączenie do takiej drużyny to był dla mnie niewyobrażalny zaszczyt i powód do ogromnej dumy. Pozytywnie nakręcony, ruszyłem do boju jak młody byczek na korridzie. W osiemdziesiątej minucie dostałem piłkę jakieś trzydzieści metrów od bramki Maltańczyków i ruszyłem naprzód, rozglądając się pilnie, komu by ją sensownie podać. Jeden zwód, drugi... wciąż nikogo nie widzę... trzeci... Dociągnąłem w ten sposób prawie do linii pola karnego i kropnąłem z całej siły po ziemi w prawy dolny róg. Weszło! Moja radość była tak ogromna, że coś mi się na chwilę przestawiło w głowie i to ja gratulowałem kolegom, zamiast przyjmować gratulacje...

Niezwykle istotny okazał się gol, o którym już wspominałem, a którego na żywo obejrzeli jedynie koledzy z drużyny, rywale i kibice na stadionie. Dziewiętnastego maja 1985 roku graliśmy z Grecją w Atenach mecz w eliminacjach do Mistrzostw Świata w Meksyku. Po pierwszej połowie prowadziliśmy 1:0 po голу Włodka Smolarka i choć na samym początku drugiej połowy Grecy wyrównali, to przez cały mecz mieliśmy przewagę i kolejne bramki dla nas były tylko kwestią czasu. Drugą, pięknym strzałem zza linii pola karnego, zdobył Marek Ostrowski, trzecią, po dwójkowej akcji z Krzysztofem Pawlakiem, strzelił Zbyszek Boniek. Graliśmy jednak dalej – i bardzo dobrze, jak się później okazało. W doliczonym czasie gry, kiedy już skończył się telewizyjny przekaz satelitarny, uwolniłem się spod opieki obrońców, ominąłem wybiegającego rozpaczliwie bramkarza i z ostrego kąta wpakowałem piłkę do bramki. Ten gol dał nam ogromny komfort przed ostatnim grupowym spotkaniem z Belgią; przystępowaliśmy do niego ze świadomością, że dzięki lepszemu stosunkowi bramek do bezpośredniego awansu wystarczy nam remis.

Pamięta się bramki ważne, lecz także te po prostu ładne. Jedną z najładniejszych przytrafiła mi się 18 września 1985 roku, podczas meczu pierwszej rundy Pucharu UEFA między Legią i Vikingiem Stavanger. Było to spotkanie rewanżowe; pierwsze, w którym też zdobyłem gola, zakończyło się remisem 1:1. Bramkę na Łazienkowskiej strzeliłem w trzydziestej siódmej minucie. Darek Wdowczyk dośrodkował z rzutu wolnego z lewej części boiska, a ja na czternastym metrze przyjąłem piłkę najpierw na klatkę piersiową, potem podbiłem ją sobie głową, by wreszcie strzelić lewą nogą z półwoleja w lewy górny róg. Do każdego konkursu na najpiękniejszą bramkę miesiąca, roku czy nawet dekady mógłbym też zgłosić gola, którego w barwach Celticu strzeliłem zespołowi Hibernian FC w sezonie 1989/1990, 9 grudnia 1989 roku, w dwudziestej szóstej minucie. To była niesamowita bomba z około trzydziestu metrów. Nie obronił jej Andy Goram (później, w 1991 roku za milion funtów został sprzedany do Glasgow Rangers, a w 2001 roku – wybrany przez kibiców tego klubu na najlepszego bramkarza wszech czasów). Wtedy czułem, że nie ma żadnych barier, że z piłką mogę zrobić wszystko, co chcę. Zaskoczeni byli moi koledzy z drużyny, którzy spodziewali się po mnie przede wszystkim dryblingu, może podania, ale nie strzału z takiej odległości. Zaskoczenie można było zauważyć również wśród kibiców, bo oklaski rozległy się dobrą chwilę po tym, jak piłka zatrzepotała w siatce.

Skoro o bramkach mowa, to nie sposób nie poświęcić nieco miejsca i czasu tym, którzy

robią wszystko, żeby nam, zawodnikom z pola, uniemożliwić ich strzelanie, a których nadzwyczajne interwencje przechodzą do historii futbolu na równi z najpiękniejszymi golami. O ile przy rzucie karnym rola brakarza jest dość prosta – starać się wyczuć zamiar strzelca albo interweniować na ślepo w nadziei, że szczęście dopisze i uda się odbić lub złapać zmierzającą do siatki piłkę – o tyle w trakcie gry dochodzą dodatkowe obowiązki w postaci kierowania linią obrony, gry na przedpolu, wznawiania gry a niekiedy nawet włączania się w poczynania drużyny daleko poza polem karnym. W trakcie kariery zetknąłem się z wieloma golkeeperami, którzy z takich czy innych względów wryli mi się głęboko w pamięć. Są wśród nich zarówno koledzy z drużyn, w których występowałem, z reprezentacji narodowej, jak i rywale – czasem imponujący umiejętnościami i skutecznością, czasem zdumiewający nieporadnością, zawsze jednak warci wspomnienia. Tym bardziej że wielu z nich zapisało się trwale nie tylko w mojej pamięci.

Był taki bramkarz, o którym wiedziałem, że jeśli spotkamy się na boisku w przeciwnych drużynach, zawsze strzelę mu gola (dobrze, że nigdy nie graliśmy w jednym zespole, bo samobój byłby gwarantowany). Po zakończeniu kariery piłkarskiej zajął się sędziowaniem, ale nadal przynosił mi szczęście. W meczach, które sędziował, zawsze udawało mi się coś ustrzelić. Mówię o świętej pamięci Andrzeju Czyżniewskim. Większą część swojej piłkarskiej kariery spędził w Bałtyku Gdynia. Kiedy grałem w Widzewie, w wieczornym regionalnym programie informacyjnym zapytano mnie o moje przewidywania dotyczące mającego odbyć się nazajutrz meczu z Bałtykiem. Zażartowałem, że wygramy dwiema bramkami i że obie będą mojego autorstwa. Poprosiłem, żeby nie dawano tego na antenę, bo to był tylko żart; jak łatwo się domyślić, moja prośba została zlekceważona i widzowie mieli okazję przekonać się, jaki Dziekanowski jest butny i zarozumiały. Do przerwy przegrywaliśmy 0:1. Atmosfera na stadionie była bardzo zła. Wątpię, czy poprzedniego dnia wszyscy kibice oglądali moją wypowiedź, ale z pewnością wszyscy o niej wiedzieli. Na przerwę schodziłem do szatni jako pierwszy; nie trzeba bujnej wyobraźni, żeby odgadnąć, w jaki sposób zegnała mnie publiczność. W drugiej połowie „czar Czyżniewskiego” jednak zadziałał, strzeliłem dwie bramki i nie mogłem sobie odmówić satysfakcji, żeby zejść z boiska jako ostatni... Jak można przewidzieć, nastrój na trybunach całkowicie się zmienił. Poza tym, że Andrzej naprawdę był bardzo porządnym, miłym człowiekiem, to wspominam go bardzo ciepło także dlatego, że kojarzą mi się z nim same sympatyczne rzeczy. Jedną z nich były bramki, których sporo mu nastrzelałem, inną zaś wspólny, choć przypadkowy, pobyt w hotelu Kasprowy w Zakopanem w połowie lat osiemdziesiątych, już po moim przejściu do Legii. Andrzej bawił tam z rodziną, ja zaś – z ówczesną Miss Polonia...

O ile trudno by mi było pokusić się o wymienienie wszystkich, czy choćby większości moich kolegów klubowych z pola, o tyle sporządzenie zestawienia bramkarzy, którzy najmocniej wryli mi się w pamięć, nie nastręcza żadnych trudności. Gwardia Warszawa to dwaj niemal równorzędni golkeeperzy: Andrzej Sikorski i Wiesiek Rutkowski – starszy ode mnie o ponad trzy lata, wybitnie uzdolniony, ogromnie sprawny fizycznie chłopak. Co prawda zdarzało się czasem, że przed meczem musiał spędzić godzinę albo dwie pod prysznicem, żeby doprowadzić się do stanu jako takiej używalności, ale jak już udało mu się stanąć między słupkami, to sprawował się bez zarzutu. Obdarzony świetnym refleksem, doskonale bronił rzuty karne. Na pewno wystarczyłoby mu talentu, żeby z czasem powalczyć nawet o miejsce

w reprezentacji kraju; niestety, życie go nie oszczędzało, on zaś nie oszczędzał siebie, w związku z czym zapisał się trwale nie w pamięci milionów kibiców drużyny narodowej, tylko skromnych setek lub czasem tysięcy przychodzących na mecze na kameralny stadion przy ulicy Raławickiej w Warszawie.

W Widzewie niekwestionowanym pierwszym bramkarzem był Józef Młynarczyk, bez wątpienia jeden z najlepszych zawodników grających na tej pozycji, jakich miałem okazję spotkać. Kiedy na treningu krzyknął: „Zamykam bramkę!”, to naprawdę wielką sztuką było strzelić mu gola. Był po prostu niesamowity. Spokojny, opanowany, rewelacyjnie grający na linii. Na boisku – profesjonalista w każdym calu. Chwilami można było odnieść wrażenie, że tylko tu czuje się pewnie, że bardzo mu odpowiadają proste i oczywiste zasady obowiązujące podczas meczu, że świat, który zaczyna się za bramą stadionu, przytłacza go i wywołuje lęk. Bardzo twardy chłopak, dla którego nawet bolesny uraz nie stanowił wystarczającego powodu do opuszczenia treningu albo meczu. Cieszył się w drużynie ogromnym autorytetem, ale jakoś nigdy nie starał się tego wykorzystać. Nie próbował rządzić, rozstawiać innych po kątach, oceniać i pouczać, nie gwiazdorzył. Być może to jego wycofanie miało związek z dość poszarpanym, trudnym życiem osobistym. Chociaż nie był jedynym, który za często sięgał po alkohol, to właśnie historie o jego problemach i przygodach były przekazywane z ust do ust, często w postaci znacznie wyolbrzymionych plotek. W okresie, w którym występowałem w Widzewie, bardzo starał się o wyjazd za granicę. Szczerze mówiąc, wyglądało to tak, jakby chciał uciec przed tym wszystkim, co go gniołło i męczyło. Niestety, popyt na bramkarzy – nawet tak dobrych – nie był wtedy duży. Józek był tak bardzo zdeterminowany, że chciał przyjąć ofertę z jakiegoś klubu z Finlandii. Na szczęście, niemal w ostatniej chwili, zgłosiła się po niego S.C. Bastia, a co było dalej, wszyscy wiemy: FC Porto i Puchar Europy w roku 1987. Bardzo cieszyłem się z jego sukcesu, bo miał wymiar nie tylko sportowy – stanowił też nagrodę za to, że po wyjeździe z kraju Józek mocno wziął się w garść i skoncentrował się wyłącznie na grze w piłkę.

„Młynarz” był namiętym karcjarzem, a konkretnie pokerzystą. Do legendy przeszedł jego pokerowy pojedynek z Andrzejem Iwanem w samolocie, w drodze na zgrupowanie kadry narodowej we Włoszech. Był to początek 1982 roku, lecieliśmy rozegrać kilka sparingowych spotkań z czołowymi klubami ligi włoskiej. Panowie grali całkiem na serio, licytacja szła ostro, ale z biegiem czasu Józek miał coraz większe problemy z trzymaniem kart. Widzieli je wszyscy, chyba łącznie z zamkniętym w kabinie pilotów kapitanem. Biedny Andrzej, który starał się grać uczciwie, robił wszystko, co mógł, żeby w nie nie spojrzeć, ale to było naprawdę trudne zadanie. No i oczywiście wygrał całkiem pokaźną jak na ówczesne czasy kwotę.

W chwili mojego przejścia do Legii numerem jeden w bramce klubu z Łazienkowskiej był Jacek Kazimierski. Sprawny fizycznie, skoczny, wyjątkowo dynamiczny, miał jedną wadę, która uniemożliwiła mu wspięcie się na najwyższy poziom: przed ważnymi spotkaniami adrenalina nie pozwalała mu na pokazanie wysokich umiejętności. Niestety, nie potrafił tego ukryć, a mało rzeczy działa bardziej deprymująco na drużynę niż bramkarz, który ma strach w oczach... Niesamowite interwencje przeplatał głupio puszczonejmi babolami. W reprezentacji Polski występował przez ponad sześć lat, ale nigdy nie zdołał sobie wywalczyć takiej pozycji jak przed nim Józef Młynarczyk, więc w biało-czerwonych barwach

rozegrał tylko dwadzieścia trzy mecze. W Legii nie pałaliśmy do siebie nadmierną sympatią; mnie raziło w nim nadmierne cwaniactwo (mam na myśli zachowanie poza boiskiem), on chyba należał do osób, które widziały we mnie jedynie zarozumiałego gogusia z pretensjami do wielkości.

Polskim bramkarzem, z którym grając w jednej drużynie, osiągnąłem największe sukcesy, był zapomniany może już nieco Józef Wandzik: wielki, chudy jak patyk, w Polsce podpora najpierw Ruchu Chorzów, a potem Górnika Zabrze, od 1990 do 1999 pierwszy bramkarz Panathinaikosu Ateny. Występowaliśmy razem w pierwszej reprezentacji, ale sukcesy, o których wspominałem, osiągnęliśmy w wieku juniorskim. Najpierw, w roku 1981, zdobyliśmy wicemistrzostwo Europy zespołów do lat osiemnastu, dwa lata później zaś Józek sięgał po brązowy medal młodzieżowych Mistrzostw Świata. W seniorskiej drużynie narodowej rozegrał ponad pięćdziesiąt spotkań – niby sporo, ale zajęło mu to aż dziesięć lat. Miał pecha, ponieważ znaczna część jego reprezentacyjnej kariery przypadła na okres niekwestionowanej dominacji innego Józefa – Młynarczyka. Gdyby nie to, kto wie, czy Wandzik nie dobiłby do setki występów. Jego największym atutem był oczywiście ogromny zasięg ramion, ale trzeba przyznać, że jak na tak wysokiego zawodnika imponował także zwinnością i ogólną sprawnością fizyczną.

Bramkarze to często ludzie dość specyficzni i oryginalni; nic dziwnego, bo przecież w zespołowym sporcie, jakim jest piłka nożna, jako jedyni grają indywidualną rolę, a kiedy się pomyślą, to nie mają co liczyć na to, że któryś z kolegów naprawi ich błąd. Największym oryginałem, z jakim miałem okazję występować w tej samej drużynie, był bez wątpienia młodszy ode mnie prawie o trzy lata Maciej Szczęsny. Poznałem go, kiedy jeszcze obaj byliśmy zawodnikami Gwardii. W roku 1983 wyjechaliśmy na zgrupowanie do Blachowni, a Maciek, który właśnie wtedy dołączył do zespołu, dostał zgodę, żeby dojechać do nas trabantem ojca. Dotarł na miejsce mocno spóźniony i jakby nigdy nic zażyczył sobie, żeby klub pomógł mu ściągnąć pocziwą „mydelniczkę”, która rozkraczyła mu się gdzieś na trasie. Wykazał się sporym tupetem jak na kilkunastolatka, który nawet jeszcze nie zdążył przedstawić się większości kolegów z drużyny, ale taki właśnie był – i jest – Maciek. Nikt wtedy nie wiedział – bo i skąd – czy robi karierę, ale dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że będzie się o nim mówić.

Później, już w Legii, wielu żartowało, że przeczytał o jedną książkę za dużo. Istotnie, zamiłowanie do lektur było jedną z cech, które najwyraźniej odróżniały go od reszty zawodników. Wyróżniał się też inteligencją, dosadnością opinii, umiejętnością przygwożdżenia rozmówcy kilkoma ostrymi zdaniami i dobicia go ciętą ripostą. Nie obchodziło go, jak inni zareagują na jego wyrażane wprost poglądy, co naturalnie nie zjednywało mu sympatii wśród kolegów, zwłaszcza że znaczna część z nich miała spore problemy ze zgłębieniem tego, co mówił... Znaczenie niektórych jego wypowiedzi na zawsze pozostawało tajemnicą dla wszystkich. Trzymał się na uboczu, z nikim się szczególnie nie przyjaźnił, sprawiał wrażenie człowieka, który doskonale czuje się we własnym towarzystwie. Przez cały okres gry w Legii rywalizował o miejsce w bramce ze Zbyszkim Robakiewiczem – częściej grywał Zbyszek, ale nie dlatego, że był lepszy, tylko dlatego, że jego sposób bycia i życia znacznie bardziej odpowiadał trenerowi Wójcikowi – w reprezentacji zaś w ciągu sześciu lat pojawił się raptem siedem razy. Brakowało mu

„błysku”, który przekonałby selekcjonera, trenera klubowego, kolegów i kibiców, że jest kimś nadzwyczajnym, kto poza solidnymi rzemieślniczymi umiejętnościami ma w sobie coś, co i jego, i zespół może wznieść na ponadprzeciętny poziom. Myślę, że lepiej niż w Legii odnalazł się w Widzewie, w którym co prawda rozegrał tylko jeden pełny sezon, ale zdobył pozycję, jakiej w warszawskim klubie nigdy nie udało mu się osiągnąć. Nietuzinkowa, ciekawa osobowość i jeden z tych ludzi, o których mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że cieszę się, że spotkałem ich na swojej drodze.

Pat Bonner. Na brzmienie tego nazwiska kibice reprezentacji Irlandii i Celticu do dziś podrywają się na baczność. W drużynie narodowej rozegrał osiemdziesiąt spotkań, w barwach Celticu zaś niemal pięćset, ale dla mnie był i jest tylko synonimem solidnej przeciętności. Powiem całkiem szczerze, że nie potrafię sobie przypomnieć meczu, który by dla nas wygrał, bez trudu natomiast mogę przywołać z pamięci spotkania, w których mógłby spisać się dużo lepiej. Wydaje mi się, że gdybyśmy w tamtych czasach mieli lepszego bramkarza, to i w lidze, i w europejskich pucharach osiągnęlibyśmy znacznie więcej. Nigdy nie mogłem do końca zrozumieć, skąd się brała jego niekwestionowana pozycja i niemal boski kult, jaki go otaczał. Cóż, najwyraźniej tak wielka bywa niekiedy siła charyzmy.

Spośród bramkarzy, przeciwko którym grałem, mocno wrył mi się w pamięć Peter Shilton, a konkretnie jego jedna interwencja z meczu Polska–Anglia w Chorzowie, w październiku 1989 roku. Z prawej strony piękną centrę zagrał Robert Warzycha, dostałem piłkę na głowę na linii pola bramkowego, strzeliłem mocno i celnie... i gola nie było. Peter nie rzucił się jak szalony, nie wykonał efektownej robinsonady – w jedynej właściwej chwili zrobił dwa niepozorne kroczki i z łatwością wybił na rzut różny piłkę, którą i ja, i wszyscy na stadionie widzieli już w siatce. Tak grał nie tylko w tym spotkaniu, ale w wielu innych meczach: spokojnie, kiedy trzeba efektownie, ale nigdy nie efekciarsko, nie tylko błyskawicznie reagując na rozwój sytuacji, ale chwilami nawet go uprzedzając. Jego całkowitym przeciwieństwem był belgijski golkipier Jean-Marie Pfaff, przeciwko któremu miałem przyjemność grać w meczach eliminacyjnych do mundialu w 1986 roku. Kipiący energią, żywiołowy, uwielbiający się popisywać, często nazywany klaunem albo pajacem, bezsprzecznie należał do grona najlepszych bramkarzy tamtych czasów. Słynący z szaleńczych, niekiedy bezsensownych wybiegów daleko poza pole karne, garściami zbierający żółte kartki za dyskusje z sędziami, był wielkim showmanem, lubianym i podziwianym nie tylko za kunszt piłkarski, lecz również za umiejętność tworzenia niepowtarzalnej atmosfery.

Doskonale zapamiętałem też boiskowe spotkanie z Andonim Zubizarettą. Było to w naszych czasach juniorskich, mecz reprezentacji Polski i Hiszpanii rozgrywany był w Opolu. Zakończył się rezultatem 2:2, a bramkę, która dała nam remis – niezbyt zresztą zasłużony, przyznam – strzeliłem mu z karnego w ostatnich minutach spotkania. Później Andoni na wiele lat zajął miejsce w bramce pierwszej reprezentacji swojego kraju, w której rozegrał łącznie sto dwadzieścia sześć spotkań. Ciekawe, że całą, trwającą prawie dwadzieścia lat karierę spędził w klubach hiszpańskich: zaczynał w Deportivo Alaves, przeniósł się do Athletic Bilbao, stamtąd do Barcelony, na koniec zaś trafił do Valenci. Największe sukcesy osiągał oczywiście w Barcelonie, z którą w roku 1992 wywalczył Puchar Europy, w 1989 zaś Puchar Zdobywców Pucharów.

Już z okresu mojej pracy trenerskiej bardzo dobre wspomnienia zachowałem o Wojtku

Kowalewskim. Był nie tylko doskonałym bramkarzem, ale również niezwykle pozytywną postacią, tworzącą w drużynie dobrą atmosferę zarówno podczas treningów i meczów, jak i poza boiskiem. Nieprzypadkowo, po przegranym 1:3 z Finlandią meczu, w którym jako selekcjoner debiutował Leo Beenhakker, właśnie Wojtek zastąpił w bramce Jurka Dudka. Najważniejsze było wtedy odbudowanie morale i tworzenie zgranego zespołu, a mało kto mógł nam w tym pomóc bardziej niż Wojtek. Był gwiazdą Spartaku Moskwa, czyli – oczywiście zachowując stosowne proporcje – Barcelony lub Realu Europy Wschodniej, miał dobrze poukładane w głowie, naprawdę mógłby być wzorem dla młodych piłkarzy, dopiero stawiających pierwsze kroki w profesjonalnym futbolu. Nawet jeśli pod względem umiejętności czasem minimalnie ustępował kolegom z drużyny, to nigdy się nie obrażał, nie stroił fochów i nie siał fermentu. Pod tym względem jego przeciwieństwem był Tomek Kuszczak. Próbowany w reprezentacji od 2003 roku, nigdy nie zdołał udowodnić swojej dominacji, zawsze natomiast był przekonany o tym, że to on powinien występować w drużynie narodowej z numerem jeden na koszulce. Nie ma nic złego w byciu ambitnym – ba, ta cecha jest wręcz nieodzowna do odniesienia sukcesu – ale nadmierna ambicja, zwłaszcza jeśli towarzyszy jej nieumiejętność podporządkowania własnych interesów interesom zespołu, bywa niekiedy destrukcyjna. Tomek zawsze przyjeżdżał na zgrupowania pełen dobrych chęci i zapału do pracy, ale jak tylko wyczuł, że nie jest pewniakiem do zajęcia miejsca w bramce reprezentacji – a nie był nim prawie nigdy – wigor natychmiast go opuszczał, zaczynał się dąsać i każdym gestem, każdym spojrzeniem dawał do zrozumienia, że dzieje mu się niesłychana krzywda.

W marcu 2008 roku poleciałem do Manchesteru na ćwierćfinałowy mecz o Puchar Anglii z Portsmouth, przede wszystkim po to, żeby obejrzeć Tomka w akcji (wiadomo było, że wystąpi akurat w tym spotkaniu), ale także po to, żeby z nim porozmawiać i wysondować, jak zareagowałby na sytuację, gdyby został powołany do kadry na turniej, ale byłby w niej dopiero drugim, a może nawet trzecim bramkarzem. Na rozmowę umówiliśmy się po spotkaniu, ale traf chciał, że w siedemdziesiątej szóstej minucie Tomek zobaczył czerwoną kartkę za faul na Milanie Barošu i musiał opuścić boisko. Wcześniej Manchester miał miażdżącą przewagę i bez trudu mógł zdobyć co najmniej trzy gole. Tak się niefortunnie złożyło, że Alex Ferguson wykorzystał już limit zmian, więc w bramce musiał stanąć zawodnik z pola. Muntari strzelił gola z karnego, do końca spotkania wynik nie uległ zmianie i Manchester znalazł się za burtą rozgrywek o Puchar Anglii. Jak się łatwo domyślić, Tomek nie zebrał wielu pochwał za występ... Na spotkanie ze mną przyszedł malutki, potulny i cichy. Godził się na wszystko, zapewniał, że bez szemrania podporządkuje się wszystkim decyzjom selekcjonera i że dobro drużyny jest dla niego najważniejsze. Niestety, już wkrótce okazało się, że to słowa rzucone na wiatr.

Kiedy na zgrupowaniu w Austrii Tomek przekonał się, że Leo widzi go w roli trzeciego bramkarza, najpierw śmiertelnie się obraził, zaraz potem zaś zaczęła mu dokuczać jakaś zadawniona kontuzja. Z każdego jego gestu i słowa emanowało niezadowolenie. Był jak dziecko, które nie godzi się z decyzją rodziców, nie zadając sobie nawet trudu, żeby spróbować ją zrozumieć. Nie potrafił pogodzić się z tym, że choć występuje w jednym z najlepszych klubowych zespołów na świecie, to przegrywa rywalizację w reprezentacji z Arturem, grającym w znacznie przecieź słabszym Celticu, i z Łukaszem, stawiającym

pierwsze kroki w Arsenalu. Rozstrzygająca rozmowa Beenhakera z Kuszczakiem, której byłem świadkiem, nie należała ani do przyjemnych, ani nawet do uprzejmych. Padły w niej bardzo ostre słowa, po których nie mieliśmy innego wyjścia, jak pożegnać się z Tomkiem. Żeby nie zaognić sytuacji i nie dawać pożywki spragnionym sensacji mediom, jako oficjalny powód powrotu Tomka do klubu podaliśmy kontuzję. Na jego miejsce ściągnęliśmy Wojtkę Kowalewskiego, ale na zgrupowaniu pojawił się też młodzieńcy jeszcze wówczas Wojtek Szczęsny i od razu ujął mnie swoją postawą. Ambitny i wygadany jak tata, jeśli nie bardziej, doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że czeka go jeszcze mnóstwo pracy, zanim wywalczy sobie silną pozycję w klubie, a potem w reprezentacji. Traktował to jako oczywiste wyzwanie i ze spokojną pewnością siebie, którą czasem można było pomylić z arogancją, robił wszystko, żeby mu sprostać.

Bramkarzem numer jeden reprezentacji Polski na tych mistrzostwach był oczywiście Artur Boruc. Dlaczego oczywiście? Bo oprócz ponadprzeciętnych umiejętności miał jeszcze to coś, co sprawia, że człowiek staje się większy od sumy swoich zalet, wady zaś stają się na tyle nieistotne, że można nie brać ich pod uwagę albo przynajmniej przymknąć na nie oko. To coś nazywa się charyzmą. Problem w tym, że jeśli ta charyzma nie jest czymś stuprocentowo naturalnym, jeśli zawodnik zaczyna ją świadomie budować albo podkreślać, jeśli zamiast wyłącznie na grze, zaczyna się skupiać na robieniu wrażenia na widzach, to łatwo może napytać sobie biedy. Tak właśnie było, i jest, z Arturem. Obdarzony wielkim temperamentem, przypomina wulkan, który nie jest w stanie pozbyć się lawy i pyłu przez jeden krater. Pojawiają się szczeliny, pęknięcia i dodatkowe kratery, które może przyczyniają się do powstania spektakularnego widoku, ale równocześnie sprawiają, że erupcja talentu z głównego krateru jest słabsza, niżby mogła być, chwilami zaś przesłaniają ją kłęby zupełnie nieciekawego dymu i popiołu. Chyba dopiero całkiem niedawno dotarło do niego, że ma wystarczająco silną osobowość i jest wystarczająco podziwiany i szanowany za to, co robi na boisku, żeby nie szukać za wszelką cenę sposobów zabłyśnięcia poza nim. Dopóki pamięta, że jedną z jego największych pozapilkarskich zalet jest autentyczność, budzi wyłącznie pozytywne odczucia. O jego wyjątkowej klasie najlepiej świadczy fakt, że po kilkuletniej przerwie i dość burzliwych przejściach wrócił do reprezentacji, ponownie stając się jednym z jej najsilniejszych punktów.

Nieporównanie mniej szalony, znacznie bardziej poukładany był Łukasz Fabiański. Wartościowy człowiek, dobry kolega, bardzo pozytywna postać w drużynie. Gdyby oceniać bramkarzy w skali od jednego do dziesięciu, to Łukasz stale oscylowałby między siedem a osiem, bardzo rzadko spadając niżej i prawie nigdy nie wspinając się wyżej. Artur miałby mnóstwo spotkań, za które należałoby mu się dziesiątka, na chwilę spadałby prawie do jednego, po czym znowu osiągałby szczyt skali. Na tamtym turnieju postawiliśmy na „szalonego” Boruca i – nie tylko moim zdaniem – nie zawiedliśmy się. Dobrze było jednak mieć świadomość, że w odwodzie mamy solidnego, prezentującego równy wysoki poziom Fabiańskiego.

Pisząc o polskich bramkarzach, oczywiście nie można nie wspomnieć o Jerzym Dudku, bez wątplenia jednym z najlepszych i najbardziej zasłużonych golkipierów w historii naszej piłki nożnej. Był też pierwszym naszym bramkarzem, który sławę zdobywał niemal wyłącznie na zagranicznych boiskach. Kiedy jako dwudziestodwulatek przenosił się z Sokoła Tychy do



Feyenoordu, był zupełnie anonimowy, ale już trzy lata później zadebiutował w reprezentacji i przez wiele lat był jej podporą. Wywalczył z nią awans do turnieju finałowego Mistrzostw Świata w 2002 roku, powtórzył ten wyczyn cztery lata później, ale właśnie pod koniec eliminacji do mundialu w Niemczech na jego wspaniałej karierze pojawiły się rysy i pęknięcia. Zaraz po zdobyciu z Liverpooliem Pucharu Europy nabawił się kontuzji i stracił miejsce w pierwszym składzie The Reds, a wraz z nim sporo dawnej klasy i charyzmy. Mimo to podjęta w dość niejasnych okolicznościach i w ostatniej chwili decyzja o nieuwzględnieniu go w składzie drużyny wyjeżdżającej na Mistrzostwa Świata w Niemczech zbulwersowała zarówno media, jak i kibiców. Kiedy po nieudanym mundialu ster kadry objął Leo, Jurek wrócił do drużyny – niestety, na krótko. Wystąpił w dwóch nieudanych meczach (towarzyskim z Danią i eliminacyjnym do Mistrzostw Europy z Finlandią), po czym nasze drogi się rozeszły. To nie znaczy, że uznaliśmy go za winnego kompromitujących porażek; po prostu doszliśmy w sztabie szkoleniowym do wniosku – jak się okazało, słusznego – że mimo stuprocentowo profesjonalnego podejścia do obowiązków, Jurek z jednej strony nie daje drużynie aż tyle, ile od zawodnika jego formatu należało oczekiwać, a z drugiej, jego nieco letargiczna obecność w zespole pozbawia młodszych zawodników motywacji do działania na więcej niż maksymalnych obrotach. Potrzebowaliśmy na bramce kogoś albo o ultrapozytywnym, entuzjastycznym nastawieniu, jak Wojtek Kowalewski, albo pozytywnie zakręconego, niemieszczącego się w schematach szaleńca, jak Artur Boruc. Jurek z pewnością nie był gorszy od żadnego z nich – udowodnił to zresztą później swoim comebackiem do reprezentacji w trakcie eliminacji do Mistrzostw Świata w RPA. Byłem szczęśliwy i dumny, kiedy 4 czerwca 2013 roku, podczas jego pożegnalnego, sześćdziesiątego występu w drużynie narodowej na stadionie Cracovii, Zbyszek Boniek i ja wręczaliśmy mu pamiątkową patere i gratulowaliśmy dołączenia do Klubu Wybitnego Reprezentanta.

Na ścianie w moim pokoju wisały plakaty piłkarskie zdobyte od kolegów, którzy mieli kontakt z zachodnią prasą. Większość przedstawiała rozmaite niemieckie zespoły – niekoniecznie z pierwszej Bundesligi. Ważne były kolorowe stroje, błyszczący papier oraz to, że na fotografiach są po prostu piłkarze. Nie pamiętam już, jakie to były kluby. Miałem tych plakatów ze trzy, może cztery, i byłem z nich bardzo dumny. W tamtych czasach – mówimy przecież o latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego wieku – były to rzeczy bardzo trudne do zdobycia w Polsce.

Mój wujek, będący, można powiedzieć, zawodowym piłkarzem – grał w drugiej i trzeciej lidze w Polonii Warszawa – podarował mi kiedyś notatnik akademicki, do którego wklejał wycinki prasowe dotyczące światowej piłki nożnej. Przeglądałem je z wypiekami na twarzy. Dotyczyły m.in. mistrzostw świata w roku 1970, które zapadły głęboko w moją pamięć głównie dlatego, że po raz pierwszy oglądałem wtedy w telewizji transmisję meczu z udziałem reprezentacji Brazylii. To był finałowy mecz Brazylii – Włochy. Nietrudno zgadnąć, czyja gra wzbudziła we mnie największy zachwyty... Ach, ten Pele... Jego strzał głową w osiemnastej minucie, dający drużynie Brazylii prowadzenie 1:0 – prawdziwe cacko. Rivelino, Tostao, Gerson czy Jairzinho nie byli od niego wiele gorsi. Gra *canarinhos* w tamtym meczu graniczyła z magią, była cudowna i niepowtarzalna. Zachowanie Pelego po strzeleniu gola – podbiegał do linii bocznej, w charakterystyczny sposób wymachiwał ręką – tak głęboko wryło mi się w pamięć, a może i w podświadomość, że przez wiele lata zupełnie bezwiednie je naśladowałem... Finałowe spotkanie meksykańskich Mistrzostw Świata jest chyba w ogóle pierwszym meczem, który utkwiał mi w pamięci, w głównej mierze właśnie dzięki magicznej Brazylii, a zwłaszcza niesamowitemu Pelemu.

W tamtych latach dość trudno było o okazję do podziwiania światowych gwiazd, które mogłyby stać się idolami młodego piłkarza, głównie ze względu na ograniczoną liczbę transmisji telewizyjnych, a także na niezupełnie jeszcze powszechną dostępność samej telewizji. Doskonałą sposobnością były Mistrzostwa Świata; o ile z pierwszych, które w miarę świadomie oglądałem, zapamiętałem właściwie tylko spotkanie finałowe, o tyle kolejne, rozgrywane w 1974 roku w ówczesnej Republice Federalnej Niemiec, śledziłem już w całości – to znaczy w takim zakresie, w jakim było to możliwe – i zachowałem z nich znacznie więcej wspomnień, także tych dotyczących najwybitniejszych, uczestniczących w nich piłkarzy. Na pierwszym miejscu muszę wymienić Johanna Cruyffa. Jego postawa, bajeczna technika, nadzwyczajna mądrość boiskowa, szybkość – nie mam na myśli szybkości biegu, bo przecież nie był klasycznym sprinterem, ale raczej szybkość reakcji na wydarzenia na boisku – budziły mój niekłamany podziw. Największe wrażenie wywoływało jednak jego niekwestionowane przywództwo i dominacja nad drużyną. Wystarczyło kilka minut obserwacji, żeby stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, kto jest mózgiem pomarańczowych. Wiele lat później okazało się, że nie tylko jako zawodnik był wybitnym strategiem; także będąc trenerem, widział zdecydowanie więcej od innych.

Nawet jednak najbardziej genialny piłkarz nie zdołałby w pojedynkę realizować strategii

futbolu totalnego. Cruyffowi towarzyszyli na boisku zawodnicy nadzwyczajnego formatu. Ogromnie podobał mi się Robby Rensenbrink, jeden z filarów drużyny pomarańczowych zarówno w roku 1974, jak i 1978. Jego znakami firmowymi były świetny drybling i piekielnie precyzyjne dośrodkowania. Wspaniale prezentował się także grający na obronie Ruud Krol, nazywany często holenderskim Beckenbauerem. Z pewnością dorównywał „Cesarzowi” pod względem spokoju i skuteczności w defensywie, za to nieco rzadziej przechodził do ofensywy i zdecydowanie rzadziej od swego niemieckiego pierwowzoru zapuszczał się pod pole karne przeciwnika.

Kilka lat później oglądałem w telewizji pucharowe spotkanie między Nottingham Forrest i Dynamem Berlin. Dynamo było ukochanym klubem rządzących ówczesną Niemiecką Republiką Demokratyczną, prawdziwym pieśczochem komunistycznych władz, dumą i chlubą enerdowskiej piłki nożnej. Szkoleniowcem drużyny z Nottingham był wtedy Brian Clough. Spotkanie zapamiętałem tak dobrze głównie ze względu na trzech napastników Nottingham Forrest: Trevora Francisa, Garry’ego Birtlesa i Johna Robertsona. Największe wrażenie wywarł na mnie ten ostatni: krępy, mocno zbudowany lewoskrzydłowy, wręcz bajkowo grający „jeden na jednego”. Ponieważ w trakcie mojej kariery grałem niemal na wszystkich pozycjach – może z wyjątkiem bramkarza – miałem wiele okazji, by starać się wzorować na jego grze. Co prawda dysponowałem zupełnie innymi warunkami fizycznymi, ale zawsze lubiłem grę „jeden na jednego” i starałem się być w tym nie gorszy od tego doskonałego piłkarza.

Jeśli chodzi o Polaków, to na pierwszym miejscu bez wahania postawiłbym Włodzimierza Lubańskiego. Ponieważ w tamtym czasie – wciąż mówimy o pierwszej połowie lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku – z reguły dość wyraźnie przewyższałem umiejętnościami kolegów, z którymi uganiałem się za piłką na podwórku, zawsze chciałem – i z reguły dostępowałem tego zaszczytu – grać z dziesiątką na koszulce. Dziesiątką, z którą zawsze występował właśnie Lubański. Oczywiście w naszej rzeczywistości ta dziesiątka bywała z reguły, powiedzielibyśmy dzisiaj, wirtualna; w niczym jednak nie umniejszało to jej wartości. Nie bez znaczenia był oczywiście fakt, że z dziesiątką grał również np. Pele, ale Lubański był jednak bliżej, bardziej realny, mniej bajkowy, i z reguły to na nim właśnie niemal każdy kopiący piłkę chłopak chciał się wzorować. Można powiedzieć: dziesiątka i wszystko jasne. Do powstania i utrwalenia jego legendy przyczyniły się głównie mecze Górnika Zabrze z Manchesterem City i Romą. Właściwie każdy z ówczesnych graczy Górnika mógłby stać się idolem chłopaka pasjonującego się futbolem i marzącego o piłkarskiej karierze: genialny Szoltyś, wspaniały Oślizło, Kostka w bramce, Wilczek... Dla mnie jednak bez wątpienia najjaśniejszą gwiazdą Lubańskiego.

Być może Włodzimierz Lubański na wiele lat pozostałby jeśli nie jedynym, to z pewnością moim największym polskim idolem, ale pechowa kontuzja odniesiona podczas meczu z Anglią w Chorzowie wyeliminowała go z udziału w Mistrzostwach Świata w 1974 roku. Natura nie znosi próżni; z reguły tak bywa, że na wielkich imprezach rodzi się wiele gwiazd, i tak też było na tym, jakże dla nas udanym, turnieju. Lubańskiego godnie zastąpili inni zawodnicy: Szarmach, Gadocha, Lato, a przede wszystkim Kazimierz Deyna, choć akurat w tym przypadku trudno mówić o zastępstwie. Deyna był stuprocentowym pomocnikiem o genialnym przegładzie pola, grającym znacznie wolniej od Lubańskiego, znacznie rzadziej występującym

w roli egzekutora, częściej natomiast konstruującym akcje i otwierającym kolegom drogę do bramki genialnymi podaniami. Nie da się też zapomnieć jego rzutów wolnych... Kiedy po wyleczeniu kontuzji Lubański na krótko wrócił do reprezentacji, był już znacznie wolniejszym i mniej przebojowym zawodnikiem niż przed nią, grającym częściej w środku pola, stał się więc niejako konkurentem Deyny w tej formacji. Pech obu zawodników – a i drużyny narodowej – polegał na tym, że choćby w roku 1978, kiedy obaj pojechali z reprezentacją na Mistrzostwa Świata w Argentynie, trener Gmoch nie potrafił ustawić zespołu w taki sposób, żeby w pełni wykorzystać umiejętności obu wspaniałych piłkarzy, a także trzeciego, wschodzącej gwiazdy, przebojowego i bezczelnego chłopaka z Bydgoszczy z szopą rudych włosów na głowie...

Odrobinę później, kiedy już grałem w piłkę najpierw w Polonii, a potem w Gwardii, bez wątplenia zbiorowym idolem była dla mnie drużyna Legii Warszawa: Deyna, Gadocha, Topolski, Ćmikiewicz, „Ferrari” Nowak, Mowlik... Wtedy Legia była dla mnie czymś równie wielkim – i równie nieosiągalnym – jak w latach osiemdziesiątych na przykład AC Milan. Ludzie z innej planety, tak o nich myślałem, i chyba miałem trochę racji. Legia była reprezentacyjna, dopieszczona, całkowicie niedostępna – naturalnie poza stadionem, na który mogłem przyjść jako kibic. I oczywiście przychodziłem. A skoro o takich zbiorowych idolach mowa, to w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ogromnie podobała mi się cała reprezentacja Jugosławii. Był w tych chłopakach jakiś niesamowity ogień, wyjątkowa energia połączona z ponadprzeciętnymi umiejętnościami piłkarskimi. Mnóstwo wybitnych indywidualności – na usta cisną się takie nazwiska, jak Dragan Džajić, Safet Sušić, Robert Prosinečki, Dragan Stojković – które jednak nie potrafiły stworzyć zgranego, grającego niezmiennie na wysokim poziomie zespołu.

To wszystko były fascynacje może nie dziecięce, ale powiedzmy, wczesnomłodzieńcze – w roku 1974, kiedy rozgrywano Mistrzostwa Świata w Republice Federalnej Niemiec, miałem przecież dopiero dwanaście lat. Oczywiście wielu spośród tych piłkarzy na zawsze pozostało dla mnie niedościgłymi wzorami – przede wszystkim Pele i Deyna – ale z biegiem lat naturalnie pojawiali się nowi. Wśród tych, których podziwiałem już w bardziej dojrzałym wieku, na pierwszym miejscu bez wahania wymieniałbym Marco van Bastena. Jego inteligencja, lekkość, sposób poruszania się po boisku były jakby z innej planety. Miałem przyjemność grać przeciwko niemu; w meczu w Chorzowie, przegranym przez polską reprezentację 0:2 – obie bramki strzelił Ruud Gullit, pilnowany przez mojego przyjaciela Waldemara Prusika – van Bastenem „opiekował się” Kazimierz Przybyś. Oj, nie miał łatwego zadania... Kaziu był znany z tego, że potrafił zatrzymać się prawie w miejscu, ale przy van Bastenie wyglądał niemal jak jakaś postać z kreskówki, która zanim wyhamuje, bezradnie przesuwając się o kilka metrów, przebierając nogami i wrywając kępki trawy. A pamiętajmy, że Holender był dość słusznego wzrostu, więc przynajmniej teoretycznie powinien mieć problemy ze zwinnością. Nie miał żadnych.

Trudno, żebym nie podziwiał Maradony, a zwłaszcza jego bajecznej techniki. Mój przyjaciel Mirek Jaworski, według mojej oceny jeden z najlepiej wyszkolonych technicznie polskich piłkarzy, a do tego autentyczny pasjonat treningu i pracy nad doskonaleniem umiejętności piłkarskich – niesamowicie wiele mu zawdzięczam, ale o tym piszę w innym miejscu – można powiedzieć, że rozłożył Maradonę na czynniki pierwsze, choć tylko on

widział różne szczegóły i szczególiki, o których potrafił z zapalem godzinami opowiadać. To prawda, że nazwisko Maradony kojarzyło się – i wciąż się kojarzy – nie tylko ze wspaniałymi umiejętnościami i nadzwyczajnym talentem, lecz także z gwiazdorstwem w nie najlepszym znaczeniu tego słowa. Przyznam, że trochę imponowały mi jego wyniosłość i pewność siebie, które nie tylko wynikały z jego charakteru, ale również stanowiły rezultat celowego działania, mającego na celu odsunięcie wszelkich obciążeń, pozbycie się wszystkiego, co mogło przeszkadzać mu w grze i walce z przeciwnikiem. Maradona zawsze walczył z całym światem, ale przede wszystkim po to, aby być na piedestale. Kochał być bożyszczem noszonym na rękach – i na pewno przez kilka lat swojej kariery zasługiwał na to. Potrafił powiedzieć „jestem najlepszy” i nie ugiąć się pod ciężarem tej wiary czy też świadomości. Jeśli jesteś najlepszy, to wszyscy cię podziwiają, ale równocześnie wszyscy – lub prawie wszyscy – są przeciwko tobie, bo chcą zająć twoje miejsce. Masz przeciwko sobie nie tylko rywali – to przecież jest całkowicie naturalne – lecz także kolegów z zespołu. Ci ambitni marzą o tym, by cię zastąpić, a ci bez ambicji życzą ci w głębi ducha, żebyś skrzył nogę, bo na twoim tle prezentują się wyjątkowo słabo. A kibice? Cóż, w trakcie mojej kariery wyrobiłem sobie pogląd, że jedna trzecia i tak będzie mnie nienawidzić niezależnie od tego, co zrobię, jedna trzecia nie ma własnego zdania i tylko powtarza opinie zasłyszane od kolegów lub wyczytane w prasie, pozostali zaś będą bezkrytycznie patrzeć na moje wyczyny na boisku. Maradona miał wielu wrogów, także ze względu na coś, czego na przykład kompletnie nie ma u Messiego; kiedy mu nie szło, kiedy akurat grał gorzej niż zwykle, potrafił stanąć z podniesioną głową i powiedzieć: „Ja wam teraz pokażę!”. Messi co najwyżej szepcze to w duchu, a to zupełnie co innego... Może dlatego, że jest „tylko” gwiazdą, a Maradona był i gwiazdą, i gwiazdorem? Na tym najwyższym poziomie same umiejętności czasem nie wystarczą, trzeba jeszcze umieć zrobić show. Maradona potrafił to jak mało kto.

Wszyscy wielcy piłkarze w boiskowym teatrze są aktorami pierwszego planu, ale największy poklask zdobywają ci, którzy mają w sobie odrobinę szaleństwa, którzy są jak wulkan, który nieustannie dymi i zionie ogniem, w każdej chwili grożąc nieporównywalnym z niczym wybuchem. Kontynuując porównanie Messiego z Maradoną, można powiedzieć, że Messi jest jak duże dziecko, które oczekuje i wymaga, żeby wszyscy ustawicznie mówili mu: „Jesteś wielki! Jesteś wspaniały!”. Maradona sam to sobie powiedział, uwierzył w to i wierzył do końca kariery. Ba, on w to wierzył do dzisiaj!

Bardzo podobał mi się Dejan Savićević, lewonożny Czarnogórzec grający w Milanie, nadzwyczajny w grze jeden na jednego. Grywał na lewym ataku i na lewej pomocy, niespecjalnie przydatny w defensywie, za to niesamowicie skuteczny, a przede wszystkim widowiskowy w działaniach ofensywnych.

Kolejnym piłkarzem, którego darzyłem wielkim podziwem, był Enzo Francescoli. W roku 1986 reprezentacja Polski rozgrywała towarzyski mecz ze znanym argentyńskim zespołem River Plate. Przegraliśmy wówczas 4:5, a trzy z pięciu straconych przez nas goli „zawdzięczaliśmy” właśnie Francescolemu. Swojego trzeciego, a zarazem rozstrzygającego, gola zdobył strzałem nożycami w doliczonym czasie gry. Z piętnastu metrów. Dobrze, że nie miałem sztucznej szczęki, bo na pewno wypadłaby mi ze zdumienia i długo musiałbym szukać jej w trawie. Jeden z najpiękniejszych goli, jakie zdarzyło mi się oglądać. Na boisku spotkałem się z nim już dużo wcześniej, a mianowicie podczas Mistrzostw Świata Juniorów

w 1981 roku w Australii. Reprezentacja Polski przegrała wtedy z Urugwajem 1:3. O ile mnie pamięć nie myli, wtedy też strzelił nam co najmniej jednego gola.

Długo jeszcze mógłbym wyliczać nazwiska piłkarzy, których gra budziła we mnie, i do dzisiaj budzi, ogromny podziw. Czy byli moimi idolami? Nie wiem, ale z wielką przyjemnością patrzyłem na to, co robią na boisku, i na pewno nie miałbym nic przeciwko temu, żeby pod jakimiś względami się do nich upodobnić. Ot, choćby młodszy ode mnie o dwa lata Michael Laudrup. Podczas Międzynarodowego Turnieju Piłki Nożnej Juniorów w roku 1980 graliśmy z Danią i przegraliśmy 1:6. (Duńczycy poczuli się tak pewnie, że w trakcie rozgrywanych w tym samym roku Mistrzostw Europy U-18 nie ukrywali rozbawienia na nasz widok, zastanawiając się zapewne, czego tacy słabeusze szukają na imprezie tak wysokiej rangi. Ich buta została srodze ukarana: nawet nie wyszli z grupy, my zaś zdobyliśmy srebrny medal). Ja strzeliłem jedyne gola dla naszej drużyny, Laudrup zaś zdobył dwie bramki dla Duńczyków. W tym samym turnieju zmierzyliśmy się z Holandią. Graliśmy na stadionie Stilonu Gorzów. Zwyciężyliśmy 1:0, jedyna bramka meczu padła po moim strzale z karnego, a zapamiętałem ten mecz tak dobrze – i wspominam go właśnie teraz, przy okazji opowiadania o moich piłkarskich idolach – ponieważ „opiekowało się” mną dwóch ciemnoskórych piłkarzy, których kariery zaledwie parę lat później wystrzeliły jak rakiety kosmiczne. Nazywali się Ruud Gullit i Frank Rijkaard. Trafili do doskonałych klubów, ich grą zachwycali się kibice na całym świecie, ale w moim sercu, oprócz szczerego podziwu, kołatało się coś w rodzaju niedowierzania, że oto chłopacy, z którymi jeszcze niedawno walczyłem jak równy z równym na boisku, teraz – wciąż trzymając się kosmicznych porównań – wyprzedzili mnie o całe lata świetlne...

Geniuszem piłkarskim był bez wątpienia Zinédine Zidane. Raczej mi to nie grozi, ponieważ moja wspaniała córka nie przejawia aż tak dużego zainteresowania piłką nożną, ale gdybym miał kupić swojemu dziecku jeden jedyny plakat z jednym jedynym piłkarzem, który mógłby dla niego stanowić wzór wszystkiego, co w futbolu najlepsze, to byłby to właśnie plakat z „Zizou”. Wiem, że to wyświechtane i mocno nadużywane stwierdzenie, ale dla mnie Zidane był piłkarzem kompletnym. Gdybym się bardzo postarał, po dłuższym zastanowieniu być może wymieniałbym kilka elementów piłkarskiego rzemiosła, w których nie był doskonały, ale choćbym nie wiadomo jak długo myślał, nie znalazłbym takich, w których był słaby. Miał w sobie coś, co sprawiało, że kiedy wychodził na boisko, koledzy z drużyny w całkowicie naturalny sposób podporządkowywali się mu i starali się go uzupełniać. Mówiąc o nim, trudno nie wspomnieć o zdarzeniu z finału Mistrzostw Świata w 2006, kiedy sprowokowany przez Materazziego uderzył go głową, za co został wyrzucony z boiska. Ten incydent w najmniejszym stopniu nie osłabia mojego podziwu dla „Zizou” zarówno jako dla piłkarza, jak i jako człowieka. Dobrze wiem z własnych doświadczeń, boiskowych też, że zdarzą się w życiu chwile, kiedy czujesz się całkowicie bezradny, kiedy zaskakuje cię coś okropnego, coś, co przewraca twój świat do góry nogami, i wtedy reagujesz jak zranione zwierzę, nie myśląc o konsekwencjach, o niczym...

Z całkowicie współczesnych zawodników oprócz Messiego, o którym pisałem już, porównując go z Maradoną, muszę wymienić Cristiano Ronaldo. Miałem okazję poznać go osobiście, kiedy siedem czy osiem lat temu przebywałem na stażu trenerskim w Manchester United. Był to styczeń, pogoda wyjątkowo paskudna nawet jak na Wyspy, a on codziennie

zostawał godzinę po treningu, żeby samodzielnie lub z którymś kolegów ćwiczyć elementy gry, do których miał jakieś zastrzeżenia. Mówię o tym dlatego, że o ile – moim zdaniem – Messiemu brakuje arogancji, tupetu i umiejętności błyszczenia bez piłki, żeby stać się supergwiazdą i idolem w pełnym znaczeniu tego słowa, to w dość zgodnej opinii większości kibiców i komentatorów Cristiano posiada te cechy w nadmiarze. Nie mogę się z tym zgodzić. To znaczy: owszem, podczas meczu gwiazdorzy na całego, stroi fochy, ściąga na siebie uwagę, kaprysi, histeryzuje i marudzi, ale obserwując go poza boiskiem, a zwłaszcza podczas treningów, trudno nie stwierdzić, że to jest bardzo pozytywnie zakręcony facet, któremu po prostu cholernie zależy na tym, żeby to, co robi, robić jak najlepiej. Jeśli wymachuje rękami, jeśli stroi miny, jeśli kieruje wzrok ku niebu, szukając sprawiedliwości, to robi tak dlatego, że po prostu taki jest. Gdyby Messi zaczął się tak zachowywać, pewnie straciłby znaczną część sympatii, jaką cieszy się wśród kibiców na całym świecie, ale równocześnie stałby się bardziej naturalny, żywy, prawdziwy. To trochę jak z tenisistami; są – byli – tacy, którzy grali jak maszyny, po których twarzach nie sposób było poznać, czy uderzona przed chwilą piłka trafiła w boisko, czy wyszła na aut, czy właśnie wygrali gema, czy przegrali mecz. Ale byli i inni. Uwielbiałem oglądać Naštase albo Johna McEnroe, ponieważ ich wybuchy radości lub – znacznie częściej – wściekłości dawały mi poczucie, że uczestniczę w rozgrywającym się na żywo dramacie, w czymś ważnym, w czymś, od czego coś zależy.

Być może niektórych czytelników zdziwi, że w tej wyliczance nie pojawiło się jeszcze nazwisko Boniek. Nie oznacza to wcale, że nie uważam Zbyszka za wybitnego zawodnika, wręcz przeciwnie. Jego gwiazda rozbłysła na dobre w roku 1978, a może nawet w 1977, kiedy ja dopiero zaczynałem się wspinać na pierwsze szczeble piłkarskiej kariery. Jego grę charakteryzowała niewiarygodna zadziorność i przebojowość, ale... to nie byłem ja. Nie potrafiłem się utożsamić z takim stylem, i o ile patrząc na Maradonę, wzdychałem w głębi duszy: „Ach, gdybym i ja kiedyś taki był...”, o tyle obserwując grę Zbyszka, byłem pod wrażeniem jego walecznego charakteru, lecz chyba nie traktowałem go jako wzoru do naśladowania. Pewnie od początku podświadomie czułem, że za bardzo różnimy się charakterami, także boiskowymi. On, niezależnie od okoliczności, zawsze tryskał energią, miał niesamowity „gaz” i przebojowość, zawsze chciał dominować, rządzić i rozstawiać po kątach. Nie tyle cieszył się piłką, co traktował ją jako oręż w walce z całym światem. Niezwykle skuteczny. W przeciwieństwie do mnie zawsze wybierał prostszą drogę do bramki, bez ceregieli i zabawy z przeciwnikiem.

Gdybym miał się pokusić o znalezienie jakiejś cechy łączącej tych wszystkich zawodników, których grę podziwiałem i na których – czasem bardziej, a czasem mniej świadomie – starałem się wzorować, to wydaje mi się, że byłaby nią szczypta szaleństwa, dodająca ich grze dodatkowego, nadzwyczajnego wymiaru. Owo kontrolowane szaleństwo, w połączeniu z wielkim talentem i ogromnymi umiejętnościami, wstępowało w nich w chwilach, kiedy wszystko im się udawało, kiedy nie było dla nich rzeczy niemożliwych. Nieskromnie, ale zgodnie z prawdą powiem, że ja też przeżywałem w mojej karierze takie chwile – w Legii, w Celticu, w Bristol City. To najwspanialsze momenty w życiu sportowca; wydaje ci się, że świat leży u twoich stóp, że potrafisz zrobić z piłką absolutnie wszystko, że każde, nawet najbardziej ryzykowne i skomplikowane technicznie zagranie zakończy się sukcesem. Oni, ci wielcy, o których wspominałem, a także wielu innych, być może przeżywali takie chwile

częściej i dłużej ode mnie, może mocniej zapadli w pamięć kibiców, ale wiem, że w najlepszych chwilach kariery przeżywaliśmy na boisku dokładnie to samo. Dookoła nas nie było niczego: ani kibiców, ani przeciwników, ani kolegów z drużyny. Tylko my i piłka. I wszystko było możliwe, świat należał do nas.

Żeby być idolem, nie wystarczy prezentować najwyższy sportowy poziom, nie wystarczy być najlepszym albo jednym z najlepszych. Trzeba być sobą, trzeba przeżywać emocje i nie bać się, nie wstydzić pokazywać ich światu. Nie wolno na siłę dostosowywać się do świata, trzeba pokazać mu się takim, jakim się jest, choć ryzyko odrzucenia bywa znacznie większe niż szansa na akceptację. Zachowując proporcje, powołałam się na własny przykład, bo, co chyba oczywiste, jest mi najbliższy. Przez całą karierę zawsze, kiedy tylko mogłem, grałem z opuszczonymi getrami i w wyciągniętej na wierzch koszulce. Reakcje w większości były jednoznaczne: Patrzcie, Dziekanowski znowu pajacuje. Tymczasem prawda przedstawia się w ten sposób, że ja po prostu źle się czułem w podciągniętych getrach i wpuszczonej w spodenki, a nie daj Boże na dodatek obcisłej koszulce. Lubiłem, i nadal lubię, luźne stroje, koszulki w rozmiarze XXL i za duże spodenki. W obcisłej koszulce i ciasnych spodenkach nie byłbym sobą. Z pewnością nie mógłbym grać w takich strojach, jakie na ostatnich mistrzostwach świata pokazały na przykład reprezentacje Chile, Paragwaju albo Argentyny – moim zdaniem w czymś takim ewentualnie można startować w zawodach pływackich, ale na pewno nie biegać po boisku – nie mógłbym też wzorować się na Mirku Tłokińskim z Widzewa, który występował w przeraźliwie obcisłych, podciągniętych po samą szyję spodenkach. Oczywiście luźna koszulka i opuszczone getry to trochę za mało, żeby zostać gwiazdą albo idolem; z drugiej strony, bez indywidualnych, wyróżniających z tłumu cech ani gwiazdą, ani idolem raczej nigdy się nie zostanie.

Gdyby ktoś zadał mi pytanie, czy kiedykolwiek czułem się idolem – ale nie dla kibiców, tylko dla innych zawodników – to odpowiedziałbym tak: było mi bardzo miło, kiedy młodzi zawodnicy, koledzy z drużyny, traktowali mnie z szacunkiem i podziwem, zwłaszcza wtedy, kiedy wygrywaliśmy, a ja wносиłem znaczny wkład w to zwycięstwo. W przypadku porażki sytuacja łatwo ulegała odwróceniu; ci, na których najbardziej się liczy, w których pokłada się największe nadzieje, w razie niepowodzenia najłatwiej ściągają na siebie krytykę i niechęć kolegów, kibiców i dziennikarzy. To druga, mniej przyjemna strona bycia idolem.

Ze zdecydowaną większością moich piłkarskich idoli nie miałem nigdy okazji zetknąć się na boisku, ale w kilku przypadkach los jednak się do mnie uśmiechnął, tyle że z pewnym opóźnieniem. Po zakończeniu kariery piłkarskiej zostałem zaproszony do „Orłów” Górskiego. W Gliwicach graliśmy mecz w niewiarygodnie silnym składzie, z udziałem zawodników m.in. z Mistrzostw Świata w roku 1974 i 1978. Wspaniałe nazwiska, wspaniali piłkarze, legendarne postaci polskiego futbolu. Możliwość wybiegnięcia z nimi na murawę była dla mnie gigantycznym zaszczytem. Ja, choć już oldboy, byłem wśród nich młodzieniaszkiem. Wybiegłem na boisko w drugiej połowie, ponieważ w takich meczach obowiązuje zasada, że podstawową jedenastkę tworzą ci najbardziej zasłużeni, potem zaś zmieniają ich ci, że tak powiem, zasłużeni trochę mniej. W składzie byli wtedy m.in. Kasperczak, Lato, Szarmach, Ćmikiewicz, Gadocha... To było dla mnie niesamowite doświadczenie. Grałem z najlepszymi piłkarzami minionego dwudziestolecia, ale wystarczyło dosłownie kilka minut, żebym się zorientował, którzy z nich czują grę i czytają ją tak jak ja, a którzy myślą na boisku



w całkowicie odmienny sposób. Z niektórymi rozumiałem się bez słów, z innymi mógłbym gadać pół dnia, a i tak pewnie byśmy się nie porozumieli – uczciwie przyznam, że raczej z mojej niż z ich winy. Gigantyczne doświadczenie i ogranie z przeciwnikami z najwyższej światowej półki procentowały nawet po latach. Wiem, że być może przemawia przeze mnie patriotyzm, ale naprawdę uważam, że mogą mówić o ogromnym pechu, że w okresie swojej świetności nie zdobyli przynajmniej jednego mistrzostwa świata. Zarówno w roku 1974, jak i cztery lata później, kiedy nie dotarli do strefy medalowej, tworzyli drużynę kompletną – no, w 1978 roku może nie do końca, z powodów, o których opowiadam między innymi w rozdziale zatytułowanym *Trenerzy*. Wyobrażam sobie, że byłby to dla mnie ogromny zaszczyt i wielka przyjemność, gdybym – naturalnie będąc u szczytu formy, bo w innym razie nie miałyby to sensu, no i zmieniwszy datę urodzenia – mógł wtedy z nimi wystąpić. Czy i na ile bym się przydał, tego oczywiście nie jestem w stanie ocenić, ale nie ulega wątpliwości, że byłaby to dla mnie wielka frajda.

Z moimi występami w drużynie „Orłów” wiąże się zabawne wspomnienie; jak już wspomniałem, sama gra w gronie tak wybitnych zawodników była ogromnym zaszczytem, nie byłbym jednak sobą, gdybym nie chciał wyróżniać się w gronie wyróżnionych, a co bardziej może wyróżniać ofensywnego zawodnika niż dziesiątka na koszulce? Przed każdym meczem szedłem do pana Kazimierza i pytałem, czy dostanę ten numer, a on drapał się wtedy po głowie i charakterystycznym tonem, lekko zaciągając, odpowiadał:

– No wiesz, Daruś... Jasne, że ci się należy, ale jeszcze bardziej należy się Kaziowi Kmiecikowi... On i starszy, i medali dużo nabierał... Może następnym razem, dobrze? Może następnym razem.

Kiedy nadchodził „następny raz”, rytuał powtarzał się od początku, naturalnie z takim samym rezultatem. Kłątwa Kmiecika wisiała nade mną długo, ale wreszcie nadeszła chwila, kiedy Kazik z jakiegoś powodu nie mógł przyjechać na mecz i wreszcie założyłem koszulkę z upragnioną dziesiątką. To był zaszczyt – również, a może przede wszystkim dlatego, że pozwolenie na grę z tym magicznym numerem miałem od pana Kazimierza Górskiego.

Gdybym ze srebrnej jedenastki Kazimierza Górskiego musiał wybrać jednego zawodnika, z którym bardzo, ale to bardzo chciałbym wystąpić w jednej drużynie, to byłby nim z pewnością Kazimierz Deyna. Długo można by wymieniać jego piłkarskie atuty: doskonały przegląd sytuacji na boisku, genialna umiejętność utrzymywania się przy piłce, rewelacyjne podania... Był kompletnym rozgrywającym, który na małej szybkości potrafił minąć przeciwnika, a następnie celnie – i z sensem – podać piłkę. Nawet wtedy, kiedy zdarzało mi się grywać nieco z tyłu i pełnić funkcję ofensywnego pomocnika, koncentrowałem się na dwóch zadaniach: grze jeden na jeden i obsłudze podaniami najbliższych mi zawodników. O takim przeglądzie pola, jakim dysponował Deyna, mogłem co najwyżej pomarzyć... Naprawdę szczerze żałuję, że nie mogliśmy nigdy zagrać w tym samym zespole. Może to głupio i nieskromnie zabrzmie, bo przecież dla mnie i dla wielu kibiców Kazimierz Deyna to legenda, pomnik, wzór, ale wydaje mi się, że mogłoby z tego wyjść coś naprawdę fajnego.

W superdrużynie, w której z przyjemnością bym wystąpił, miejsce między słupkami zająłby Edwin van der Sar. Wiele razy rozmawiałem o nim z Fransem Hoekiem: o jego podejściu do gry, do treningu... W skrócie powiedziałbym tak: stuprocentowy profesjonalizm, stuprocentowe zaangażowanie, stuprocentowa powaga i stuprocentowa koncentracja. Zero

gwiazdorstwa, zero gry „pod publiczke”, zero rutyny w niedobrym znaczeniu tego słowa.

Jeśli chodzi o obrońców, to nie miałbym nic przeciwko temu, żeby za moimi plecami grali Franz Beckenbauer i Franco Baresi. Co prawda „Cesarz” był jednym z tych piłkarzy, którzy praktycznie mogliby grać niemal na dowolnej pozycji, w dość zgodnej opinii fachowców najlepiej jednak prezentował się jako wysunięty stoper. Trochę głupio opowiadać o jego zaletach, znamy je przecież wszyscy – my, starsi, z autopsji, a młodszy dzięki archiwom telewizyjnym i naszym opowieściom... A Baresi? Był niewiarygodnie skuteczny w grze jeden na jednego, minięcie go było czymś niezwykle trudnym nawet dla najlepszych napastników na świecie, dla całej reszty zaś czymś wręcz nieosiągalnym.

Lista zawodników, z którymi chciałbym wystąpić na boisku, w znacznej mierze pokrywa się z listą moich piłkarskich idoli. Wynika z tego, że gigantyczną radość sprawiłaby mi gra w jednej drużynie z Zinédine’em Zidanem. O jego przymiotach opowiadam szerzej w innym miejscu, tutaj więc powiem tylko tyle, że moim zdaniem łączy w sobie najlepsze cechy tak doskonałych piłkarzy, jak: Platini, Messi i Ronaldo. Z Platinim łączy go przegląd sytuacji, precyzyjne i zaskakujące podania, z Messim – umiejętność dryblingu na małej przestrzeni, z Ronaldo – dynamika gry z piłką i piekielnie silny strzał. W mojej drużynie marzeń z pewnością znalazłoby się miejsce dla naszych wspaniałych zawodników: Deyny, Lubańskiego i Bońka. Każdy z nich w okresie swojej świetności w niczym nie ustępował największym światowym gwiazdom. Fajnie by było ściągnąć Maradonę, Cruyffa i może Francesolego. Gdyby taką drużynę poprowadził Kazimierz Górski, powstałby autentyczny Dream Team, którego gra na pewno zachwyciłaby wszystkich miłośników futbolu na świecie. Nie wiem tylko, czy mając do wyboru tak wspaniałych piłkarzy, pan Kazimierz wstawiłby mnie do składu – a jeśli już, to prawie na pewno nie z magiczną dziesiątką...

Najlepsze mecze wychodziły mi zawsze wtedy, kiedy z jakiegoś powodu byłem cholernie szczęśliwy albo potwornie wkurzony. Obojętność mnie paraliżowała, emocjonalna nijakość sprawiała, że byłem cieniem samego siebie. Pilnowałem się też bardzo, żeby nigdy nie rozgrywać meczu w głowie na dzień, dwa albo trzy dni przed pierwszym gwizdkiem sędziego. Im dłużej zastanawiałem się nad tym, co powinienem robić, jak ustawiać się na boisku, komu i kiedy podawać czy w jaki sposób starać się oszukać obrońców drużyny przeciwnej, tym większą katastrofą kończył się mój występ. Kiedy teraz sięgam pamięcią wstecz, do najważniejszych meczów w mojej karierze, mogę stwierdzić z pełną odpowiedzialnością, że zdecydowaną większość tych najbardziej udanych rozegrałem w głębokim emocjonalnym dołku lub wręcz przeciwnie, niesiony falą optymizmu i entuzjazmu, i że niemal zawsze podchodziłem do nich z marszu, niczego wcześniej nie analizując, nie obmyślając ani nie kombinując. A było takich meczów wcale niemało.

Pierwszy, jaki przychodzi mi na myśl, trudno właściwie nazwać meczem, ale na to wspomnienie do dziś zasycha mi w gardle ze wzruszenia. Było to jeszcze za moich czasów w Polonii. Jak w każdym klubie, także tam chłopcy podający piłki rekrutowali się spośród klubowych trampkarzy. Trampkarzy było wielu, chłopców podających piłki – mniej, trzeba więc było trochę poczekać na ten zaszczyt. Mnie spotkał on w okresie, kiedy w związku z remontem nawierzchni boiska przy Konwiktorskiej Polonia rozgrywała mecze na stadionie Marymontu. W przerwie spotkania cała nasza dwunastka wybiegła na boisko i tam, na równiutkiej jak stół murawie, na oczach kilku tysięcy widzów, rozegraliśmy dziesięciominutowy mecz... Dla chłopaczka, jakim wtedy byłem, przeżycie było wręcz kosmiczne, niedające porównać się chyba z niczym, co przeżywałem później, w trakcie „dorosłej” kariery.

Na drugim miejscu wymienilibym jeden z derbowych meczów z Legią na Łazienkowskiej, konkretnie ten z 15 sierpnia 1981 roku. O ile Gwardia nigdy i nigdzie nie mogła liczyć na sympatię kibiców drużyny przeciwnej, o tyle w tamtym gorącym okresie – strajki i demonstracje brutalnie tłumione przez oddziały milicji – była klubem powszechnie nienawidzonym. Nie inaczej było także podczas tego spotkania. Każde dojsście do piłki zawodnika Gwardii było kwitowane gwizdami, każda akcja – buczeniem. Byliśmy już jednak przyzwyczajeni do takich atrakcji i nie robiły one na nas większego wrażenia. Najlepiej świadczy o tym przebieg i wynik spotkania, które zakończyło się rezultatem 2:2. W pewnej chwili na trybunach zapadła cisza, potem zaś rozległy się oklaski... dla zawodnika drużyny przyjezdnej, a konkretnie dla mnie. Akcja szła w kierunku zegara. Dostałem piłkę po prawej stronie, podciągnąłem mniej więcej do narożnika pola karnego, a następnie podbiłem ją piętą w taki sposób, że przelobowała zarówno mnie, jak i atakującego mnie obrońcę, ja zaś ominąłem go i z półwoleja strzeliłem nie do obrony. Była to jedna z najpiękniejszych bramek w mojej karierze, w dodatku zdobyta w meczu derbowym z zespołem, który podziwiałem od najmłodszych lat, trenowanym przez legendarnego Kazimierza Górskiego i złożonym w zdecydowanej większości z reprezentantów kraju. Największą przyjemność sprawiła mi

jednak wspomniana już reakcja kibiców: najpierw zdumienie i niedowierzanie, potem uznanie i oklaski. Ilu piłkarzy, którzy na Łazienkowskiej strzelili Legii bramkę, zostało za to nagrodzonych brawami? Uczciwie przyznam, że to zagranie ćwiczyłem na treningach, ale było na tyle trudne, że nigdy wcześniej nie zdecydowałem się wykorzystać go podczas meczu. Kiedy wreszcie to zrobiłem, działałem odruchowo, bez zastanowienia. Zachęcony powodzeniem, w późniejszych latach kilkakrotnie z premedytacją starałem się powtórzyć tę sztuczkę. Parę razy zakończyło się to sukcesem, nigdy jednak nie aż w taki spektakularny sposób jak w tamten sierpniowy wieczór.

Niemal równo cztery lata później, bo 17 sierpnia 1985 roku, zadebiutowałem na stadionie przy Łazienkowskiej w barwach Legii Warszawa w meczu z Bałtykiem Gdynia. Czułem, że nareszcie jestem tam, gdzie powinienem być od dawna, że to miejsce, ten stadion, ci kibice czekali na mnie, a ja na nich. Nie drżały mi nogi – nadzwyczajne okoliczności zawsze działały na mnie mobilizująco, nigdy deprymująco – ale serce na pewno biło mocniej niż zwykle. Trybuny wypełnione prawie do ostatniego miejsca, atmosfera oczekiwania i zarazem wielkie zaniepokojenie: co też ten Dziekanowski pokaże... Zaczęło się nie najlepiej, bo już w siódmej minucie, po strzale Witkowskiego, przegrywaliśmy 0:1. Na szczęście już trzy minuty później wyrównał Krzysiek Gawara a na samym początku drugiej połowy na 2:1 podwyższył Andrzej Buncol, ale Bałtyk nie zamierzał się poddawać, odpowiadał ciosem na cios. W pięćdziesiątej ósmej minucie wyrównał Przygodzki, a na kolejną bramkę Buncola ten sam zawodnik odpowiedział w osiemdziesiątej trzeciej minucie bramką z rzutu karnego. Na siedem minut przed końcem meczu wszystko wskazywało na to, że zaledwie zremisujemy z drużyną bynajmniej niezaliczającą się do ligowych potentatów. I ja, i kibice nie tak wyobrażaliśmy sobie mój debiut na Łazienkowskiej... Wszystko zmieniło się jednak w osiemdziesiątej dziewiątej minucie. Tym razem akcja szła w kierunku bramki od strony Torwaru. Ktoś – niestety, nie pamiętam już kto – z prawej strony posłał piłkę w pole karne, a ja przyjąłem ją na klatkę piersiową i lewą nogą strzeliłem nie do obrony w samo okienko. Z co prawda obfitującego w bramki, ale w sumie nienadzwyczajnego meczu zrobiło się wydarzenie, które mocno zapisało się w pamięci kibiców Legii, no i naturalnie w moich wspomnieniach.

Szesnastego listopada 1985 roku reprezentacja Polski zmierzyła się na Stadionie Śląskim z Włochami. Mecz był towarzyski, ale ważny dla obu drużyn i z podtekstami. Wielkimi krokami zbliżał się mundial w Meksyku. Włosi szykowali się do obrony tytułu mistrzów świata zdobytego w 1982 roku w Hiszpanii, w drodze po który pokonali nas w półfinale po dwóch trafieniach Rossiego. My dwa miesiące wcześniej bezbramkowym remisem z Belgią przypieczętowaliśmy awans na meksykańskie mistrzostwa. Sytuacja trochę przypominała tę z 1978 roku; trzon naszego zespołu stanowili piłkarze, którzy cztery lata wcześniej odnieśli wielki sukces, po raz drugi w historii polskiego futbolu zdobywając trzecie miejsce na Mistrzostwach Świata, pojawiło się wielu młodszych, dobrych zawodników, mieliśmy też megagwiazdę w postaci Zbyszka Bońka. Nic, tylko powtórzyć sukces, albo sięgnąć po jeszcze większy... O tym, jak to się skończyło, piszę szczegółowo w rozdziale *Meksykańska „klapa”*. Na razie jednak jest rok 1985, chłodny listopadowy dzień... i jeśli nie jeden z najlepszych meczów w mojej karierze, to na pewno jeden z tych, które najlepiej wspominam. W szóstej minucie potężnym strzałem lewą nogą z odległości dwudziestu dwóch–dwudziestu czterech metrów zdobyłem zwycięską – jak się później okazało – bramkę. Grałem na prawej pomocy,

na Antonio Cabriniego, w tamtym okresie bezsprzecznie jednego z najlepszych lewych obrońców świata. O tym, że wychodziło mi jeśli nie wszystko, to w każdym razie bardzo dużo, najlepiej świadczy jego reakcja; w przerwie podszedł do Zbyszka, z którym występowali wtedy wspólnie w Juventusie Turyn, i powiedział mu, że jeśli nie przestanę tak kiwać, to on zrobi mi coś takiego, po czym zniosą mnie z boiska, bo ma tego dość i nie przywykł, żeby ktoś go bezustannie ośmieszał. Zbyszek oczywiście nie omieszkął mi tego powtórzyć, a ja momentalnie spuchłem z dumy tak, że o mało nie wzbilem się pod sklepienie tunelu, w którym czekaliśmy na wyjście na drugą połowę. Jeszcze teraz, kiedy o tym myślę, aż ciarki przechodzą mi po plecach. Nie chcę, żeby zabrzmiało to zbyt górnolotnie, ale jeśli kiedykolwiek znalazłem się w piłkarskim niebie, lub przynajmniej w jego przedsionku, to właśnie wtedy.

Zaledwie dziesięć dni wcześniej Legia grała rewanżowy mecz z Videotonem Szekesfehervar w drugiej rundzie Pucharu UEFA. Pierwszy mecz wygraliśmy na wyjeździe 1:0 dzięki bramce Jarka Araszkiwicza w końcówce spotkania. W Warszawie Węgrzy w trzydziestej piątej minucie zdobyli piękną bramkę z rzutu wolnego i w nasze poczynania wkradła się lekka nerwowość. Raptem trzy dni wcześniej graliśmy ciężki mecz ligowy z Górnikiem Wałbrzych, za cztery dni mieliśmy podejmować przy Łazienkowskiej Śląsk Wrocław, nikomu więc nie uśmiechała się wizja dogrywki. Videoton był niewdzięcznym rywalem, grającym może bez szczególnego polotu, ale twardo i solidnie. Konstruowanie akcji ofensywnych szło nam opornie, nie stwarzaliśmy wielu okazji, aż wreszcie nadeszła siedemdziesiąta piąta minuta meczu. Araszkiwicz pociągnął mocno lewą stroną, dośrodkował w pole karne, a ja wyskoczyłem nad dwóch obrońców i głową wpakowałem piłkę do siatki, tuż obok bezradnego bramkarza. Ten gol zapewnił nam awans do trzeciej rundy i możliwość rozegrania dwóch z czterech najbardziej zaciętych i dramatycznych spotkań pucharowych, w których miałem okazję wystąpić w okresie gry w Legii Warszawa. Dwa kolejne, jak się później okazało, mieliśmy zagrać w następnym sezonie.

Naturalnie mowa o spotkaniach z Interem Mediolan. Zaprezentowaliśmy się w nich naprawdę dobrze, z czterech spotkań z jedną z najlepszych wówczas europejskich drużyn przegraliśmy tylko dwa, oba w najniższym możliwym stosunku, a jednak i w sezonie 1985/1986, i rok później musieliśmy pożegnać się z europejskimi pucharami. Wydaje mi się, a właściwie jestem pewien, że gdybyśmy choć raz wyeliminowali Inter, byłby to początek nowej wielkiej Legii, i że na jakiś czas zajęlibyśmy miejsce może nie wśród europejskich potentatów, ale na pewno wśród solidnych średniaków – takich, których wszyscy powinni się obawiać, bo ze wszystkim potrafią wygrać. Jak już wspominałem, Legia w składzie z sezonów 1985/1986, 1986/1987 i 1987/1988 miała ogromny potencjał; niestety nie potrafiliśmy go wykorzystać.

Podczas jednej z odpraw przed pierwszym meczem, który 27 listopada 1985 roku mieliśmy rozegrać w Mediolanie, Zbigniew Kociołek – asystent trenera Engela – wywołał wybuch wesołości stwierdzeniem, że jego zdaniem jesteśmy w stanie odnieść zwycięstwo. W naszych uszach zabrzmiało to jak niezbyt udany żart, ale on opierał swoją opinię na obserwacji kilku meczów Interu, w tym także derbowego z Milanem. Jak się okazało, miał stuprocentową rację. Ten mecz naprawdę powinniśmy byli wygrać, należało nam się to z przebiegu wydarzeń. Podczas spotkania doszło do zabawnej sytuacji; mieliśmy w naszym gronie zawodnika, który

dziwnym zbiegiem okoliczności w trakcie najważniejszych meczów często schodził z boiska, ponieważ przytrafiała mu się wciąż ta sama kontuzja, mianowicie naciągnięcie mięśnia dwugłowego. Mowa o Andrzeju Sikorskim, przez kibiców zwanym „Karolem”, a przez nas „Dzidkiem”, z którym wcześniej grałem jeszcze w warszawskiej Gwardii. Także tym razem – „także”, bo zwykle zdarzało się to w początkowej fazie meczu – około dziesiątej minuty Andrzej podniósł rękę, sygnalizując, że coś jest nie w porządku z jego mięśniem dwugłowym. Inter co prawda przeważał, ale zaczynaliśmy już czuć, że jesteśmy silni, że warto, mówiąc nieelegancko, wypruć z siebie flaki. Walka toczyła się na całego, a tu Andrzej z tym swoim cholernym dwugłowym... Nie pamiętam już, czy zrobił to trener Engel, czy lekarz drużyny Stanisław Machowski, w każdym razie jeden z nich podbiegł do linii bocznej i wrzasnął tak, że prawie przekrzyczał doping kibiców Interu:

– A niech ci wreszcie pier...nie ten piep..ony dwugłowy, nikt tu już nie chce więcej o nim słyszeć!

Dolegliwości ustąpiły jak ręką odjął, „Dzidek” nie tylko dotrwał do końca meczu, ale należał do wyróżniających się zawodników. Także w trakcie radosnej imprezy, kiedy świętowaliśmy niewątpliwy sukces, jakim był bezbramkowy remis (choć wielu z nas zapewne w głębi duszy czuło żal, że nie udało nam się zwyciężyć. Ja czułem go na pewno), Andrzej zapomniał o swojej dolegliwości. Jak się okazało, dosadne słowa podziałały jak najlepsza terapia. Dwugłowy „Dzidka” przestał mu dokuczać na kilka miesięcy.

Jedenastego grudnia w rewanżu znowu byliśmy lepszym zespołem, i znowu nie potrafiliśmy udokumentować przewagi strzeloną bramką, za to na nasze nieszczęście pod koniec dogrywki gola wbił nam głową Pietro Fanna. O dużym szczęściu może mówić największa wówczas gwiazda Interu i jeden z najlepszych w tamtym czasie piłkarzy na świecie, Karlheinz Rummenige. Boisko było grząskie, murawa śliska, Rummenige dostał piłkę niemal dokładnie na środku boiska i wtedy Darek Wdowczyk – jakkolwiek by było, boczny obrońca – niczym bobslej przemknął tuż obok jego nóg w co najmniej dziesięciometrowym wślizgu. Szansa na to, że wceluje w piłkę, była niewielka; znacznie bardziej prawdopodobne było, że trafi w nogi przeciwnika. Gdyby tak się stało, doskonały niemiecki pomocnik zapewne zakończyłby wtedy karierę, ale na szczęście Darek zatrzymał się kilka metrów dalej w kałuży błota. Z taką determinacją, albo nawet jeszcze większą, walczyliśmy przez całe dziewięćdziesiąt minut i niemal do końca dogrywki. Niestety, musieliśmy uznać wyższość rywala, do którego w samej końcówce uśmiechnęło się szczęście.

Tym większa była żądza rewanżu, kiedy w kolejnym sezonie znowu wpadliśmy na Inter, tyle że nie w trzeciej, lecz już w drugiej rundzie Pucharu UEFA. Tym razem pierwszy mecz graliśmy przy Łazienkowskiej i wreszcie się udało: zwyciężyliśmy 3:2. Rozmiary naszego zwycięstwa mogły być bardziej okazałe, gdyby nie hiszpański sędzia, który w końcówce spotkania, przy stanie 3:1 dla Legii, seryjnie dyktował rzuty wolne dla Interu w odległości dwudziestu–trzydziestu metrów od bramki Jacka Kazimierskiego. Po jednym z nich piłka otarła się o kogoś z naszych obrońców i wturlała do bramki obok kompletnie zaskoczonego Jacka. Rewanżowy mecz przegraliśmy 0:1, więc gdyby nie ten idiotycznie stracony gol, byłibyśmy lepsi w dwumeczu, a tak... Nawiasem mówiąc, bramkę w Mediolanie ponownie strzelił Fanna, stając się naszym „katem”, wykluczającym nas z dalszej gry w pucharach.

Naprawdę wielka szkoda, że nam wtedy nie wyszło. Oczywiście to tylko gdybanie, ale

jestem w stu procentach pewien, że gdybyśmy za pierwszym albo za drugim razem przeskoczyli Inter, narobiliśmy w piłkarskiej Europie sporo zamieszania. Bez wątplenia inaczej potoczyłyby się wtedy losy wielu legionistów, w tym także mój. Z dużym opóźnieniem dowiedziałem się, że już po pierwszym, bezbramkowym spotkaniu w sezonie 1985/1986 Inter sondował możliwość ściągnięcia mnie do Mediolanu, ale w tamtych czasach dla dwudziestotrzyletniego zawodnika, w dodatku grającego w wojskowym klubie, było to marzenie ściętej głowy. Naturalnie można było zagrać *va banque* i „odłączyć się od drużyny” podczas pobytu za granicą, lecz ani przez chwilę nie brałem pod uwagę takiego rozwiązania.

Jednym z meczów, które najbardziej zapadły mi w pamięć z czasów mojej gry w Celticu, jest naturalnie rewanżowe spotkanie z Partizanem Belgrad w pierwszej rundzie Pucharu Zdobywców Pucharów, rozgrywane w Glasgow 27 września 1989 roku. To wspomnienie budzi we mnie mieszane uczucia: z jednej strony zagrałem jeden z najlepszych meczów w karierze, strzelając cztery gole i zaliczając asystę na wypełnionym po brzegi stadionie (mecz oglądało na żywo dokładnie 49298 widzów), z drugiej – na niewiele to się zdało, ponieważ na dwie minuty przed końcem spotkania w idiotyczny sposób straciliśmy gola, który wyeliminował nas z dalszych rozgrywek. Ale po kolei. Pierwszy mecz przegraliśmy w Belgradzie 1:2, sytuacja nie była więc najgorsza; gol strzelony na wyjeździe, niska porażka, wystarczy wygrać 1:0, żeby awansować. Atmosfera w drużynie i na trybunach była jak zwykle bojowa, stopień mobilizacji wśród zawodników zaś chyba nawet jeszcze większy niż zawsze, ponieważ mecz transmitowała BBC. Angielskie kluby były wtedy objęte zakazem uczestniczenia w europejskich rozgrywkach pucharowych, więc my mieliśmy dostarczyć kibicom w Anglii przynajmniej namiastki tych emocji, jakich doświadczaliby, oglądając zmagania swoich ulubieńców. Zaczęło się tak sobie, a właściwie koszmarnie, bo już w siódmej minucie Vujačić strzelił nam bramkę głową po rzucie różnym. W dwudziestej piątej minucie Celtic wykonywał rzut wolny z odległości około trzydziestu metrów od bramki Jugosłowian. Wysoka wrzutka w pole karne, przedłużenie głową prosto na moją głowę i 1:1! Trybuny oszalały z radości, ja zresztą też. Takim wynikiem zakończyła się pierwsza połowa. Na samym początku drugiej połowy, jeszcze w czterdziestej szóstej minucie, po nieszczerólnie groźnym strzale zza linii pola karnego bramkarz Partizana odbił piłkę prosto pod moje nogi, tak że nie pozostało mi nic innego, jak tylko umieścić ją w pustej bramce. 2:1, ale przy takim wyniku sprawa awansu nie była rozstrzygnięta. Graliśmy coraz szybciej i płynniej, ale zaledwie pięć minut później otrzymaliśmy zimny prysznic w postaci gola, którego po głupiej stracie w środku pola wbił nam Durdević. Po kolejnych pięciu minutach było już 3:2; po celnym dośrodkowaniu z prawej strony na dziesiąty metr strzeliłem z pierwszej piłki blisko słupka, nie do obrony. Euforia na trybunach trwała zaledwie pięć minut, ponieważ w sześćdziesiątej pierwszej minucie wyrównującego gola po nieudanej pułapce offside'owej zdobył Durowski. Żeby awansować, musieliśmy strzelić co najmniej dwie bramki, a do końca meczu pozostało zaledwie niespełna pół godziny... Po czterech minutach potrzebowaliśmy jeszcze tylko jednego trafienia, gdyż po moim dośrodkowaniu z prawej strony bramkę strzelił Walker. Czas mijał, robiło się coraz bardziej nerwowo, od dopingu pękały bębenki w uszach. W osiemdziesiątej pierwszej minucie marzenia się spełniły: udało mi się dojść do ostrego dośrodkowania z lewej strony boiska, musnąć piłkę zewnętrzną częścią stopy i z najbliższej odległości pokonać Pandurovića. Byliśmy w kolejnej rundzie... ale tylko przez siedem minut.

Na dwie minuty przed końcem regulaminowego czasu gry Šćepović strzałem głową pokonał Bonnera. Najgorsze było to, że gdyby nasz bramkarz po rozpaczliwej paradzie nie sięgnął piłki, prawie na pewno wybiłby ją stojący na linii bramkowej Paul Elliott... Równie gorzka była świadomość, że ten gol mógł nie mieć najmniejszego znaczenia, gdyby przy stanie 5:3 Walker podał mi piłkę, kiedy czekałem na nią przed pustą bramką. Do dziś pamiętam martwą ciszę, jaka zapadła po ostatnim gwizdku sędziego na wypełnionym niemal pięćdziesięcioletnim tłumem stadionie. My, piłkarze, staliśmy po prostu i patrzyliśmy na siebie z rozpaczą i niedowierzaniem. Później, kiedy opadły emocje, naturalnie odbierałem mnóstwo gratulacji za swój występ – pamięta go zresztą do dziś każdy kibic Celticu, który był wtedy na stadionie lub siedział przed telewizorem – ale zaraz po meczu nie czułem ani dumy, ani radości, i chyba trudno mi się dziwić. Na to przyszedł czas nieco później. Nawiasem mówiąc, trzeba było czekać prawie ćwierć wieku, żeby kolejny polski piłkarz strzelił cztery gole w meczu o europejskie puchary. Jego nazwisko też kończy się na „ski”.

Kiedy całkiem niedawno w charakterze delegata UEFA byłem w Skopje na meczu reprezentacji U-21 Macedonii i Izraela, okazało się, że selekcjonerem zespołu gospodarzy jest Vujadin Stanojković, który w tamtym meczu występował na lewej obronie Partizana. Pamiętał mnie doskonale, ku zdumieniu oficjeli i piłkarzy serdecznie wyściskaliśmy się podczas przedmeczowego treningu a później przy lampce dobrego macedońskiego wina powspominaliśmy stare dobre czasy. To niesamowite spotkać po dwudziestu pięciu latach człowieka, z którym spędziło się raptem dziewięćdziesiąt minut na boisku, i czuć, że coś nas łączy, że zapewne obaj nieraz wracamy wspomnieniami do tamtych chwil, że współtworzyliśmy wydarzenie, które na zawsze zapisało się w historii naszych klubów...

Dla piłkarzy i kibiców Celticu najważniejsze były, są i będą oczywiście derbowe spotkania z Rangersami. Już na dwa–trzy tygodnie przed takim spotkaniem w mieście nie mówi się o niczym innym, podobnie zresztą jak przez kilka lub kilkanaście dni po nim. Zawodnicy, którzy dokonali w nim czegoś niezwykłego, albo nawet „tylko” zdobyli bramkę, zyskują wieczną sławę, ci zaś, którzy nie wykazali się maksymalnym zaangażowaniem albo popełnili brzemienne w skutki błędy, ściągają na siebie gniew tłumów, niekiedy zaś nawet mogą od razu po meczu zacząć pakować manatki. Z tą wieczną sławą ani trochę nie przesadzam; mogę iść o zakład, że każdy prawdziwy kibic Celticu potrafi bez zająknięcia wymienić strzelców goli dla jego ukochanego klubu w ostatnich dziesięciu lub dwudziestu meczach derbowych, ci starsi zaś są w stanie sięgnąć pamięcią do jeszcze dawniejszych czasów. Ja też zapisałem się w ich wspomnieniach, ponieważ w sierpniu 1989 roku w spotkaniu, którego byliśmy gospodarzem, strzeliłem gola, który dał nam remis 1:1. Ten wynik był naszym niewątpliwym sukcesem, gdyż Rangersi mieli wtedy znacznie mocniejszy skład: połowę stanowili reprezentanci Szkocji, połowę zaś reprezentanci Anglii. I to właśnie Anglik, słynny Terry Butcher, już w piątej minucie pięknym strzałem głową po rzucie rożnym dał prowadzenie naszym rywalom zza miedzy. Mój gol z pewnością nie był tak spektakularny: również po rzucie rożnym „główka” Tommy’ego Coyne’a trafiła w lewy słupek, piłka odbiła się mniej więcej na czwarty metr, trafiła mnie w kolano i wpadła do siatki. Uroda tego gola – a raczej jej brak – oczywiście nie miały najmniejszego znaczenia. Nad stadion wzbił się triumfalny ryk tysięcy kibiców Celticu, ja zaś jak szalony pogałem w kierunku trybun, uciekając przed usiłującymi mnie udusić kolegami.



Po Glasgow był Bristol. Mój stosunkowo krótki pobyt w tym mieście obfitował w dramatyczne, niezwykle zacięte, zapadające w pamięć mecze. Być może wynika to ze specyfiki ligi angielskiej, gdzie gra się albo na sto dziesięć procent, albo wcale. Jednym z takich meczów było rozegrane 7 marca 1992 roku wyjazdowe spotkanie w Pucharze Anglii z Wolverhampton, choć dla mnie skończyło się ono wyjątkowo szybko, bo już w ósmej minucie. Ja z szesnastu metrów trafiłem piłką w poprzeczkę, a interweniujący z opóźnieniem obrońca trafił mnie korkami w nogę. Spojrzałem w dół i zobaczyłem głębokie rozcięcie i odsłoniętą kość piszczelową. Co prawda nie czułem bólu – adrenalina robi swoje – ale sam widok sprawił, że padłem na murawę. Zniesiono mnie z boiska, a Pakistańczyk, który był wtedy naszym lekarzem klubowym, zaaplikował mi w szatni zastrzyk przeciwwężcowy i założył na ranę trzynaście szwów. Mecz zakończył się wynikiem 1:1, dziesięć dni później graliśmy więc powtórkę na naszym stadionie. Dzień przed spotkaniem, wbrew zaleceniom lekarza, wziąłem udział w treningu. Gdyby wtedy piłka choć raz trafiła mnie w uszkodzony piszczel, mimo ochraniaczy z pewnością skończyłoby się to dla mnie bardzo przykro, ale na szczęście nic takiego się nie stało. Poruszałem się w miarę sprawnie, więc trener Smith powiedział, że weźmie mnie na rezerwę, ale że bym liczył się z tym, że jeśli w ogóle wyjdę na boisko, to najwyżej w samej końcówce. Do przerwy było 0:0, gra niezbyt nam się układała, trener postanowił więc wypuścić mnie od początku drugiej połowy. Opatrzność nade mną czuwała, bo nie dość, że szwy wytrzymały – później lekarze mówili mi, że gdyby wtedy ponownie coś się stało z tą nogą, przypuszczalnie oznaczałoby to dla mnie koniec kariery – to jeszcze w osiemdziesiątej piątej i osiemdziesiątej siódmej minucie strzeliłem dwa gole, które zdecydowały o naszym zwycięstwie. A blizny po szwach zostały mi do dzisiaj.

Ze względu na niezwykle dramatyczną i głęboko zapadł mi w pamięć mecz ligowy z wyżej od nas notowanym Derby County, z września 1992 roku. Już w pierwszej połowie w ciągu dwóch minut Paul Simpson strzelił nam dwa gole i sytuacja przedstawiała się co najmniej nieciekawie. Kompletnie niespodziewany zwrot nastąpił na dziesięć minut przed końcem pierwszej części gry, kiedy bramkarz gospodarzy, Paul Sutton (wcześniej przez wiele lat ikona Nottingham Forrest), zapaśniczym chwytem powalił w polu karnym jednego z naszych graczy, za co sędzia pokazał mu czerwoną kartkę i oczywiście podyktował rzut karny na naszą korzyść. Pech chciał, że akurat w tym spotkaniu Derby grało bez rezerwowego bramkarza, w związku z czym miejsce Suttona między słupkami zajął obrońca Paul Williams. Myliłby się jednak ktoś, kto by przypuszczał, że od tej pory wszystko układało się nam jak z płatka. Co prawda Martin Scott zamienił karnego na bramkę, ale dopiero na początku drugiej połowy strzeliliśmy kolejnego gola, tyle że – słusznie – sędzia nie uznał go z powodu spalonego. Następną bramkę zdobyliśmy już prawidłowo. Naprawdę interesująco zrobiło się w samej końcówce. Najpierw samobójczego gola, dosłownie kilkanaście sekund po wejściu na boisko, strzelił Andy Comyn z Derby County, minutę później zaś wyrównał znowu Paul Sutton. Losy meczu rozstrzygnęły się w osiemdziesiątej siódmej minucie: dostałem piłkę wrzuconą z autu, przy narożniku pola karnego uwolniłem się od obrońcy i posłałem miękka wrzutkę na jedenasty metr przed bramką. Wayne Allison wyskoczył jak na sprężynach i głową umieścił piłkę w prawym górnym rogu bramki. 4:3 po spotkaniu pełnym zaskakujących zwrotów akcji i emocji, a przede wszystkim ciężkiej bezpardonowej walki, tak wtedy charakterystycznej dla futbolu z Wysp.

Nieco wcześniej, bo w styczniu 1992, Bristol City grał wyjazdowy mecz czwartej rundy Pucharu Anglii z Leicester City. W tym spotkaniu debiutowałem w barwach mojego nowego klubu – kontrakt podpisałem zaledwie kilka dni wcześniej. Miałem za sobą raptem trzy czy cztery treningi, kompletnie nie znałem kolegów z drużyny, oni zaś niewiele wiedzieli o mnie. Awans do czwartej rundy Pucharu był dla nas dużym sukcesem, ale że apetyt rośnie w miarę jedzenia, marzyło nam się dotarcie jeszcze wyżej. W tym spotkaniu jednak z pewnością faworytem byli gospodarze. Mecz transmitowała BBC, a warunki były fatalne: grząska, nierówna i mocno zniszczona murawa. Gospodarze wyraźnie przeważali, ale w dwudziestej szóstej minucie otrzymałem piłkę niemal dokładnie na środku boiska i mając przed sobą, a właściwie po bokach, jedynie dwóch obrońców, pogałem co sił w nogach w kierunku bramki Leicester. Dogonili mnie po mniej więcej trzydziestu metrach, ale udało mi się jeszcze podać piłkę do nadbiegającego z prawej strony, znacznie ode mnie szybszego Juniora Benta, który wyszedł na czystą pozycję i strzelił nie do obrony. W pięćdziesiątej siódmej minucie Bent pogał lewą stroną prawie do linii końcowej, wycofał piłkę do nadbiegającego pomocnika, ten wrzucił ją na siódmy metr przed bramkę, a ja, mimo asysty dwóch obrońców, uderzyłem ją głową w długi róg, zdobywając drugą bramkę dla Bristolu. Teraz, niemal ćwierć wieku później, mogę się chyba przyznać, że było w tym sporo przypadku... Gra głową nigdy nie należała do moich mocnych stron i choć strzeliłem w ten sposób trochę goli, to z pewnością nie należałem do zawodników, którzy – jak niegdyś Andrzej Szarmach – nie wahali się wsadzać głowy tam, gdzie inni bali się wetknąć nogę. Wtedy jednak się udało, Leicester odpowiedziało tylko jedną bramką, awansowaliśmy do kolejnej rundy, a ja dzięki asyście, golowi i dobrej postawie w całym meczu zaliczyłem debiut marzenie. Takich rzeczy raczej się nie zapomina.

Grałem w wielu meczach o większą lub mniejszą stawkę, ale też w kilkunastu, może kilkudziesięciu takich, w których wynik nie był najbardziej istotną sprawą. Dziwnym trafem liczba takich występów zdecydowanie wzrosła po tym, jak zakończyłem karierę... Jednym ze spotkań „o nic”, które wspominam z ogromną przyjemnością, był mecz między reprezentacjami oldboyów Europy i Afryki rozegrany 2 lutego 2001 roku w Bari, we Włoszech. Drużynę Europy prowadzili wspólnie słynny włoski szkoleniowiec Marcello Lippi oraz były selekcjoner reprezentacji Szkocji Andy Roxburgh, i to oni właśnie powołali mnie do składu, obok takich sław jak Ravelli, Rijkaard, Buchwald, Laudrup, Conti, Müller czy Vierchowod. W bramce reprezentacji Afryki stał Thomas N’Kono, kameruński weteran dwóch turniejów o mistrzostwo świata, wśród zawodników z pola zaś byli słynni Roger Milla oraz Abédi Pelé z Ghany i Rabah Madjer z Algierii – klubowy kolega Józefa Młynarczyka z FC Porto i strzelec zwycięskiej bramki w finałowym meczu Pucharu Europy Porto – FC Bayern. Nasz mecz stanowił jedynie dodatkową atrakcję, daniem głównym był bowiem turniej drużyn U-18 krajów basenu Morza Śródziemnego. Kiedy dotarłem do hotelu z moją ówczesną narzeczoną – mogliśmy przyjechać z osobami towarzyszącymi – przy recepcji stał właśnie Frank Rijkaard (wtedy pełnił funkcję szkoleniowca reprezentacji Holandii) i załatwiał formalności meldunkowe. Przedstawiłem mu się, a on przyjrzał mi się uważnie i spytał:

– Hej, czy myśmy aby kiedyś nie grali przeciwko sobie?

Sądziłem, że chodzi mu o mecze drużyn narodowych, w których rzeczywiście się spotykaliśmy, ale się zdziwiłem, okazało się bowiem, że zapamiętał mnie również

z juniorskiego turnieju rozgrywanego w 1980 roku m.in. Kostrzynie, Międzyrzeczu i Gorzowie Wielkopolskim, o którym opowiadam w rozdziale pt. *Początki*. Równie miło przyjęli mnie inni gracze, z których większość jeszcze zaledwie kilka lat wcześniej należała do grona najlepszych piłkarzy Europy i świata, a także ci, którzy zarówno w klubach, jak i w reprezentacjach narodowych święcili triumfy już wtedy, kiedy ja dopiero zaczynałem piłkarską karierę. Wspaniała atmosfera utrzymywała się przez cały nasz pobyt w Bari, sam mecz zaś był dla mnie czystą przyjemnością; choć odbyliśmy zaledwie jeden wspólny trening, a odprawa przedmeczowa przypominała luźną przyjacielską pogawędkę, to na boisku zaskakująco dobrze się rozumieliśmy i uraczyliśmy licznie zgromadzoną publiczność wieloma zagraniem, po których, jak to się mówi, ręce same składały się do oklasków. Jeśli się nie mylę, spotkanie zakończyło się wynikiem 4:2 dla Europy, ale jak wspominałem, w tym meczu rezultat nie miał większego znaczenia.

Ten rozdział, poświęcony najważniejszym spotkaniom w mojej karierze – a przynajmniej tym, które najmocniej wryły mi się w pamięć – zacząłem od meczu, który właściwie nie był meczem; zakończę go meczem, a raczej meczami, których w ogóle nie było. Mam na myśli pożegnalne spotkania w reprezentacji Polski oraz w klubach, w których spędziłem większość piłkarskiego życia: Polonii, Gwardii, Widzewie, Legii, Celticu i Bristolu.

Zacznijmy od klubów. W żadnym nie zostawiłem złych wspomnień w sercach kibiców – no, może poza Widzewem, ale i tam chyba po latach nawet najzagorzalsi fani są w stanie przyznać, że zdarzały się chwile, kiedy spełniałem ich oczekiwania (w ciągu dwóch lat spędzonych w tym klubie uzyskałem najwyższą średnią bramek strzelonych w jednym meczu). Nie skarżę się, nie uzalam się nad sobą, nie mam do nikogo pretensji. Gdyby takie rozstanie bez pożegnania przytrafiło mi się raz albo dwa, wzruszyłbym ramionami i zważyłbym winę na okoliczności; ponieważ jednak taki stan rzeczy był regułą, nie wyjątkiem, jestem zmuszony uznać, że do jego zaistnienia ja też w jakimś stopniu się przyczyniłem. Gdybym mógł, pewnie spróbowałbym parę rzeczy zmienić. A gdybym dziś mógł wybrać sobie klub, w którym chciałbym rozegrać ostatni mecz w karierze, to na pewno miałbym dylemat, czy wybrać Legię, Celtic czy Bristol. To właśnie w tych trzech klubach czułem się najlepiej, to tam spotkało mnie najwięcej dobrych rzeczy i najmniej złych, to tam towarzyszyło mi przekonanie, że jestem właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

Z reprezentacją sprawa wygląda nieco inaczej. Z reprezentacją nie podpisuje się kontraktu, z kolegami z reprezentacji nie przebywa się tak długo i często, żeby ich zniechęcić albo jakoś szczególnie zaleźć im za skórę. To samo dotyczy kontaktów z selekcjonerem. W klubie się jest, w reprezentacji się bywa, ale to bywanie – przynajmniej dla mnie – miało gigantyczny ciężar gatunkowy i emocjonalny. Zawsze byłem do dyspozycji selekcjonerów, niejednokrotnie zgłaszałem gotowość do gry mimo bolesnych urazów lub innych problemów, z którymi akurat musiałem się borykać. To prawda, że poza kilkoma spektakularnymi zwycięstwami ze znacznie wyżej od nas notowanymi rywalami nie odniosłem z drużyną narodową żadnych sukcesów (w tamtych czasach awans do turnieju finałowego Mistrzostw Świata uważany był za coś oczywistego) – albo, jeśli ktoś woli, nie udało mi się przyczynić do tego, żeby w okresie, kiedy w niej występowałem, drużyna narodowa takie sukcesy odniosła. Mimo to jestem dumny z każdego z sześćdziesięciu trzech spotkań, jakie w niej rozegrałem i z każdej z dwudziestu bramek, jakie dla niej strzeliłem. Żałuję tylko, że nie miałem okazji zagrać w sześćdziesiątym

czwartym meczu, podczas którego oficjalnie mógłbym pożegnać się z kibicami. Nie po to, żeby mi za cokolwiek dziękowali, tylko żeby ja mógł im podziękować.

# U boku Iwa

Z Leo pierwszy raz zetknąłem się w 1998 lub 1999 roku. Pośredniczyłem wtedy w rozmowach między zarządem Legii a dużym dystrybutorem sprzętu fotograficznego, z którym byłem związany, dotyczących obecności tej firmy na reklamach na stadionie przy Łazienkowskiej. Beenhakker, który wówczas pracował w Feyenoordzie, przyjechał do Warszawy w charakterze obserwatora na jeden z meczów ligowych. Trudno mi powiedzieć, czy obserwował kogoś z legionistów, czy interesował go jeden z zawodników drużyny przeciwnej. Poproszono mnie, żebym zaopiekował się nim podczas jego pobytu. Wywiązałem się z zadania chyba nie najgorzej, ale przyznam szczerze, nie przywiązywałem wielkiej wagi do tego epizodu. Dla Beenhakera możliwość poznania mnie także z pewnością nie była epokowym wydarzeniem, ponieważ po dwóch godzinach na stadionie i obiedzie w jednej z warszawskich restauracji pożegnaliśmy się uprzejmie na Okęciu i tyle. Przez kolejnych siedem czy osiem lat nie utrzymywaliśmy żadnych kontaktów.

W 2006 roku prowadziłem reprezentację Polski juniorów (rocznik 1989) i nie ukrywam, że szło mi coraz ciężiej. Nie mam na myśli samej pracy, wręcz przeciwnie: byłem w nią całkowicie zaangażowany, myślę, że udawało mi się znaleźć wspólny język z tymi szesnasto–siedemnastoletnimi chłopakami niecierpliwie dobijającymi się do drzwi „dorosłego” profesjonalnego futbolu, a i wyniki były całkiem przyzwoite. Chodzi mi o stale pogarszającą się współpracę z PZPN. Nieporozumienia dotyczyły między innymi doboru przeciwników dla kadry. Ja byłem zdania, że chłopcy będą się rozwijać piłkarsko tylko wtedy, jeśli damy im szansę mierzenia się z lepszymi rywalami. Próbując im dorównać – i co z tego, że nie zawsze z powodzeniem? – sami się przekonają, czego im brakuje i nad czym najmocniej muszą popracować. Ludzie z Wydziału Szkolenia PZPN preferowali przeciwników niższej klasy, za to bliższych geograficznie; wyjazd na Łotwę czy Białoruś był naturalnie znacznie mniej kosztowny od udziału w turnieju, na który nie dało się dojechać autokarem, tylko trzeba było lecieć samolotem, łatwiej też było o sukces – co z tego, że niewiele dający od strony szkoleniowej.

Na przełomie marca i kwietnia uczestniczyliśmy w rozgrywanym w Zielonej Górze i Krośnie Odrzańskim turnieju drugiej rundy eliminacji do Mistrzostw Europy. W pierwszej rundzie, we wrześniu poprzedniego roku, pokonaliśmy Norwegię i Liechtenstein oraz zremisowaliśmy z Mołdawią. W drugiej rundzie przegraliśmy z Belgią, wygraliśmy ze Szwajcarią i Słowacją. (Zespół Słowacji prowadził młodszy ode mnie o trzy lata L’ubomír Moravčík, który w latach 1998–2002 występował w Celticu na pozycji środkowego napastnika). Zajęliśmy drugie, niepremiowane awansem miejsce. W czerwcu kończył mi się kontrakt, ale jakoś ani moi przełożeni w Polskim Związku Piłki Nożnej, ani ja nie pałaliśmy wielką chęcią jego przedłużenia.

Jedenastego lipca, po nieudanych dla nas Mistrzostwach Świata i zwolnieniu Pawła Janasa, selekcjonerem reprezentacji Polski został Leo Beenhakker. Jak większość kibiców dobrze

pamięta, nie obyło się bez awantur, zamieszania i publicznego prania brudów. Znaczna część działaczy i trenerów uważała tę nominację za policzek dla „polskiej myśli szkoleniowej” – Antoni Piechniczek na znak protestu zrezygnował nawet z funkcji szefa Wydziału Szkolenia w PZPN – inni twierdzili, że tylko zastrzyk świeżej krwi i otwarcie się na metody działania stosowane z powodzeniem na zachodzie Europy może dać polskiej piłce nożnej szansę na otrząśnięcie się z marazmu i, po latach posuchy, wypłynięcie na szersze wody. Swego rodzaju kompromisem było wprowadzenie do kontraktu zapisu o tym, że drugim trenerem reprezentacji ma być polski szkoleniowiec. Moje nazwisko podsunął Beenhakkerowi Jan de Zeeuw, od lat blisko związany z polską piłką nożną. Przyjaźnił się z Włodkiem Smolarkiem, pomagał na początku kariery „Ebiemu”, był menedżerem Jurka Dudka i to on właśnie dogadywał z PZPN szczegóły kontraktu nowego selekcjonera reprezentacji Polski. Beenhakkerowi zależało na tym, żeby jego polscy współpracownicy nie pochodzili „z nadania” piłkarskiej centrali i żeby nie reprezentowali żadnej z grup interesów walczących o wpływy w PZPN. Przyznam, że telefon od Jana bardzo mnie zaskoczył; nie znaliśmy się, nigdy wcześniej nie zamieniliśmy ani słowa, a choć wiedziałem o tym, że Leo kompletuje sztab, to nie czyniłem żadnych zabiegów, by się w nim znaleźć. Na pytanie, czy byłbym zainteresowany ewentualną współpracą z nowym selekcjonerem, naturalnie udzieliłem twierdzącej odpowiedzi. Spotkaliśmy się raz i drugi, sprawa zaczęła nabierać tempa, ale PZPN usiłował przekonać Beenhakker, by ten zatrudnił „zaufanego” człowieka. Na informację de Zeeuwa, że Leo chciałby widzieć jako swoich asystentów mnie i Bogusława Kaczmarka, Michał Listkiewicz odparł, że to oczywiście doskonały wybór, ale on miałby na miejsce jednego z nas jeszcze lepszego kandydata w osobie Stefana Majewskiego.

Wielkimi krokami zbliżał się termin pierwszej konferencji prasowej nowego trenera, na której selekcjoner miał zaprezentować swoich współpracowników, a obie strony wciąż twardo stały na swoich stanowiskach. Aby przełamać impas, zorganizowano tajne spotkanie w Wesołej, w istniejącym do dzisiaj zespole hotelowo-restauracyjnym Villa Park. Ze strony PZPN uczestniczyli w nim Michał Listkiewicz, Zdzisław Kręcina i Stefan Majewski, ze strony holenderskiej – Jan de Zeeuw i Leo Beenhakker. Byliśmy też ja i „Bobo” Kaczmarek. Po posiłku zaczęły się przesłuchania kandydatów. Do stolika na patio, przy którym siedzieli Holendrzy, przysiadł się najpierw Stefan Majewski – przypuszczam, że rozmowa toczyła się po niemiecku, ponieważ Stefan, po kilkuletnim pobycie w Niemczech, dobrze włada tym językiem. Po półgodzinie przyszła kolej na mnie. Rozmawialiśmy po angielsku, oczywiście przede wszystkim o piłce nożnej, ale nie tylko. Ostateczną decyzję Leo podjął nazajutrz. Jan zadzwonił do mnie z informacją, że Boss zdecydował się na mnie i na „Bobo” Kaczmarka i że prezes Listkiewicz zaakceptował nasze kandydatury.

Konferencja prasowa miała się rozpocząć 11 lipca o piętnastej. Około południa odebrałem telefon od Jana, który poinformował mnie, że jednak nic jeszcze nie jest pewne, ponieważ PZPN ciągle namawia Beenhakker, żeby zaprosił do współpracy nie mnie, ale Stefana Majewskiego. Nie miałem pojęcia, jakich argumentów używano, nie wiedziałem też, na ile selekcjonerowi zależało na tym, żebym wszedł do jego sztabu; pozostało mi tylko liczyć upływające minuty i czekać na ostateczny werdykt. O czternastej trzydzieści Jan de Zeeuw zawiadomił mnie, że rozmowy wciąż trwają. Ostatecznie Leo postawił jednak na swoim i na konferencji prasowej ogłoszono, że w skład sztabu szkoleniowego reprezentacji Polski wejdą,

oprócz niego, Bogusław Kaczmarek, ja jako drugi trener, Jan de Zeeuw jako dyrektor sportowy, rzecznikiem prasowym będzie Kazimierz Oleszek. Po konferencji, w towarzystwie Michała Listkiewicza i Zdzisława Kręciny, a także Bogusława Biszofa, wiceprezesa Kompanii Piwowarskiej, która na mocy umowy z PZPN wzięła na siebie znaczną część kosztów wynagrodzenia Beenhakera, pojechaliśmy na kolację do restauracji Amber Room przy Alejach Ujazdowskich. Nie wiem, czy już wtedy była ona naszpikowana urządzeniami podsłuchowymi, ale nawet jeśli tak, to chyba nasze rozmowy nie okazały się wystarczająco interesujące, by ktokolwiek zwracał sobie głowę publikowaniem ich zapisów.

Bazą Beenhakera podczas jego pobytów w Polsce był Sheraton przy placu Trzech Krzyży i głównie tam odbywały się nasze spotkania. Od pierwszego występu reprezentacji pod wodzą nowego trenera (16 sierpnia z Danią) dzielił nas miesiąc. Niby sporo, ale dla kogoś, kto tak jak Leo, musiał poznać nie tylko zawodników już występujących w drużynie narodowej, ale także rozejrzeć się po jej bezpośrednim zapleczu i zorientować, jakim materiałem dysponuje, to naprawdę niewiele. Sytuację komplikował fakt, że „w akcji” mogliśmy oglądać zawodników dopiero od 28 lipca, kiedy ruszały rozgrywki ekstraklasy, więc pierwszą rekonesansową wyprawę odbyliśmy do Wielkopolski na finały Mistrzostw Europy Juniorów, rozgrywane w dniach 18–29 lipca. Chwilowo większość informacji o polskich piłkarzach Leo otrzymywał od nas, członków sztabu szkoleniowego. Jak tylko ruszyła liga i zaczęliśmy jeździć na mecze, zaczął sobie wyrabiać własne zdanie; niestety, zazwyczaj nie było ono najlepsze, czasem zaś graniczyło z frustracją, której dawał wyraz już w trakcie rozmów w samochodzie w drodze powrotnej do Warszawy. Z biegiem czasu stawało się dla nas coraz bardziej jasne, że tysiące kilometrów przejechanych po Polsce i dziesiątki godzin spędzonych na stadionach nie przekładają się na żadne konkretne rezultaty. Poziom zdecydowanej większości meczów był w najlepszym razie mierny, zawodnicy zaś, z którymi na podstawie relacji medialnych i opinii osób trzecich wiązaliśmy jakieś nadzieje, zazwyczaj okazywali się kompletnym nieporozumieniem. Chwilami szczerze współczułem szefowi, ponieważ wydawało mi się, że mnie, jako selekcjonerowi reprezentacji juniorów, łatwiej było wyłowić obiecujących piłkarzy niż jemu, odpowiadającemu za kadrę seniorów. Owszem, kilku graczy z polskich klubów dostało szansę gry w reprezentacji, w większej części jednak składała się ona z piłkarzy grających za granicą. Jednym z moich obowiązków było śledzenie ich postępów, oglądanie na żywo w trakcie meczów i składanie Beenhakkerowi szczegółowych raportów o ich grze. Inny, mniej oficjalny, polegał na prowadzeniu przybysza z co prawda niezbyt odległej geograficznie, za to niewyobrażalnie oddalonej od nas mentalnie Holandii przez nasze futbolowe piekielko, objaśnianie mu, kto jest kim, pomocy w odróżnianiu wrogów od przyjaciół oraz informowaniu o tym, kto co o nim pisze lub mówi i co z tego wynika.

Leo szybko się uczył – nie był przecież dzieckiem, jeździł po świecie i stykał się z różnymi sytuacjami. Znał się na ludziach; już przy drugim spotkaniu z niektórymi uważnie oglądał rękę, czy po wymianie uścisku dłoni aby na pewno zostało mu pięć palców. Czasem prosił, żebym tłumaczył mu artykuły z polskiej prasy, dzięki czemu mógł się przekonać, że wielu działaczy PZPN swoimi wypowiedziami podkopuje jego autorytet. Tym, co na jego temat mówią trenerzy, w ogóle się nie przejmował, choć mówili dużo, często i z reguły niezbyt pochlebnie. Miałem wątpliwą przyjemność zastępować go na posiedzeniach Rady Trenerów – ciała doradczego przy PZPN, złożonego z byłych szkoleniowców reprezentacji (nie tylko pierwszej,

ale także olimpijskiej i drużyn młodzieżowych). Szefem Rady był Jerzy Engel, członkami zaś m.in. Wojciech Łazarek, Antoni Piechniczek, Andrzej Strejlau, Henryk Kasperczyk, Władysław Stachurski i Mieczysław Broniszewski. Czułem się dość dziwnie, patrząc na tych doświadczonych szkoleniowców, nierzadko mających w dorobku znaczące sukcesy, którzy zamiast próbować wykorzystać swoją wiedzę dla dobra reprezentacji, zamiast starać się wspomóc wysiłki obecnego selekcjonera, niejednokrotnie skupiali się na krytykowaniu jego decyzji i udowadnianiu mu braku kompetencji. Bolało mnie to tym bardziej, ponieważ widziałem, że Leo do wszystkich podchodzi bez uprzedzeń, nie szufladkuje ludzi, nie dzieli ich na grupy i podgrupy, nie zakłada z góry czyjejkolwiek złej woli. Oczywiście informowałem go o przebiegu tych spotkań. Wiele osób w PZPN miało mi za złe, że o tym, co się dzieje w sztabie szkoleniowym, co robimy, jak pracujemy i co zamierzamy, mówiłem rzadko i wyłącznie po uzgodnieniu tego przekazu z szefem. Podobne pretensje zgłaszali dziennikarze, ale akurat oni zawsze mogli liczyć na znacznie obszerniejsze relacje z innego, równie dobrze poinformowanego źródła. „Bobo” Kaczmarek był bardziej otwarty na media i często gęsto – jestem przekonany, że bez złych zamiarów – mówił znacznie więcej, niż należało i niż było potrzebne.

Pierwsze spotkanie nowego selekcjonera i sztabu szkoleniowego z zawodnikami nastąpiło w Kopenhadze, przed towarzyskim meczem z Danią. Nie było żadnego zgrupowania, zawodnicy docierali na miejsce bezpośrednio ze swoich klubów. Z Kopenhagi pojechaliśmy do Odense autokarem. Jak zwykle w takich okolicznościach wszyscy starali się być dla siebie wyjątkowo mili, każdy chciał wyrzucić jak najlepsze wrażenie – z jednym wyjątkiem. Arkadiusz Radomski, wówczas piłkarz Austrii Wiedeń, patrzył na mnie wilkiem, odpowiadał półsłówkami i w ogóle zachowywał się tak, jakbym co najmniej wymordował mu połowę rodziny. Nie miałem pojęcia, o co chodzi; dopiero po jakimś czasie domyśliłem się, że zapewne poczuł się urażony opiniami, jakie wyrażałem o jego grze, komentując dla Telewizji Polskiej niefortunny dla polskiej reprezentacji mundial w Niemczech. Ten drobny zgrzyt w niczym jednak nie wpłynął na naprawdę dobrą atmosferę, jaka od początku wytworzyła się w drużynie.

Kontakt z Beenhakkerem miało wcześniej tylko dwóch piłkarzy: Jurek Dudek i „Ebi” Smolarek. Dla pozostałych – dla mnie zresztą także – był wielką niewiadomą, słynnym szkoleniowcem, którego oglądało się w telewizji i o którym czytało się w gazetach. Ciekawość zawodników potęgował fakt, że po raz pierwszy mieli pracować w kadrze z zagranicznym trenerem. Nic dziwnego, że z ogromnym zainteresowaniem czekali na pierwszą odprawę. Ja również, przynajmniej do chwili, kiedy okazało się, że będę również pełnił rolę tłumacza... Było to dla mnie stresujące przeżycie. Co prawda po pięcioletnim pobycie na Wyspach nie miałem żadnych problemów z porozumiewaniem się po angielsku, ale do tej pory nigdy nie musiałem prezentować swoich umiejętności w tak eksponowanej roli, w dodatku przed publicznością złożoną z ludzi, dla których – przynajmniej podczas zgrupowań i meczów – miałem być drugim z kolei autorytetem, zaraz po selekcjonerze... Wydaje mi się, że wyszedłem z tej próby obronną ręką i że nasza przegrana w meczu z Danią nie była spowodowana moimi błędami w tłumaczeniu.

Na początku pracy z kadrą Leo przede wszystkim obserwował zawodników: jak zachowują się wobec siebie, jak reagują na polecenia i wskazówki, jak podchodzą do treningów, jak



spędzają wolny czas. Zdecydowaną większość kadrowiczów stanowili piłkarze występujący w reprezentacji za Pawła Janasa oraz ci, których Paweł nie powołał na Mistrzostwa Świata w Niemczech (Jerzy Dudek, Tomasz Frankowski). Nowy trener nikogo z góry nie skreślał, wszystkim dawał szansę, każdy miał okazję pokazać, ile jest wart. Potrzebował czasu, żeby wyrobić sobie zdanie o umiejętnościach zawodników, wybrać najlepszych i przydzielić im zadania, z których najlepiej będą potrafili się wywiązywać. Niby oczywista sprawa, ale jak się okazało, jednak nie dla wszystkich...

Kiedy po meczu, w niezbyt radosnych nastrojach, jechaliśmy autokarem na lotnisko, podszedł do mnie Michał Listkiewicz, wręczył mi złożoną we czworo kartkę i powiedział:

– Słuchaj, Darek... Trener chyba jeszcze nie jest dobrze zorientowany, więc wypisałem sześć nazwisk, które przy najbliższej okazji warto by było wziąć pod uwagę. Bądź tak dobry i przekaż mu to, proszę.

Zrobiłem wielkie oczy – Beenhakker siedział dwa albo trzy rzędy od nas, wystarczyło podejść do niego, przysiąść się i porozmawiać – ale prezesowi się nie odmawia, więc zgodziłem się spełnić funkcję posłańca. Na lotnisku, już po odprawie, podszedłem do Leo i z kamienną twarzą oznajmiłem:

– Boss, tu jest kartka od prezesa z wytycznymi, kogo masz powoływać do kadry.

W Beenhakker'a jakby piorun strzelił. Zaklął siarczyście w ojczystym języku.

– Co to za zwyczaj? Od kiedy to prezes decyduje o powołaniach do reprezentacji? Zaraz do niego pójde i powiem mu, co o tym myślę!

Takie starcie na samym początku współpracy z pewnością nie rokowałyby dobrze na przyszłość. Na szczęście jak na zawołanie przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

– Wiesz co, Boss? Taka wymiana sugestii to wcale niegłupia rzecz. Może zrewanżujemy się listą spraw, które powinny zostać szybko załatwione? Ośrodek piłkarski z prawdziwego zdarzenia, nowy stadion, na którym reprezentacja bez wstydu mogłaby podejmować przeciwników, wyższe „meczowe” dla zawodników i tak dalej... Prezes stara się nam pomagać, spróbujmy więc pomóc jemu.

Pomysł spodobał się Beenhakkerowi. Spisaliśmy na jakimś świstku listę kilkunastu postulatów i w autobusie wiozącym nas do samolotu przekazałem ją prezesowi Listkiewiczowi. Tym razem to on podskoczył jak oparzony.

– A co to niby ma być???

– Jak to, co? Lista spraw do załatwienia, prezesie. Pan służy nam radą, my służymy radą panu.

– Ja nie chcę tej kartki! Zabierz ją!

– Bardzo przepraszam, ale ja robię tylko za posłańca. W każdej chwili może pan przecież porozmawiać o tym z trenerem.

Jakoś nie porozmawiał. To zabawne wydarzenie świadczy o tym, jaką rewolucją było pojawienie się Leo w polskim piłkarskim światku. Ingerencje wysokich rangą działaczy PZPN w pracę selekcyjną były wcześniej na porządku dziennym. Trener drużyny narodowej, choć praktycznie jednoosobowo odpowiadał za wyniki zespołu, miał zaskakująco słabą pozycję i musiał bardzo uważać, by nie zrazić do siebie któregoś z naszych rodzimych futbołowych notabli. Jeśli jakiś wysoki rangą działacz miał ochotę mieszkać w trakcie zgrupowania w tym samym hotelu co drużyna, nagabywać piłkarzy i członków sztabu szkoleniowego, robić

pamiątkowe zdjęcia, zbierać autografy dla rodziny i znajomych, a nawet „załatwiać” wywiady zaprzyjaźnionym dziennikarzom, to nikt, nawet selekcjoner, nie mógł mu tego zabronić. Jeśli zawodnik chciał mieć trochę spokoju i prywatności, to nie miał innego wyjścia, jak siedzieć w pokoju; wystarczyło, że wystawił z niego nos, a już musiał a to podpisać koszulkę, a to złożyć autograf na zdjęciu, a to odpowiadać na nie zawsze mądre pytania jakiegoś żurnalisty. Całkiem bezpiecznie mógł się czuć wyłącznie podczas meczu, na boisku. Zachowanie Michała Listkiewicza doskonale wpisywało się w obowiązujący od lat model stosunków selekcjonera z centralą, lecz było nie do pomyślenia w świecie, z którego przybył do nas Leo. Prezes związku, będący *de facto* pracodawcą trenera, naturalnie miał święte prawo zaprosić go na cygaro albo na dobrą whisky i porozmawiać o sprawach, które leżą na sercu obu stronom, ale przekazywanie zaleceń na karteczkach, w dodatku przez pośredników, nie mieściło się w cywilizacyjnych standardach obowiązujących w bardziej piłkarsko rozwiniętej części Europy. Niestety: jak się miało w przyszłości okazać, różnic i niekompatybilności było znacznie więcej.

Porażka w inauguracyjnym meczu nowej ekipy była wodą na młyn wszystkich, którym nie w smak była nominacja Beenhakera. Należeli do nich zarówno dziennikarze, jak i trenerzy – zwłaszcza ci, którzy po dymisji Pawła Janasa nie ukrywali ambicji, by zająć jego miejsce. Najbardziej bolały ich dwie sprawy: wynagrodzenie, znacznie wyższe od tego, jakie otrzymywali poprzednicy Leo i na jakie mógłby ewentualnie liczyć każdy z jego polskich konkurentów, oraz niezależność, o której oni mogliby najwyżej marzyć. Z drugiej strony, znając układy rządzące wtedy polską piłką nożną, zastanawiam się, czy komukolwiek z nich taka niezależność byłaby do czegokolwiek potrzebna. Przecież od lat funkcjonowali w systemie, w którym nieformalne zależności i układy odgrywały ważniejszą rolę od tych oficjalnych, a każdy, kto obejmował jakiegokolwiek stanowisko, za swój podstawowy obowiązek uważał odwdzięczenie się tym, którzy go na nie wynieśli... Ale to inna historia, którą może ktoś kiedyś opowie w innej książce.

Wielkimi krokami zbliżał się pierwszy mecz eliminacyjny do Mistrzostw Europy. Drugiego września mieliśmy zmierzyć się w Bydgoszczy z Finlandią. O ile bezpowrotnie w przeszłość odeszły czasy, kiedy jedyną niewiadomą była liczba bramek, jaką strzelimy takiemu przeciwnikowi, to jednak z komentarzy prasowych przebijało przekonanie, że powinniśmy poradzić sobie z Finami. Takie same były oczekiwania kibiców. Tak istotny mecz musiało oczywiście poprzedzić zgrupowanie – tym ważniejsze, że miał to być pierwszy dłuższy kontakt nowego selekcjonera z zawodnikami. Dwudziestego ósmego sierpnia piłkarze zaczęli się zjeżdżać do hotelu Olympic we Wronkach. Na kolację, która miała być pierwszym wspólnym posiłkiem, przyszedłem nieco przed czasem i zająłem miejsce przy stole przeznaczonym dla sztabu szkoleniowego, w taki sposób, że siedziałem naprzeciwko Leo, ale tyłem do sali. Kiedy pojawił się Beenhakker, spojrzał na mnie krzywo i zapytał:

– Słuchaj, przyjechałeś tu zabawiać mnie rozmową czy pracować z kadrą? Jeśli masz jakieś sprawy, które chciałbyś ze mną omówić, to spotkajmy się później. Teraz bądź tak dobry i bierz się do roboty.

Zgłupiałem. Rozpaczliwie zastanawiałem się, o co mu chodzi. Do jakiej roboty? Przecież jesteśmy na kolacji, nie na treningu... Widząc moją niezbyt mądrą minę, Leo zlitował się i wyłożył, co miał na myśli:

– Twoja praca polega nie tylko na prowadzeniu treningów i dyskusowaniu o taktyce, ale także, a może nawet przede wszystkim, na obserwacji chłopców. W jakich są nastrojach, jak się do siebie odnoszą, kto jest ignorowany, a kto jest duszą towarzystwa, i tak dalej. To im masz się przyglądać, nie mnie. Im więcej będziesz o nich wiedział, tym lepiej dla ciebie i dla nich.

Nazajutrz przy śniadaniu siedziałem już przodem do sali. Leo oczywiście miał rację. Obserwacja zawodników w „cywilnym”, pozaboiskowym otoczeniu dostarczała mnóstwa cennych informacji o ich charakterach, o dynamice stosunków wewnątrz grupy, o sympatiach i antypatiach. To oczywiście lekka przesada, ale można zaryzykować stwierdzenie, że jeśli ktoś przy stole nie reaguje na prośbę kolegi o podanie soli, to być może niezbyt chętnie poda mu piłkę na boisku...

Beenhakkerowi zależało na tym, żeby chłopcy jak najmniej odczuwali presję mediów i opinii publicznej, więc wszystkie zajęcia odbywały się przy opuszczonej kurtynie, bez obecności kibiców i dziennikarzy. Treningi były bardzo dynamiczne i – choć to może zabrzmieć banalnie i mało odkrywczo – każdy ich element miał czemuś służyć. Chodzi o to, że na przykład nie trenowaliśmy podań jako podań, tylko staraliśmy się, by każde z nich przybliżało zawodników do celu, to znaczy do bramki. Każde przekazanie piłki koledze miało być załącznikiem sytuacji bramkowej – przynajmniej na tyle, na ile było to możliwe. Dużo gier na małej przestrzeni, dużo ćwiczeń poprawiających płynność i szybkość rozgrywania piłki.

Finowie zmłócili nas 3:1. Co gorsza, zagraliśmy naprawdę słabo, i to chyba było jeszcze bardziej dołujące od wyniku. Na nasze głowy – zawodników i szkoleniowców – zwała się lawina tyleż zasłużonej, co wyjątkowo zjadliwej i chwilami histerycznej krytyki. Przeciwnicy Leo zacierali ręce i z nieukrywaną satysfakcją powtarzali: „A nie mówiłem?”, zwolennicy podkulili ogony i tylko nieśmiało próbowali zwrócić uwagę, jak mało czasu miał trener na wyselekcjonowanie zawodników, z których mógłby zacząć budować drużynę o nowym, lepszym obliczu. Za kilka dni czekał nas kolejny mecz grupowy, z Serbią. Przenieśliśmy się do innego hotelu, gdzieś pod Bydgoszczą, i do późnych godzin nocnych zastanawialiśmy się nad przyczynami nie tylko porażki, ale przede wszystkim tak słabej gry. My, polscy współpracownicy Beenhakкера, mieliśmy paskudne przeświadczenie, że odpowiedzialność za kiepski występ spada przede wszystkim na nasze barki. Przecież znaliśmy piłkarzy znacznie lepiej niż on, to my rekomendowaliśmy mu zawodników, to my przekazywaliśmy im jego uwagi i wskazówki. W którym miejscu zawiedliśmy? Gdzie popełniliśmy błędy?

Nikt nie spał: ani trenerzy, ani piłkarze. Nazajutrz mieliśmy zaplanowany normalny trening, ale znalazł się też czas na indywidualne rozmowy z graczami, które przeprowadzaliśmy ja i „Bobo” Kaczmarek. Jeden z piłkarzy podstawowego składu, z którymi rozmawiałem, wyznał szczerze, że jego słaba gra może wynikać z tego, iż myślami przebywa wyłącznie w zakładzie fryzjerskim, który właśnie otwiera, bo zaplanował sobie, że po meczu z Serbami zakończy reprezentacyjną karierę... Choć Leo nie uczestniczył w tych rozmowach, to i tak błyskawicznie się zorientował, że z kilkoma zawodnikami musimy się jak najprędzej rozstać, ponieważ może nie tyle ich umiejętności, ile przede wszystkim zaangażowanie nie rokuje niczego dobrego dla drużyny. Hasła „reprezentacja”, „mecz” czy „eliminacje” nie wywoływały u nich takiej reakcji, na jaką liczyliśmy i jaka była niezbędna do odniesienia sukcesu. Największy problem mieliśmy z „Ebim” Smolarkiem. To, że nie popisał się niczym

nadzwyczajnym w spotkaniu z Finlandią, to jedno; znacznie gorsze było to, że miał jakieś pozasportowe zatargi z Janem de Zeeuw i nie potrafił – prawdę mówiąc, chyba się nawet nie starał – ukryć antypatii do naszego dyrektora sportowego. W Warszawie zamieszkaliśmy w hotelu Sheraton. Leo poinformował mnie, że chce porozmawiać z trzema zawodnikami, ale z każdym osobno i z każdym w innym miejscu. Chodziło o Jurka Dudka, Mirka Szymkowiaka i właśnie „Ebiego” Smolarka. Trochę się zdziwiłem, dlaczego z każdym chce rozmawiać gdzie indziej, ale Leo wyjaśnił mi, że z jednym może się spotkać niemal na równej stopie, na przykład przy kawie, z drugim też w miłej, ale jednak bardziej oficjalnej atmosferze, trzeci zaś nie zasługuje na żadne szczególne względy. Domyślności czytelników pozostawiam, który zawodnik zaliczał się do której kategorii...

Szczerze mówiąc, wątpię, czy gdybym ja był wtedy pierwszym szkoleniowcem, to odważyłbym się na aż taką rewolucję. Fakt, że Leo był człowiekiem „z zewnątrz”, że nie paraliżowały go sentymenty ani wspomnienia o dawnych zasługach poszczególnych graczy, w tej trudnej sytuacji bardzo nam pomógł. Szóstego września na murawę przy Łazienkowskiej wybiegł zupełnie inny zespół; w podstawowym składzie było zaledwie czterech zawodników, którzy rozpoczynali mecz w Bydgoszczy. Zagraliśmy lepiej niż w meczu z Finlandią – choć złośliwi twierdzili, że nie było w tym nic nadzwyczajnego, bo gorzej się po prostu nie dało – i w starciu z bardziej wymagającym przeciwnikiem uzyskaliśmy wynik remisowy. Ani dziennikarze, ani kibice, ani my – trenerzy i zawodnicy – nie uznaliśmy go za sukces. Jeśli chodzi o sztab szkoleniowy, to jeszcze wyraźniej uświadomiliśmy sobie, jak wiele pracy nas jeszcze czeka, przeciwna Beenhakkerowi część opinii publicznej natomiast szykowała się już do tego, by po nadchodzącej – jej zdaniem – nieuniknionej kompromitacji w wyjazdowym meczu z Kazachstanem wytarzać holenderskiego naciągacza w smole i w pierzu i w niesławie wygnać tam, skąd przyszedł. Przeliczyli się jednak, i to bardzo, ponieważ właśnie tam, na mało gościnnym boisku w Ałmaty, narodziła się drużyna.

Wcale nie dlatego, że zagraliśmy jakiś genialny mecz. Wręcz przeciwnie: spotkanie było trudne, bardzo zacięte ale niestojące na wysokim poziomie, zwycięstwo zaś – uczciwie trzeba przyznać, że dość szczęśliwe – musieliśmy wywalczyć, angażując wszystkie siły. Nie stanowiło to dla nas żadnego zaskoczenia: mecze w tamtym rejonie świata zawsze są potwornie ciężkie, rzadko interesujące, prawie nigdy piękne. Nikt nie lubi tam grać, mało kto dobrze się tam czuje. Trudno mi powiedzieć, na ile wynika to z nieprzyjawnego klimatu, a na ile z różnic kulturowych i obyczajowych. Wszystkie reprezentacje i zespoły klubowe starają się przylecieć tuż przed meczem, a po spotkaniu często jadą prosto na lotnisko. Nawet teoretycznie bardzo dobre drużyny nie mogą być pewne sukcesu.

Jak każdy trener – ba, jak każdy człowiek – Leo naturalnie miał swoje sympatie i antypatie, także wśród piłkarzy. O ile jednak na przykład Antoni Piechniczek – wspominałem o tym choćby w rozdziale poświęconym mundialowi z 1986 roku – nie czynił najmniejszego wysiłku, żeby je ukrywać, to jestem przekonany, że przez cały okres, kiedy Beenhakker stał u steru polskiej reprezentacji, żaden z piłkarzy, którzy się przez nią przewinęli, nie wyczuł, czy jest jednym z faworytów selekcyjnego, czy wręcz przeciwnie. Nawet ci, którzy przysparzali najwięcej problemów, jak na przykład w pewnym okresie „Ebi” Smolarek czy Jacek Krzynówek, nie byli w żaden sposób spychani na margines, ignorowani czy piętnowani. Po nawet najbardziej bolesnej wpadce, w oczach Leo znowu stawali się członkami zespołu, ani

lepszymi, ani gorszymi od innych. Czy doceniali takie podejście trenera i czy potrafili z tego skorzystać, to już zupełnie inna historia. Wspominam o tym akurat w tym miejscu, ponieważ gola na wagę zwycięstwa – pierwszego w tych eliminacjach – zdobył w pięćdziesiątej drugiej minucie „Ebi”, z którym Leo po spotkaniu z Finlandią przeprowadził przykrą rozmowę, a następnie nie wystawił go w meczu z Serbią.

Najważniejsza okazała się jednak trzydziesta pierwsza minuta meczu. Leo zdjął Mariusza Lewandowskiego, a wpuścił Przemka Kaźmierczaka. Mariusz zareagował wyjątkowo gwałtownie i mało elegancko: klnąc na czym świat stoi i gestykułując, zszedł z boiska, nie podał ręki ani trenerowi, ani zmieniającemu go koledze, ominął ławkę rezerwowych i wciąż wymachując rękami, odmaszerował do szatni. Takie zachowanie z pewnością przynajmniej częściowo wynikało z tego, że w Szachtarze Donieck, w którym wtedy występował, był autentyczną gwiazdą, żelaznym zawodnikiem pierwszego składu, o niepodważalnej pozycji wśród kolegów i kibiców. Zdjęcie z boiska już po trzydziestu minutach gry potraktował jako osobistą obrazę ze strony selekcjonera. Ambicja i nadmierne przekonanie o własnej doskonałości wzięły górę nad rozsądkiem. Co gorsza, mijały minuty, mecz się skończył, a Mariusz nadal zionął wściekłością. Leo udawał, że tego nie widzi, ale dla nikogo z nas nie ulegało wątpliwości, że nie puści płazem takiego zachowania i że reprezentacyjna kariera Mariusza – przynajmniej na jakiś czas – właśnie dobiegła końca.

Prosto ze stadionu pojechaliśmy na lotnisko, żeby jak najprędzej wrócić do Niemiec, na dalszy ciąg zgrupowania przed czekającym nas już za cztery dni niezmiernie trudnym spotkaniem z Portugalią. Już po odprawie paszportowej, w strefie odlotów, piłkarze zgromadzili się w jednym końcu sali, a my, czyli trenerzy, usiedliśmy w drugim. Nie wyglądało to ciekawie, ale w pewnej chwili do Beenhakera podszedł kapitan drużyny Maciek Żurawski i poprosił sztab szkoleniowy o rozmowę z zawodnikami. Leo bez słowa skinął głową, a mnie ogarnęły niedobre przeczucia. Spodziewałem się może nie otwartego buntu, ale przynajmniej próby ujęcia się za rzekomo pokrzywdzonym kolegą, a tym samym otwartego zakwestionowania decyzji selekcjonera. Łatwo więc sobie wyobrazić moje zaskoczenie, kiedy przed stojący półkolem zespół z mocno niepewną miną wyszedł Mariusz i przeprosił trenera i kolegów za swoje zachowanie...

Czekaliśmy w napięciu na reakcję Beenhakera. Szczerze mówiąc, byłem przekonany, że jest za późno, że mleko się już rozlało i że Mariusz przez dłuższy czas będzie mógł się skoncentrować na występach w klubie. Tymczasem ku mojemu – i chyba nie tylko mojemu – zaskoczeniu, Leo podszedł do skruszonego winowajcy, strzelił z nim „niedźwiedzia”, poklepał po plecach, stwierdził lakonicznie „No problem”, i było po sprawie. Co się okazało: po meczu zawodnicy sami zaczęli tłumaczyć Mariuszowi, że zachował się jak idiota, że swoim postępowaniem na długo zatrzasnął sobie drzwi do reprezentacji, że zupełnie niepotrzebnie się uniósł, bo decyzja trenera wypływała z oceny wydarzeń na boisku, a nie miała na celu zdyskredytowania go w oczach kibiców i kolegów. Nikt z nas, szkoleniowców, nie inspirował ich postępowania. Bezbłędnie odczytali sytuację i stanęli po właściwej stronie – po stronie drużyny. Naturalnie chwala również Mariuszowi za to, że zdołał się opamiętać i otworzyć uszy na głosy rozsądku. Na jego postępowanie zapewne wpłynął również telefon od żony, która oglądała mecz w telewizji i podobno w dość ostrych słowach wyraziła swoją opinię na temat zachowania męża...

Ale to jeszcze nie koniec tej historii.

Samolot się spóźnił, podróż trwała pięć czy sześć godzin, na miejsce dotarliśmy dopiero nad ranem. Zawodnicy oczekiwali odwołania albo przynajmniej przesunięcia porannego treningu; tymczasem Leo z kamienną twarzą oświadczył, że punktualnie o dziewiątej czeka na wszystkich na boisku. Piłkarze zrobili wielkie oczy, ale nie znalazł się odważny, który by zaprotestował. Nikt się nie spóźnił. Trening jak zwykle zaczął się lekką rozgrzewką, ale już po dwudziestu minutach pracowaliśmy pełną parą. Żadnej taryfy ulgowej, wręcz przeciwnie; „Bobo” i ja zerkaliśmy na siebie z niedowierzaniem, ponieważ Boss z prędkością karabinu maszynowego fundował chłopakom kolejne atrakcje. Przebieżki, slalomy, gra na utrzymanie się przy piłce – generalnie ciężki, półtoragodzinny trening. Zawodnicy nie wiedzieli, co się dzieje, wymieniali zdumione spojrzenia, postękiwali i pojękiwali, ten czy ów zaklął pod nosem... Z biegiem czasu narzekania zaczęły jednak cichnąć, pojawiły się zawzięte miny, chłopcy zagrzewali się wzajemnie do większego wysiłku. Co, my nie damy rady? Właśnie, że damy! Jesteśmy mocni i nie pękniemy!

Odetchnąłem z ulgą. Nareszcie mieliśmy drużynę.

Wewnątrz zespołu powiało optymizmem, w niczym jednak nie zmieniało to faktu, że kolejne spotkanie, z Portugalią, miało decydujące znaczenie dla losów tej reprezentacji w eliminacjach do Mistrzostw Europy oraz Leo jako jej selektonera. Dotychczasowy bilans (katastrofalna porażka z Finlandią, niezachwycający remis z Serbią i szczęśliwa wygrana z Kazachstanem) nie był imponujący. Naszym celem było wyłącznie zwycięstwo, ale jak je osiągnąć w starciu z tak wymagającym przeciwnikiem? Atmosfera, choć bojowa, równocześnie była tak nerwowa, że nawet mi w pewnej chwili puściły nerwy i w tunelu na Stadionie Śląskim zwymyślałem Grzegorza Mielcarskiego za przesadnie – moim zdaniem – krytyczne komentarze w trakcie relacji telewizyjnej ze spotkania z Kazachstanem. Wszyscy wiemy, jak się skończyło: gole „Ebiego” Smolarka w dziewiątej i osiemnastej minucie, trafienie Nuno Gomesa w dziewięćdziesiątej minucie, całkowicie zasłużone zwycięstwo i może jeszcze nie euforia, ale na pewno ogromna ulga i zadowolenie. Do końca życia zapamiętam chwilę na dwadzieścia, może dwadzieścia pięć minut przed końcem spotkania: na boisku wszystko układało się po naszej myśli, chłopcy grali jak natchnieni, kontrolowaliśmy grę i wyglądało na to, że tylko jakaś niewyobrażalna katastrofa może nam odebrać pewne zwycięstwo. Spojrzeliśmy wtedy na siebie z Leo i co prawda nawet się nie uśmiechnęliśmy, ale przekaz był jasny: Jest dobrze. Wszystko gra. Jest OK.

O ile mecz z Portugalią na zawsze – i słusznie – wszedł do złotej księgi polskiego futbolu, o tyle mało kto pamięta o kolejnym spotkaniu eliminacyjnym, które w listopadzie rozegraliśmy na wyjeździe z Belgią. A niesłusznie. Co prawda zwycięstwem 1:0 nie przypieczętowaliśmy jeszcze awansu – było na to dużo za wcześnie – ale fakt, że po wielkiej mobilizacji na Portugalię udało nam się ponownie zagrać dobry mecz z solidną, wymagającą drużyną, utwierdził nas w przekonaniu, że jesteśmy na dobrej drodze, i to niekoniecznie dopiero na jej początku. Przy okazji Leo miał sposobność po raz kolejny zderzyć się z naszą piłkarską rzeczywistością; szkoccy arbitrzy poprosili o trzy koszulki na pamiątkę, ale człowiek odpowiedzialny za sprzęt, tzw. kitman, kategorycznie zaprotestował, twierdząc, że niczego nie może dać, bo potem będzie z tego rozliczany... Kiedy już Leo zrozumiał, o co chodzi, wściekł się tak, że poczerwieniał po cebulki swoich siwych włosów – nie po raz pierwszy ani nie

ostatni zresztą.

Rok 2007 zaczęliśmy od spotkań towarzyskich z Estonią (4:0) i Słowacją (2:2). Staraliśmy się w nich doskonalić to, co już udało się wypracować podczas poprzednich meczów i zgrupowań, a także sprawdzać i stopniowo wprowadzać do zespołu nowych, obiecujących zawodników. Można powiedzieć, że podczas wszystkich zgrupowań, a także w trakcie każdego pobytu Leo w Polsce trwała nieustająca narada sztabu szkoleniowego w pełnym lub niepełnym składzie, zależnie od okoliczności. Nikt nie zdołałby policzyć, ile kaw wypiliśmy po posiłkach, dyskutując o wadach i zaletach zawodników, analizując ich formę, nastawienie psychiczne i przydatność dla zespołu. Otwartość Leo na opinie współpracowników i powaga, z jaką je traktował, były chyba tym, co najbardziej u niego podziwiałem, i zarazem tym, czym najbardziej różnił się od polskich szkoleniowców. Naturalnie to on podejmował decyzje i dysponował nieporównanie większą wiedzą i doświadczeniem, ale zawsze był gotów wysłuchać każdego z nas i nigdy nie dał nikomu odczuć, że lekceważy jego głos. Byliśmy prawdziwymi partnerami, nie figurantami ani nie bezwolnymi wykonawcami poleceń. Odmienne czy kontrowersyjne opinie nie wyprowadzały go z równowagi, potwornie natomiast irytował go ich brak. Oczekiwał od nas autentycznego wkładu, a nie wiernopoddańczego potakiwania i przyklaskiwania jego koncepcjom. Jak już wspomniałem, bezsprzecznie górował nad nami wiedzą i doświadczeniem, początkowo więc mieliśmy trochę oporów przed zbyt kategoriycznym wyrażaniem swoich poglądów, ale widząc, z jaką uwagą ich wysłuchuje, szybko nabraliśmy pewności siebie i ochoczo rzucaliśmy się w wir nieraz bardzo gorących dyskusji. Dwudziestego czwartego marca na Legii rozgromiliśmy Azerbejdżan 5:0, cztery dni później w Kielcach ograliśmy Armenię (która okazała się znacznie groźniejszym rywalem, niż mogliśmy przypuszczać) 1:0. Były wyniki, była dobra atmosfera, były już oswojone – a więc mniej groźne – przeszkody, zawodowo czułem się spełniony i szczęśliwy.

I komu to przeszkadzało?

W maju 2007 roku kadra wyjechała do Wronek na kilkudniowe zgrupowanie, by szlifować formę przed trudnymi wyjazdowymi meczami z Armenią i Azerbejdżanem. Beze mnie.

Do dziś, kiedy wspominam wiosnę i lato tamtego roku, robi mi się na przemian zimno i gorąco, i staram się nie patrzeć w lustro, jeśli akurat jakieś jest w pobliżu. Naprawdę ciężko mi o tym pisać, ale byłbym nieuczciwy i wobec siebie, i wobec czytelników, gdybym pominął ten temat milczeniem – tym bardziej, że sprawa jest dość dobrze znana czytelnikom brukowców i plotkarskich portali, tyle że tam przedstawiano ją jednostronnie, w mocno niekorzystny dla mnie sposób. Inna rzecz, że w tamtym czasie uczyniłem wiele, by regularnie dostarczać pożywki plotkom, pomówieniom i oskarżeniom, jeśli zaś ja tego nie robiłem, to czynili to za mnie „życzliwi”.

Mówiąc krótko: związałem się z kobietą, z którą nigdy, pod żadnym pozorem i w żadnych okolicznościach nie powinienem był się związać. Stanowiła uosobienie tego wszystkiego, co wcześniej budziło we mnie niechęć, a co teraz wręcz mnie odrzuca – mam na myśli przede wszystkim cechy psychiczne. Nie jestem psychologiem, nie znam naukowej terminologii, ale dziś bez trudu mógłbym wygłosić sążnisty referat poświęcony toksycznym zależnościom między ludźmi, pozbawiającym rozsądku i ciągnącym w dół, który nie ma dna. Będąc z natury człowiekiem lubiącym samotność i raczej zamkniętym w sobie, za jej sprawą znalazłem się wśród ludzi, dla których nie istniało słowo „prywatność”. Co gorsza – wtedy tego nie

dostrzegałem, dziś jest to dla mnie oczywiste – dla większości z nich byłem kompletnie obojętny, ale wielu od początku miało wobec mnie nieczyste intencje. Gubiłem się w tym, czułem się niepewnie, popełniałem błędy, po czym próbowałem je tuszować kolejnymi błędami. Podsumowując: zachowywałem się jak krety. Jakby mało było jednego nieszczęścia, przypętało się drugie w postaci poważnych problemów z kręgosłupem.

Nie pojechałem na zgrupowanie. Nie zadzwoniłem do Leo. Nie polecałem na mecze w Armenii i Azerbejdżanie. Trafiłem do szpitala, skąd wysłałem Janowi de Zeeuw zwolnienie lekarskie. Z każdym mijającym dniem coraz głębiej pograżałem się w czarnej dziurze wątplenia i desperacji. Nie wiem, na co liczyłem: że świat uśmiechnie się do mnie, pochyli się nade mną, czule pogłaszczę po głowie, pomoże stanąć na nogi i życzliwym szturchańcem skieruje na właściwą drogę? Może... Świątce przekonany, że już po wszystkim, że mogę zapomnieć o pracy z kadrą, przyjąłem zaproszenie UEFA na pokazowy mecz rozgrywany równo rok przed inauguracją Mistrzostw Europy, w szwajcarskich Alpach, na wysokości ponad trzech tysięcy metrów nad poziomem morza. W wydarzeniu tym uczestniczyli m.in. Paulo Sousa, Michael Laudrup, Sergiej Alejnikow, Stephane Chapuisat i Andreas Herzog. Z lotniska w Bernie przewieziono nas w góry śmigłowcami i zakwaterowano w ultraluksusowym hotelu. Siedząc w ociekającym przepychem pokoju, zastanawiałem się, czy to jakiś koszmarny pokręcony sen, czy jawa? Co ja tutaj robię? Skąd i po co tu się wzięłem? Przecież czekały obowiązki, czekali ludzie, którzy mi zaufali i którym byłem coś winien, czekała drużyna, czekał Leo... Nazajutrz we wszystkich gazetach w Polsce pojawiło się moje zdjęcie z podpisem: „Rzekomo cierpiący na poważne dolegliwości kręgosłupa Dziekanowski opuszcza reprezentację przed decydującymi meczami, po czym leci w Alpy grać w piłkę na lodowcu”.

Na boisku nigdy nie strzeliłem samobójca, ale poza nim – i owszem, zdarzało mi się. Ten był chyba najbardziej spektakularny.

Chociaż naciski ze strony piłkarskiej centrali, żeby się mnie definitywnie pozbyć, były bardzo silne, Leo zachował zaskakującą powściągliwość. Jesienią (byłem już sam, w miarę przytomny i zastanawiałem się, co zrobić z tak mistrzowsko spieprzonym życiem) skontaktował się ze mną Jan de Zeeuw – przypuszczam, że jeśli nie na polecenie, to przynajmniej za wiedzą i zgodą Beenhakera. Sytuacja była zagmatwana i nieciekawa. Wciąż przebywałem na zwolnieniu lekarskim, więc zgodnie z przepisami nie można było mnie wyrzucić, ale przecież kadra potrzebowała drugiego trenera, więc na moje miejsce zatrudniono Adama Nawałkę. Bardzo chciałem wrócić, ale nie wiedziałem jak. To, że mój powrót w ogóle wchodził jeszcze w rachubę, przede wszystkim zawdzięczałem oczywiście Leo, ale wiem, że miałem sojuszników także w osobach jego – a więc i moich – współpracowników. Gdyby zwietrzyli krew i postanowili mnie „wyciąć”, nie miałbym najmniejszych szans. Nigdy nie zapomnę im tego, że tak nie postąpili.

W grudniu, po kilku kolejnych spotkaniach z Janem oraz po pokrzepiającej rozmowie z „Bobo” Kaczmarkiem, poinformowano mnie, że mój oficjalny powrót do pracy z kadrą może nastąpić w całkiem nieodległej przyszłości. Tak też się stało. Byłem bardzo szczęśliwy, jednak zastałem sytuację różniącą się od tej, jaką pamiętałem. To nie była tylko rysa na moich stosunkach z Leo, ale w ogóle relacje w sztabie pozostawiały wiele do życzenia. Odczuwalne było wyraźne ochłodzenie stosunków między nami, asystentami, a Beenhakkerem; coraz mniej,



coraz krócej i z coraz mniejszym zapalem dyskutowaliśmy o meczach i piłce. Bez wątpienia duzym zaskoczeniem i dla nas, i dla zawodników bylo rowniez to, ze juz nie asystenci, ale rzeczniczka reprezentacji tłumaczyła zalecenia przedmeczowe Bossa, a takze przekazywała jego wskazówki podczas treningów. Było to rozwiązanie unikalne w skali światowej; nigdy i nigdzie do tej pory osoba spoza sztabu, a zwłaszcza rzeczniczka prasowa, nie kręciła się po boisku, podając piłki zawodnikom i wprowadzając zamęt tam, gdzie pod żadnym pozorem nie powinno go być. Z tego co wiem, do dzisiaj nie znalazł się nikt, kto zechciałby skopiować ten pomysł.

Przed turniejem finałowym w trakcie zgrupowania w Niemczech sytuacja powoli, lecz stale się pogarszała. Nie dlatego, żebyśmy przestali się lubić, szanować albo że zaczęliśmy robić sobie jakieś świństwa. Nic z tych rzeczy. Nie mogę powiedzieć złego słowa na moich polskich kolegów i mam nadzieję, że oni też nie mają mi nic do zarzucenia. Cieniem na naszą współpracę kładły się dwie sprawy: pierwszą był niejasny podział kompetencji. Adam Nawałka dołączył do sztabu podczas mojej nieobecności, z czego wynikało, że do mojego powrotu to on był drugim trenerem reprezentacji. Ja wróciłem na moje dawne stanowisko (w każdym razie nikt mnie nie poinformował, żeby miało być inaczej), z czego należało wyciągnąć wniosek, że teraz to ja byłem drugim trenerem, Adam zaś... Właśnie, kim? Leo nie uznał za stosowne tego wyjaśnić. Adam nie czuł się komfortowo w tej sytuacji – i trudno mu się dziwić. Drugą sprawą było zatrudnienie trenera od przygotowania fizycznego, Michaela Lindemana. Pierwszy raz pojawił się jeszcze przed marcowym meczem towarzyskim z USA w Krakowie. Jego zadaniem była przede wszystkim kontrola wydolności zawodników. Przed wyjazdem na turniej do Szwajcarii i Austrii Leo dysponował więc trzema asystentami o dość mało precyzyjnie rozdzielonych kompetencjach (Kaczmarek, Nawałka, Dziekanowski), dwoma trenerami bramkarzy (Hoek, Dawidziuk) i trenerem przygotowania fizycznego (Lindeman). Za bank informacji odpowiadał Jan Urban, kierownikiem drużyny był Jan de Zeeuw, rzecznikiem prasowym drużyny zaś Marta Alf.

Już na miejscu, w trakcie turnieju, podział na „naszych” i Holendrów nasilał się z każdym dniem. Szczególnie przykra była metamorfoza, jaką przeszedł Frans Hoek. Wcześniej może się nie przyjaźniliśmy, ale współpraca układała nam się bardzo dobrze – każdy wiedział, co ma robić i za co odpowiada, a zarazem miał świadomość, że i tak pracujemy dla wspólnego dobra. Na Euro Frans zapragnął chyba zabłysnąć, wykorzystać okazję, że niemal bez przerwy jesteśmy w blasku reflektorów i pod okiem kamer, i zaczął dość bezpardonowo pracować łokciami, byle tylko przepchać się do pierwszego szeregu. Leo akceptował jego zachowanie: podczas zebrań sztabu szkoleniowego pozwalał mu na długie wypowiedzi, nasze uwagi zbywając machnięciem ręki albo przerywając nam zaledwie po paru zdaniach.

Z każdym kolejnym dniem odczuwaliśmy coraz większy dyskomfort, ale czara goryczy przelała się bezpośrednio przed meczem z Niemcami, kiedy Frans zaczął po prostu wydawać nam polecenia i mówić każdemu, co i kiedy ma robić. Nie wytrzymałem i zapytałem go, czy nastąpiła zmiana na stanowisku selekcjonera.

- Leo mi kazał – odparł, nawet nie mrugnawszy okiem.
- To dlaczego nic nam o tym nie powiedział?

Sam Beenhakker sprawiał wrażenie, że niczego nie widzi, machał ręką i nie robił nic, żeby znaleźć wyjście z niezręcznej sytuacji. Dziwne, żeby trener o tak ogromnym doświadczeniu nie

zdawał sobie sprawy, że ważna jest nie tylko dobra atmosfera wśród zawodników, ale także w sztabie szkoleniowym. Eskalacja konfliktu nastąpiła po przegranym spotkaniu z Niemcami. Jedną z najbardziej zapalnych kwestii była obsada naszej bramki; Holendrzy i Andrzej Dawidziuk byli za tym, żeby wystawić Fabiańskiego, Adam Nawałka, Zbyszek Kaczmarek i ja twardo obstawaliśmy przy Borucu. Byliśmy dalecy od obarczania go odpowiedzialnością za porażkę, więc nie widzieliśmy powodu, żeby sadzać go na ławce. Po bardzo ostrej wymianie zdań Leo zdecydował się na Artura – teraz już wszyscy wiemy, z jakim skutkiem. Gdyby nie Boruc, w meczu z Austrią już do przerwy mogliśmy przegrywać pięcioma bramkami. Do szewskiej pasji doprowadziło mnie to, iż później Frans opowiadał dziennikarzom, że tylko dzięki niemu Boruc stanął między słupkami naszej bramki. Nie mieściło mi się w głowie, jak można tak bardzo mijać się z prawdą...

0:2 z Niemcami, 1:1 z Austrią, 0:1 z Chorwacją... Nie tak wyobrażałem sobie bilans pierwszego w historii udziału polskiej reprezentacji w finałowym turnieju Mistrzostw Europy. Było mi tym bardziej przykro, że – z półroczną przerwą – byłem uczestnikiem i świadkiem budowania naprawdę dobrej drużyny, która ze zlepku nie zawsze wybitnych indywidualności przekształciła się w zespół potrafiący grać nie tylko skutecznie, ale chwilami także po prostu ładnie. Dodatkowym wzmocnieniem dla reprezentacji był „spolszczony” na krótko przed mistrzostwami Roger Guereiro; do solidnej drugiej linii wносił ponadprzeciętne, jak na nasze warunki, wyszkolenie techniczne, a także szczyptę szaleństwa i nieprzewidywalności, która niekiedy może decydować o sukcesie. Niestety, tym razem nie zadecydowała.

Przed pożegnalną konferencją prasową z polskimi dziennikarzami w naszej bazie w Bad Waltersdorf zbuntował się spokojny zazwyczaj „Bobo” Kaczmarek.

– Niby dlaczego mamy tam siedzieć i świecić oczami? Czy nas ktoś pytał, co trzeba robić? Czy kogoś obchodziło, co mamy do powiedzenia?

Jakoś udało mi się go uspokoić i przekonać, i jednak zasiedliśmy za stołem wszyscy: Polacy i Holendrzy. Był to nasz ostatni wspólny występ; krótko po powrocie z turnieju Leo zdymisjonował cały polski sztab szkoleniowy.

Chociaż rozstawaliśmy się w, delikatnie mówiąc, chłodnej atmosferze, to bardzo dobrze wspominam okres współpracy z Leo. Nie wyobrażam sobie, żebym mógł się tyle nauczyć przy którymkolwiek polskim trenerze. Jestem mu ogromnie wdzięczny za powściągliwość, z jaką w 2007 roku zareagował na moje całkowicie nieodpowiedzialne wybryki, a przede wszystkim za to, że później wyciągnął do mnie dłoń i pozwolił mi wrócić do pracy z pierwszą reprezentacją. Nie wiem i nie chcę wiedzieć, co by się ze mną stało, gdyby nie jego wyrozumiałość. Myślę, że pod jego wodzą mieliśmy szansę osiągnąć znacznie więcej, niż osiągnęliśmy – a osiągnęliśmy przecież dużo, bo w chwili kiedy piszę te słowa, Leo wciąż jest jedynym selekcionerem polskiej drużyny narodowej, któremu udało się wywalczyć na boisku awans do Mistrzostw Europy. Jestem bardzo dumny, bo uczestniczyłem w budowie ciekawego, wartościowego zespołu. Wydaje mi się, że dobrze dogadywaliśmy się nie tylko w sprawach zawodowych, ale też – przynajmniej do czasu – doskonale rozumieliśmy się jako ludzie. Bez wątplenia Leo był – i jest – szkoleniowcem z najwyższej półki. Wiem, że to się nigdy nie zdarzy, ale gdyby teraz podjął się jakiegoś ciekawego trenerskiego wyzwania i gdyby przyszło mu do głowy ponownie zaprosić mnie do współpracy, nie wahałbym się ani chwili.

# Sport to zdrowie

Zacznę od tego, że nawet gdybym był skrajnym pesymistą, to miałbym jeden niezaprzeczalny powód do radości: w wieku 52 lat chodzę o własnych siłach, nie kuśtykam, nie potykam się o swoje nogi, żaden organ wewnętrzny istotny dla miłego i wygodnego funkcjonowania nie wymaga – przynajmniej o ile mi wiadomo – szybkiej wymiany ani interwencji chirurgicznej. Ktoś może zapytać: co w tym nadzwyczajnego? Ano to, że dla zawodowych sportowców, zwłaszcza uprawiających tak kontaktową i kontuzjogenną dyscyplinę jak piłka nożna, możliwość cieszenia się w średnim wieku całkiem niezłym zdrowiem i przyzwoitą sprawnością fizyczną wcale nie jest czymś tak oczywistym, jak mogłoby się wydawać. Co nie znaczy, że w trakcie kariery nigdy nie miałem problemów ze zdrowiem.

Pierwsze kłopoty pojawiły się bardzo wcześnie, bo jeszcze w reprezentacji U-16. Podczas turnieju w Taszkencie dopadło mnie coś, co obiegowo nazywa się atakiem korzonków, a co najprawdopodobniej było rwą kulszową. Nie byłem w stanie samodzielnie założyć getrów, a co dopiero mówić o zawiązaniu butów. Ambicja połączona z głupotą czynią jednak cuda; tak bardzo zależało mi na występie w drużynie narodowej, że ukryłem przed trenerem Henrykiem Apostelem rozmiary dolegliwości i po serii potwornie bolesnych zastrzyków wystąpiłem w dwóch meczach. Ataki rwy kulszowej powtarzały się sporadycznie przez kilkadziesiąt kolejnych lat, ale ponieważ nie zaobserwowałem zwiększenia ich częstotliwości, wydawało mi się, że nie miały żadnego związku z moim zajęciem. Miałem słuszość, lecz tylko częściowo. Po badaniu tomograficznym, któremu poddałem się wiele lat później, w okresie współpracy z Leo Beenhakkerem, kiedy kolejny atak tej paskudnej dolegliwości stał się jedną z przyczyn, które uniemożliwiły mi wyjazd z reprezentacją do Armenii, lekarze orzekli, że nie najlepszy – oględnie mówiąc – stan dolnego odcinka mojego kręgosłupa to przypuszczalnie rezultat zbyt dużych obciążeń w wieku dorastania. Rzeczywiście, kiedy miałem czternaście–szesnaście lat, zwłaszcza w okresie zimowym ćwiczyłem na siłowni niemal na równi ze starszymi zawodnikami. Nie wyobrażałem sobie, żeby mogło być inaczej, chciałem przecież jak najszybciej dorównać silniejszym ode mnie fizycznie kolegom, później jednak – a nawet znacznie później – przyszło mi za to zapłacić.

Co prawda, jak już wspomniałem, w porównaniu z wieloma innymi byłymi piłkarzami jestem prawdziwym okazem zdrowia, ale to nie oznacza, że mój organizm bez żadnych konsekwencji zniósł kilkadziesiąt lat treningów i biegania po boisku. Poważne problemy dopadły mnie, kiedy miałem trzydzieści jeden lat, i to głównie one przyczyniły się do stosunkowo wczesnego zakończenia przeze mnie kariery. A było to tak:

Po powrocie z Bristolu przez dwa i pół miesiąca grałem w Legii, lecz przez cały czas rozglądałem się za jakimś ciekawym miejscem za granicą, w którym nie tylko mógłbym pracować na godną piłkarską emeryturę, ale także mieć jak najwięcej przyjemności z grania. Mirek Tłokiński polecił mi trenerowi szwajcarskiego zespołu Yverdon – Sport FC, który wówczas, pierwszy raz w swojej historii, awansował do pierwszej ligi. Pojechałem na testy, zagrałem mecz kontrolny – mieli bardzo kameralny stadion, z trybunami z jednej strony boiska, trochę jak na Gwardii – i wróciłem do kraju. Wydawało mi się, że pokazałem się z dobrej

strony, byłem więc trochę zdziwiony, że mijają kolejne dni, a nikt do mnie nie dzwoni. W końcu, zirytowany przedłużającym się oczekiwaniem, postanowiłem skorzystać z oferty Alemannii Aachen, która wówczas grała w niemieckiej trzeciej lidze. Spakowałem samochód i szykowałem się już do wyjazdu, kiedy zadzwonił Mirek.

– Słuchaj, tym Szwajcarom bardzo się spodobałeś, ale oni trochę nie wiedzą, co jest grane. Nie mieści im się w głowie, że taki zawodnik może chcieć u nich grać, podejrzewają, że ukrywasz jakąś kontuzję albo coś w tym rodzaju... Może pojechałbyś do nich jeszcze raz, pogadał, pozwolił się dokładniej przebadać?

Było już jednak za późno; pojechałem do Aachen i podpisałem z Alemannią kontrakt do końca sezonu 1993/1994. W moje przejście do tego klubu byli zaangażowani Włodek Lubański i Klaus-Dieter Convents. Klub miał ambicje wejścia do drugiej ligi. Mieliśmy na to realne szanse, walczyliśmy jak lwy, ale przegraliśmy z Fortuną Düsseldorf (w tym czasie grali tam Andrzej Buncol i Ryszard Cyroń, były zawodnik Górnika Zabrze i dwukrotny reprezentant Polski). Było to tym bardziej przykre, że szybko zaaklimatyzowałem się w zespole, zbierałem pozytywne opinie i generalnie grało mi się bardzo dobrze. Na nasze mecze dość często przyjeżdżał w charakterze obserwatora Eric Gerets, niegdyś filar obrony reprezentacji Belgii, a potem szkoleniowiec Liège. Graliśmy przeciwko sobie w eliminacjach do Mistrzostw Świata w Meksyku. Właśnie wtedy obejmował posadę trenera w innym belgijskim klubie, Lierse, i rozglądał się za zawodnikami, którzy mogliby wzmocnić skład jego nowej drużyny. Zaproponował mi kontrakt, ale traf chciał, że równocześnie otrzymałem propozycję od innego znajomego z boiska, a mianowicie od Mortena Olsena, który był wtedy szkoleniowcem FC Köln. Jeszcze przed końcem sezonu pojechałem tam na testy i tak się pechowo złożyło, że dosłownie na minutę przed końcem minigry coś sobie zrobiłem. Nie pamiętam już, co to dokładnie było, zapewne nic wielkiego, ale efekt był taki, że przez dwa dni nie mogłem uczestniczyć w treningach Alemannii. Napisała o tym miejscowa prasa, dobra do tej pory atmosfera nieco się zwarzyła i stało się oczywiste, że dłużej nie zagrzeję tam miejsca. Po zakończeniu sezonu podpisałem roczny kontrakt z FC Köln i wyjechałem do Kolonii.

Morten polecił mi rozpocząć przygotowania do sezonu dwa tygodnie wcześniej niż reszta drużyny. Trenował ze mną Reinhard Stumpf, który właśnie zakończył przygodę z Galatasaray Sztambuł. Miał żelazną kondycję i chorobliwe wręcz zamiłowanie do biegania. (Tomek Kłós, który dużo później zetknął się z nim jako asystentem trenera w 1. FC Kaiserslautern, opowiadał mi, że ćwiczenia prowadzone przez Stumpfa sprowadzały się do jednego: „Laufen, laufen, laufen!”). Przez dwa tygodnie po kilka godzin dziennie biegaliśmy więc w znanym ośrodku szkoleniowym w Hürth, pięknie położonym między dwoma jeziorami, po czym dołączyliśmy do pierwszego zespołu, który dopiero zaczynał treningi – też sprowadzające się wyłącznie do biegania. Szybko nauczyłem się zwrotu, którego nie znałem w Aachen i którego ani wcześniej, ani później nie usłyszałem od niemieckiego zawodnika: „Ich bin sehr müde”. Po kolejnym tygodniu nastąpiła katastrofa: mój organizm, który do tej pory nigdy poważnie mnie nie zawiódł, nie wytrzymał skumulowanego obciążenia; migdałki powiększyły mi się tak bardzo, że z trudem mogłem przełykać, a kiedy wstałem z łóżka, musiałem czym prędzej oprzeć się o ścianę, bo inaczej na pewno bym się przewrócił. Jakby tego było mało, po kolejnych dwóch tygodniach pojawiły się problemy z lewym kolaniem. Szczegółowe badania wykazały uszkodzenie łąkotki. Była to pierwsza naprawdę poważna, typowo piłkarska

dolegliwość, jaka dopadła mnie od początku kariery. Przez siedem, może osiem miesięcy „jechałem” na voltarenie – najpierw stosowałem maść, a kiedy poparzyłem sobie skórę, przerzuciłem się na tabletki: najpierw tylko przed treningiem, potem także po, w końcu nawet przed położeniem się do łóżka, żeby w ogóle zasnąć. Typowy przykład, w jaki sposób chorobliwa ambicja („Jak to? Ja nie przedrę się do pierwszej drużyny???”) zamienia się w głupotę, a potem w coś znacznie bardziej groźnego. W ten sposób jakoś dociągnąłem do końca sezonu i dopiero wtedy zdecydowałem się na operację. Pomogła, ale zaledwie rok później, już po moim definitywnym powrocie do kraju, musiałem poddać się operacji łąkotki w drugim kolanie. Najwyraźniej materiał, z którego je zrobiono, wytrzymał tylko około trzydziestu lat intensywnego użytkowania.

Gra w piłkę niesie ze sobą ryzyko odniesienia nie tylko typowo piłkarskich kontuzji. Bardzo boleśnie przekonałem się o tym na własnej skórze w roku 1995, zaraz po tym jak Polonia Warszawa, w której wówczas występowałem, awansowała do pierwszej ligi. Pierwszym trenerem był wtedy Stefan Majewski, ja pełniłem funkcję kapitana zespołu. W przerwie letniej wyjechaliśmy na zgrupowanie do Palangi na Litwie. Przedostatniego dnia pobytu ruszyliśmy liczną grupą – zawodnicy, trenerzy, kierownictwo – do miasta. Wspólnie wypiliśmy po piwie, a potem mieliśmy czas wolny i rozdzieliliśmy się na podgrupy. Powrót do pokoi wyznaczono na godzinę dwudziestą trzecią. Kiedy krótko przed tą godziną wracałem do hotelu w towarzystwie Darka Solnicy, ktoś uderzył mnie od tyłu w głowę na tyle mocno, że przewróciłem się i uderzyłem skronią w krawężnik. Odzyskałem przytomność w hotelu, do którego przynieśli mnie koledzy. Następnego dnia drużyna wracała do kraju, ja zaś, dzięki znajomości prezesa Dmoszyńskiego z prezesem Žalgirisu Wilno, trafiłem do szpitala w tym mieście. Warunki były iście spartańskie: wieloosobowe sale z piętrowymi łóżkami, bliscy chorych nocujący na rozłożonych na podłodze kocach i materacach, o wyżywieniu nawet nie wspomnę. Po trzech dniach wróciłem samolotem do Warszawy i trafiłem do szpitala przy ulicy Szaserów. Stwierdzono krwiaki w płacie czołowym mózgu, groziła mi nawet trepanacja czaszki. Bałem się potwornie, bo jakiś czas wcześniej mieliśmy podobny przypadek w rodzinie i nie zakończył się on zbyt pomyślnie. Na szczęście moje krwiaki były uprzejmie wchłonać się samoistnie. W szpitalu odwiedzali mnie nie tylko najbliżsi, lecz także zawodnicy i kierownictwo Polonii. Zapewniano mnie, że jak tylko dojdę do zdrowia, natychmiast wrócę do zespołu. Miesiąc po wyjściu ze szpitala dostałem od lekarza zgodę na czynne uprawianie sportu. Z zaświadczeniem natychmiast zgłosiłem się do klubu, ale prezes Dmoszyński (prawa ręka prezesa Romanowskiego) oświadczył mi, że trener Majewski nie widzi dla mnie miejsca w drużynie. Była to dla mnie szokująca wiadomość. Nie spodziewałem się tego po byłym koledze z drużyny, zwłaszcza po składanych jeszcze całkiem niedawno deklaracjach... Niewiele myśląc, natychmiast pojechałem na stadion przy Konwiktorskiej i traf chciał, że od razu wpadłem na Majewskiego. Zapytałem wprost, co jest grane, bo przed chwilą usłyszałem od prezesa, że to on sprzeciwia się mojemu powrotowi do zespołu. Stefan zaczął pleść jakieś androny: że to właściwie nie on i że nie o to chodzi, i że niby nic jeszcze nie wiadomo. Wkurzyłem się i nie ukrywam, że posłałem mu kilka słów powszechnie uważanych za obraźliwe, ale potwornie zabolalo mnie to, że z bliżej mi nieznanymi – podejrzewam, że głównie ambicjonalnymi – powodów skrzętnie skorzystał z pretekstu, jakim była moja spowodowana urazem głowy absencja, żeby zakończyć współpracę ze mną. Zachowanie

byłego kolegi z reprezentacji narodowej tak mnie zniesmaczyło, że uniosłem się honorem i powiedziałem, że jak nie, to nie: proszę wywiązać się z zaległych zobowiązań wobec mnie i nasze drogi się rozchodzą.

Okazało się to jednak bardziej skomplikowane, niż sądziłem. Tydzień później zadzwonił do mnie prezes Krzysztof Dmoszyński i zaproponował spotkanie w pobliskim biurówcu Intraco. Jego relacje ze Stefanem zdążyły chyba gwałtownie ochłodzić, ponieważ podczas spotkania, w którym uczestniczył również członek zarządu Marek Ruszkiewicz, prezes przeprosił mnie za zaistniałą sytuację i poprosił, żebym stawił się na najbliższym treningu. Nazajutrz pojechałem więc na Konwiktorską. Po kilku dniach treningów i po przegranym meczu towarzyskim z zespołem niższej klasy rozgrywkowej, niezadowolony trener Majewski zwołał odprawę, na której chciał dowiedzieć się od zawodników, co jest przyczyną ich beznadziejnej formy. Było to zupełnie niepodobne do wszystkowiedzącego Stefana. Większość narzekała, że podczas treningów ma za mało kontaktu z piłką, za dużo natomiast biegania i ćwiczeń siłowych. Trener był oczywiście odmiennego zdania, wywiązała się dyskusja, a kiedy przyszła moja kolej, spytałem Stefana – z premedytacją zwracając się do niego po imieniu – na jakiej podstawie sądzi, że ma zawsze rację i dlaczego kompletnie nie bierze pod uwagę opinii nawet bardzo doświadczonych piłkarzy, chociaż sam stawia dopiero pierwsze kroki jako trener. Jak się łatwo domyślić, ani forma, ani treść mojej dość obcesowej wypowiedzi nie spotkały się z ciepłym przyjęciem. Stefan kazał mi wyjść z sali, na co ja zaproponowałem mu rezolutnie, żeby sam wyszedł, bo ja chwilowo nigdzie się nie wybieram. Na pomoc wezwano prezesa Dmoszyńskiego, który podjął salomonową decyzję o natychmiastowym zakończeniu spotkania, dzięki czemu mogli wyjść wszyscy, nie ponosząc uszczerbku na honorze. Następnego dnia Stefan Majewski nie był już szkoleniowcem Polonii, ja zaś w niezbyt miłych okolicznościach pożegnałem się z klubem kilka miesięcy później, 13 stycznia 1997 roku. Stwierdzenie, że mocno pozaboiskowa kontuzja, jakiej nabawiłem się na Litwie, zapoczątkowała ciąg wydarzeń, które doprowadziły do – wydaje mi się – nieco przedwczesnego zakończenia przeze mnie kariery piłkarskiej, może się wydawać lekko przesadzone, ale kto wie, jak długo i gdzie biegałbym jeszcze za piłką, gdyby nie to twarde zderzenie z rzeczywistością, a raczej z krawężnikiem, w litewskim kurorcie...

Nie był to jedyny przypadek, kiedy moja biedna głowa została potraktowana w dość brutalny sposób i musiała – a ja razem z nią – sporo wycierpieć. Wiele lat wcześniej podczas treningu na Gwardii Andrzej Sikorski I (Andrzejów Sikorskich było przez pewien czas dwóch: bramkarz i obrońca, z którym później grałem w Legii; dla łatwiejszego odróżnienia bramkarz nazywany był Pierwszym, a obrońca Drugim) chyba nie do końca przypadkowo wyszedł do piłki, która skozłowała w polu karnym, i wypiąstkował ją w taki sposób, że niemuśnięta nawet piłka poleciała sobie dalej, za to moja trafiona z ogromną siłą głowa mało nie spadła mi z karku i nie potoczyła się po boisku. Nie ukrywam, że nie przepadaliśmy za sobą, więc pewnie był zadowolony ze swojej interwencji. Wydarzyło się to na krótko przed końcem treningu, ale zdążyłem jeszcze dostać silnych zawrotów głowy i torsji. Odwieziono mnie z Raławickiej do pobliskiego szpitala MSW przy Wołoskiej, wtedy Władimira Komarowa, a tam lekarze stwierdzili wstrząśnienie mózgu.

Wychodząc na boisko, nigdy nie bałem się, że coś sobie przypadkiem zrobię albo że ktoś wyrządzi mi poważną krzywdę. Jedną z przyczyn, dla których – jak mi się wydaje – nie byłem

obiektem jakiegoś szczególnego polowania na boisku i nigdy nie miałem wrażenia, że ktoś chce mnie tam zabić – no, może z wyjątkiem jednego treningu w Widzewie, ale o tym opowiadam w innym rozdziale tej książki – było to, że nie prowokowałem przeciwników. Nie szydziłem z ich umiejętności, nie mówiłem obrońcy, że takiego cieniasa jak on to w życiu nie widziałem, nie kręciłem z politowaniem głową. Uważałem – i nadal uważam – takie prowokacje za skrajną głupotę, która często obraca się przeciwko prowokującemu. Jestem przekonany, że wielu zawodników narzekających na to, że ustawicznie są obiektami bezwzględnych polowań na boisku, a także tych, którzy w wyniku brutalnych fauli odnieśli poważne kontuzje, w mniejszym lub większym stopniu przyczyniło się do tego własnym zachowaniem. W żadnym wypadku nie usprawiedliwiam boiskowych brutalni, ale trzeba pamiętać o tym, że wszyscy jesteśmy ludźmi, że każdemu mogą puścić nerwy i że lepiej nie kusić licha. Jeśli już kogoś prowokowałem, to niejako „przy okazji” i bez takich intencji. Mam na myśli grę z opuszczonymi getrami – zwyczaj, któremu hołdowałem do chwili wprowadzenia obowiązku używania ochraniaczy. Niektórzy uważali to za przejaw fanfaronady i pychy, a mnie po prostu tak było wygodniej i tyle. Koledzy z drużyny ostrzegali mnie często, że w końcu jakiś ambitny obrońca postanowi skutecznie i na zawsze wybić mi z głowy takie zachowanie, szczęśliwie jednak nigdy nic takiego się nie stało.

Zdarzało się oczywiście, że tuż przed wyjściem na boisko, albo na samym początku meczu podchodził do mnie obrońca drużyny przeciwnej i mówił: „Połamię ci nogi”. I rzeczywiście próbował to zrobić, na szczęście nieskutecznie, czasem zaś na swoją zgubę, bo usilnie się starając, zarabiał żółtą albo czerwoną kartkę. Ja kartek dostawałem niewiele, a jeśli już, to za dyskusje z sędzią. W polskiej lidze za to właśnie przewinienie dwukrotnie wyleciałem z boiska (raz jeszcze w Gwardii i raz w Legii, w obu przypadkach w meczach ze Śląskiem we Wrocławiu). Kiepsko symulowałem faule – do tego stopnia, że nie raz i nie dwa koledzy z drużyny mieli do mnie pretensje o to, że w niejednoznacznej sytuacji w polu karnym przeciwnika nie przewróciłem się w artystyczny sposób, próbując wymusić na sędzim podyktowanie rzutu karnego. Ja tego po prostu nie potrafiłem; dopóki mogłem, trzymałem się na nogach, kiedy zaś nie było to już możliwe, myślałem tylko o tym, żeby upaść w taki sposób, by nie zrobić sobie krzywdy. O, przepraszam: jeden jedyny raz spróbowałem efektownie przewrócić się w polu karnym, aby „pomóc” sędziemu w podjęciu decyzji, skończyło się to jednak tylko wybuchem wesołości na trybunach i wśród zawodników obu drużyn, więc nigdy więcej już tego nie powtórzyłem.

Jak już wspominałem, nigdy nie prowokowałem przeciwników, ale ze wstydem przyznam, że zdarzało mi się „podpuszczać” widownię, zwłaszcza w okresie gry w Legii. Warszawska drużyna była nielubiana – z nielicznymi wyjątkami – praktycznie w całej Polsce, ja zaś byłem chyba najmniej lubianym spośród jej zawodników. Podczas rozgrzewek na obcych stadionach pod naszym, a zwłaszcza pod moim adresem leciały z trybun najgorsze, najbardziej chamskie, najmniej wybredne epitety. Nie ukrywam, że czasem puszczały mi nerwy – najczęściej chyba na stadionie Górnika Zabrze – i celowo pozwalałem piłce potoczyć się pod samo ogrodzenie oddzielające trybuny od boiska, po czym idąc po nią, rzucałem w kierunku rozwrzeszczanej tłuszczy jakimś cięższym słowem lub pozwoliłem sobie na jakiś mało przystojny gest. Żaden to powód do chwały, wręcz przeciwnie, ale nikt nie ma nerwów ze stali i nie każdy potrafi całkowicie ignorować to, co się wokół niego dzieje.

W naszej ekstraklasie (wtedy nazywała się jeszcze pierwszą ligą) przez wiele lat wyjątkowo złą sławą cieszył się Edek Załęzny. Nieprzesadnie wysoki, mocno zbudowany stoper, przez większą część kariery związany ze Stalą Mielec i Legią Warszawa, był autentycznym postrachem nie tylko napastników, ale właściwie wszystkich, którzy mieli pecha przebywać z nim na boisku. Tak zapisał się we wspomnieniach piłkarzy i kibiców, ale ja muszę stwierdzić, że nigdy, ale to nigdy nie miałem z nim najmniejszych problemów. Jestem przekonany, że żaden z brutalnych fauli, za które często usuwano go z boiska, nie brał się ze złej woli, a tym bardziej z chęci wyrządzenia krzywdy przeciwnikowi. Problem wynikał z tego, że Edek miał słaby wzrok i często atakował piłkę nie tam, gdzie ona naprawdę była, ale tam, gdzie mu się wydawało, że jest... Był jeszcze jeden obrońca cierpiący na podobną dolegliwość: Adam Walczak. Grał w Bałtyku Gdynia, a potem w Widzewie Łódź i przez pewien czas występował razem z Edkiem w młodzieżowej reprezentacji Polski. W trakcie meczów rozgrywanych przy sztucznym oświetleniu nie raz i nie dwa pytali się wzajemnie, gdzie jest piłka – zwłaszcza wtedy, kiedy leciała gdzieś wysoko – a jeśli żaden z nich nie dysponował taką wiedzą, czekali, aż piłka spadnie na murawę i odbije się, i dopiero wtedy reagowali.

Przez pewien czas zasłużenie niedobłą sławą cieszyła się obrona Ruchu Chorzów w składzie: Waldemar Waleszczyk, Krystian Walot i Eugeniusz Kamiński. Mnie co prawda nie uszkodzili, ale paru zawodników na długo zapamiętało spotkanie z nimi. Grali ostro i brutalnie. Krystian wyróżniał się tym, że tak mocno koncentrował się przed meczem, a po nim tak bardzo go przeżywał, że niewiele do niego docierało. Przekonałem się o tym na własne oczy, ponieważ grałem nie tylko przeciwko niemu, ale także z nim – choćby w spotkaniu prowadzonej przez Bogusława Hajdasa drugiej reprezentacji Polski z kadrą B Hiszpanii. Było to w listopadzie 1981 roku. Nasi obrońcy dobrze wiedzieli, że największe niebezpieczeństwo będzie groziło nam ze strony Alonso (zbieżność nazwisk z Xabi Alonso, który właśnie wtedy przychodził na świat, jest całkowicie przypadkowa). Już na początku meczu, około piątej minuty, któryś z hiszpańskich pomocników posłał długą górną piłkę w kierunku wychodzącego na pozycję Alonso. Krystian, który przed meczem zakodował sobie w pamięci, że Alonso + piłka = kłopoty, postanowił od razu nauczyć Hiszpana moresu. Rozpędził się i wykonał obiema nogami szaleńczy wślizg, z grubsza tylko celując w piłkę – a może nawet wcale? Gdyby trafił, z nieszczęsnego Alonso posypałyby się drzazgi, ale nie trafił; przejechał siedem, może osiem metrów po wilgotnej murawie (płyta została zroszona tuż przed meczem) i z impetem wyrznął w planszę reklamową, wbijając się w nią korkami. Publiczność na chwilę oniemiała, po czym rozległo się entuzjastyczne „Ole!”. Wydarzenia na boisku przestały być istotne, wszyscy zerwali się z miejsc i wypatrywali z ciekawością, czy Krystian o własnych siłach wyjdzie zza rozbitej reklamy. Oczywiście wstał, otrzepał się i wyszedł, lekko zaczerwieniony ze złości. Widzowie nagrodzili go gromkimi brawami, bo wiedzieli już, że na boisku jest ktoś, kto może im dostarczyć nadzwyczajnych emocji. Nie mylili się. Zaledwie kilka minut później piłka ponownie poszybowała do Alonso. Krystian poczerwieniał jeszcze bardziej, rozpędził się jak do skoku w dal i wykonał imponujący wślizg, naturalnie znowu wbijając się w reklamy... Nagrodą było kolejne gromkie „Ole!” i owacja na stojąco. Krystian był już wręcz purpurowy. Sytuacja powtórzyła się jeszcze raz czy dwa, a w dwudziestej ósmej minucie trener Hajdas zdjął go z boiska, bo nie wiadomo, jak



by się to skończyło – nie dla hiszpańskiego napastnika, który bez trudu unikał wściekłych szarż naszego obrońcy, ale dla Krystiana, który wyglądał tak, jakby lada chwila miał paść, rażony apopleksją. W szatni po meczu nikt nie pozwolił sobie na żadne żarty ani docinki pod jego adresem. Wszyscy pilnie unikaliśmy jego wzroku, istniało bowiem realne prawdopodobieństwo, że będzie chciał odreagować niedawne upokorzenie. Delikwent, na którym wyładowałyby złość, z pewnością nie wyszedłby z szatni o własnych siłach. Dodam tylko, że mecz, który obserwowało pięćdziesiąt tysięcy widzów, zakończył się wynikiem 2:0 dla Hiszpanii, a oba gole zdobył oczywiście Alonso.

Za czasów, kiedy grałem w polskiej lidze – od tamtej pory niewiele się zresztą zmieniło – mieliśmy w roku dwa okresy przygotowawcze: letni i zimowy. Zimą głównie „ładowaliśmy akumulatory”, czyli pracowaliśmy nad siłą i kondycją, latem zaś przede wszystkim doskonaliliśmy technikę. Było to oczywiste choćby ze względu na warunki atmosferyczne; zimowe wyjazdy na obozy treningowe do krajów o łagodniejszym klimacie zdarzały się nieporównanie rzadziej niż teraz, kiedy są czymś niemal oczywistym. Zimą zajęcia wyglądały w ten sposób, że przed południem szliśmy – a raczej biegliśmy – na dwie–trzy godziny w góry, po południu natomiast mniej więcej tyle samo czasu spędzaliśmy na siłowni. Zwykle graliśmy też dwa–trzy mecze sparingowe na śniegu; na takie luksusy jak sztuczna nawierzchnia i podgrzewane boiska musieliśmy jeszcze trochę poczekać. Przyznam szczerze, że po takim solidnie przepracowanym zimowym obozie treningowym dochodziłem do siebie dopiero gdzieś pod koniec kwietnia. Nie tylko ja, ale także wielu moich kolegów wracaliśmy fizycznie „zamuleni” i najzwyczajniej w świecie zmęczeni. Być może wynikało to z faktu, że wszyscy trenowaliśmy tak samo, pojęcie „indywidualizowany plan treningowy” oznaczało tylko tyle, że trochę co innego robili bramkarze, a co innego reszta drużyny. Jeśli jakiś szkoleniowiec miał obsesję na punkcie przygotowania kondycyjnego, to nie było zmiłuj: wszyscy musieli biegać, skakać i dźwigać ciężary do upadłego. Reprezentacji oczywiście wiodło się znacznie lepiej: wyjeżdżaliśmy na zgrupowania czy to do Włoch, czy na Cypr, czasem zaś nawet w tak egzotyczne miejsca jak Ameryka Południowa. Menedżerom, którzy te wyjazdy organizowali, PZPN zwykle płacił „w naturze” – rozgrywaliśmy mecze z miejscowymi zespołami albo z innymi przyjezdnymi drużynami, które trenowały w tym samym miejscu, wpływy z biletów trafiały zaś do organizatorów.

Nawet jeżeli mój organizm buntował się czasem przeciwko nadmiernym obciążeniom, to uznawałem, że coś jest nie w porządku ze mną, nie z systemem, zaciskałem zęby i starałem się spełnić oczekiwania szkoleniowców. Kiedy znalazłem się za granicą – najpierw w Celticu, później w Bristolu – okazało się, że nawet w ligach słynących wówczas z tego, że gra się tam na najwyższych obrotach od pierwszej do ostatniej minuty, przygotowania mogą wyglądać zupełnie inaczej. Podstawowa różnica polegała na tym, że mieliśmy do dyspozycji praktycznie tylko jedną, letnią, przerwę. Nad siłą i kondycją pracowaliśmy przez tydzień, najwyżej dwa; pozostałą część przygotowań do nowego sezonu wypełniały głównie gry treningowe, w trakcie których staraliśmy się przećwiczyć w praktyce to, czego oczekiwaliśmy od nas szkoleniowcy. O ile w trakcie sezonu w Szkocji i Anglii bywałem bardziej zmęczony niż w Polsce, o tyle okres przygotowawczy był dla mnie znacznie mniejszym obciążeniem. Do gry w nowym sezonie przystępowałem może nie całkiem wypoczęty, ale z pewnością naładowany energią i pałający żądzą rywalizacji. W naszej lidze bywało tak, że nawet ja, kochający piłkę nad

wszystko, jeszcze przed pierwszym gwizdkiem sędziego w wiosennej części sezonu już nie mogłem na nią patrzeć. Ciężka praca na treningach i w okresach przygotowawczych stała się celem samym w sobie, zamiast być środkiem do osiągnięcia celu. I znowu: brak swobodnego przepływu informacji (pamiętajmy, że przecież wtedy od Zachodu wciąż oddzielała nas co prawda w wielu miejscach przerdzewiała i niezbyt solidna, ale jednak żelazna kurtyna) oraz brak możliwości podglądania na co dzień tego, co robią najlepsi, sprawiały, że tkwiliśmy po uszy w archaicznych schematach myślenia i powielaliśmy przestarzałe metody. To, że mimo to polska piłka, przynajmniej w wydaniu reprezentacyjnym, osiągała wtedy takie wyniki, o jakich wciąż możemy tylko marzyć, chwilami zakrawa po prostu na cud.

Co ciekawe, zarówno w Celticu, jak i w Bristolu, gracze ulegali kontuzjom znacznie rzadziej niż na przykład w Legii czy Widzewie, i to mimo że grało się tam o niebo ostrzej i bardziej kontaktowo niż w polskiej lidze. Jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy odkryłem bardzo szybko, bo już po pierwszym treningu w Glasgow, kiedy wróciłem do szatni i stwierdziłem ze zdumieniem, że jestem w niej całkiem sam... Okazało się, że wszyscy – podkreślam: wszyscy – zawodnicy po każdym treningu z własnej, nieprzymuszonej woli szli jeszcze na pół godziny lub godzinę na siłownię, by popracować nad wzmocnieniem mięśni, głównie nóg. Świadomość, ile od tego zależy, była powszechna; początkowo przyglądałem się temu dość sceptycznie, ale szybko przekonałem się, że gra jest warta świeczki i zacząłem robić to samo co koledzy. Kontuzje jednak oczywiście się zdarzały, lecz myliłby się ten, kto by sądził, że wyłączony z gry zawodnik pogrążał się w błogim nieróbstwie i cieszył się nadmiarem wolnego czasu, czekając, aż dolegliwość ustąpi i będzie mógł wrócić do treningów. Wręcz przeciwnie. O ile zdrowi zawodnicy pojawiali się w klubie około dziewiątej trzydzieści, by punktualnie o dziesiątej rozpocząć trening, o tyle niedysponowany delikwent musiał przyjechać już na ósmą. Przez dwie godziny aplikowano mu zaordynowane przez lekarza zabiegi, po czym o dziesiątej szedł na siłownię, gdzie przez kolejne dwie godziny ćwiczył te partie mięśni, które mógł. Zespół kończył trening przed lunchem i piłkarze rozjeżdżali się do domów (bardzo rzadko trenowaliśmy również po południu), ale niesprawny pechowiec miał po lunchu do odbębnienia kolejną godzinę lub dwie na siłowni. W Polsce, dla porównania, kontuzjowany zawodnik, gdyby tylko chciał, mógł nawet kilka tygodni spędzić pod pierzyną i nikt nie powiedziałby mu złego słowa.

Zharmonizowany, mądrze ustawiony, sensowny trening piłkarski z pewnością sprzyja ogólnemu rozwojowi fizycznemu młodego człowieka. Trochę inaczej wygląda sprawa z meczami – zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy od pewnego poziomu wzwyż gra się znacznie częściej niż dawniej. Pracując jako trener i komentator oraz po prostu obserwując to, co się dzieje we współczesnym futbolu, wielokrotnie jestem świadkiem sytuacji meczowych, kiedy przekraczane są granice tego, co zdrowe, pożyteczne albo chociaż bezpieczne. Najczęściej popełnianym grzechem jest oczywiście wystawianie do gry zawodnika z niezaleconą do końca kontuzją. W większości przypadków, niestety, mamy do czynienia z całkowicie świadomym działaniem sztabu szkoleniowego; czasem jednak szwankuje komunikacja z zawodnikiem, który – piszę o tym obszerniej w rozdziale *Na zakończenie* – nie potrafi zrozumieć sygnałów wysyłanych przez jego organizm albo nie umie (lub się boi) porozmawiać o nich ze szkoleniowcem. Konsekwencje takiego postępowania zawsze są

smutne, bywają zaś tragiczne, ale wygląda na to, że taka jest cena pogoni za sukcesem i żadne mędrkowanie niewiele zdoła zmienić. Cieszymy się przynajmniej tym, że w futbolu w bardzo ograniczonym stopniu występuje największa plaga współczesnego sportu, czyli doping. Na szczęście nie wymyślono jeszcze środków farmakologicznych wspomagających naukę dryblingu, prowadzenia piłki, czytania gry, celnego dośrodkowywania i oddawania trudnych do obrony strzałów, choć nie mam żadnych wątpliwości, że gdyby takie cudowne specyfiki się pojawiły, nie zabrakłoby chętnych do ich stosowania.

Chciałbym jeszcze wrócić do stwierdzenia, od którego zacząłem ten rozdział: rzeczywiście cieszę się nie najgorszym zdrowiem i myślę, że jak na swój wiek, jestem w całkiem niezłej formie fizycznej, ale bierze się to nie tyle stąd, że od wczesnej młodości uprawiałem sport – a przynajmniej nie tylko temu to zawdzięczam – ale stąd, że wciąż go dość intensywnie uprawiam. Do niedawna regularnie występowałem w drużynie oldboyów Legii, wciąż często gram w piłkę, dużo biegam, nie omijam siłowni, korzystam z każdej okazji do aktywności fizycznej. Dla nas, zawodowych sportowców na emeryturze, to niezwykle ważne, żeby wyeksploatowane stawy nadal miały wsparcie mięśni. Z chwilą kiedy go zabraknie, z podwójną siłą odzywiają się wszystkie problemy kostno-stawowe, przypominają się urazy i kontuzje, tu strzyka, tam boli, jeszcze gdzie indziej skrzypi, i w ogóle robi się nieciekawie. Bardzo ważne jest też panowanie nad masą ciała. Nie może być tak, że po zakończeniu czynnego uprawiania sportu człowiek dochodzi do wniosku, że teraz wszystko mu wolno i że nadszedł czas zadośćuczynienia za dietetyczne ograniczenia i wyrzeczenia minionych kilkunastu lat. Pod tym względem wzorem dla mnie jest zdecydowana większość byłych piłkarzy, a obecnie szkoleniowców, działaczy lub komentatorów niemieckich, angielskich czy hiszpańskich: ze świecą w rękę szukać wśród nich opasłych brzuchaczy o proporcjach panoramicznych telewizorów. Pewnie, że ja też nie za bardzo przypominam już smukłą trzcinę, ale bardzo się staram, żeby nie zamienić się w karykaturę samego siebie przed dwudziestu czy trzydziestu lat, a to już przynajmniej połowa sukcesu.

Pierwszym moim trenerem, a zarazem tym, którego wspominam z największym sentymentem i sympatią, był Adam Tarkowski z Polonii Warszawa. Pod jego opieką trenowałem przez pięć lat, w wyjątkowo skromnych warunkach – czasem z braku nadającego się do użytku skrawka boiska, o jakiejś sali nie wspominając, ćwiczyliśmy na skwerach, trawnikach, a nawet na przystankach tramwajowych... Wyjątkowo kulturalny i miły człowiek, bezwzględnie tępiący wszelkie przejawy chamstwa w drużynie, a zarazem potrafiący zbudować sobie autorytet wśród młodych piłkarzy. Sympatia była chyba obopólna, ponieważ kilka lat temu przydarzyła mi się wzruszająca sytuacja: zadzwoniła do mnie córka pana Adama, żeby poinformować mnie o śmierci ojca oraz o tym, iż pod koniec życia poprosił ją o przekazanie mi wszystkich jego trenerskich notatek... Zrobiło mi się ciepło na sercu na myśl o tym, że człowiek, który wyszkolił kilkuset, jeśli nie więcej, chłopaków, postanowił właśnie mi przekazać cały dorobek swego trenerskiego życia.

Szkoleniowcem o równie wielkim sercu, zaangażowanym bez reszty w swoją pracę był Henryk Szczepański – wcześniej wielokrotny reprezentant Polski, uczestnik IO w Rzymie w roku 1960. Pod jego skrzydła trafiłem po przejściu z Polonii do Gwardii. Zawieszony na pół roku, trenowałem z drugą drużyną, on zaś zdołał przez ten czas nie tylko podtrzymać we mnie zapał (co akurat nie było szczególnie trudne, ponieważ gdybym mógł, zapewne spałbym i jadł na boisku), ale pokazał, jak bardzo można się angażować w to, co się robi, nawet w skromnych warunkach i za skromne wynagrodzenie. Niezwykle pozytywna postać, zwłaszcza dla młodych ludzi, swoista przeciwwaga dla tego, czym było im łatwo zaimponować i co najchętniej by naśladowali. W styczniu 2015 roku z wielkim żalem – dość zresztą przypadkowo – dowiedziałem się o jego śmierci. W PZPN nikt nie znał daty pogrzebu, więc okreśną drogą udało mi się dotrzeć do syna pana Henryka, Adriana, z którym przez pewien czas występowałem w barwach Gwardii. W ceremonii pogrzebowej uczestniczyło może ze dwadzieścia osób, środowisko piłkarskie reprezentowało zaś dwóch zaawansowanych wiekiem kibiców ŁKS. Nie zjawiał się nikt ani z PZPN, ani z Mazowieckiego Związku Piłki Nożnej, nie było nikogo z byłych współpracowników pana Henryka z warszawskiej Gwardii. Zrobiło mi się podwójnie smutno, że w czasach, kiedy media rozpisują się o ogromnych zarobkach nie zawsze pierwszoplanowych futbolistów, kiedy plotkarskie portale donoszą o skandalach i skandalikach z udziałem trzeciorzędnych gwiazdorów, kiedy kluby i piłkarska centrala podpisują milionowe kontrakty sponsorskie i reklamowe, mało kto pamięta o ludziach, którzy całe swoje skromne i nieopływające w dostatki życie poświęcili ukochanej dyscyplinie sportu.

Jak najlepsze wspomnienia zachowałem ze współpracy z Henrykiem Apostelem, z którym zetknąłem się w reprezentacji Polski juniorów – najpierw rocznika 1961 (tak jak zwykle grałem ze starszymi od siebie), a potem 1962. Pod jego wodzą dwukrotnie zdobyliśmy wicemistrzostwo Europy. Nasze dobre relacje przetrwały do chwili, kiedy zacząłem pracę trenerską w PZPN; tak się złożyło, że on pełnił tam wtedy funkcję wiceprezesa do spraw szkolenia. Z zaskoczeniem i przykrością stwierdziłem, że jego opiekuńczość i determinacja, by

stwarzać młodym zawodnikom jak najlepsze warunki, gdzie się ulotniły. Robiąc właściwie to samo, co on kiedyś – byłem szkoleniowcem reprezentacji Polski juniorów (roczniki 1986 i 1989) – oczekiwałem przychylności, a przynajmniej zrozumienia dla moich starań choćby o zapewnienie możliwości gry z klasowymi przeciwnikami, od których młodzi piłkarze mogliby się czegoś nauczyć. Doskonały, mądry trener zamienił się w biurokratę, dla którego ważniejsze było wykazanie się na koniec roku dodatnim bilansem wyników (co z tego, że na ów bilans składały się okazałe zwycięstwa ze słabymi rywalami oraz remisy lub nikle porażki z niewiele silniejszymi, uzyskane dzięki rozpaczliwemu murowaniu bramki od pierwszej do ostatniej minuty oraz jednemu albo dwóm przypadkowym kontratakami) niż budowanie czegoś, co w dłuższej perspektywie miało szansę zaowocować rzeczywistym podniesieniem poziomu drużyny i zawodników.

Z Jerzym Engelem zetknąłem się dwukrotnie, za każdym razem w ważnych chwilach mojej kariery. Nigdy nie było między nami jakiejś szczególnej chemii, ale darzyłem go i darzę dużym szacunkiem – choćby za to, że będąc jeszcze bardzo młodym szkoleniowcem, nie zawahał się wstawić mnie, zaledwie szesnastolatka, do pierwszego składu grającej wówczas w drugiej lidze Polonii Warszawa. Drugi raz spotkaliśmy się w Legii – moje przejście z Widzewa zbiegło się w czasie ze zmianą na stanowisku szkoleniowca zespołu z Łazienkowskiej. Engel zastąpił Kopę, by wreszcie zdobyć dla Legii upragniony tytuł mistrza Polski. O tym, dlaczego mu się nie udało i ile było w tym winy jego, a ile naszej, zawodników, piszę obszerniej w rozdziale *Nasza дума i sława*, tutaj więc powiem tylko, iż chyba miałem do niego żal, że wprowadził wyraźny podział na zawodników, z którymi najczęściej omawiał grę zespołu, konsultował pomysły taktyczne i których opinii zasięgał zarówno po przegranych, jak i wygranych meczach, i na takich, których może nie ignorował, ale na pewno nie utwierdzał w przekonaniu, że również są ważni dla zespołu, a ich głos liczy się tak samo jak głos każdego z kolegów. Miałem wtedy wciąż jeszcze niewiele, bo dwadzieścia trzy lata, ale byłem święcie przekonany, że doświadczeniem i umiejętnościami nie ustępuję wielu znacznie starszym zawodnikom. Wydawało mi się więc oczywiste, że trener powinien garściami korzystać z mojej nadzwyczajnej mądrości. Niestety, nie zauważyłem, że nie ułatwiam mu tego, ponieważ trzymam się na uboczu i nie staram się wyartykułować swojego zdania. Dziś trudno mi w to uwierzyć, ale chyba naprawdę uważałem, że powinien sam przyjść i o nie zapytać...

Spośród szkoleniowców, z którymi pracowałem w Legii, z pewnością najlepiej wspominam Andrzeja Strojla. Zapalony gawędziarz, obdarzony wręcz niesamowitą pamięcią, kulturalny człowiek o dużej wiedzy fachowej, chyba po prostu lubił nas, piłkarzy, i często dawał nam to odczuć. Co prawda od czasu do czasu, zwłaszcza kiedy go czymś zirytowaliśmy, udawał nadzwyczajną srogość, ale bardzo szybko brała górę jego prawdziwa, życzliwa ludzima natura. Przed ważnymi meczami, zwłaszcza w europejskich pucharach, mnóstwo uwagi poświęcał rozpracowaniu przeciwnika. Naprawdę robił to po mistrzowsku, każdy z nas dokładnie wiedział, czego się spodziewać po zawodnikach, przeciwko którym mieliśmy występować. Jeśli mu czegoś brakowało, to chyba umiejętności wyzwolenia z nas całej energii, zdolności wprowadzenia nas na najwyższe obroty i daru takiego mobilizowania piłkarzy, żeby potrafili – i chcieli – dać z siebie naprawdę wszystko. Czasem można było odnieść wrażenie, że więcej wie o rywalach niż o nas.

W sezonie 1987/1988, a konkretnie w rundzie wiosennej, w polskiej lidze zapanowała

obsesja na punkcie Olimpii Poznań. Ta, ogólnie mówiąc, niezbyt wybitna (przynajmniej teoretycznie) drużyna uzyskiwała zaskakująco dobre wyniki, dzięki czemu po rundzie jesiennej zajmowała miejsce w czołówce tabeli. Nikt nie szukał wyjaśnienia tego fenomenu w umiejętnościach trenera, nikomu nie przyszło do głowy tłumaczyć doskonałą postawę zespołu ambicją zawodników. Przyczyna mogła być tylko jedna: Olimpia kupuje mecze! Dzień przed spotkaniem, czyli 6 maja, zaraz po treningu jak zwykle pojechaliśmy na króciutkie zgrupowanie na Fortach Bema. Po siedemnastej, kiedy jedyna kawiarnia na terenie ośrodka Legii była już zamknięta, zauważyliśmy ze Staszkiem Terleckim brata Zbyszka Kaczmarka. Brat odbywał służbę wojskową, w ramach której jako kierowca woził szefa klubu, pułkownika Janusza Żbikowskiego. Siedział w recepcji i wyraźnie się nudził. Postanowiliśmy zapewnić mu nieco rozrywki i poprosiliśmy go, żeby zawiózł nas do Hotelu Europejskiego. Zgodził się chętnie, tym bardziej że obiecaliśmy postawić mu kawę. Posiedzieliśmy tam jakąś godzinę, a w drodze powrotnej, jakieś czterysta metrów przed bramą, wysiedliśmy i poszliśmy dalej pieszo. Traf chciał, że dosłownie po kilkudziesięciu krokach spotkaliśmy idących z naprzeciwka kierownika drużyny Kazimierza Orłowskiego i trenera Strejlaua.

– A wy gdzie byliście? – zapytał podejrzliwie Strejlau.

– Na spacerze, panie trenerze – odparliśmy z niewinnymi minami.

– Na spacerze? W Europejskim? Wszystko wiemy, oszuści! Z tymi z Olimpii żeście się skumali! Mecze sprzedawać wam się zachciało!

Po powrocie do ośrodka rozpętała się koszmarna awantura. Kierownictwo drużyny kazało nam natychmiast pakować manatki, potem łaskawie pozwolono nam jeszcze zostać na noc. Widząc, że jakakolwiek dyskusja nie ma sensu, i nie bardzo mając argumenty na naszą obronę, po kolacji wróciliśmy do pokoju, gdzie wzburzony Staszek rzeczywiście wziął się do pakowania. Zacząłem go przekonywać, żeby jednak zaczekał, pozwolił trenerowi ochłonąć, że ta idiotyczna sytuacja jakoś się wyjaśni. Poza drobnym kłamstwem nie mieliśmy sobie przecież nic do zarzucenia; gdyby naprawdę opuścił zespół przed meczem, tylko dolałby oliwy do ognia. Niechętnie, ale w końcu zgodził się zostać.

Śniadanie było o dziewiątej, ale obaj zeszliśmy do stołówki jakieś dziesięć minut wcześniej i jakby nigdy nic usiedliśmy na naszych miejscach. Zawodnicy, którzy zaczęli przychodzić po nas, nic nie wiedzieli o zajściu z dnia poprzedniego. Punktualnie o dziewiątej do stołówki wszedł trener Strejlau i na nasz widok stanął jak wryty.

– A co wy tu jeszcze robicie? – warknął groźnie.

– Prywatnie jesteśmy, panie trenerze – odpariłem z głupia frant.

Wymamrotał coś pod nosem i poszedł dalej.

Po śniadaniu zaczęliśmy go przekonywać, że jesteśmy niewinni, że z nikim nie spiskowaliśmy i że cała ta afera to burza w szklance wody. Około jedenastej przyjechał pułkownik Żbikowski, po czym we dwóch maglowali nas jeszcze przez dobrą godzinę. W końcu oznajmiono nam, że ostateczna decyzja w naszej sprawie zostanie podjęta po obiedzie (mecz, o ile się nie mylę, miał się rozpocząć o siedemnastej). Tak też się stało: dowiedzieliśmy się, że ja wychodzę w pierwszym składzie, Staszek natomiast siedzi na ławce.

W siódmej minucie Olimpia strzeliła nam gola. Trener Strejlau natychmiast poderwał rezerwowych – wszystkich poza nieszczęsnym Terleckim – i kazał im się rozgrzewać. Parę minut później, kiedy przy linii bocznej zawiązywałem sznurowadło, podszedł do mnie Staszek

i z rozpaczą w głosie powiedział:

– Darek, k...a, zrób coś, bo jak nie, to wyp...ą nas z tego klubu!

W ciągu czterech minut (między dwudziestą trzecią a dwudziestą szóstą minutą) zdobyłem trzy bramki i było po meczu. Jestem bardziej niż pewien, że gdyby mi się to nie udało, trener zdjąłby mnie najpóźniej po półgodzinie i jeszcze tego samego dnia wyrzucono by nas z Legii. W tamtym sezonie obowiązywał przepis, w myśl którego za zwycięstwo trzema lub więcej bramkami otrzymywało się trzeci, dodatkowy punkt. Nie udało nam się tego osiągnąć (spotkanie zakończyło się rezultatem 3:1; więcej bramek nie padło być może dlatego, że po moim trzecim голу szkoleniowiec Olimpii dokonał zmiany bramkarza), więc zaraz po końcowym gwizdku trener Strejlau podszedł do mnie i z przekąsem zapytał:

– Co, nie chciało się strzelić czwartej? Nie chciało się?

Chodziło o to, żeby jego było jednak na wierzchu, ale w ogóle się tym nie przejmowałem, szczęśliwy, że udało mi się oczyścić siebie i kolegę z podejrzeń o sprzedanie meczu.

Andrzej Strejlau jest bardzo mądrym człowiekiem i szkoleniowcem, usłyszałem od niego wiele cennych rad i wskazówek. Najciekawszą obserwacją podzielił się ze mną przy okazji jakiegoś nieporozumienia, do którego między nami doszło:

– Wiesz co, Darek? Czasem sam dla siebie jesteś największym wrogiem...

Niestety, miał całkowitą rację.

Gdyby w Widzewie nie nastąpiła zmiana trenera (kiedy tam przechodziłem, szkoleniowcem był Władysław Żmuda; młodszych czytelników uczulam, żeby nie mylili go z piłkarzem Władysławem Żmudą, przez wiele lat etatowym stoperem reprezentacji Polski), nie wiem, czy na wiosnę 1984 roku w ogóle wszedłbym do składu, a nawet jeśli tak, to czy rozegrałbym więcej niż kilka meczów w tej drużynie. Najdelikatniej mówiąc, uważam, że trenerowi Żmudzie brakowało osobowości niezbędnej do tego, żeby w tamtych warunkach i w tamtej sytuacji stworzyć zespół na miarę tego, który zaledwie kilka lat wcześniej odnosił znaczące sukcesy. Wtedy trzon Widzewa tworzyła grupa piłkarzy o, powiedzielibyśmy oględnie, nietuzinkowych charakterach: Boniek, świętej pamięci Burzyński, Grębosz, Tłokiński, Błachno... Wszystkie nieporozumienia załatwiali i wyjaśniali błyskawicznie między sobą, interwencja trenera by-ła w większości przypadków zbędna, a mogła nawet być szkodliwa. W takich warunkach trener Żmuda poległby z kretesem, a i później, kiedy do drużyny przyszli nowi zawodnicy, już może nie tak twardzi jak tamci, wymagający autorytetu i twardej ręki, radził sobie nieszczególnie dobrze. Naturalnie na moją ocenę w znacznej mierze wpływa to, w jaki sposób poradził sobie – a raczej: nie poradził sobie – ze stosunkami wewnątrz zespołu. Piszę o tym znacznie obszerniej w rozdziale poświęconym mojemu pobytowi w łódzkim Widzewie, tutaj więc, mówiąc o trenerach, powiem tylko, że pierwszą rzeczą, którą zrobił trener Waligóra po objęciu drużyny, było walnięcie pięścią w stół i stwierdzenie, że nie ma żadnej „sprawy Dziekanowskiego”, że jestem potrzebny zespołowi, że mogę wywierać korzystny wpływ na jego grę. Chyba miał rację, bo wiosna sezonu 1984/1985 to był dla mnie fantastyczny okres, zdecydowanie najlepszy z całego czasu, jaki spędziłem w Łodzi. Kończąc kwestię trenera Żmudy: wcale nie uważam, że był do mnie uprzedzony albo że darzył mnie jakąś szczególną niechęcią, nie uważam też, żeby brakowało mu fachowej wiedzy czy umiejętności szkoleniowych. Brakowało mu tylko – albo aż – osobowości. Czasem zawodnicy nie potrafiały wyłonić spośród siebie kilku, nazwijmy to, „przewodników stada”, którzy mieliby

więcej do powiedzenia czy to podczas treningów, czy w kontaktach ze szkoleniowcem i kierownictwem drużyny, i miotają się w tej swojej głupocie, często nie wiedząc, co, po co i dlaczego robią. Rolą trenera jest wtedy schwytywanie ich za gardła żelazną ręką, postawienie do pionu, wyznaczenie zadań i konsekwentne rozliczanie z ich wykonywania. Tymi umiejętnościami trener Żmuda na pewno nie dysponował, a konsekwencje ponosiłem nie tylko ja, ale także cała drużyna.

Z drugiej strony, należy się zastanowić, co by było, gdyby drużynę złożoną z takich twardzieli, jak Boniek, Grębosz, Możejko, Błachno czy Tłokiński, prowadził szkoleniowiec o wybujałym ego i ekstrawertycznej osobowości, owładnięty obsesyjną chęcią dominacji i stawiania na swoim, ingerujący we wszystkie nieporozumienia i konflikty, i maksymalnie ograniczający niezależność zawodników? Piłkarze, których przed chwilą wymieniałem, praktycznie decydowali o wszystkich wewnętrznych sprawach zespołu. Trener pozwalał im na to, nie szedł na zderzenie, nie prowadził do próby sił... i uczciwie trzeba przyznać, że całkiem dobrze to funkcjonowało. Prawdziwe problemy zaczęły się dopiero wtedy, kiedy „starszyzna” rozjechała się po świecie, jej miejsce zaś próbowali zająć zawodnicy trzymający się do tej pory w cieniu. Brakowało im charyzmy poprzedników, a trener nie potrafił wejść w nową, bardziej dominującą rolę, jakiej wymagały zmienione okoliczności. Jakieś pojęcie o tym, co się dzieje, kiedy drużynę bierze pod skrzydła osoba o znacznie bardziej rozbudowanym poczuciu własnej wartości i wrażliwa na punkcie swojego autorytetu, może dać sytuacja z pierwszego obozu szkoleniowego, na który wyjechaliśmy zaraz po objęciu stanowiska pierwszego trenera przez Bronisława Waligórę.

Było to w Karpaczu. Podczas jednego z pierwszych dni zajęć biegaliśmy „na tętno”. Była to nowość wprowadzona przez trenera Waligórę, do tej pory bowiem Władze słynął z tego, że wszystkie treningi, także te biegowe, odbywały się „na maksa”. Po jednej stronie boiska stał Gapiński, po drugiej Waligóra, a my ganiałiśmy między nimi. Mierzenie tętna, odpoczynek, po zejściu do właściwej częstotliwości kolejna porcja biegu. Kiedy znaleźliśmy się przy trenerze Gapińskim, ten kazał nam od razu biec z powrotem do Waligóry. Ktoś – nie pamiętam dokładnie kto, ale chyba Piotr Romke – przypomniał mu o konieczności zmierzenia tętna, bo takie polecenie wydał główny trener. „Co on p...doli!” – Gapiński na to. „Ganiać, ale już”. Po dobiegnięciu do trenera Waligóry ten sam Romke rezolutnie poinformował go o stosunku Gapińskiego do trenerskich zaleceń. Sekundę później było już po treningu, zespół wrócił do hotelu i rozpętała się straszliwa afera: Waligóra postanowił natychmiast wyrzucić Gapińskiego za kwestionowanie jego poleceń. Ponieważ zawodnicy ogromnie szanowali trenera Gapińskiego, udało się jakoś przebłagać głównego szkoleniowca, żeby okazał wspaniałomyślność, ale łatwo sobie wyobrazić, co by się działo, gdyby do takich konfliktów na tle ambicjonalnym dochodziło częściej, w dodatku nie między trenerami, ale na styku trener–piłkarze...

Chyba właśnie przy trenerze Waligórze i w znacznym stopniu dzięki niemu wszedłem w fazę piłkarskiej dorosłości. To oczywiście nie znaczy, że później nie popełniałem już dużych błędów – wręcz przeciwnie: było ich sporo, a wiele z nich opisuję na kartach tej książki – ale gdyby nie on, przypuszczalnie byłoby ich jeszcze więcej.

Do Celticu sprowadził mnie Billy McNeill, legenda klubu, związany z nim przez całe dorosłe piłkarskie życie. W koszulce w białe i zielone pasy rozegrał niemal pół tysiąca



spotkań, a choć przez całą karierę występował na obronie, udało mu się zdobyć ponad dwadzieścia bramek. Jego trenerska filozofia sprowadzała się niemal wyłącznie do motywowania zawodników. Ogromną wagę przywiązywał także do tego, żeby każdy piłkarz wykonywał na boisku te zadania, do których był najlepiej predysponowany, a oprócz tego żeby był w każdej chwili gotów pospieszyć kolegom z pomocą tam, gdzie akurat pomoc była potrzebna. „W każdej chwili” oznaczało tak naprawdę „przez cały czas”. Na odprawach niewiele uwagi poświęcał taktyce; jeśli nawet rozrysowywał schematy, to – oględnie mówiąc – dość proste. Uważał, że jest od tego, żeby nas zmotywować do biegania po boisku przez dziewięćdziesiąt minut, a jak będzie trzeba, to i przez więcej. W tamtych czasach we wszystkich szkockich drużynach obowiązywał kult pracy: zawodnicy wychodzili na boisko po to, żeby uczciwie i z maksymalnym zaangażowaniem pracować, bohaterami zaś zostawali nie ci, którzy popisali się paroma sztuczkami, ale ci, którzy najciężej harowali. Billy prowadził Celtic dwukrotnie: w latach 1978–1983 i 1987–1991. W sezonie 1989/1990, kiedy ściągnął mnie do Glasgow, zajęliśmy w lidze piąte miejsce, co nijak się miało do ambicji i oczekiwań zarówno właścicieli klubu, jak i kibiców. Nie stracił pracy wyłącznie ze względu na nadzwyczajny szacunek, jakim się cieszył, i na status żywej legendy klubu. Dano mu jeszcze jedną szansę, ale trzecie – zaledwie trzecie – miejsce w kolejnym sezonie przypieczętowało jego los.

Billy był pierwszym zagranicznym szkoleniowcem, z którym miałem okazję pracować. Tym, co najbardziej mnie uderzyło, był znacznie mniejszy niż w Polsce dystans między zawodnikami i trenerem. Naturalnie w każdej sytuacji decydujący głos należał do szkoleniowca, na co dzień jednak nie podkreślał swojej prawdziwej czy też wyimaginowanej wszechwiedzy, dopuszczał nas do głosu, nie unikał starć i ostrej wymiany poglądów. Nie mogło zresztą być inaczej, ponieważ wszyscy piłkarze wręcz kipieli energią, chęcią pokazania się, zaakcentowania swojej roli w drużynie. Każdy miał coś do powiedzenia, każdy chciał podkreślić swoje zaangażowanie, w związku z czym opcja całkowitej i niepodważalnej dominacji szkoleniowca nad zespołem po prostu nie wchodziła w grę. W Polsce niekiedy opłacało się być pokornym i cichym, tam – nigdy. Skoro trener nie tylko dopuszczał zawodników do głosu, ale wręcz oczekiwał od nich aktywności i mocnego akcentowania własnych poglądów, to należało z tego korzystać.

O jego następcy, Liamie Bradym, dość obszernie piszę w rozdziale poświęconym Celticowi. Tutaj powiem tylko, że chyba został trenerem, zanim przestał być piłkarzem. Na początku grywał nawet od czasu do czasu w drugim zespole i wydaje mi się, że całkiem serio myślał o występach w pierwszej drużynie. Wydaje mi się, że takie podejście bardziej mu przeszkadzało, niż pomagało. Nie potrafił spojrzeć na zespół z szerszej perspektywy; zastanawiał się wyłącznie nad poczynaniami poszczególnych zawodników, chwilami pewnie podświadomie zadając sobie pytanie: „Co ja bym zrobił na jego miejscu?”. Potrafił sensownie doradzić coś temu czy innemu graczowi, ale był bezradny, kiedy należało zająć się konstruowaniem drużyny. O tym, że nie jest to tylko moja subiektywna ocena, świadczy fakt, że w Celticu podziękowano mu już po dwóch sezonach i że potem nigdy już nie poprowadził żadnego klasowego zespołu.

Bardzo dobre wspomnienia zachowałem o Szkocie Jimmym Lumsdenie, menedżerze Bristol City – trudno zresztą, żeby było inaczej, skoro to on właśnie na bardzo korzystnych warunkach

ściągnął mnie do tego klubu. Jego następcą został Anglik Denis Smith, który po meczach często chodził z nami na kolacje i w ogóle był dość „rozrywkowym” człowiekiem. Właśnie z tą jego cechą wiąże się zabawne wspomnienie. W klubie obowiązywał zwyczaj, że po zakończeniu sezonu zawodnicy i sztab szkoleniowy – bez rodzin – wyjeżdżali na tydzień w jakieś przyjemne miejsce na południu Europy. Można powiedzieć, że było to połączenie wypoczynku z imprezą integracyjną. Latem 1992 roku, dwa dni po ostatnim meczu, mieliśmy lecieć z Gatwick do Magaluf na Majorce. Byłem w zespole jedynym zawodnikiem z Europy Wschodniej i jakoś nikomu nie przyszło do głowy, że będę potrzebował hiszpańskiej wizy. Problem wyszedł na jaw dopiero na lotnisku. Smith podjął decyzję, że zespół polecie zgodnie z planem – trudno zresztą, żeby było inaczej – a ja załatwię sobie wizę i dołączę do nich najszybciej, jak to będzie możliwe. Następnego dnia minutę po rozpoczęciu godzin urzędowania zameldowałem się w wydziale wizowym Ambasady Hiszpanii w Londynie, gdzie usłyszałem, że nie ma żadnego problemu, oczywiście dostanę wizę... ale za kilka dni. Widząc moją smutną minę, urzędniczka westchnęła głęboko, wymamrotała coś w rodzaju: „No dobrze, zobaczymy, co się da zrobić” i wzięła ode mnie paszport – tylko po to, żeby natychmiast mi go zwrócić. Okazało się, że po to, by otrzymać wizę, powinienem mieć paszport ważny jeszcze co najmniej przez trzy miesiące, ważność zaś mojego kończyła się za miesiąc. Widząc, że moja sytuacja jest beznadziejna, i chyba nie chcąc wyjść na bezduszną biurokratę, urzędniczka z uśmiechem obiecała mi, że jeśli przed czternastą zjawię się z nowym paszportem, to dostanę wizę „od ręki”. Wydawało jej się, że jest całkowicie bezpieczna, ale bardzo się pomyliła.

Było kilka minut po dziewiątej, samolot do Magaluf odlatywał o szesnastej czterdzieści pięć. Wsiadłem w taksówkę i pojechałem do polskiej ambasady. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłem, była ciągnąca się aż na ulicę kolejka interesantów. Kompletnie załamany, nie mając najmniejszej nadziei na załatwienie czegokolwiek, wszedłem jednak do środka.

– O, pan Darek! – usłyszałem za plecami czyjś głos. – A co pan tutaj robi?

Okazało się, że rozpoznał mnie jeden z pracowników. Opowiedziałem mu moją smutną historię.

– Panie Darku, nie ma żadnego problemu! Pomożemy panu. Za trzy–cztery dni będzie pan miał nowy paszport.

Kiedy mu wyjaśniłem, że muszę go mieć za trzy–cztery godziny, wytrzeszczył na mnie oczy.

– Czy pan oszalał? Paszport w trzy godziny? Przecież to niemożliwe!

Zaraz potem jednak podrapał się po głowie, kazał mi poczekać, po czym gdzieś zniknął. Po jakichś dwudziestu minutach wrócił z jakimś człowiekiem, który zmierzył mnie surowym wzrokiem i wyciągnął rękę po mój ważny/nieważny paszport. Potrzebne jeszcze było zdjęcie, ale to akurat nie przedstawiało większego problemu.

Półtorej godziny później, ze świeżutkim, jeszcze pachnącym paszportem w kieszeni, jechałem taksówką z powrotem do ambasady Hiszpanii. Zrobiło się zbiegowisko, wszyscy oglądali mój paszport, poddano go wszelkim możliwym testom. Żałuję, że nie mogłem uwiecznić na zdjęciu miny urzędniczki, która tak pochopnie obiecała mi natychmiastowe wydanie wizy... Dotrzymała jednak słowa. Ze wstemplowaną wizą pogałem do hotelu, stamtąd na Gatwick i dosłownie w ostatniej chwili zdążyłem wsiąść do samolotu.

Po dotarciu na miejsce stwierdziłem ze zdziwieniem, że w hotelu nie ma żadnego z moich

kolegów. Miejsce się zgadzało, recepcjonista potwierdził, że tu właśnie mieszka drużyna Bristol City F.C., czekał na mnie zarezerwowany pokój, ale gdzie oni wszyscy się podzieli? Poszukiwania rozpocząłem od okolicznych barów i rzeczywiście, to tu, to tam zacząłem trafić na grupki zawodników. Większość sprawiała wrażenie, jakby solidnie i bez przerwy trenowała od chwili przylotu, czyli od dwudziestu czterech godzin. Nigdzie jednak nie mogłem znaleźć Denisa Smitha...

Trener odnalazł się na trzeci dzień. W Magaluf przejście na plażę przypominało te znad polskiego morza: piaszczysta dróżka wiodąca przez las i wydmy, ogrodzona po obu stronach. Mniej więcej w połowie drogi znajdował się niewielki bar, w którym zaraz po przylocie zaparkował Smith i przez trzy dni nie ruszał się nawet na krok. Odnaleziony, kategorycznie odmówił zmiany miejsca zamieszkania, a co gorsza, wyłapywał wszystkich przechodzących piłkarzy i zmuszał ich, by towarzyszyli mu w degustacji trunków. Przejście było wąskie, trener – mimo narastającego zmęczenia – miał bystry wzrok, w związku z czym ci z nas, którzy chcieli zakosztować kąpieli w morzu, albo przynajmniej na nie popatrzeć, byli bez szans. Doszło to tego, że najbardziej zdesperowani przełazili przez ogrodzenie i czołgali się przez wydmy, ale i tak część z nich trafiła w szpony bezwzględного Anglika. Nigdy wcześniej na żadnym klubowym wyjeździe nie byłem świadkiem takiego... hm... powiedzmy: całkowitego roztrenowania. Z pewnością w znacznej mierze wynikało ono z faktu, że przez pozostałe pięćdziesiąt jeden tygodni w roku zdecydowana większość piłkarzy pracowała na najwyższych obrotach, w minimalnym stopniu korzystając z uciech życia. To samo dotyczyło sztabu szkoleniowego, w tym trenera Smitha, ale akurat on po tym jednym tygodniu chyba bardzo potrzebował roku ciężkiej pracy, żeby dojść do siebie przed kolejnym wyjazdem...

Pracując z tyloma jakże różnymi szkoleniowcami, oczywiście gromadziłem obserwacje i wyciągałem wnioski, które później z lepszym lub gorszym skutkiem starałem się wprowadzać w życie jako trener. Z ciekawością słuchałem też opowieści kolegów o zaletach i wadach trenerów, z którymi mieli okazję się zetknąć. W myśl jakże słusznej zasady, że „punkt widzenia zależy od punktu siedzenia”, moje przemyślenia z okresu, kiedy byłem zawodnikiem, różnią się od tych z czasów, kiedy pracowałem jako trener, a także z chwili obecnej, ale z pewnością mogę się pokusić o sformułowanie paru opinii, pod którymi mógłbym podpisać się zarówno kiedyś, jak i teraz.

Niektórzy zawodnicy grają najlepiej wtedy, kiedy cieszą się na boisku pełną lub prawie pełną swobodą, kiedy mogą według własnego uznania reagować na przebieg gry, kiedy robią to, co w danej chwili uważają za stosowne. Nie brakuje jednak i takich, których trzeba wpychać w dość sztywne ramy, przydzielać im precyzyjnie określone zadania, wyznaczać obszary działania i zaprogramować różne warianty postępowania. Rolą trenera jest przede wszystkim określić, do której grupy zaliczają się poszczególni piłkarze, a następnie obmyślić sposób jak najbardziej efektywnego wykorzystania zalet i wad obu, mówiąc nieładnie, podgatunków. Trzeba pamiętać, że to nie jest tak, że ci nieskrępowani i obdarzeni fantazją są wspaniali, a ci lubiący działać według schematu – beznadziejni. Do każdej z tych grup należą zarówno gracze doskonali, jak i bardzo przeciętni, tym poważniejsza więc rola trenera, który musi oddzielić ziarno od plew i dać każdemu możliwość robienia tego, co potrafi najlepiej, naturalnie z korzyścią dla drużyny.

Fajnie jest, kiedy trener dopuszcza zawodników do głosu, słucha ich i korzysta z ich

doświadczenia, ale oczywiście to on podejmuje decyzje i jest za nie całkowicie odpowiedzialny. Jeden ze znanych szkoleniowców powiedział kiedyś, że od poniedziałku do piątku w zespole panuje demokracja i jest miejsce na dyskusje, ale kiedy nadchodzi meczowy weekend, dyskusje się kończą a demokrację zastępuje dyktatura. Doskonałym przykładem sytuacji, kiedy selekcjoner nie potrafił – a może nie chciał – zdecydowanie wkroczyć między rozdyktowanych zawodników, uciąć jałowych dyskusji i znacznie ograniczyć liczby osób mających wpływ na zespół, i to nie tylko na boisku, lecz także poza nim, są Mistrzostwa Świata w 1978 roku. Reprezentacja Polski po raz pierwszy jechała na nie w roli jednego z faworytów. Teoretycznie wszystko przemawiało na naszą korzyść: zrównoważona mieszanka rutyny i młodych talentów, korzystający ze wszelkich dostępnych nowinek sztab szkoleniowy, wyraźny kryzys formy kilku reprezentacji pretendujących do czołowych miejsc w turnieju... Niestety, zawiódł jeden z najistotniejszych czynników, to znaczy współpraca i komunikacja na linii trener–zawodnicy. Ogromna fachowa wiedza i doskonałe przygotowanie merytoryczne Jacka Gmocha nigdy nie ulegały wątpliwości, ale był on – i jest – osobą skupiającą na sobie uwagę, brylującą w mediach i lubiącą zawsze mieć ostatnie słowo. Jednym słowem: gwiazdą. Gwiazdy często mają jednak to do siebie, że są kapryśne i niestałe, i zdaje się, że te właśnie cechy charakteru selekcjonera bardzo niekorzystnie wpłynęły na morale zespołu, stosunki w nim panujące, a w konsekwencji na formę sportową. Brak jasnych i przejrzystych kryteriów powoływania do pierwszego składu, tolerowanie powstawania grup wzajemnej adoracji, a potem przymykanie oczu na podjazdowe wojny, jakie między sobą toczyły, niejasności w systemie premiowania zawodników – wszystko to sprawiło, że drużyna o naprawdę ogromnym potencjale zaprezentowała się zaledwie przeciętnie, i choć państwowa propaganda zachwycała się „5.–6. miejscem na świecie”, to jednak dominującymi uczuciami wśród kibiców, a i chyba wśród piłkarzy, były rozczarowanie i niesmak.

Podstawową sprawą przy budowie zespołu, który ma grać w trwającym kilka tygodni turnieju, a wcześniej pracuje kilka tygodni na zgrupowaniu, jest jasne i precyzyjne określenie miejsca każdego zawodnika. To oczywiście nie wyklucza zdrowej rywalizacji, wręcz przeciwnie – zmiennicy, którzy wiedzą, że na dzisiaj są zmiennikami, będą stawali na głowach, żeby jak najszybciej przekonać selekcjonera, iż zasługują na więcej; brak niedomówień i niejasności, a także określenie jasnych i precyzyjnych reguł, pozwalają uniknąć niesnasek i wojen podjazdowych, w ostatecznym efekcie wyniszczających zarówno dla piłkarzy, jak i dla zespołu. Trener musi utwierdzić w przekonaniu nie tylko rezerwowych, lecz także zawodników niemieszczących się nawet na ławce, że są potrzebni drużynie, że są ważni, że ich wysiłek i umiejętności też są doceniane. Ci ludzie muszą wiedzieć, dlaczego akurat w tej chwili nie są w pierwszym szeregu oraz co muszą zrobić, żeby maksymalnie zwiększyć swoje szanse na to, żeby się tam dostać. Jeśli do układania tych spraw biorą się sami zawodnicy, jeśli nie ma kogoś, kto nie tylko potrafi im jasno i wyraźnie przedstawić swój punkt widzenia, ale dysponuje też wystarczającym autorytetem, żeby ów punkt widzenia stał się jedynie obowiązującym, to efekty mogą być w najlepszym razie średnie, z reguły zaś są opłakane.

Jeśli mówimy – całkiem słusznie zresztą – że na mistrzostwach w 1978 roku najjaśniej rozblęła gwiazda Zbigniewa Bońka, to pewnie między innymi dlatego, że spośród wielu wybitnych zawodników wchodzących w skład ówczesnej drużyny on najłatwiej i najszybciej

dostosował się do panujących wtedy zasad, dzięki swojej inteligencji błyskawicznie zorientował się, czego – oprócz talentu i umiejętności – trzeba do zrobienia kariery, i natychmiast zaczął tę wiedzę wprowadzać w życie. A czego trzeba? Przebojowości, bezwzględności i skóry jak u nosorożca. Paradoksalnie to, co ponad wszelką wątpliwość zaszkodziło drużynie, pomogło Zbyszkowi wystartować do wielkiej i całkowicie zasłużonej kariery; kto wie, jak potoczyłyby się jego losy, gdyby trafił wtedy na zimnokrwistego zamordystę, trzymającego drużynę żelazną ręką?

Innym przykładem braku dobrej komunikacji na linii trener–zawodnik i braku – ze strony tego pierwszego – chęci wyjaśnienia piłkarzowi jego roli i miejsca w drużynie, jest mundial z roku 1986. Chodzi o trenera Antoniego Piechniczka i o Władka Żmudę, najbardziej doświadczonego zawodnika w drużynie, którego niezadowolenie z powodu odsuwania od gry miało naprawdę destrukcyjny wpływ na morale zespołu. O samym turnieju i o moich wrażeniach z niego opowiadam w innym miejscu tej książki, teraz więc ograniczę się do stwierdzenia, że właśnie takie nieporozumienia czasem decydują o porażce tam, gdzie w innych okolicznościach można by pokusić się o zwycięstwo.

Wspomniałem o komunikacji między szkoleniowcem i zawodnikami. Jest to niesamowicie istotna sprawa, z którą – w moim przekonaniu – zwłaszcza u nas, w Polsce, nie jest najlepiej. Tak jak w każdym środowisku i w całym społeczeństwie, również wśród piłkarzy są mniej i bardziej lotni, mniej i bardziej wgłębiający się w tajniki swojego zawodu, lepiej i gorzej potrafiący analizować grę swoją oraz kolegów. Dobry trener powinien potrafić nawiązać kontakt ze wszystkimi i – na tyle, na ile w indywidualnych przypadkach jest to możliwe – wyjaśnić, czego oczekuje od poszczególnych piłkarzy i od całej drużyny, jakie stawia im cele i w jaki sposób planuje je osiągnąć. Może to zabrzmieć zabawnie, ale zawodnik – czy tego chce, czy nie – musi na boisku myśleć. Niewybitny, ale myślący i wyciągający wnioski piłkarz może się okazać dużo cenniejszy dla zespołu od zawodnika doskonale wyszkolonego technicznie, ale pozbawionego tzw. piłkarskiej inteligencji.

# Życie po życiu (piłkarskim)

Teraz już wiem, że karierę piłkarską zakończyłem 13 stycznia 1997 roku. Tego dnia otrzymałem od zarządu warszawskiej Polonii pismo jednostronnie rozwiązujące umowę, na której mocy występowałem w tym klubie. Z prawnego punktu widzenia było to kuriozum – mało wyrefinowany wybieg mający na celu wyłącznie niewywiązanie się z istotnych zobowiązań finansowych. Po ciągnącym się wiele lat procesie zapadł zresztą wyrok nakazujący Polonii dotrzymać warunków umowy, ale to akurat nie jest w tej chwili najważniejsze. Wtedy, w styczniu 1997 roku, nie miałem pojęcia, że właśnie dobiegł końca ważny – ba, najważniejszy, jak do tej pory – etap mojego życia.

Przekonałem się boleśnie na własnej skórze, że sportowe powroty prawie zawsze są trudne, bywają zaś przykre i bolesne. Polonia, do której wróciłem, nie była już tą Polonią, z której odchodziłem w wieku kilkunastu lat. Ogarnęły mnie frustracja i zniechęcenie; niby cały czas rozglądałem się za nowymi możliwościami, rozmawiałem z agentami, dzwoniłem tu i tam i odbierałem telefony z sondażowymi pytaniami, ale wszystko to robiłem na pół gwizdka, bez większego zaangażowania. Nie obraziłem się ani na świat, ani na piłkę, nie powiedziałem: „Mam dosyć” – po prostu przestało mi się chcieć. Inne sprawy, takie jak choćby rozpoczęty właśnie spór sądowy z władzami Polonii czy kolejne problemy w życiu osobistym, dodatkowo tłumili ten bardzo niewielki zapal, jaki jeszcze byłem w stanie z siebie wykrzesać. Z równie małym zaangażowaniem podchodziłem także do pojawiających się propozycji biznesowych, co z góry skazywało je jeśli nie na sromotną klęskę, to z pewnością tylko na nędzną wegetację.

Nic, co wówczas robiłem, nie było pomysłem na życie, wszystko zasługiwało co najwyżej na miano wypełniacza czasu, którego teraz miałem tyle, ile nigdy w życiu. Przez blisko rok współpracowałem z dużym i prężnym dystrybutorem sprzętu fotograficznego, pośrednicząc w kontaktach reklamowych m.in. z Legią. Działiałem w ramach stworzonego przez UEFA programu „Grassroots”, mającego na celu podnoszenie kwalifikacji trenerów pracujących z piłkarską młodzieżą; to akurat było wartościowe i interesujące przeżycie, ponieważ w zacnym towarzystwie doskonałych byłych zawodników (m.in. Zvonimira Bobana, Paulo Sousy, Sergieja Alejnikowa czy Hansiego Müllera) mogłem opowiadać o swoich piłkarskich doświadczeniach, a przy okazji słuchać znacznie bardziej utytułowanych kolegów i uczyć się na ich doświadczeniach. Przydało mi się to później, w pracy trenerskiej. Przez około pół roku, za prezesury Marka Pietruszki, działałem w dziale marketingu warszawskiej Legii, prowadzonej wtedy – był to ewenement na pewno na skalę europejską, a kto wie, czy nie światową – przez dwóch szkoleniowców: Stefana Białasa i Jerzego Kopę. Nie przesadzę, jeśli powiem, że tych kilka lat bezpośrednio po zakończeniu sportowej kariery przecieкло mi między palcami, nie zostawiając niczego konkretnego czy choćby w miarę sensownego. Być może wyglądałoby to inaczej, gdybym był na finansowym „musiku” albo gdybym miał bardziej poukładane życie osobiste – tak jednak nie było, w związku z czym mijały dni, tygodnie i miesiące wypełnione nie wiadomo czym, dziejącym się nie wiadomo po co i nie wiadomo dlaczego.

Zmiana nastąpiła w styczniu 2002 roku, kiedy podjąłem pracę w PZPN w charakterze

selekcjonera reprezentacji Polski juniorów. Wszystko zaczęło się od jednego z pierwszych spotkań Klubu Wybitnego Reprezentanta, jesienią 2001 roku w Bydgoszczy. Prezesem Klubu był wtedy Grzegorz Lato, prezesem PZPN Michał Listkiewicz, wiceprezesem Związku Zbyszek Boniek i właśnie Zbyszkowi wspomniałem mimochodem, że gdyby była taka możliwość, to chętnie poprowadziłbym juniorską reprezentację. Wydawało mi się, że Zbyszek puścił moją deklarację mimo uszu, więc i ja szybko o niej zapomniałem.

O dziwo, Zbyszek nie zapomniał. Kilka miesięcy później zaprosił mnie na rozmowę i poinformował, że z dniem 1 stycznia 2002 roku obejmę funkcję selekcjonera kadry narodowej juniorów rocznika 1986. Zapewnił mnie, że będę mógł spokojnie skoncentrować się na pracy, bo nikt nie będzie ode mnie oczekiwał natychmiastowych wyników. Takie podejście bardzo mi odpowiadało, chciałem bowiem pracować nad rozwojem umiejętności technicznych zawodników, a to zwykle przynosi efekty dopiero po dłuższym czasie. Z własnego doświadczenia wiedziałem, że nauka nawet najbardziej wymyślnych i rewolucyjnych schematów taktycznych nie zda się na wiele, jeśli piłka po przyjęciu odskakuje na dwa metry od nogi albo jeżeli zawodnik nie potrafi prowadzić jej z podniesioną głową, mając przegląd sytuacji na całym boisku.

W czasach szkolnych zwykle to ja ustalałem skład klasowej drużyny i odpowiadałem za taktykę. Wbrew powszechnej opinii, że taktyka podczas szkolnych meczów polega wyłącznie na tym, by strzelić więcej bramek od przeciwnika, bo i tak wszyscy gnają do przodu, usiłując dopaść piłkę i wpakować ją do bramki, my staraliśmy się wprowadzić w naszym mniemaniu, finezyjne nieznanne na tym poziomie, rozwiązania. Jednym z najistotniejszych było pozostawienie z tyłu przynajmniej jednego dobrego zawodnika, który potrafiłby zrobić coś sensownego w obronie. Siebie ustawiałem zwykle na środku pomocy, bo po pierwsze, dzięki temu mogłem do woli robić to, co lubiłem najbardziej, czyli kiwać, a po drugie, kiedy już obkoczyła mnie połowa zawodników drużyny przeciwnej, mogłem podać piłkę nieobstawionemu napastnikowi, stwarzając mu szansę zdobycia gola. Teraz może nie brzmi to szczególnie odkrywczo ani rewelacyjnie, ale wówczas, w gronie dziesięcio- albo dwunastoletnich chłopaków, stanowiło nadzwyczajne osiągnięcie myśli taktycznej i szkoleniowej. Można powiedzieć, że zanim jeszcze zacząłem na dobre grać, byłem już grającym trenerem...

Praca z wyróżniającymi się zawodnikami, którzy właśnie zbliżają się do progu piłkarskiej dorosłości, to wielka przyjemność, ale także ogromna odpowiedzialność. Cała sztuka polega na tym, żeby nie wbić ich w niepotrzebną dumę, a równocześnie uświadomić, że grając w młodzieżowej reprezentacji kraju, stają przed szansą, której wykorzystanie będzie w znacznej mierze zależec od nich samych. Solidna praca, szanowanie swojego organizmu, omijanie głupich lub złych doradców, korzystanie z podpowiedzi mądrych ludzi, którzy im dobrze życzą – wszystko to może zaprowadzić ich wysoko i daleko. Tak wysoko i tak daleko, jak pozwoli rozmiar ich talentu. Gwarancji nie ma oczywiście żadnych, ale szanse są i warto zrobić wszystko, a przynajmniej wiele, żeby je wykorzystać. Z rozwojem młodego piłkarza jest trochę tak jak z treningiem młodego rycerza Jedi: co krok pojawiają się pokusy, żeby pójść na skróty, żeby uwierzyć, że już posiadało się wystarczającą wiedzę i zacząć z niej bez ograniczeń korzystać, a wraz z nią z bonusów i przyjemności, o jakie w piłkarskim świecie tak łatwo. Stanowczo zbyt łatwo. Garściami można by sypać przykłady młodych – zbyt młodych –

piłkarzy, przedwcześnie okrzykniętych gwiazdami, omamionych przez żądnych zysku menedżerów, którzy dali się skusić i przeszli na ciemną stronę Mocy. Dziś albo nikt już o nich nie pamięta, albo jeśli nawet ich nazwiska pojawiają się w serwisach informacyjnych, to raczej w rubrykach towarzyskich lub sensacyjnych, a nie sportowych. Na to także zamierzałem uczuć moich podopiecznych, może nie w aż tak obcesowy i bezpośredni sposób, bo nie chciałem całkowicie odzierać ich ze złudzeń wobec świata. Pamiętając o własnych błędach i rozczarowaniach, czułem się odpowiedzialny nie tylko za czysto techniczną, piłkarską stronę ich rozwoju.

Moim najbliższym współpracownikiem został Waldemar Prusik, z którym wielokrotnie miałem przyjemność występować w drużynie narodowej. Jest to jeden z najlepiej zorganizowanych, trzeźwo myślących ludzi, jakich w życiu spotkałem. Kierownikiem drużyny był Tomasz Zabielski, masażystą zaś Karol Seliga.

Pierwsze zgrupowanie mieliśmy już w lutym w Ciechanowie. Większość jego uczestników miała, jak na tę grupę wiekową, całkiem spore doświadczenie, ponieważ co najmniej od roku występowali w reprezentacji kierowanej przez mojego poprzednika, Krzysztofa Chrobaka. Byli wśród nich m.in. Jakub Rzeźniczak, Mariusz Pawelec i Radosław Próchnik. W tamtym okresie prawie wszyscy wyróżniający się młodzi piłkarze występowali w dwóch klubach: Amice Wronki i Wiśle Kraków, siłą rzeczy więc stamtąd właśnie rekrutowała się większość kadrowiczów. W drużynie mieliśmy też kilku chłopców z mało znanego, ale niezłe pracującego z młodzieżą Debiutanta Gdańsk. Na pierwszej odprawie, która odbyła się wieczorem w hotelu, podkreślałem przede wszystkim konieczność maksymalnego zaangażowania w pracę i poważnego traktowania obowiązków, co oznaczało – powtórzyłem to kilka razy – także niespóźnianie się na zajęcia i posiłki, bo spóźnianie oznacza brak szacunku dla kolegów, a jeśli ktoś się spóźnia na co dzień, to nie można na niego liczyć w najważniejszych chwilach, i tak dalej, i tak dalej. Odprawę zakończyłem dziarskim: „Do zobaczenia jutro o ósmej na śniadaniu!”.

Obudziłem się pięć po ósmej.

Minutę później, witany rozbawionymi spojrzeniami zawodników – wszyscy, co do jednego, czekali przed drzwiami restauracji – zszedłem na dół i z kamienną twarzą przeprosiłem wszystkich, tłumacząc się ważną rozmową telefoniczną. Początek miałem więc nie najlepszy, ale później bardzo się pilnowałem, żeby nic takiego już się nie powtórzyło.

Krótko po tym zgrupowaniu, bo już w marcu, wyjechaliśmy na turniej do Belgii. Oprócz gospodarzy i naszego zespołu uczestniczyły w nim także drużyny Irlandii i Serbii. Pierwsze spotkanie, z Belgią, przegraliśmy sromotnie 0:3. (W drużynie przeciwników na pozycji stopera grał Vincent Kompany, obecnie gwiazda Manchesteru City). Gdyby wynik był dwukrotnie wyższy, nie moglibyśmy mieć do nikogo pretensji. Byliśmy gorsi pod każdym względem, ale zwłaszcza na dwóch polach dominacja Belgów dosłownie waliła po oczach: chodziło o przygotowanie techniczne i psychikę zawodników. Niektórzy z naszych przegrali ten mecz jeszcze w szatni, a w najlepszym razie w stadionowym tunelu. Byłem zszokowany, wcześniej bowiem przez myśl mi nie przeszło, że młodzi ludzie myślący całkiem poważnie o tym, żeby piłka nożna stała się ich sposobem na życie i aspirujący do miana najlepszych w kraju, mogą wykazać się tak małą wiarą we własne siły... Sytuacja powtórzyła się w następnym spotkaniu z Serbią, a także w kończącym turniej meczu z Irlandią; wiedziałem



już, że sprawa jest poważna i że czeka mnie znacznie trudniejsze zadanie, niż przypuszczałem.

Tak też było. Graliśmy dużo, choć może nie zawsze z takimi przeciwnikami, na jakich najbardziej mi zależało, często przegrywaliśmy, a ja zachodziłem w głowę, czy zawodnicy, których polecają trenerzy klubowi, rzeczywiście są najlepszymi juniorami w kraju, bo jeśli tak, to chyba należałoby się natychmiast położyć i umrzeć. Całymi tygodniami jeździłem po Polsce z Waldkiem, żeby na własne oczy przekonać się, jak jest naprawdę. Nie wierzyłem, że np. na Śląsku, popularnie nazywanym – i słusznie – wylęgarnią piłkarskich talentów, nie znajdziemy graczy lepszych od tych, którzy tak przeciętnie prezentują się w kadrze. Od czasu do czasu udawało się wyłowić kogoś rokującego nadzieje, kto miał nawet problemy z przebicciem się do reprezentacji niższego szczebla (miasta, województwa czy regionu), a kto natychmiast wskakiwał do pierwszego składu w drużynie narodowej. Tak było na przykład z grającym w Zniczu Pruszków Radosławem Majewskim, który w meczach reprezentacji Warszawy z reguły siedział na ławce rezerwowych. Na efekty tych działań trzeba było jednak poczekać; członkowie Wydziału Szkolenia PZPN z pewnością poważnie się zastanawiali, czy moja praca daje jakiegokolwiek nadzieje na sukces.

Waldek, zresztą zgodnie z moimi oczekiwaniami, okazał się niezwykle cennym i lojalnym współpracownikiem. Spieraliśmy się wielokrotnie, ale nie po to, żeby udowodnić, kto jest głupszy, tylko po to, by znaleźć najlepsze rozwiązanie i wybrać najlepszy pomysł. Przez cztery lata naszej pracy przez reprezentację przewinęło się wielu piłkarzy, którzy potem odgrywali – a niektórzy z nich wciąż odgrywają – ważną rolę w polskim futbolu. Mariusz Pawelec, Adam Kokoszka, Jakub Rzeźniczak, Adrian Mierzejewski, Radosław Majewski, Dariusz Zjawiński, Grzegorz Krychowiak... Graliśmy coraz lepszą, coraz bardziej nowoczesną piłkę, z większości z ponad dwudziestu meczów w roku mogliśmy być bardzo zadowoleni. Mimo to nie udało nam się awansować do turniejów finałowych Mistrzostw Europy.

To bolało, bo każdy sportowiec, a zwłaszcza młody, niczego nie pragnie tak bardzo jak znaczących sukcesów na wielkich imprezach. Zwycięstwa były, i to w dużej liczbie, ale porażki lub remisy w decydujących meczach sprawiały, że jako trenerowi nie udało mi się powtórzyć moich osiągnięć z juniorskiego okresu mojej kariery. Na pewno za to udało nam się – nam, bo to była zasługa całego sztabu szkoleniowego – osiągnąć coś innego: stworzyliśmy w zespole dobrą atmosferę, zepchnęliśmy cwaniaków i rozrabiaków do drugiego szeregu, nie wprowadzając wojskowego rygoru wpoiliśmy zawodnikom dyscyplinę i pomogliśmy im zrozumieć, że ich zachowanie i postępowanie poza boiskiem ma zaskakująco bezpośrednie przełożenie na to, co prezentują podczas meczów. Bardzo miło wspominam te cztery lata.

To samo z czystym sumieniem mogę powiedzieć o kolejnych dwóch, spędzonych z pierwszą drużyną narodową w sztabie Leo Beenhakera, i to pomimo chwilami bardzo bolesnych zawirowań w moim życiu osobistym i zawodowym, o których obszernie piszę w rozdziale *U boku lwa*. W sumie więc przez sześć lat w moim życiu działało się sporo, ale jesienią roku 2008 znowu zrobiło się jakby pustawo; z jednej strony byłem z tego nawet trochę zadowolony, z drugiej natomiast zdawałem sobie sprawę, że wielkimi krokami zbliża się chwila, kiedy będę musiał sobie postawić pytanie: co dalej? W 2009 roku założyłem Polskie Stowarzyszenie Byłych Piłkarzy, wzorowane na istniejącym od wielu lat Europejskim Stowarzyszeniu Byłych Piłkarzy. W tym samym czasie rozpocząłem działalność w ramach Akademii Orlika – zorganizowanego pod egidą Ministerstwa Sportu programu mającego na

celu może nie tyle przyciągnięcie młodzieży napowstające wtedy w całym kraju nowoczesne boiska, tzw. orliki (zainteresowanie nimi i tak było bardzo duże), co stworzenie dzieciakom okazji spotkania z trenerami i zawodnikami, poddania się technicznym i fizycznym sprawdzianom, uczestniczenia w zajęciach pod kierunkiem zawodowców, zaznania smaku dużego wydarzenia sportowego. Program testów i sprawdzianów przygotowałem osobiście, ponieważ bardzo zależało mi na tym, żeby nie były nudne i przewidywalne oraz żeby dawały okazję wykazania się umiejętnościami adekwatnymi do wieku młodych piłkarzy. Zajęciom sportowym towarzyszyły występy artystów, konkursy, spotkania ze sportowcami i dziennikarzami. Imprezy te były organizowane w dużych ośrodkach, takich jak Warszawa, Poznań, Łódź czy Katowice; dbaliśmy o to, żeby na każdej zjawili się byli zawodnicy rozpoznawalni i popularni w danym regionie: na Górnym Śląsku byli to m.in. Marek Śrutwa i Radosław Gilewicz, na Dolnym Śląsku – Waldemar Prusik i Janusz Sybis, w Łodzi – Wiesław Wraga, Andrzej Możejko i Andrzej Grębosz, w Poznaniu – Andrzej Juskowiak i Paweł Wojtala, itd. Równie ważną częścią Akademii Orlika były szkolenia dla trenerów, którzy na co dzień mieli pracować z dzieciakami na nowo powstałych boiskach. Zajęcia trwały z reguły dwa dni: część teoretyczna odbywała się na Torwarze, praktyczna zaś na Agrykoli. Do moich obowiązków należało także zapraszanie gości zagranicznych, którzy mogliby podzielić się swoją wiedzą w formie wykładu, a potem poprowadzić pokazowy trening. Przyjeżdżali szkoleniowcy m.in. z Anglii i Szwajcarii, ale największym hitem miała być wizyta dwóch trenerów ze słynnej La Masii, czyli szkółki piłkarskiej FC Barcelona. Zebrani na Torwarze szkoleniowcy i goście powitali przybyłych burzą oklasków, ci zaś przywitali się grzecznie, wyrazili radość z możliwości uczestniczenia w tak ważnej i doskonale zorganizowanej imprezie, po czym jeden z nich rozpoczął wykład... o systemie opieki i pomocy weteranom katalońskiego klubu. Sądziłem, że to tylko zagajenie, że prelegent lada chwila przejdzie do rzeczy, ale minęło pięć, dziesięć, piętnaście minut – i nic. Wśród zebranych narastała konsternacja... Na szczęście okazało się, że był to jedynie dość długi wstęp. Już po kwadransie gość z Hiszpanii przeszedł do zasadniczego tematu i muszę powiedzieć, że był to najciekawszy i najbardziej wartościowy wykład podczas całej imprezy. Możliwość poznania doświadczeń ludzi, którzy zbudowali chyba najlepszy w świecie system pracy z uzdolnioną piłkarską młodzieżą, była dla nas nie lada gratką. Okazało się jednak, że nie wszyscy tak myślą, bo kiedy poszedłem do ówczesnego prezesa Legii Pawła Kosmali z propozycją, żeby zaprosić Hiszpanów na dłuższy cykl zajęć i prelekcji, mój pomysł nie spotkał się z żadnym zainteresowaniem. Nie skorzystać z wiedzy trenera Joana Vila Boscha, który szkolił m.in. Xavięgo i Carlesa Puyola... Cóż mogę powiedzieć? Wielka szkoda...

W roku 2011 postanowiłem zorganizować w Polsce Europejski Kongres Byłych Piłkarzy. Wcześniej byłem na takich imprezach w Hiszpanii i Anglii, widziałem, jak dużym cieszyły się zainteresowaniem, jak wielu znanych zawodników w nich uczestniczy, jak głośno o nich w mediach i ilu kibiców bierze udział w rozmaitych, towarzyszących im imprezach. Nasz kongres, na rok przed wielkim piłkarskim świętem – Euro 2012, organizowanym przez Polskę i Ukrainę – miał się różnić od tamtych tym, że byłby ściśle połączony z działalnością Akademii Orlika. Zgromadzenie w tym samym miejscu i czasie grona wybitnych byłych piłkarzy oraz licznej grupy rokujących nadzieje, zafascynowanych sportem dzieciaków, wydawało mi się doskonałym pomysłem i świetną promocją futbolu. Najwyraźniej nie tylko

mnie zresztą: choć pracowaliśmy w bardzo skromnych warunkach i dysponowaliśmy skromnymi siłami (poza mną w organizację imprezy były zaangażowane cztery osoby), to nie tylko udało nam się zgromadzić wystarczające fundusze, ale zapewnić wydarzeniu odpowiednią oprawę. Nie załamał nas nawet poważny cios w postaci wycofania patronatu przez Europejskie Stowarzyszenie Byłych Piłkarzy, które chciało rozporządzać gromadzonymi przez nas środkami, na co oczywiście nie mogliśmy się zgodzić. Oznaczało to dla nas podwójny, a nawet potrójny ból głowy, ale jakoś, dosłownie w ostatniej chwili, udało się wszystko dopiąć. W Kongresie wzięli udział m.in. Włodzimierz Lubański, Stanisław Oślizło, Jan Banaś, Jan Tomaszewski, Roman Wójcicki, a także wielu młodszych, świetnych byłych piłkarzy. Oprócz Turnieju Marzeń z udziałem szesnastu drużyn dziecięcych z całej Polski, zorganizowaliśmy dwa mecze: Znani i Lubiani (aktorzy, sportowcy, muzycy) przeciwko Orłom Górskiego oraz Reprezentacja Narodowa Gwiazd przeciwko Reprezentacji Europy, z udziałem m.in. Friediego Bobića, Quintona Fortune, L'ubomíra Moravčíka, Antona Polstera i Florina Rađucioiu. W imprezie uczestniczyło także wiele znanych i prominentnych osób spoza świata sportu, w tym generał Mieczysław Bieniek, wielki fan piłki nożnej i, podobnie jak ja, uczestnik pokazowego meczu, który w Brukseli, z okazji przyjęcia Polski do Unii Europejskiej, rozegrały reprezentacje Polski i Belgii złożone z polityków i byłych piłkarzy. Zależało mi na tym, żeby oprawa naszego Kongresu różniła się od tego, co zwykle można zobaczyć na typowych piłkarskich imprezach; uroczysta inauguracja z udziałem prezydent Warszawy, Hanny Gronkiewicz-Waltz odbyła się na Zamku Królewskim w Warszawie, gdzie przez pół dnia, w międzynarodowym gronie, dyskutowaliśmy między innymi o bezpieczeństwie na stadionach, o walce z rasizmem i udogodnieniach dla kibiców niepełnosprawnych, na zakończenie zaś zorganizowaliśmy kolację w foyer Teatru Wielkiego; goście wysłuchali koncertu znakomitego pianisty Pawła Kowalskiego, podawano dobre wino, obowiązywały stroje wieczorowe. Widać było, że niektórzy mają problem, żeby się w tym wszystkim odnaleźć, większości jednak takie poważne podejście do tematu bardzo się spodobało.

W połowie 2013 roku, zgłoszony przez PZPN, pojechałem do Szwajcarii na szkolenie i egzamin dla kandydatów na obserwatorów (delegatów) UEFA. Po zdanym egzaminie teoretycznym przyszła kolej na zajęcia praktyczne. Przydzielono mnie w charakterze „cienia” Wolfgangowi Thierrichterowi – austriackiemu obserwatorowi meczu Legii z walijskim The New Saints FC w drugiej rundzie eliminacji do Ligi Mistrzów. Spotkanie rozegrano 17 lipca przy Łazienkowskiej. Na początku sierpnia, przy okazji meczu Ligi Europy między Malmö i Swansea, sytuacja uległa odwróceniu: ja po raz pierwszy w życiu pełniłem funkcję delegata, on zaś nie odstępował mnie nawet na krok, obserwując i oceniając moje poczynania. Pozytywna ocena, jaką od niego otrzymałem, była równoznaczna z oficjalną nominacją na delegata UEFA.

To chwilami – zwłaszcza w przypadku meczów o dużą stawkę lub tzw. podwyższonego ryzyka – stresujące, ale bardzo ciekawe i odpowiedzialne zajęcie. Polega na monitorowaniu wszystkich działań organizatora przed, w trakcie i po meczu, pośredniczeniu w ewentualnych konfliktach na linii gospodarze–goście (np. w kwestii udostępnienia stadionu do treningu albo jakości hotelu), obserwacji tego, co na stadionie i w jego otoczeniu dzieje się przed spotkaniem i podczas meczu, sprawowaniu kontroli nad koordynacją działań służb

medycznych i porządkowych, sugerowaniu ewentualnych działań mających na celu poprawienie bezpieczeństwa zawodników i kibiców, a także, rzecz jasna, sporządzeniu precyzyjnego raportu i wyciągnięciu wniosków na przyszłość. To właśnie delegat jako pierwszy opisuje problem, który może skutkować nałożeniem kar czy to za zachowanie widowni, czy za poważniejsze uchybienia organizacyjne. W razie potrzeby może przerwać mecz albo, jeżeli jest jeszcze na to czas, a stopień zagrożenia wysoki, zaalarmować centralę i zasugerować konieczność odwołania spotkania. Nie może niczego nakazywać ani zakazywać, ale i tak dysponuje potężnym orężem: jego rola polega na sugerowaniu rozwiązań, potem zaś na ocenie reakcji, z jaką jego sugestie się spotkały. Z pewnością można traktować to zajęcie jako wygodną posadę, ale jeśli poważnie podchodzi się do związanych z nim obowiązków, zapewnia kilka dni w miesiącu całkowicie „wyjętych” z życia, wypełnionych intensywną aktywnością, a równocześnie daje okazję poznawania całkiem innej strony futbolu, nieznaną zawodnikom i trenerom.

Piłka zawsze była, jest i myślę, że zawsze będzie obecna w moim życiu. Tak jak wielokrotnie wspominałem, zawdzięczam jej wszystko. Nie wyobrażam sobie, żebym mógł – i potrafił – zajmować się czymś zupełnie z nią niezwiązanym. Mam okazję korzystać z własnych bogatych doświadczeń, z tego wszystkiego, czego w trakcie kariery nauczyłem się i dowiedziałem, a równocześnie wciąż dowiaduję się i uczę nowych rzeczy. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby to trwało jak najdłużej.

# Na zakończenie

W gablotach w moim domu tłoczy się mnóstwo proporczyków, medali, pater i pucharów: dużych i małych, niepowtarzalnych i spod sztancy, ładnych i brzydkich, ozdobnych i skromnych. Nie zawsze wiem, który za co dostałem – niektóre mają ładnych „dzieści” lat i poodpadały od nich plakietki – ale ze wszystkimi jestem silnie związany emocjonalnie, a poprzez nie z w większości nieznanymi mi ludźmi, którzy kiedyś mi je wręczali i z tymi, którym być może dostarczyłem paru chwil radości, wzruszeń czy choćby tylko emocji. Nie potrafiłbym wskazać najcenniejszego pucharu, ale nie zdziwiłbym się, gdyby miał się nim okazać ten najzwyklejszy, najprostszy, najmniej rzucający się w oczy. Pamiętacie scenę z filmu *Indiana Jones i ostatnia krucjata*, w której Indiana, żeby uratować śmiertelnie ранego ojca, musi wskazać świętego Graala wśród dziesiątków najrozmaitszych kielichów zgromadzonych w podziemnej komnacie? Nic nie wskazuje na to, że bym kiedykolwiek musiał dokonywać takiego wyboru – a jeżeli nawet, to stawka z pewnością będzie znacznie niższa – ale, naturalnie zachowując właściwe proporcje, mój prywatny Graal też byłby jedyny i niepowtarzalny wcale nie ze względu na swoją wartość materialną.

Wszystkie te pamiątki łączy jedno: piłka. Piłka nożna wypełniła może nie całe moje życie – znalazło się w nim miejsce na różne inne sprawy, dobre i złe – ale na pewno jego zdecydowaną większość. Było to dla mnie coś zupełnie oczywistego i naturalnego, i gdyby dziś przyszło mi ponownie decydować o tym, co chciałbym w życiu robić, bez chwili wahania wybrałbym futbol. To na boisku czułem się najpewniej i najbezpieczniej, to tam przeżywałem największe wzruszenia i najszcześniejsze chwile. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby było ich więcej, ale wszystkie z radością wspominam i równie wysoko cenię. Mądrzejszy o doświadczenia kilkudziesięciu lat, dziś w wielu sytuacjach zachowałbym się pewnie inaczej – zdaje się jednak, że podobne refleksje nawiedzają nie tylko byłych piłkarzy...

Nieufnie podchodziłbym do rad udzielanych przez ludzi, którym zawsze wszystko się w życiu udawało, którzy zawsze osiągnęli wyznaczone cele, dla których sukces był codziennością, a porażka czymś, co dotyczyło wyłącznie kogoś innego. Naturalnie tacy ludzie mogą być dla mnie wzorem, ale o tym, jak radzić sobie z przeciwnościami, jak pokonywać trudności, w jaki sposób omijać pułapki i mielizny, wolałbym usłyszeć od kogoś, kto bywał wysoko, ale również boleśnie upadał. Myślę, że spełniam ten warunek, jeśli więc wśród czytelników tej książki są młodzi ludzie, wiążący swoją przyszłość czy to z piłką nożną, czy z inną dyscypliną sportu – a mam nadzieję, że są – to na koniec chciałbym podzielić się z nimi garścią refleksji, porad i przemyśleń. Naturalnie nie mam złudzeń, że dla kogokolwiek staną się objawieniem albo że kompletnie zmienią czyjkolwiek życie, wiem jednak na pewno, że gdybym opanował umiejętność podróży w czasie i cofnął się do początków mojej kariery, to bardzo, ale to bardzo mocno namawiałbym kilkunastoletniego siebie, żeby zechciał się przynajmniej przez chwilę nad nimi zastanowić.

\*

Wychodząc na boisko, nie możesz być tylko aktorem, musisz czuć się współscenarzystą i współreżyserem widowiska, w którym uczestniczysz. Musisz wiedzieć i wierzyć w to, że coś

tworzysz, że dajesz z siebie coś niepowtarzalnego, jedyne w swoim rodzaju. Bez takiego wewnętrznego przekonania możesz zostać co najwyżej anonimowym statystą; wierząc, że stać cię na to, żeby być w jednej osobie twórcą i wykonawcą, możesz liczyć na najwspanialsze nagrody: szmer podziwu na trybunach, oklaski, uznanie kolegów, szacunek rywali. Schodząc z boiska ze świadomością, że dałeś z siebie absolutnie wszystko, będziesz po prostu szczęśliwy, a to najcenniejsza nagroda, na jaką możesz liczyć.

\*

Sport to z jednej strony ogromna radość i przyjemność, z drugiej zaś mroczna dżungla, w której gąszczu każdemu trudno się poruszać, a zwłaszcza młodemu, niedoświadczonemu życiowo człowiekowi. Młody sportowiec – wszystko jedno: piłkarz, saneczkarz czy kolarz – powinien mieć przy sobie życzliwych i mądrych ludzi, którzy podpowiedzą mu, jak zachować się w różnych sytuacjach, jak radzić sobie ze stresem, jak rozmawiać z dziennikarzami, jak ułożyć relacje z kolegami z drużyny. Teraz jest dla mnie oczywiste, że gdyby w moim otoczeniu znaleźli się tacy ludzie, zapewne uniknąłbym wielu błędów zarówno w życiu sportowym, jak i prywatnym. Niestety, nie miałem menedżera, dla rodziców zaś świat wyczynowego sportu był czymś kompletnie odmiennym od tego, co znali ze swojego życia, więc choć starali się jak mogli, niewiele byli w stanie mi pomóc.

\*

Kolegom z drużyny i trenerom trzeba bezustannie wysyłać sygnały – nawet jeśli ma się głębokie przeświadczenie o tym, że jest się dziesięć razy lepszym od Ronaldo i Messiego razem wziętych – że wszystkie umiejętności, całą duszę i całe serce oddaje się zespołowi. Nawet gdy jesteś naprawdę świetny (ba, powiedziałbym nawet: zwłaszcza wtedy), oni muszą mieć przeświadczenie, że jesteś świetny dla nich i dla drużyny, żebyście razem odnosili sukcesy i żeby wam wszystkim było coraz lepiej. Końcowy rezultat i tak jest właśnie taki. Nieważne, że na „wejściu” mamy stuprocentowy egocentryzm, chęć udowodnienia wyższości, pragnienie dominacji i zwykłą pychę. Liczy się to, co jest na „wyjściu” oraz w jakie słowa i czyny ubierzemy nasze egoistyczne zachowania. Czy takie postępowanie jest nieuczciwe? Nie sądzę. Piłka nożna NAPRAWDĘ jest grą zespołową. Wybitne indywidualności są jej nieodłączną częścią, dodają jej smaku i aury niezwykłości, lecz zgrany, ale niedowartościowany i zawistny zespół potrafi zgasić każdą gwiazdę, taki zaś, który widzi w tym pożytek dla siebie, pomoże każdej rozblysnąć z podwójną siłą.

\*

Młody zawodnik nie po to wchodzi w świat profesjonalnego futbolu, żeby samodzielnie o wszystkim decydować i postępować tak, jakby zjadł wszystkie rozumy. Zwłaszcza obecnie trenerzy dysponują ogromną wiedzą, korzystają z najnowszych zdobyczy nauki i techniki, mogą pełnymi garściami czerpać z dorobku poprzedników i kolegów po fachu, mają do pomocy specjalistów od fizjologii, psychologii i każdej innej -logii, jaka przyjdzie nam do głowy. Mimo to trzeba zawsze być czujnym i wsłuchiwać się w głos swojego organizmu. Żadna nauka, żadne badania i żadne wykresy nie powiedzą szkoleniowcowi tego, co zawodnik poczuje, wstając rano z łóżka albo kładąc się wieczorem spać. Nawet najlepsza, najstaranniej dopracowana teoria zawsze pozostanie tylko teorią i nie ma możliwości, żeby sprawdzała się w stu procentach. Trzeba ufać fachowcom – nie ma zresztą innej możliwości – lecz nie wolno zapominać o tym, że nie są wszechwiedzący, że pewne zasady naturalnie można uogólnić,

szczegóły jednak zawsze pozostaną indywidualne i niepowtarzalne. Jeśli czujesz, że coś jest nie w porządku, jeśli wydaje ci się, że obciążenia są za duże albo niewłaściwie dobrane, jeśli masz wątpliwości, czy plan treningów odpowiada twoim możliwościom i oczekiwaniom – mów o tym. Wbrew temu, co niektórzy próbują wbić ci do głowy, to ty jesteś w tym wszystkim najważniejszy. To twoje zdrowie, twoja kariera i twoje życie. Jeśli miałeś szczęście, twój menedżer traktuje cię jak syna, czuwa nad tobą i nie pozwoli zrobić ci krzywdy. Jeśli nie miałeś – a szanse na to są znacznie większe – będzie chciał jak najszybciej wycisnąć cię jak cytrynę, wyrzucić i zająć się kimś nowym. Nie będzie nad tobą czuwał, nie będzie sprawdzał, czy nie dzieje ci się krzywda, czy nie stawiasz zbyt szybko kolejnych kroków, bo wtedy łatwo o potknięcie. Bądź czujny, bądź rozważny, nie próbuj iść na skróty. Jeśli sam się o siebie nie zatroszczysz, istnieje spore prawdopodobieństwo, że nikt nie zatroszczy się o ciebie. Mądry trener zawsze wysłucha sygnałów od zawodnika i przynajmniej zastanowi się, czy wziąć je pod uwagę. Jeśli z założenia i z zasady tego nie robi, prawie na pewno nie jest mądrym trenerem.

\*

Trenując w Widzewie z Mirkiem Jaworskim (a właściwie: ucząc się od niego), miałem dwadzieścia dwa lata. Przez pół roku wspólnych zajęć zyskałem więcej niż kiedykolwiek wcześniej i później podczas całej mojej kariery, kiedy więc teraz słyszę, że dwudziestoletni zawodnicy są za starzy, żeby się czegoś nauczyć (lub oduczyć) i że umiejętności techniczne można w sensowny sposób przyswajać jedynie w młodym albo nawet bardzo młodym wieku, to pusty śmiech mnie ogarnia. Uczyć się, szkolić, rozwijać można i należy zawsze, bez względu na wiek, i choć z pewnością pewne rzeczy łatwiej przychodzą wtedy, kiedy ma się lat „naście”, to nie znaczy, że dojrzały i doświadczony zawodnik nie może doskonalić swoich umiejętności. Może, a nawet musi. Jeśli kogoś nie przekonuje przykład dwudziestodwuletniego Dziekanowskiego, to może przekona go przykład trzydziestoletniego dziś Cristiano Ronaldo. Kiedy w roku 2004 byłem na stażu trenerskim w Manchesterze United, obserwowałem z niedowierzaniem, ale i podziwem, jak bez względu na pogodę Cristiano zostaje po treningu, by samotnie albo z którymś z kolegów z pola lub bramkarzy do znudzenia trenować strzelanie wolnych, zwody czy prowadzenie piłki... Generalnie – żeby doskonalić technikę. Już wtedy był jednym z najlepszych zawodników na świecie, a mimo to wciąż poszukiwał nowych rozwiązań i starał się wyćwiczyć do perfekcji te, z których już we wspaniały sposób korzystał. Widoczne było również to, że wszystkie te ćwiczenia robił z pasją, przyjemnością i oddaniem. On tym żył i, jak widać po jego umiejętnościach i zaangażowaniu podczas meczów, żyje tym nadal. To szalenie ważne. Egocentryk, który robi wszystko, żeby być coraz lepszy nie tylko dla siebie, ale też dla drużyny. Prosty i banalny aż do bólu morał brzmi tak: choćbyś był nie wiadomo jak świetny, zawsze jest szansa na to, żebyś był jeszcze lepszy.

\*

Bardzo dobrze jest, jeśli rodzice dowożą dzieci na treningi, jeżdżą z nimi na mecze i turnieje, dopingują i wspierają. Niedobrze, jeśli robią to całkowicie bezkrytycznie, wpajając im przekonanie o niższości przeciwnika, a nawet zachęcając do gry nadmiernie ostrej, brutalnej i nie fair. Jeśli w ten sposób próbują leczyć własne kompleksy, to proponowałbym raczej wizytę u psychologa, ponieważ w ostatecznym rozrachunku takie postępowanie obróci

się przeciwko ich dzieciom. Cwaniactwo, brutalność i pogarda dla rywala pozornie pomagają w karierze, ale tylko do czasu. Prędzej czy później taki dopingowany rykiem nadambitnego tatusia i piskami rozhisteryzowanej mamusi chłopak trafi na sędziego, który po pierwszym złośliwym faulu wyrzuci go z boiska, na trenera, który za tyranizowanie młodszych i słabszych kolegów odsunie go od drużyny, albo – co najbardziej prawdopodobne – na rywala, który w rewanżu za któreś z rzędu bezmyślnie ostre zagranie albo za kolejną obelgę „niechcący” złamie mu nogę.

\*

Jeśli jesteś najlepszy albo jednym z najlepszych, albo jeśli z twoją osobą wiąże się wielkie oczekiwania, musisz pamiętać, że w razie niepowodzenia będziesz rozliczany jako pierwszy i że to na twoje barki zostanie włożona odpowiedzialność za klęskę. Jeśli jesteś najlepszy, albo przynajmniej lepszy od wielu innych, nie wystarczy doskonała gra, nie wystarczą strzelane bramki. Musisz być w centrum drużyny także poza boiskiem, angażować się w jej życie, aktywnie walczyć ze wszystkim, co przeszkadza jej w osiąganiu sukcesów. Nie puszczaj krytyki mimo uszu, ale i nie reaguj na nią alergicznie. Nawet jeśli ktoś tendencyjnie wytyka twoje nieliczne błędy i potknięcia, obracaj to na swoją korzyść, starając się eliminować je ze swojej gry. Wierz w siebie, ale nie popadaj w samouwielbienie, bo to do niczego dobrego nie prowadzi.

\*

W życiu wyróżniającego się piłkarza pieniądze pojawiają się bardzo wcześnie. Za wcześnie, zwłaszcza jeśli nie potrafi rozumnie nimi zarządzać i najzwyczajniej w świecie przewracają mu w głowie. W porównaniu z czasami i z rzeczywistością, w jakiej zaczynałem karierę, teraz są to pieniądze wręcz niewyobrażalne. W porównaniu z pokusami, na jakie obecnie są wystawieni młodzi piłkarze, te, z którymi ja musiałem walczyć, wydają się wręcz śmieszne. Tym większa i ważniejsza jest rola rodziny i klubu w utrzymaniu młodego człowieka w ryzach, we właściwym ustawieniu mu priorytetów i w kontrolowaniu kierunku, w jakim zmierza jego życie. Teoretycznie taką funkcję mógłby – i powinien – pełnić też menedżer, ale tak się niefortunnie składa, że większość piłkarskich menedżerów, których miałem okazję poznać, powinna mieć całkowity zakaz zbliżania się do zawodników, którzy nie ukończyli dwudziestego pierwszego roku życia. I wcale nie mam na myśli tylko Polaków. Jasne, trafiają się rzetelni fachowcy, którzy potrafią znaleźć i utrzymać równowagę między chęcią zysku a troską o dobro i rozwój zawodnika, ale to są jednostki. Większość to zwyczajni handlarze żywym towarem, hołdujący tylko jednej zasadzie: tanio kupić, drogo sprzedać.

\*

I najważniejsze: nigdy, ale to nigdy nie zadrećzaj się popełnionymi błędami, nie katuj się jałowymi domysłami „co by było, gdyby”, nie rozpaczaj nad straconymi szansami i nie miej żalu do świata o to, że w porę nie podał ci pomocnej dłoni. Każdą porażkę traktuj jako naukę, wyciągaj z niej wnioski i rób wszystko, by uniknąć kolejnej. Jeśli kogoś skrzywdziłeś, staraj się to naprawić, ale nie pielęgnuj poczucia winy, bo ono cię zniszczy. Rób wszystko, żeby w każdej sytuacji zachować się godnie i żeby osiągnąć sukces; jeśli się uda, to świetnie, a jeśli nie, to musisz mieć przeświadczenie, że zrobiłeś wszystko, co mogłeś, a nawet więcej, i ciesz się tym. Bądź z tego dumny. Wracaj myślą do pięknych chwil w życiu, na boisku i poza nim, i powtarzaj sobie: fajnie było.



Fajnie było.

# Podziękowania

Wszystkim, którzy pomogli mi w życiu i karierze – za to, że poświęcali mi swój czas, zaangażowanie i dobre myśli.

Wszystkim, którzy mi przeszkadzali i szkodzili – za to, że nie robili tego z większym zapalem.

Kolegom z zespołów, w których występowałem, z drużyny narodowej, oraz rywalom z boiska.

Trenerom i pracownikom klubów, których barwy reprezentowałem.

Kibicom.

Dwóm osobom, bez których ta książka nigdy by nie powstała – one dobrze wiedzą, kogo mam na myśli.

Dziękuję  
D.D.



Miałem być blondynem...



Początek szkoły.



Z rodzicami.



Z tatą na wakacjach w Garwolewie koło Czerwińska n/Wisłą.



Dom przy ul. Białobrzeskiej 34 i okno, z którego godzinami obserwowałem grających na boisku.



Mława, rok 1978. Na zdjęciu m.in. trenerzy wyławiający talenty do kadry juniorów: M. Kraus, A. Tymowicz, R. Piętka, M. Broniszewski, M. Śledzianowski, J. Golan.








Pamiątka z pierwszego meczu w reprezentacji Polski juniorów.



„Srebrna” reprezentacja Polski juniorów na ME w NRD w roku 1980. Wśród zawodników m.in.: Waldemar Matysik, Piotr Skrobowski, Dariusz Wdowczyk, Zbigniew Kaczmarek.



MŚ juniorów w Australii, rok 1981. Nie wyszliśmy z grupy – w takiej formie mogliśmy wygrać najwyżej z kangurami. Od lewej: Roman Geszlecht, Zbigniew Kaczmarek, Kazimierz Sokołowski, Jan Urban, Ryszard Tarasiewicz, ja, Mirosław Pękala.

LEGITYMACJA CZŁONKOWSKA	
WKS „GWARDIA”	
Nr 2172	
	
	
Dziekanowski (podpis właściciela)	
Dziekanowski (nazwisko)	
Danusz (imię)	
30.09.1962. (data urodzenia)	
15-12 ul. Konkowa 1350/2 (adres)	
G.N. (sekcja)	
19.10.1979. (data wstąpienia)	
Warszawa, dn 24.10.1979 r.	
	
SEKRETARZ	



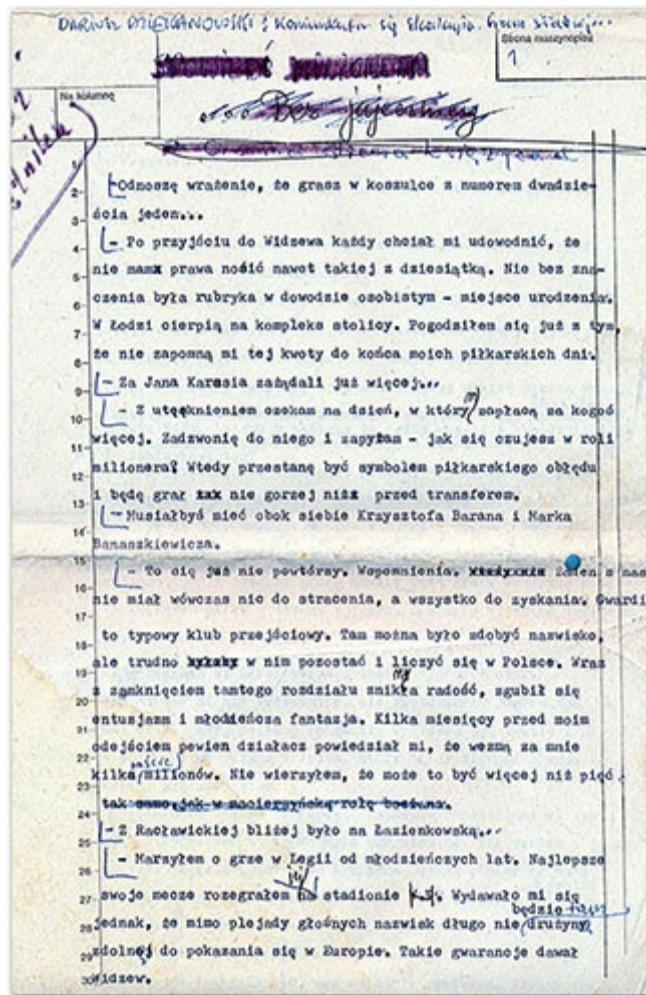


Na stadionie warszawskiej Gwardii w roku 1981 i 2015.





Na mecz „starego” Widzewa (w składzie m.in. Boniek, Surlit, Tłokiński, Grębosz) z „nowym” (Smolarek, Młynarczyk, Wijas, Wraga, Wójcicki, Dziekanowski) przyszło ponad 20 tys. kibiców. 4:1 zwyciężył „nowy” Widzew.



Pierwsza strona maszynopisu pamiętnego wywiadu, jaki przeprowadził ze mną Jerzy Chromik dla „Sportowca”. W tamtych czasach tak wyglądała praca nad tekstem.



Widzew Łódź, sezon 1984/85. (© Eugeniusz Warmiński/East News)





Widzew, wiosna 1985. Z Kazimierzem Przybysiem i Bronisławem Waligórą. (© Eugeniusz Warmiński/East News)



Bal wieńczący plebiscyt na najlepszych sportowców Warszawy, rok 1985. Z Miss Polonia, Katarzyną Zawidzką.



To naprawdę nie ja napisałem.



Nagroda za zwycięstwo w plebiscycie tygodnika „Piłka Nożna” na najlepszego polskiego piłkarza 1985 roku.





Stadion Górnika Zabrze, 17 października 1984, przed meczem eliminacyjnym do meksykańskiego mundialu z Grecją.

Od lewej: Smolarek, Buncoł, Pałasz, Boniek, Kubicki, Wdowczyk, ja, Wijas, Wójcicki, Kazimierski, Żmuda. (© PA/East News)



ZACZYNAŁEM JAK WY, NA PODWÓRKU ...



Marek Duda - w piłce...

Wychodząc z klatki schodowej mojego domu spotrzałem na chłopców grających w piłkę. Udywilem, jak się nawoływali. Ich własne imiona mieszały się z nazwiskami znanych piłkarzy: Botka, Buscola, Dzielanowskięgo... Zawnie podczas podwórkowych meczów chłopcy przybierali nazwiska sławnych i podziwianych przez nich piłkarzy. Gdy wspomnieli o tym panu Dariuszu Dzielanowskiem, słonechną się.

- Przypomniał sobie, że będąc w ich wieku postępowałem tak samo. A moim ulubionym piłkarzem był wówczas znakomity zawodnik holenderski Johan Cruyff. Jego nazwiska używalem jako pseudonimu. Miałem się przyznać, że kopaliśmy piłkę tak zapamiętali, że często grę musieli przerywać nasze mamy, przypominając o czekających lekach.

- Podwórkowe mecze to początek drogi piłkarskiej. Kiedy rozpoczął Pan grę w klubie sportowym?

- Kiedy skończyłem 11 lat, best zaprowadził mnie do klubu „Polonia”. Zostałem przyjęty do drużyny trampkarzy i rozpocząłem prawdziwe treningi. Trenowaliśmy 3 razy w tygodniu po 1,5 godziny. Pamiętam, że na początku miałem poważne kłopoty - znowu słonechna się pan Duda. - Byłem bardzo drobnym chłopcem i nie było dla mnie w klubie odpowiedniego rozmiaru butów, spode-

nek, a nawet koszulki. Co gorsza, starsi kole-dy nie chcieli wcale ze mną grać. Usnałi z głęzy, że zawodnik o tak nieporęcznym wy-gładzie nie może być dobrym piłkarzem. Na szczęście po trzech lub czterech wspólnych treningach zmieniłi zdanie i zostaliśmy kump-lami. Do dziś ten właśnie okres w mojej piłkarskiej karierze wspominać najchętniej.

- Czy to znaczy, że północnej gra w piłkę można nie sprawia Panu już tyle radości?

- Ależ nie! Chciałbym tylko powiedzieć, że zupełnie zmieniłi się warunki. Z czasem prze-cieł wyrosłem i zmocniłem. Udoskonaliłem też swoje piłkarskie umiejętności. Mając 16 lat podobałem się z kolegami z trampkarskiej drużyny i rozpocząłem treningi w zespole wa-zawski „Gwardii”. Był to bardzo trudny moment. Nagła zmiana stałem się dorosłym graczem. Musiałem szybko zapamiętać o bez-trocin i radoznym kopaniu piłki. Wyotrypy w pierwszoligowej drużynie wymagały bardzo intensywnego i systematycznego treningu oraz wielkiej odpowiedzialności. A to już coś zupełnie innego.

- A teraz ile czasu poświęca Pan na treningi?

- Treningi bardzo dużo. Spotykamy się z kolegami z „Legii” prawie dwa razy dziennie, od poniedziałku do piątku. Spotka-my wspólnie na boisku wiele godzin. No, a w soboty i niedziele czekają nas jeszcze mecze ligowe.

- Czy często ogląda Pan spotkania innych drużyn, w których grają znakomici piłkarze?

- Staram się. Jeżeli oczywiście czas mi na to pozwala. Najbardziej lubię obserwować grę Francuza Platinięgo i Argentczyka Mar-sadony.

- A czy chciałby Pan zagrać z tymi piłka-rzami w którymś meczu Mistrzów Świata w Meksyku?

- Bardzo! I mam nadzieję, że do tego dojdzie.

- Czy przypomina Pan sobie chwile, w której po raz pierwszy pomysłał Pan o swoim udziałzie w piłkarskich Mistrzostwach Świata?

- Pan Duda już zasmylił się.

- Nie. Nie pamiętam tego. Me chyba nie ma piłkarza, który by nie marzył o występie na Mundialu.

- Powiedział Pan, że treningi na początku piłkarskiej kariery były trudne i wymagaly silnej motywacji. Czy były inaczej?

- Oczywiście. Potem było dużo o ich trudnościach wspomnieć w moim wspomnieniu z przeszłości. A do swoich ulubionych wspomnień piłki, czyli podziwianie jej w akcji. Treningi były elementem do spędzenia z innymi zawodnikami z klubami świata.



Sukcesy i zwycięstwa dla „Gwardii” i „Legii” to w rzeczywistości zwycięstwa piłki nożnej.

**Dariusz Dzielanowski**

Wieloletni trener piłki w powiatowej Piłkarskiej i Żużlowej drużynie. Długoletni członek i trener sekcji piłki w Związku Piłki Nożnej w Warszawie. Był trenerem i kierownikiem drużyny młodzieżowej w klubie „Gwardia”. Pracował w klubie „Gwardia” w Warszawie. Był trenerem i kierownikiem drużyny młodzieżowej w klubie „Gwardia” w Warszawie. Był trenerem i kierownikiem drużyny młodzieżowej w klubie „Gwardia” w Warszawie.

Wzór dla młodych piłkarzy...





17 kwietnia 1985, Opole. Mecz towarzyski Polska – Finlandia. (© Eugeniusz Warmiński/East News)



16 listopada 1985, Stadion Śląski, mecz Polska – Włochy. Obok mnie Marco Tardelli. (© Eugeniusz Warmiński/East News)



1 maja 1985, Bruksela, przed meczem Belgia – Polska. Z Antonim Piechniczkiem. (© Eugeniusz Warmiński/East News)



Reprezentacja przed meczem z Belgią, Chorzów, 11 września 1985. Od lewej: Boniek, Młynarczyk, Wójcicki, Przybyś, Komornicki, Pawlak, ja, Urban, Matysik, Ostrowski, Smolarek. (© PA/East News)

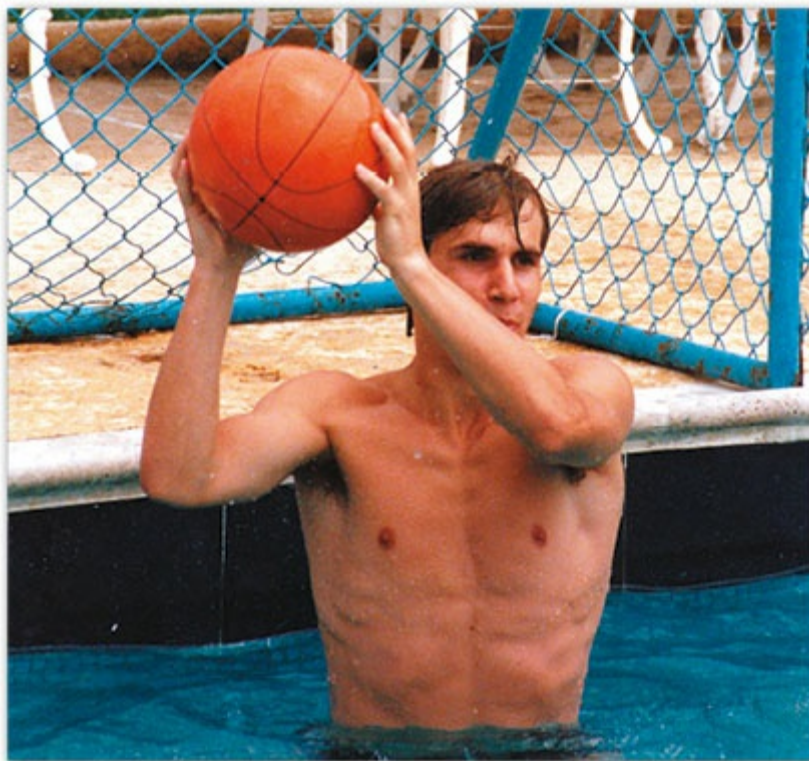




Bezbramkowy remis z Belgią dał nam awans do finałów Mistrzostw Świata w Meksyku. (© Eugeniusz Warmiński/East News)



W drodze na posiłek. Mundial 1986, ośrodek Bahia Escondida.



MŚ w Meksyku. 76,5 kg.



MŚ w Meksyku, mecz grupowy z Anglią, 11 czerwca 1986. Pierwszy rząd od lewej: Boniek, Matysik, ja, Komornicki, Smolarek. Drugi rząd od lewej: Młynarczyk, Majewski, Pawlak, Wójcicki, Urban, Ostrowski. (© PA/East News)





Meksyk 1986, Polska – Anglia. Siła złego... (© PA/East News)



Meksyk 1986, mecz z Anglią. Zbyszek walczy, reszta się przygląda. (© Imago Sport/East News)



Meksyk 1986, mecz z Brazylią. Próbuje przefrunąć nad Edinho. (© Bob Thomas/Getty Images)

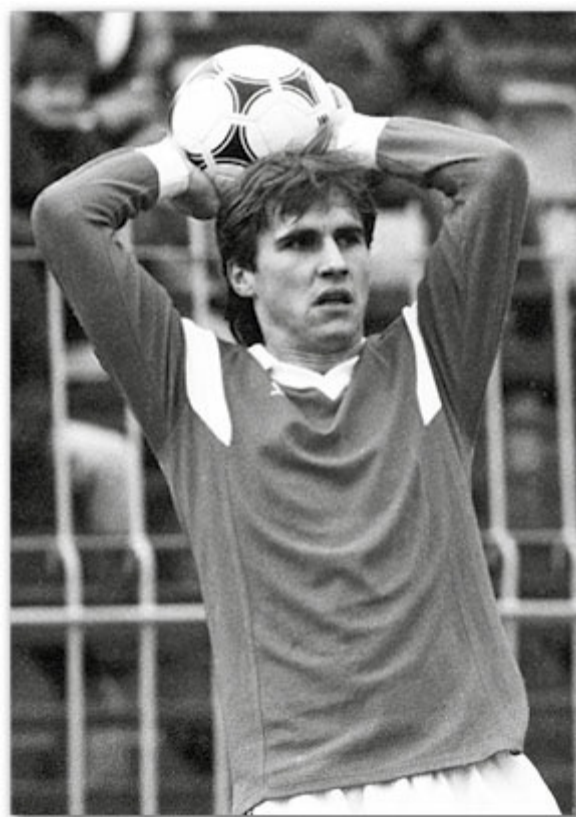


Zico „rozstrzeliwuje” nasz mur. (© PA/East News)





Kwiecień 1986. Mój pierwszy mecz ligowy przeciwko Widzewowi. Zdobyłem dwie bramki, trzecią dołożył Tomek Arceusz. (© Eugeniusz Warmiński/East News)



Rok 1989, mecz Legia – Lech na Łazienkowskiej. Najbardziej wykonywany przeze mnie stały fragment gry. (© Andrzej Iwanczuk/Reporter)



7 maja 1988, Legia – Olimpia 3:1. W ciągu 5 minut zdobyłem 3 bramki. Z gratulacjami biegnie Jan Karaś. (© Eugeniusz Warmiński/East News)

P A S C Y N A C J A

I

Dziękujemy za wspaniały mecz Legia ukochana,  
Zrucieś senego "Górnika" prosto na kolana.  
Dobry to prognostyk przed "Videotonem"  
Trzymaj tak nadal oros z takim tonem.

II

Może twój najstarszy trener w naszej ekstraklasie  
Ukarze Cię wreszcie w całej twojej krasie.  
Jego osobność dobry apter wysiera  
Nastąpiło w Legii świątne otoczenie.

III

W tych szeregach gra piłkarz wspaniały, bestroski  
Wszyscy wiedzą o kim nowo - Dariusz Dziekanowski  
Choć niedawno zetknął się z piłkarzkiem nowym  
Z każdej sytuacji wychodzi ze zwozem.

IV

Inni też są świątni: Buscól, Koroń, Budo  
Może Bagolowi coś się wreszcie uda.  
Ze długo oczekany na dobrą drużynę w Worozonie  
Przebież to już będzie 15-cie lat prawie.

V

Liczymy na dalszy sukces w zawodzie trenera  
Który bardzo często dużo zdrowia zdziera.  
Życzymy wypłynięcia na szerokie wody  
Tak jak kiedyś było Legia ze Fano Tejwody.

Ze oportonymi podziwieniami  
Kibic - Eugeniusz Warmiński

Jak widać, wśród kibiców Legii nie brakowało poetów.



Tirana 1989, po meczu eliminacyjnym z Albanią do MŚ we Włoszech. Kazimierz Górski był wtedy wiceprezesem PZPN.



Ten sam czas i to samo miejsce, w szerszym gronie: Dariusz Wdowczyk, NN, Ryszard Tarasiewicz, Roman Kosecki, Zbigniew Kaczmarek.





Z Billym McNeillem po podpisaniu kontraktu. (© SNS Group/SNS Pix/Corbis)



Rok 1989. W drodze do Glasgow na starym Wembley w Londynie.





(© PA/East News)



Jedna z nielicznych sytuacji, kiedy Terry Butcher wystąpił nie w roli koszącego, lecz koszonego. (© PA/East News)



Nagroda kibiców dla najlepszego zawodnika Celticu sezonu 1989/90.



Takie koszulki sprzedawano przed stadionem.





Z moim przyjacielem Paul'em Elliotem i John'em Hewitem w hotelu Hospitality Inn.



Dom w Cumbernauld. Długo się nim nie cieszyłem.



Glasgow, z Romanem Manuszewskim.



Wrzesień 1989, piłkarz miesiąca ligi szkockiej.





Pierwsze Święta na szkockiej ziemi. Z Darkiem Wdowczykiem.



W Szkocji piłkarze nie tylko grają, ale i bawią się na całego.  
Witamy Nowy Rok.



Radość taka jak zawsze.



(© PA/East News)





Reprezentacja Championship przed meczem z reprezentacją włoskiej Serie B, rok 1993. Selekcjonerem był Glenn Hoddle (drugi z prawej w drugim rzędzie).







Ośrodek treningowy w Hürth. Pierwszy z prawej Carsten Jancker (później Bayern Monachium). Obok niego Reinhardt Stumpf, z którym przebiegłem chyba kilka tysięcy kilometrów.



Rok 2000, Bydgoszcz. Mecz gwiazd Polska – Niemcy. Górny rząd od lewej: Strejlau, Ćmikiewicz, Lato, Miłoszewicz, Okoński, Młynarczyk, Tomaszewski, Wdowczyk, Lubański, Majewski, Żmuda, Engel. Dolny rząd od lewej: Kapka, Kupcewicz, Ciółek, Gollob, Boniek, ja, Michalczewski, Kusto.



Rok 2006, Eindhoven. Mecz reprezentacji Europejskiej Federacji Byłych Piłkarzy z reprezentacją oldboyów Holandii. Na zdjęciu m.in. w górnym rzędzie: Enzo Scifo (2. z l.), Thomas Ravelli (3. z l.), Zvonimir Boban (3. z p.); w dolnym rzędzie: Jean-Pierre Papin (2. z l.), Paulo Sousa (2. z p.).



Bruksela, rok 2004, nasza reprezentacja na mecz byłych piłkarzy i polityków Polski i Belgii z okazji przyjęcia Polski do UE.





Z Jozefem Venglosem podczas konferencji w ramach programu UEFA „Grassroots”. Nyon, rok 2000.



Kijów, rok 2005, z reprezentacją Polski rocznika 1986, po meczu eliminacyjnym do ME juniorów. Wśród zawodników m.in.:  
Mariusz Pawelec, Adrian Mierzejewski, Radosław Majewski, Jakub Rzeźniczak, Adam Kokoszka.



Luty 2008, mecz Korony Kolporter Kielce z Wisłą Kraków. Mnie wydarzenia na boisku najwyraźniej bawią, Beenhakera jakby trochę mniej... (© Michał Kłag/Reporter)



Mecz, który pod wieloma względami kosztował mnie bardzo dużo: czerwiec 2007, spotkanie na szwajcarskim lodowcu na rok przed inauguracją ME.





Luty 2008, Cypr. Zgrupowanie reprezentacji przed Mistrzostwami Europy. (© Bartosz Bobkowski/AG)



Maj 2008, Niemcy. Dyskusja po ostatnim treningu na zgrupowaniu kadry. Leo Beenhakker, Michael Lindemann, Frans Hoek. (© Kuba Atys/AG)



Nie wyglądało to dobrze. Ostatni mecz ME 2008 z Chorwacją. Frans Hoek, Leo Beenhakker, Jan de Zeeuw, Adam Nawalka. (© Kuba Atys/AG)



Z Bogusławem „Bobo” Kaczmarkiem po meczu z Chorwacją na ME 2008.





Eindhoven 2006. Michele Platini w szatni; przed meczem reprezentacji Europy z reprezentacją oldboyów Holandii.



Barcelona 2009. Reprezentacja Europy w meczu z oldboyami Barcelony. Na ławce m.in.: Lothar Matthäus, Christo Stoiczkow, Manuel Amoros.



Rok 2009, inauguracja Akademii Orlika w Łodzi. Jak widać, na naukę gry głową nigdy nie jest za późno. (© Piotr Kamionka/Reporter)